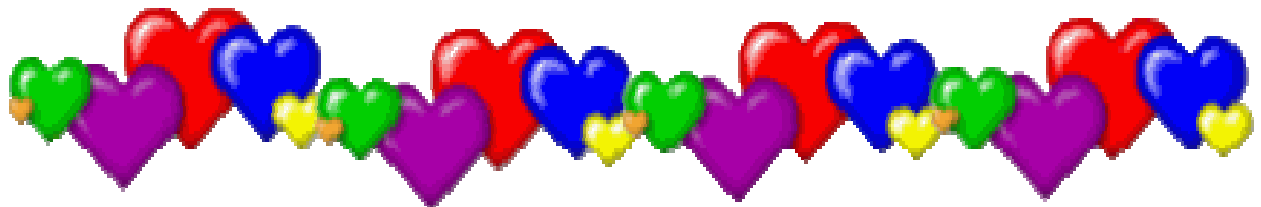




AMY JENKINS



MIODOWY MIESIĄC

Tytuł oryginału Honey Moon

Z podziękowaniami za zachętę, inspirację i podtrzymywanie na duchu dla: Jenne Casarotto, Alison Dominitz, Sue Fletcher, Davida Heymana, Tracey Hyde, Sarah Lutyens, Marii Mathiessen, Sama Millera, Jamesa Purefoya i Carolyn Tristram. I z miłością dla Polly, Milly, Flory i Nata.

Rozdział pierwszy

No więc siedzimy w tej białej limuzynie, która mruczy cicho, przedzierając się przez zatłoczone ulice, jak to w sobotni wieczór. Niemal jak w Hollywood. Tylko że to nie Hollywood. Wielka, cholernie śmieszna, długa limuzyna krąży po londyńskim West Endzie - choć nie jest on znowu taki west i zdecydowanie nie end. Jest tak długa, że nie wiadomo, dlaczego właściwie nie zapada się w środku i nie ciągnie brzucha po ziemi. Jest tak długa, że nie wiem, jak jej się udaje skręcać w wąskich uliczkach Soho, nie spychając kawiarnianego towarzystwa do rynsztoka.

Wyobraźcie sobie jednak. Wyobraźcie sobie, że jednak musi się zatrzymać na jakimś rogu. Żeby kogoś nie zabić. A kiedy się zatrzymuje, stoi tam ten młody gość - chyba nie z miasta, taką ma świeżą buźkę. Coś go ciągnie do otwartego okna limuzyny, więc pochyla się, nawiązuje rozmowę, wsuwa głowę w okno, głębiej i głębiej, aż w końcu zostaje wessany do środka głową naprzód. Ostatni raz widziano go gdy jego czerwone, dość rozdeptane adidasy zniknęły w oknie.

Bo sprawa jest taka, rozumiecie, że w tej limuzynie nie siedzi jedna samotna gwiazda pop, pływająca się w luksusie. Ta limuzyna mieści w sobie całe mnóstwo dziewczyn. Damskie ciała od ściany do ściany. Dziewczynki sardynki. Siedzę w wielkiej, białej puszcze dziewczynek sardynek. A w każdym razie takie mam wrażenie.

A ten całkiem nieświadomy niczego kawałek mężczyzny o świeżej buźce zostaje wduszony w siedzenie naprzeciwko mnie, wciśnięty między uda. I wszystkie dziewczyny w limuzynie chcą, żebym się z nim zabawiła. To właśnie powinno się robić w paniński wieczór.

Paniński wieczór.

O mój Boże. Albo O! Mój! Boże! - jak powiedziała moja siostra Ven, która ma dwadzieścia jeden lat. Gdyby to ode mnie zależało, nigdy nie miałabym panińskiego wieczoru.

- Honey - powiedziała kiedyś Della - kochanie, gdyby to od ciebie zależało, nigdy byś się nie zdecydowała na małżeństwo. Więc widzisz.

Więc widzę. No tak.

Honey*, nawiasem mówiąc, to moje imię.

* Honey (ang.) - dosł. miód; także pieszczotliwy zwrot znaczący „kochanie” (przyp. tłum).

Della ma skłonności do czułych słówek, ale nie do tego stopnia, żeby wsadzać dwa w jedno zdanie.

Więc Della na własną rękę zorganizowała niespodziankę - paniński wieczór. I w gruncie rzeczy całkiem dobrze się bawię. To znaczy, nigdy nie podobał mi się pomysł spotkania samych dziewczyn - tak samo jak nigdy nie podoba mi się pomysł sałatki na obiad - ale jak już do tego dochodzi, to może być całkiem miło. Przynajmniej nie zatrudniły striptizera ani nie związały mnie i nie wsadziły w samolot do Amsterdamu. Del wynajęła tę długą limuzynę, zaprosiła wszystkie dziewczyny, i teraz jeździmy sobie po Londynie, pijąc szampana. Albo raczej one piją szampana. Mnie od szampana boli głowa.

Po butelce czy pięciu poczuły w sobie damską moc, więc zaczęły wychylać się przez okna i podrywać facetów. Mnie to niespecjalnie interesowało. Wiadomo że w sobotni wieczór na West Endzie niewiele się upoluje. Poza tym w tej chwili właściwie nikt mnie nie interesuje. A w każdym razie nikt nieznan. Mówią mi, że w paniński wieczór trzeba być niewierną, a przynajmniej z kimś ostro flirtować. Della przypomniała sobie, że Francuzi mają na to specjalne słowo -właśnie spędziła służbowo sześć miesięcy w Paryżu. Pracuje dla Marksa i Spencera. Nie pamiętała, jak to francuskie słowo dokładnie brzmi, ale w tłumaczeniu znaczy z grubsza tyle co „ostatni haust powietrza przed śmiercią”.

- Urocze - powiedziałam. - Możecie w to nie wierzyć -powiedziałam - ale nie chcę być niewierna.

Della wyglądała na rozczarowaną, ale nie bardzo. Bo lubi Eda. Mojego przyszłego. Uważa, że Ed to dobra rzecz. W gruncie rzeczy sędzę, że Delii jest trochę trudno się przystosować. Im wszystkim jest trudno. Bo wiecie, moje przyjaciółki tradycyjnie uważają, że ja zawsze wszystko spieprzę. Wszystko - to znaczy życie.

Wszystkie próbowałyśmy ecstasy, ale to ja miałam odjazd trzy razy na tydzień i szlochałam w tenisówki, jeśli mi się nie udało. Wszystkie z trudem zdążyłyśmy do pracy na czas, ale to mój ulubiony klub działał w niedzielne wieczory, więc w końcu straciłam pracę. Wszystkie robiłyśmy strasznie późno strasznie głośne przyjęcia, ale to w moim mieszkaniu w suterenie Paul

Anderson puszczał muzykę na pełny regulator, wypróbując nowy system nagłośnienia, więc to mnie dwa miesiące później wyrzucono. Wszystkie miewaliśmy szemranych chłopaków, ale to mój chłopak wyciągnął trzy bańki z mojego konta w Abbey National, a ostatnio słyszałam, że siedzi za kratkami. I wszystkie miałyśmy debety w banku, ale to mnie uznano za bankrutkę - wirtualnie - i musiałam podpisać jeden z tych dobrowolnych układów.

Ale to wszystko było przed Edem, a teraz jestem po Edzie i nie tylko ponownie się narodziłam, ale do tego, niewiarygodne, stoję na progu stanu małżeńskiego. Czułam się trochę jak znużony bokser. Tyrałam na ringu rok za rokiem, odwalalam rundę za rundą, aż w końcu ktoś rzucił ręcznik. Ktoś pod postacią miłego, odpowiedniego młodego człowieka imieniem Ed. Marzyłam jedynie o tym, by na błogą chwilę opaść na liny i złapać oddech, marząc o emeryturze. Nie chciałam, żeby trenerka Della krzyczała mi do ucha, że wytrzymam jeszcze jedną rundę. Żeby przedstawiała mi jakiegoś podejrzanego szkockiego chudzielca, wciągała go do samochodu i próbowała mnie na niego namówić. Dzięki, nie, ja już idę do szatni. To nie znaczy, że on był jakiś nieciekawym czy co. Zdaję się, że w końcu Jennie się nim zajęła.

Gdy dziewczyny w końcu zrozumiały, że nie będzie żadnej akcji na żywo, poddały się. Ale zaraz zaczęły mówić: „No dobra, gdybyś mogła mieć, kogo tylko zechcesz, to z kim chciałabyś być niewierna? Dzisiaj. Teraz. Gdyby mężczyzna, który ci się podoba najbardziej ze wszystkich na świecie wyszedł z tej restauracji i wsiadł tu do samochodu. Musi być ktoś taki”. Snuły różne domysły. No wiecie, gwiazdy filmowe, to co zwykle. Nie zaszły z tym daleko, bo już wyrosłam z kochania się w mężczyznach z taśmy filmowej. Choć przeżyłam chwilę wahania, gdy doszły do Ewana McGregora - kiedyś widziałam go na przyjęciu w szkockim kilcie.

I wtedy Della wrzasnęła:

- Wiem! Wiem! Miłość Twojego Życia!

Miłością Mojego Życia nazywamy gościa, z którym wiele lat temu spędziłam niesamowitą noc. Ta historia jest tak sędziwa, że właściwie należy już do Krainy Baśni. Ale Della i ja wciąż ją uwielbiamy.

Jennie, którą poznałyśmy dopiero jakiś rok temu, gdy przez chyba cały jeden dzień próbowałyśmy oddawać się ćwiczeniu jogi aštanga, spytała:

- Kto to jest Miłość Twojego Życia?

- Czy to znaczy, że mam opowiedzieć o Miłości Mojego Życia? - spytałam. Lubię to robić, bo zawsze jak opowiadam, zaczynam się czuć tak miło i promiennie. Zupełnie jakby kręcono film o moim życiu ze mną w roli głównej, jakbym była osobą, której różne rzeczy mogą się przytrafić właśnie jak w filmie - i kiedy opowiadam tę historię, to przez kilka chwil wierzę, że jestem kimś takim. Że moje życie jest trochę jak film albo można tak na nie patrzeć.

- Tak - przytaknęły wszystkie. - Opowiedz. - Zupełnie jakby naprawdę chciały ją usłyszeć. Kochane dziewczyny. Więc opowiedziałam.

W tamtych czasach, czyli jakieś siedem lat temu, gdy miałam mniej więcej dwadzieścia jeden lat, widywałam się z takim jednym Paulem. Był Włochem, a ja się z nim po prostu widywałam, jeśli wiecie, o co mi chodzi. To znaczy, widywałam wszystkie części jego ciała, ale nawet nie przyszło mi do głowy, żeby się jakoś głębiej zaangażować. Był młody i nadawał się do bzykania, i był próżny, i dość przedwcześnie w średnim wieku - choć zabiłby mnie, gdyby wiedział, że tak mówię, lekceważąc sobie jego kości policzkowe, garnitury od Armaniego i skłonność do kokainy. Tak czy inaczej, po prostu nie nadawał się do stałego związku. I nie chodzi tylko o to, że w tamtym okresie mojego życia stałe związki nie bardzo mnie interesowały - my ledwo potrafiliśmy ze sobą rozmawiać. Nie chodziło o problemy językowe, bo on świetnie mówił po angielsku, po prostu nie byliśmy szczególnie ciekawi, co druga strona ma do powiedzenia. To były czasy, kiedy spędzałam wieczory i weekendy na nie-związkach z panami Nieodpowiednimi i zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie spotykam żadnego pana Odpowiedniego. Tak mniej więcej toczyły się moje lata dwudzieste.

Wiecie, żałuję, że nikt mi nigdy nie powiedział, że chyba powinnam się trochę wysilić, żeby znaleźć sobie miłego gościa o ciekawym życiu i właściwych perspektywach i tak dalej, póki wciąż jeszcze jestem w takim wieku, że jest ich sporo na rynku. Ale nikt mi nie powiedział. To trochę przypomina sytuację, kiedy w sklepach pojawiają się buty modne w nowym sezonie, ty w drugim tygodniu września idziesz do sklepu i prosisz o rozmiar trzydzieści osiem. Sprzedawczyni patrzy na ciebie jak na idiotkę i mówi, że wyprzedano już wszystkie rozmiary poza tymi dla karłów i Olbrzymów, a ty mówisz: „Dlaczego już w drugim tygodniu września żadnych nie ma?”, a ona patrzy na ciebie jak na jeszcze większą kretynkę, że myślisz, że być

może dadzą ci takie buty, i wyjaśnia łagodnie, lecz zdecydowanie: „To bardzo modne buty”. Albo nawet „To bardzo wygodne buty”.

No więc właśnie. Jeśli nie nauczysz się szybko tych naturalnych praw, to czeka cię życie w bardzo niemodnych butach. Albo w bardzo niewygodnych butach. Jedno albo drugie.

Być może powinnam była sama wpaść na pomysł, jak rozwiązać problem odpowiedniego mężczyzny. Inne dziewczyny wpadły. Myślę, że powstrzymywało mnie przekonanie, że pan Odpowiedni i tak nie będzie wyglądał jak Johnny Depp. Nie mogłam znieść myśli o nie-johnny-deppowatym wyglądzie. Szkoda jednak, że nikt mi nie powiedział, że roztargniony facet z marzeniami i uzależnieniem od koksu - ten, który zerka nad moim ramieniem w poszukiwaniu czegoś lepszego - to nie jest właściwa droga do tego ciepłego, przytulnego, trzydziestoparoletniego gniazda, w którym będę kotłować się z dziećmi i psami.

Ale to wszystko dygresja. Tego wieczora, gdy spotkałam Miłość Mojego Życia, Paulo zajechał po mnie swoim sportowym samochodem. Przyznaję, że sportowe samochody ostro mnie biorą. Byłam jak zając złapany w światła reflektorów. Paulo zabrał mnie do modnej włoskiej restauracji, już wówczas w stylu minimalistycznym, bez żadnych za dużych młynków do pieprzu. Lubił tam chodzić, bo robili martini na wódce dokładnie takie jak w domu. Paulo oczywiście co chwila znikał w kiblu. Nie towarzyszyłam mu, po pierwsze dlatego, że naprawdę interesowało mnie jedzenie, a po drugie koks nie robi mi dobrze. Jestem po nim przez kilka dni obolała i przymulona. Płacę co chwila. Płacę nad programem o schroniskach dla zwierząt. Płacę, kiedy ktoś w radio wygrywa jakąś nagrodę. O Boże.

No więc zobaczyłam, że do sąsiedniego stolika niosą wspaniale wyglądające risotto. Mam fioła na punkcie risotta. To jakby dorosłe jedzenie dla niemowląt, czy co. Bywa że nie mogę żyć bez risotta. Na szczęście risotto robi się długo i trzeba nad nim stać i mieszać, więc nieczęsto zabieram się za nie w domu. Zanim zdążyłam pomyśleć - a nie jest to coś, co zazwyczaj robię, zaskoczyłam samą siebie - przechyliłam się do sąsiedniego stolika i spytałam:

- Jakie jest to risotto?

Ten facet akurat nabrał risotta na widelec. Przedtem nawet na niego nie spojrzałam, ale teraz odwrócił się do mnie i zobaczyłam te okropnie niebieskie oczy w ciemnej twarzy, i utkwiliśmy w sobie nawzajem wzrok, i rozpoznaliśmy się. To nie znaczy, że go znałam, nigdy w życiu go wcześniej

nie widziałam, ale znaleźliśmy się, chyba wiecie, o co mi chodzi. To było takie uczucie, jakby ktoś mnie walnął w brzuch, jakby - staram się nie wspominać tu o elektryczności, bo to takie banalne, ale chyba nie bez powodu mówi się o elektryczności. To rzeczywiście takie uczucie.

A on odpowiedział:

- Z dziczyzną.

Jakie jest to risotto? Z dziczyzną. Tak to się zaczęło. Nie usłyszałam tej „dzczyzny”, więc po prostu gapiłam się na niego. W każdym razie i tak nie mogłam odwrócić wzroku, przykuł mnie wprost do swojej duszy.

- Risotto z dziczyzną - powiedział. - To risotto z dziczyzną.

- Mój Boże. Z jaką dziczyzną?

- Nie wiem, z czymkolwiek, na co ostatnio polowaliście. - W tej chwili dotarło do mnie, że to Amerykanin.

Paulo, który - jak powinnam była wspomnieć - był podczas tego wszystkiego przy stoliku, a nie w kiblu, zakaszał uprzejmie. Paulo zawsze był uprzejmy, zawsze był jedną wielką wypchaną bombką uprzejmości, odzianą w garnitur od Armaniego - chyba że podczas kochania się szeptał mi do ucha niezwykle prośby, po włosku. Na szczęście okazało się, że nie chce tego wszystkiego robić, chce tylko mi je wszeptywać do ucha. Więc Paulo zakaszał, a ja powróciłam do rzeczywistości, choć byłam cała czerwona i było mi gorąco. I oboje wróciliśmy do własnych obiadów i własnych towarzyszy.

Błękitnooki przy sąsiednim stoliku był z blondynką. Oczywiście, jakżeby inaczej. Była całkiem zrelaksowana, wręcz emanowało z niej zrelaksowanie - wysunęłam czułki, by odebrać wibracje. Czy stanowili parę? Starłam się zmierzyć napięcie seksualne. Była zupełnie zrelaksowana. Zamówiłam risotto.

Więc dostałam risotto i przeżuwałam je powoli, choć, szczerze mówiąc, straciłam apetyt. Tyle że to risotto nas łączyło - to było risotto miłosne, mój list miłosny do niego. Nagle on się pochylił w moją stronę i zapytał:

- Dobra dziczyzna?

- Bardzo dobra - odpowiedziałam.

I znowu nie mogliśmy oderwać od siebie wzroku. Zaczynało to być dość kłopotliwe, więc zerknęłam na blondynkę. A on wiedział, że pytam: „Kim ona jest?”.

I on też na nią spojrzał.

- Ależ ja jestem tylko jankeskim turystą - powiedział. Jakby - czy ja wiem? A ona się uśmiechnęła.

Wiedziałałam więc już, że mieszka w Stanach, a ona jest kobietą, z którą mieszka albo spotyka się w Londynie, i może chodzą razem do łóżka, a może nie, ale nie ma tu żadnego „my”, a to było najważniejsze. Możecie zapytać, skąd to mogłam wiedzieć, ale tak było. Porozumiewaliśmy się tam-tamami.

I zanim się zorientowałam, co robię, pochyliłam się i mówię:

- Gratulacje. - Wszyscy troje na mnie spojrzeli. A ja mówię dalej: - Czy wiecie, że zaledwie osiem procent obywateli amerykańskich ma paszporty? Gratuluję - jesteś jednym z nich.

I zaraz Paulo znowu zakaszłał, a Błękitnooki przeprosił, wstał i poszedł do męskiej. Siedziałam przez chwilę, a potem przyszło mi do głowy, że może powinnam za nim pójść. Mówię „powinnam” w uniwersalnym, fatalistycznym znaczeniu - nie o to mi chodzi, że on oczekiwał, że za nim pójdę. I nie mogłam uwierzyć, że w ogóle coś takiego przyszło mi do głowy, bo, wierzcie mi, zazwyczaj nie chodzę za ludźmi. Myślałam więc o tym i wtedy - to wszystko razem nie trwało nawet nanosekundy - przyszło mi do głowy, że przecież i tak mogę za nim pójść, nie ma żadnego zakazu. Może to zmieni moje życie. Wstanie z krzesła i pójście do kibla może zmienić moje życie. Może tak jest. Punkt zwrotny. I jeśli tego nie zrobię, to się nigdy nie dowiem.

Więc wstałam i też poszłam do toalety. Jak już tam doszłam, toostałam trochę na korytarzu, czekając, aż wyjdzie. Ale po jakiejś minucie opadły mnie wątpliwości i nagle oświeciło mnie, jak okropne mogą być konsekwencje tego, co robię. A jeśli zupełnie niewłaściwie odczytałam sytuację? I jakie to by było okropne, gdyby wyszedł, zobaczył, że tam stoję, zrobił zakłopotaną minę i przeszedł obok? A najgorsze byłoby to, że by wiedział. Jak na razie jechaliśmy na tym samym koniu: oboje podejrzewaliśmy, ale żadne z nas nie wiedziało. Gdyby znalazł mnie na korytarzu, to by znaczyło, że pierwsza odkryłam karty. A to mnie przerażało mniej więcej w takim samym stopniu, jak przepłynięcie kanału La Manche w styczniu (to by przerażyło nawet te sportowe typy, które przepływają kanał codziennie przed podwieczorkiem).

No więc stałam tam przed damską i już przez to, że tam stałam, zachciało mi się siusiu - jakiś rodzaj reakcji Pawłowa na tę dziwną damę narysowaną na drzwiach. Drzwi do męskiej zaczęły się otwierać, więc jak błyskawica

wpadłam do damskiej. No i pomyślałam, okay, zostawiam to przeznaczeniu. Jeśli tak ma być, to się zdarzy, niezależnie od tego, co robię. I to był taki wykręt. Weszłam do kabiny, była tylko jedna.

Ledwo zaczęłam siusiać, gdy drzwi się otworzyły i ktoś wszedł. Wstrzymałam się na chwilę. Umiałam to robić, bo w czasopiśmie każą, żeby to ćwiczyć. W ten sposób podobno wyrabiamy sobie mięśnie. Potem usłyszałam nerwowy męski kaszelek. A ja siedziałam, potwornie skrepowana i niezdolna wydać z siebie głos. I zaraz właściciel męskiego kaszelku wyszedł. Po prostu.

Więc też wyszłam, spodziewając się, że Błękitnooki będzie czekał na zewnątrz, ale nie czekał, wrócił już do stolika i był pogrążony w rozmowie. Oczywiście znowu ogarnęło mnie z wątpienie, czy to on kaszlał. Może to był kelner albo co. Wróciłam do stolika, a Paulo, który nie bawił się najlepiej, skoczył na równe nogi i pobiegł przypudrować nos. No i skoro zostałam sama, to tych dwoje przy sąsiednim stoliku uważało, że musi ze mną rozmawiać. A blondynka nie miała nic przeciwko temu, więc kiedy Paulo wrócił, prowadziliśmy już sympatyczną konwersację. Blondynka zaczęła rozmawiać z Paulem i po prostu nie mogłam uwierzyć swemu szczęściu. A on był w siódmym niebie, bo mówiła tylko o tym, jakie ma piękne spinki do mankietów i takie tam bzdury. I wtedy, akurat jak Błękitnooki i ja tak bardzo wpatrywaliśmy się w siebie, że pomyślałam „to naprawdę będzie bardzo ciekawe”, on mówi: „muszę się ruszyć”. Wyciągnął kasę, ale blondynka powiedziała, że ona się tym zajmie. Więc wstał i zaczął się żegnać, a ja nagle zaczęłam spadać, leciałam w powietrzu jak skoczek spadochronowy, z rozłożonymi ramionami, a nieludzka ziemia szybko zbliżała się do mojej twarzy. Mówiąc w przenośni, oczywiście. W rzeczywistości wciąż siedziałam prosto i bezpiecznie na minimalistycznym krześle w minimalistycznej włoskiej restauracji w śródmieściu Londynu. Chodziło mi o to, że nie byłam w stanie się odezwać, on wychodził, a ja ni diabła nie mogłam zrozumieć, co jest grane.

I kiedy Błękitnooki przechodził za moim krzesłem, znowu zakaszlał, tylko że tym razem brzmiało to, jakby chciał się roześmiać, do siebie, ale nie tak całkiem do siebie. Tak jakbyśmy mieli wspólny żart, znany tylko nam dwojgu.

A potem po prostu poszedł dalej. A ja siedziałam, zaszokowana. A blondynka wzywała kelnera, żeby przyniósł rachunek. A ja spojrzałam na Paula, czy to słyszał. Ale on znów przyglądał się sobie w oknie za mną -

więc się odwróciłam, ale on wcale nie patrzył, jak wygląda, tylko obserwował, jak Błękitnooki na dworze przywołuje taksówkę.

I nagle już byłam na nogach. Udało mi się jeszcze wyjąkać: „przepraszam, Paulo”. A potem ruszyłam biegiem. Wypadłam na ulicę, a on zostawił dla mnie otwarte drzwi taksówki. No więc nagle tam byliśmy. W taksówce. Odjeżdżaliśmy w noc.

Rozdział drugi

Dziewczynom w limuzynie opadły szczęki. Pozwoliłam, żeby na chwilę zawisła nad nami cisza.

- Czasem myślę o tamtej dwójce, która została w restauracji - powiedziałam po chwili. Czy Paulo wystartował do blondynki? Może im się dobrze ułożyło. Może spędzili tak wspaniały wieczór jak my. Nigdy się tego nie dowiedziałam, bo nigdy więcej nie spotkałam Paula. - No i to tyle - powiedziałam. - Miłość Mojego Życia. - I zamknęłam buzię, jakby to był koniec.

- Nie ma mowy! - wrzasnęły zgodnie.

- Resztę możecie sobie dośpiewać - oznajmiłam.

- Nie, nie możemy! - wrzeszczały. Problem polegał na tym, że właściwie nie chciałam opowiadać dalej. Nie w mój paniński wieczór. Już nie.

- Hej - powiedziała Della swoim najsurowszym i najbardziej zdecydowanym tonem. - Musisz im pomóc się zamknąć. - Wskazała dziewczyny siedzące z otwartymi jarami. Opuściłam skromnie oczy na ciasno upakowane uda na siedzeniu naprzeciwko. I wymamrotałam, że nie mogę mówić dalej, bo dalej jest teren prywatny. Della przewróciła oczami i powiedziała „och, proszę”, wyraźnie akcentując „proszę”. W obecnych czasach, jak być może zauważyliście, wszelka wrażliwość na czyjeś uczucia uważana jest za a) pretensjonalną, b) męczącą. Prawda była jednak taka, że po prostu nie chciałam dalej mówić, szczególnie w męskiej obecności. Przecież chudy Szkot wciąż tkwił między nami.

- Było cudownie - powiedziałam. - Było pięknie. - I naprawdę tak było. Nie wiedziałam, jak jeszcze mogłabym to opisać. Ciągłe nie wiem. W taksówce odwrócił się do mnie i utkwiał we mnie spojrzenie, i w tamtej chwili poczułam z całą pewnością, że jestem jedyną kobietą na świecie. I oczywiście znamy się od wieków. Od niepamiętnych czasów...

- Sześć? - spytała Martha.

- Co sześć? - nie zrozumiałam.

Okazało się, że chodzi jej o „seks”. Martha pochodzi z Nowej Zelandii. Spojrzałam na Del. Zawsze zakładała, że my - on i ja - rzeczywiście to zrobiliśmy, a ja nigdy tego nie prostowałam.

- W gruncie rzeczy - powiedziałam - prawda jest taka, żeśmy tego nie zrobili. - Della wrzasnęła z oburzeniem. - Nie znaleźliśmy się przecież - dodałam. - Dopiero co żeśmy się spotkali.

- Ale my to lubimy - przypomniała mi zdecydowanie Della. - Pierwszy raz jest zawsze najlepszy. Wszyscy mówią, że z czasem seks jest coraz lepszy, ale wszyscy wiedzą, że jest coraz gorszy, bo w pierwszych paru miesiącach osiąga szczyt, a potem często kurczy się do zera. Bywa że przed upływem roku - dodała z autorytetem raportu rządowego opartego na dokładnych badaniach.

- No, nie wiem - wahałam się, wkładając w to słowo sporo pełnego wyższości sceptycyzmu. - Z Edem...

- O rany - powiedziała. Opadła na oparcie i zamknęła oczy: nie chciała dalej słuchać.

- Skoro musisz sypiać z Facetami z Furgonetek... - zaczęła Jennie.

- Ha! - wykrzyknęłam. Bo to prawda. Della najbardziej ze wszystkiego lubi Facetów z Furgonetek. Absolutnie nie przeszkadza jej wystający brzuch, wytatuowane bicepsy, szeroki tyłek i tak dalej. Mówiłam jej, że chyba musiała mieć toksyczne dzieciństwo, skoro lubi taką ostrą jazdę, ale zaprzecza. Twierdzi, że wychowywała się z rasowymi szczeniakami i francuskimi ciasteczkami do herbaty. Choć Bóg jeden wie, jak zmieścili rasowe szczeniaki w tym kwaterunkowym mieszkanku w Beckenham.

Ale to nie jest normalne, naprawdę nie jest. Szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, jaka ona jest cholernie piękna - jest coś takiego w wyglądzie Delii, że „cholernie” przychodzi do głowy tuż przed „piękna”. Wyobraźcie sobie, że macie przyjaciółkę, która wygląda jak cholerna modelka. Rozumiecie? Znowu to mówię. Ale poważnie.

Niedawno kazano komputerowi, żeby stworzył doskonałą twarz kobietą - to znaczy taką, która najbardziej podoba się mężczyznom, w sensie antropologicznym. Nie mam bladego pojęcia, jak komputery wypracowują te rzeczy, ale w każdym razie ta twarz była we wszystkich gazetach i to była wykapana Della. Przysięgam. Kiedy kupiłam „Evening Standard”, myślałam, że to ona. Podejrzewałam, że w końcu uległa którejś z tych ważniaczek, polujących na nowe ciała dla agencji modelek. Często nas napastowały - to znaczy ją - na King's Road.

W limuzynie Della siedziała z zamkniętymi oczami i czekała, kiedy się zamkniemy. Ja też zamknęłam oczy. I przeżyłam jedną z tych chwil, w których czułam jego obecność. Zawsze był ze mną, jak milczący świadek mego życia. Wszystko przechodziło przez niego, albo wokół niego, albo nad nim. Czasami jego obecność była jednak bardziej namacalna. Czasami moje ciało przebiegało poczucie, że on tu jest - Miłość Mojego Życia.

- Nie wiem, jak to przeżyję - powiedział wtedy - ale dziś w nocy nie będziemy się pieprzyć.

Z jakiegoś powodu to zdanie utwierdziło mnie w przekonaniu, że to miłość.

- Okay - powiedziałam.

- Okay? - spytał. - Nie chcesz mnie? - szepnął.

A ja go chciałam tak bardzo, że aż mi było niedobrze.

Patrzyliśmy na siebie, siedząc na podłodze między stosami starych filiżanek po kawie i pełnymi po brzegi popielniczkami, w mieszkaniu, które dzieliłam z Delią, i próbowaliśmy się ogrzać od ognia, który rozpałałam na kominku. W końcu doszłam do siebie na tyle, że odpowiedziałam:

- W tej chwili - ty - możesz robić cokolwiek, co tylko chcesz. Wszystko. Łącznie z nierobieniem niczego.

Uśmiechnął się.

- Mam jutro samolot - powiedział. - Chętnie bym nie leciał, ale mam spotkanie z Universal, a to dla mnie szansa. Nie chcę się po prostu pieprzyć i zaraz potem wyjeżdżać.

- I co zrobimy? - spytałam. Mając na myśli resztę naszego życia.

- Zagrajmy w grę - odpowiedział. Mając na myśli resztę nocy.

Moje myśli pobiegły do leżącego w szafie wysłużonego zestawu Monopoly, bo była to jedyna gra, jaką posiadałyśmy. Natychmiast przypominałam sobie, jak się czuję, gdy ląduję na Park Lane, na której ktoś ma już pięć hoteli - zawsze wtedy mam wrażenie, że jestem w pułapce, wściekła i prześladowana, i w jakiś irracjonalny sposób podejrzewam, że tylko na to zasłużyłam sobie w życiu, równocześnie zaś muszę udawać, że wcale się tym nie przejmuję.

- Jaka grę? - spytałam nerwowo.

- Trzymaj mnie za rękę - powiedział, rozsiadając się na kanapie. I wyciągnął do mnie dłoń. Ujęłam ją.

Naprawdę nie mogłam zrozumieć, jak trzymanie kogoś za rękę może być aż takie. Jak to uczucie po długim i ciężkim dniu - to uczucie pod koniec jednego z tych dni, kiedy w autobusie nie ma wolnych miejsc, w supermarkecie oczy aż wyłażą ci z orbit, więc w końcu brniesz do domu obciążona jak jakiś juczny koń, i wtedy zaczyna zacinać deszcz, akurat z tej strony, z której twój płaszcz rozchyła się przy szyi, a tobie się wydaje, że znalazłaś się w szkole przeżycia połączonej z konkursem podnoszenia

ciężarów, a potem docierasz do domu, włączasz muzykę, zapalasz świece i w koń-

OU, W końcu zagłębiasz się w wannę pełną gorącej wody, a całe twoje ciało mruczy „mmmm”. No więc trzymanie go za rękę było właśnie takie. To znaczy jak ta część z „mmmm”, a nie cały długi ciężki dzień - chyba że uznamy, że tym długim ciężkim dniem było moje dotychczasowe życie miłosne.

Zresztą, jak się zastanowić, to chyba od bardzo dawna nie trzymałam się za rękę z żadnym mężczyzną. To znaczy, tak na początku. Oczywiście trzymałam się za rękę z mężczyzną, ale zwykle dopiero wtedy, gdy spaliśmy już z sobą ze sto razy i przećwiczyliśmy chyba wszystkie pozycje z Kamasutry, i doszli do tego etapu, kiedy zaczynam dopuszczać myśl, że być może będzie z tego coś trwalszego, ponieważ on w końcu został na śniadanie, i wtedy idziemy do kina i w końcu, w końcu - ta przerażająca czułość trzymania się za rękę.

Ale to nie było takie zwykłe trzymanie się za rękę. Trzymaliśmy się za rękę przez godzinę. Godzinę. Najpierw nie mogłam mówić. Musiałam sobie przypominać, żeby oddychać. A mówiąc o elektryczności - czułam się, jakbym wsadziła palce w sieć ogólnokrajową.

- I co z tą grą? - spytałam.

- To właśnie to.

- Dobra ta gra.

- Opowiedz mi o sobie - powiedział.

Więc opowiedziałam. Opowiedziałam o moich rodzicach, którzy w latach siedemdziesiątych byli hippisami, ale nie takimi cool, tylko takimi przeżytkami z lat sześćdziesiątych. Uczyli w szkole i nosili birkenstocki (nie muszę dodawać, że zanim stały się modne), o których nasi koledzy w szkole mówili „Jezusowe buty”. Znali buty moich rodziców, bo moja siostra i ja chodziliśmy do tej szkoły, w której oni uczyli.

Opowiedziałam mu, że w domu całkiem lubiłam moich rodziców, ale w szkole stale się ich wstydziłam i wielokrotnie wykorzystywałam liczne okazje, żeby ich zdradzić. Opowiedziałam mu, że rodzice nazwali mnie Honeymoon*, bo wtedy właśnie zostałam poczęta.

* Honeymoon (ang.) - miesiąc miodowy.

* Venice (ang.) - Wenecja (przyp. tłum.).

A moją siostrę nazwali Venice,* bo tam właśnie... możecie sobie dośpiewać resztę. Skróciłyśmy te imiona do Honey i Ven, bo z tym mogliśmy jakoś żyć.

Potem mu opowiedziałam, jak musiałyśmy z nimi jeździć kempingowym samochodem na różne wyprawy, czasem po Krainie Jezior, ale czasem gdzieś w australijskim buszu. I choć nie da się zaprzeczyć, że otoczenie bywało niesamowite, to jednak nienawidziłyśmy takich wakacji, uważając je za nudne. Przede wszystkim cierpiałyśmy z powodu bolesnego braku telewizji. Więc wcale nie byłyśmy nieszczęśliwe, kiedy zachorowałyśmy na ospę wietrzną i rodzice postanowili jechać do Peru bez nas. Przyjaciółka mamy, Teresa, którą kochałyśmy i która mieszkała obok, powiedziała, że nas przechowa, bo jej dzieci też mają wietrzną ospę, a Teresa potrafiła poradzić sobie ze wszystkim i jeszcze robiła z tego niezłą zabawę. Na przykład gdy byliśmy grzeczni - ale także wtedy gdy nie byliśmy - stawała na rękach przy ścianie, by nas rozśmieszyć - szczególnie wtedy, jak pamiętam, kiedy byliśmy przerażeni jak nie wiem co, po obejrzeniu w telewizji „Doctora Who”.

Potem mu opowiedziałam, jak pewnego dnia Teresa przyszła po nas na plac zabaw i zabrała nas do domu. Zapamiętałam ten spacer, bo był to bardzo piękny wiosenny dzień, drzewa kwitły na różowo, żonkile chwiały się na wietrze na żółto, a powietrze było ciepłe i pachnące, i pełne nadziei, a ona trzymała nas za ręce i dała nam Maltesers, które wybuchały nam w ustach słodyczą, i wydawało nam się, że wszyscy wokoło się kochają. A gdy doszłyśmy do domu owinęła nas kocami, choć było ciepło, i przytuliła mocno, i powiedziała, że mama i tata lecieli samolotem, który rozbił się w dżungli i że już nigdy nie wrócą. Że tak naprawdę to umarli.

Ja miałam wtedy dwanaście lat, a Ven sześć.

Kiedy mu to opowiedziałam, Alex - bo tak miał na imię - nic nie powiedział. Patrzył tylko na mnie i trzymał mnie za rękę. A potem delikatnie, ale stanowczo obrócił mnie na kanapie, tak że siedziałam do niego plecami, a on się odchylił do tyłu i pociągnął mnie za sobą, i w ten sposób był tuż za mną, obejmując mnie i trzymając w ramionach. Mocno. Akurat tak, jak trzeba.

- Czy wstrzymujesz oddech? - spytał zaniepokojony.

- Och, rzeczywiście - odrzekłam. - Dzięki, że mi przypomniałeś.

- Nigdzie się nie śpieszę - powiedział, odczytując moje myśli.

Więc wdychałam i wydychałam powietrze, pozwalając, żeby chwile trwały i mijały, a one nie mijały ani za szybko, ani za wolno, no i jak sam powiedział, nigdzie się nie śpieszył. Siedzieliśmy tak, czy ja wiem, może z godzinę. Po prostu będąc razem. Trzymając się, będąc - i oddychając.

- Czy wciąż gramy? - spytałam.

- Tak.

- To dobra gra. - Opowiedz mi o sobie.

Powiedział mi, że wychowywał się w rodzinie z marginesu w Alabamie, ale pozbył się południowego akcentu i nauczył mówić standardowym amerykańskim, więc teraz nikt nie był w stanie rozpoznać, skąd pochodzi. Powiedział, że jego tata był świętym człowiekiem, kaznodzieją, który porzucił matkę Alexa wkrótce po jego urodzeniu i pierdolił się z każdą kobietą, jaką udało mu się dopaść, łącznie z kilkoma dziewczynami Alexa, aż w końcu umarł młodo z powodu zatrucia alkoholem.

Gdy Alex miał piętnaście lat, matka dała mu dziesięć dolców i kazała radzić sobie samemu. Pracował i studiował, i na uczelni wpadł na pomysł podnajmowania tanich linii telefonicznych i odnajmowania ich dalej z zyskiem. Kiedy miał dwadzieścia lat, prowadził własną firmę telekomunikacyjną. Gdy miał dwadzieścia dwa, wszedł ze swoją firmą na giełdę. Gdy miał dwadzieścia trzy, polityka międzynarodowa i nakazy rynku wysadziły go z siodła i znów znalazł się na ulicy, tylko że tym razem miał w kieszeni dziesięć milionów dolców.

Więc pojechał do Hollywood i napisał scenariusz. Zdarza się. Scenariusz przeczytano z uprzejmym zainteresowaniem, ale nie zrealizowano. Więc założył własną firmę i teraz produkuje reklamy, mając nadzieję, że kiedyś uda mu się produkować filmy fabularne, i prowadząc egzystencję „jak z bajki” hollywoodzkiego aspiranta.

- Nie wiedziałam, że wymieniamy życiorysy - powiedziałam.

- Taka jest moja historia.

- A co z twoją mamą? - spytałam. - To znaczy, co czujesz? Musiałeś być strasznie samotny.

- Sam nie wiem.

- Ale to musi być super tak się wzbogacić - dodałam. Zapadła chwila ciszy.

- A teraz gra się robi naprawdę ekstra - powiedział. I przechylił nas tak, że stoczyliśmy się na dywanik przed kominkiem i nasze ciała instynktownie przywarły do siebie z głębokim zadowoleniem, od czubka głowy po czubki

palców. Nie całowaliśmy się, ale nasze nosy się stykały, a ja pogłaskałam go po policzku. Po prostu kocham te twarde męskie policzki, ten mięsień, idący od kości policzkowych do brody. Kobiety tego nie mają. Nigdy nie spotkałam kobiety, której policzki w najmniejszej mierze zachęcałyby mnie do głaskania. Alex miał dobre, twarde policzki.

Zawsze twierdziłam, że nie myślę o mężczyznach jako o obiektach seksualnych. I naprawdę tak było. Ale teraz czuję, że powoli to się zmienia. Chyba chodzi o to, że kiedy byłam młoda, mój ulubiony typ bladych, wychudzonych wiecznych chłopców nie nadawał się na takie obiekty. Przypominali wiotkie kromki tostowego chleba. W miarę jak wyrabiał mi się gust, zaczęłam preferować porządne bochenki chleba wieloziarnistego. Pewnie dorastałam do własnej seksualności. Im bardziej stawałam się kobietą, tym bardziej pozwalałam mężczyznom, żeby stawali się mężczyznami. Łapiecie, o co mi chodzi? A teraz to w ogóle nie mam nic przeciwko solidnie zbudowanym gościom. Może to starość. A może zrobiono mi pranie mózgu za pośrednictwem tych wszystkich lubieżnych reklamówek, w których zadbanym kobietom sukcesu aż ślinka cieknie na widok spoconego torsu robotnika.

Zostaliśmy tak, nos przy nosie, co najmniej godzinę. Nie patrzyłam na zegarek, ale zgadując po braku odgłosów ruchu z ulicy, musiała być chyba jakaś czwarta nad ranem.

- Pocałuj mnie - powiedział. A te słowa były jak pierwszy łyk brandy, palący mój przętyk i ciało aż do brzucha. Ale nie pocałowałam go. Nie zdawałam sobie także sprawy, że się odsuwam, aż dopiero kiedy poczułam między nami powiew powietrza. Cofnęłam się zaledwie dwa centymetry, ale w tych warunkach dwa centymetry były jak kilometr.

- Dlaczego ja? - spytałam. Spojrzał nie rozumiejącym wzrokiem, więc dodałam: - To znaczy, czy często robisz takie rzeczy?

- Podrywam nieznanym dziewczyny? - odpowiedział całkiem naturalnie. - Nie, nie robię tego często. - I oczywiście mu uwierzyłam.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Nie wiem - odrzekł. Na chwilę pograżyliśmy się w swoich myślach.

- Wiesz, wtedy kiedy poszedłeś do kibla w restauracji?

- Do „kibla”?

- Do „toalety”.

- No - powiedział.

Spojrzałam na niego i nagle zabrakło mi odwagi, żeby mówić dalej.

- Poszłaś za mną.

- Skąd wiesz?

- Bo miałaś za mną pójść.

- A dlaczego nic nie powiedziałeś? - spytałam. - A co, gdybym nie wyszła za tobą z restauracji? Co byś wtedy zrobił?

- Wiedziałem, że wyjdiesz.

- A gdybym jednak nie wyszła? Chwila milczenia.

- Nie wiesz, jak mieć nadzieję? - spytał.

Znowu chwila milczenia. Nie zauważyliśmy nawet, kiedy skończyła się płyta, na ulicy za oknami panowała cisza. Nie mogłam się ruszyć, nie mogłam mrugnąć, nic.

- Słyszałem o miłości ód pierwszego wejrzenia - powiedział. - Słyszałem o tym.

Znowu milczenie. A potem się roześmiał.

- Co? - spytałam.

- Znowu wstrzymujesz oddech. Też się roześmiałam, oddychając, a on powiedział: - Za dużo myślisz. - Spojrzałam na niego, a on dotknął palcem mojej skroni. - Wszystko się tam kłębi, nie? - przyciągnął mnie z powrotem do siebie, likwidując szczelinę.

Znowu powiedział, że bym go pocałowała, więc delikatnie potarłam czubkiem nosa jego czubek nosa.

- Eskimoski pocałunek. - Być może Eskimosi to chłodne typy, ale wiedzą to i owo o całowaniu. A potem nasze wargi się spotkały i pocałowaliśmy się jak należy. Bo to jednak zrobiliśmy. I czułam, jak gdzieś we mnie w środku wybucha ciepłe źródło i bąbelkując, zmienia się w ciepłą rzekę, płynie przeze mnie i porywa mnie ze sobą, aż w końcu zakręciło mi się w głowie i o mało jej nie straciłam.

Nie byłoby to takie złe. Widzicie, czasem uważam, że głowa to coś, bez czego mogę się obejść.

- No i co? I co? Po prostu wrócił do Los Angeles? - wrzasnęła Jennie, porządnie już wstawiona, wyrywając mnie z marzeń.

Podaliśmy im skróconą wersję tego, co wyżej. Della zajmowała się podkreśnianiem i opuszczaniem okien limuzyny. Chyba nie rozmawiała ze mną, obrażona za to nie-pieprzenie się.

- No, zjedliśmy razem śniadanie - powiedziałam.

- Najbardziej seksowny posiłek! - krzyknęły, trochę się ożywiając.

- No, w pewnym sensie. Zawiozłam go do blondynki - okazało się, że jest szczęśliwą żoną kogoś innego - skąd zabrał swoje bagaże, a potem pojechaliśmy na Heathrow i zjedliśmy tam śniadanie w jednej z tych knajpek na lotnisku.

- Och - jęknęły z rozczarowaniem.

- Nie, naprawdę było niesamowicie. Tak romantycznie -nie wiedziałam, jak to wyjaśnić - to było tak, jakbyśmy nałożyli specjalne okulary i wszystko, co zwykle jest przygnębiające, w złym guście i głośnie, stało się śmieszne, dowcipne i ładne. Rany, ale nam było dobrze.

- Ale on odlatywał! - piszczały. - Nie płakałaś?

No, tak naprawdę to ja się przez całe śniadanie śmiałam. On udawał, że nie poleci i opowiadał mi głupie historie o ludziach, których zdrapywano ze ścian w poczekalniach na lotniskach i siłą zanoszono do samolotu, i o tym, że każdy, kto zgłasza się do kontroli paszportowej na pierwsze wezwanie, jest głupi jak but, a ten, kto na drugie wezwanie to napaleniec, a ten, który na trzecie... Ale wtedy właśnie wywołali go po nazwisku, a to, mimo całej brawury, jakoś go podłamało. I w końcu truchtem rzuciliśmy się do Odłotów, a ja nie płakałam, bo byłam dogłębnie przekonana, że lada chwila zobaczymy się ponownie. Po prostu nie wydawało mi się możliwe, żeby mnie teraz opuścił. Nie tak naprawdę. No tak, będzie po drugiej stronie oceanu, ale skorośmy się odnaleźli, to będziemy już ze sobą na zawsze. Na zawsze.

Na zawsze.

Rozdział trzeci

To nie do wiary, ale wciąż jeszcze jeździłyśmy tą cholerną limuzyną. W środku zaczynało być nieco za ciasno, a my czułyśmy się nieco zmęczone. Powietrze stanowiło uderzający do głowy koktajl dymu z papierosów, „Eternity”, potu i jakiegoś chemicznego środka, którym się czyści obicia. Nie mówią tego, kiedy się wynajmuje limuzynę. Nie mówią, że czuć ją tak jak szkolny korytarz w poniedziałkowy poranek. Zapewne muszą stosować środki dezynfekcyjne z powodu tych różnych niewymownych rzeczy, które ludzie robią na siedzeniach.

- Nigdy go więcej nie spotkałam. - Trochę tu śmierdzi - powiedziałam.

- Powiedzmy kierowcy, żeby nas zawiózł do nocnego klubu - syknęła Della. - Już czas.

- Tu jest interkom - zauważyła Jennie. Della nacisnęła guzik i wrzasnęła:

- Zatrzymać samochód!

- Nie musisz tego robić - uspokoiłam ją, bo myślałam, że doprowadziłam ją do granic wytrzymałości, więc chce nas opuścić.

Ale ona tylko oświadczyła, że teraz chce jechać z kierowcą.

- Tu jest za dużo jin i nie dosyć jang - powiedziała. Co racja, to racja.

Limuzyna zatrzymała się.

- To pewnie trochę potrwa - oznajmiłam i tak rzeczywiście było, bo nie ujrzałyśmy jej przez dość długi czas. Wsiadła z przodu, ale nie widziałyśmy jej, bo szyba oddzielająca kierowcę była mocno matowa.

- Ale jak to możliwe, że straciliście kontakt? - spytała Trish. - No wiesz, jak mogłaś do tego dopuścić? Miłość Twojego Życia!

- Nie wiem. Bo naprawdę nie wiem, nigdy tego nie zrozumiałam. - Może nastąpiło jakieś nieporozumienie - powiedziałam mętnie.

- O czym ty mówisz? - spytały. - Co się stało?

- No. Nic. - Chwila ciszy. - To znaczy naprawdę nic. Nic się nie stało. Nigdy więcej się ze mną nie skontaktował.

I to, niestety, było okropną, najokropniejszą prawdą. Gdy ostatni raz pocałował mnie na do widzenia, spytał, czy mam e-mail.

- Nie! - obruszyłam się. Ostatecznie mógł się sam zorientować po stanie mieszkania mojego i Delii. Już i tak dobrze, że miałyśmy w mieszkaniu kibel. Powiedział, że w takim razie będą to zaloty tradycyjne. Listy.

- Listy miłosne - powiedział, ale z pewną ironią, więc nie wiedziałam, czy mówi serio, czy nie. Chyba nawet wtedy, siedem lat temu, nie wypadało

serio mówić niczego romantycznego. A teraz romantyzm bez ironii to niemal występki. To chyba przez postmodernizm. Jak postmodernistyczne budowle, przestronne i higieniczne, spełniające wszelkie znane standardy bezpieczeństwa, ale zwracające się ku przeszłości, tyle że bez uczucia. Postmodernistyczny romans jest tak samo przestronny i higieniczny, ale zwracający się ku przeszłości, tyle że bez uczucia.

Zawsze się o to kłóczę z Edem, moim przyszłym. Nie uwierzycie, ale on wierzy w romantyczność bez ironii, a ponieważ to Ed, to i postępuje zgodnie ze swoim przekonaniem. On po prostu gwizdże na ludzką opinię w tej sprawie, kupuje róże (czerwone!), mówi „kocham cię” i tak dalej. Zaczynam się już do tego przyzwyczajać, ale rozumiecie chyba, że początkowo wydawało mi się, że coś z nim jest nie w porządku.

- Był strajk poczty - powiedziałam moim słuchaczom w limuzynie i wybuchnęłam niepowstrzymanym śmiechem. Della i ja zawsze wybuchamy niepowstrzymanym śmiechem, gdy mówię „był strajk poczty”. To tradycja. Tak samo jak „był wypadek autobusowy”. Tak się zwykle mówi, gdy się spóźniasz do pracy. Wszelkie upokorzenie ze strony mężczyzny - „strajk poczty”. Śmiejemy się, ponieważ wśród wszystkich usprawiedliwień, wymyślanych przez kobiety, które od początku świata zawiodły się na mężczyznach - a wiercie mi, że niektóre usprawiedliwienia są naprawdę znakomite, wymyślne, oparte na psychoanalizie, Wenus i Marsie, obszerne i długie - mój „strajk poczty” jest najbardziej kulawy i żałosny. Dorównuje niemal przysłowiowemu psu, który zjadł przysłowiowe wypracowanie.

Usprawiedliwienie brzmi tak. W czasie gdy poznałam Alexa, był strajk poczty. Dotknął on także mój okręg pocztowy. Nie całą pocztę, ale część. Zebrało się tyle niedostarczonej poczty, że jak wieść niesie, całe worki z listami wywożono gdzieś na przedmieścia Londynu i palono. Tyle że nikomu z moich znajomych nie zaginęły żadne listy. Wszyscy dostali rachunki za elektryczność. Ci, co mieli dostać odmowne odpowiedzi, dostali je.

Mój list miłosny nigdy do mnie nie dotarł.

- Ale Honey - Honey - powiedziała cierpliwie Trish - dlaczego do niego nie zadzwoniłaś?

- Zadzwoniłam. - Zadzwoniłam, odezwała się automatyczna sekretarka i taki słodziutki amerykański głosik powiedział, że „nie możemy” podejść do telefonu, ale „jeśli zechcecie zostawić nam wiadomość, to natychmiast oddzwonimy”. Z akcentem na „my”.

- To nic nie znaczy - stwierdziła Trish. - Wynajmują razem mieszkanie.

- Nie, nie, nie - powiedziałam.

Wiedziała. Wiecie, jak to jest - po prostu się wie. Ja wiedziała.

- Była blondynką i miała szczuplusienkie uda, od stopy do kolana ze czterdzieści metrów, zadarty nos, nigdy nie musiała nosić makijażu ani stanika.

- Skąd, do diabła, to wiesz? - spytała Jennie.

- Słyszałam to w jej głosie - warknęłam. - Tak czy inaczej - dodałam - nigdy do mnie nie zadzwonił.

- Ale może napisał do ciebie i myślał, że mu nie odpisałaś. Może w tym liście miłosnym napisał „zadzwoń do mnie”, a ty nie zadzwoniłaś. Może przysłał ci bilet lotniczy do Los Angeles.

Spojrzałam na Jennie, ciekawa, czy poważnie sądzi, że to wszystko nie przychodziło mi do głowy. Może całymi wiekami wystawał przy bramce przylotów, wśród szoferów, którzy podpierali ściany jak panny na balu, trzymając w rękach karneciki, przeczesując wzrokiem tłum w poszukiwaniu właściwej twarzy. Może stał i czekał, aż w końcu tłum przewalający się przez bramkę był już tylko żalonym, małym strumyczkiem, wszyscy szoferzy znaleźli swoje pary, a on wciąż jeszcze czekał, aż nie przeszli także i kurierzy narkotykowi poddani rewizji osobistej...

- Jennie - powiedziałam - zamknij się. Pogarszasz tylko sprawę. Gdyby wysłał mi bilet, to by zadzwonił.

- Ale to głupie - ktoś powiedział. - Powinnaś była zadzwonić ponownie.

- Nie mogłam - wyszeptałam, chcąc uciąć ten temat. Nie chciałam im opowiadać o tym tkwiącym głęboko w moim brzuchu przeświadczeniu, że nigdy więcej go nie zobaczę. O tym znanym uczuciu, które mówi „och, tak, teraz pamiętam, jak to jest. Zachowują się, jakby cię kochali, ale tak nie jest. Wyjeżdżają i nigdy nie wracają. I po jaką cholere miałabyś do nich dzwonić, skoro i tak nie wracają? Bo nigdy nie wracają. I tak toczy się świat. Zawsze się tak toczył. Zawsze będzie się tak toczyć. Koniec tematu”.

- Koniec tematu - powiedziałam głośno i zdecydowanie, mając nadzieję, że zrozumieją.

Nie zrozumiały.

- Uważam, że to tragiczne - zauważyła Jennie. - Tragiczne tak jak „Romeo i Julii”.

- To nie to samo? - powiedziała Martha i chyba nie było to pytanie, ale ponieważ pochodzi z antypodów, to wszystko tak brzmi.

- Właśnie że tak, to samo. Spięcie na łączach, niewłaściwe połączenie - dodała Jennie.

- To jak kiedy Romeo nie dostaje listu, w którym napisano, że Julia wcale naprawdę nie umarła - powiedziała Trish.

- Mnie chodziło o to, kiedy przywożą przesyłkę poleconą, a Leonardo jest zbyt pogrążony w ponurych myślach, żeby zauważyć furgonetkę - powiedziała Jennie.

Oczywiście chciałabym przypisać utratę Miłości Mojego Życia spięciu na łączach - chciałabym, naprawdę. Ale w głębi serca wiedziałam, że wyjaśnienie jest znacznie głębiej ukryte. Głęboko, głęboko w duszy, tam, gdzie naprawdę króluje szczerłość, wiedziałam, że to wszystko dlatego, że nie jestem DOSYĆ szczupła ani DOSYĆ ładna.

To ostatnie zdanie powiedziałam na głos i natychmiast tego pożałowałam, bo spotkał mnie chórek „oczywiście, że jesteś!”, „Jesteś szczupła, jesteś śliczna”, co absolutnie nic nie znaczy dla Bestii Dosyciowej. Chciałabym jednak, żeby to było jasne - żebyście nie cisnęli tą książką z obrzydzeniem - że według normalnie przyjętych wzorców nie jestem ani gruba, ani brzydka. Oczywiście, że nie jestem. Nie o to chodzi. Chodzi o to - nie DOSYĆ.

- To zależy, nie? - powiedziałam, a może powiedziała to Bestia Dosyciowa? - Zależy, co się rozumie przez szczupła.

Co mi przypomniało, jak kiedyś odpowiedziałam poczcie głosowej samotnych serc, ponieważ nudziłam się w jakąś niedzielę, a spodobał mi się głos tego faceta. Poszukiwał „szczupłej dwudziestoparolatki”, a nagrany głos poprosił, żebym opisała swój wygląd, więc powiedziałam, że jestem szczupła. I nagle poczułam się bardzo niepewnie. No bo co to właściwie znaczy „szczupła”? Czy muszę być jak Kate Moss*, czy wystarczy jak Jennifer Aniston*? Więc dodałam: „No, uważam, że jestem szczupła”, i natychmiast zrozumiałam, że uzna mnie za jedną z tych dziewczyn, które z trudem wciskają się w rozmiar czterdzieści dwa i mówią, że „to naturalne, że się ma okrągłości”. Więc dodałam, że noszę rozmiar trzydzieści sześć. A potem uczciwość kazała mi dodać, że choć w większości sklepów potrzebuję rozmiaru trzydzieści sześć, to w takich bardziej designerskich butikach - nie żadne haute couture ani nic takiego, ale szczebel wyżej od tych zwykłych - kupuję rozmiar trzydzieści osiem. A w jednym francuskim designerskim butiku, którego nazwa niech ulegnie zapomnieniu, musiałam mierzyć rozmiar czterdzieści. Ale - wyjaśniłam temu grubemu faszystowskiemu samotnemu sercu na drugim końcu linii - rozmiary bywają różne, i po dziś

dzień uważam, że tamte akurat spodnie były zdecydowanie za małe jak na swój rozmiar.

* Kate Moss - angielska top-modelka, która wylansowała na wybiegach anorektyczno-kokainowy ideał „urody”

* Jennifer Aniston - gwiazdka serialu NBC „Przyjaciele”.

- Oddzwonił? - spytała Jennie.

- Jasne, że nie - parsknęła pogardliwie Trish.

- Pewnie były zakłócenia na linii - powiedziałam sarkastycznie, bo moim zdaniem najważniejszym kawałkiem w „Romeo i Julii” nie jest ten, gdy nie docierają do nich właściwe informacje. Moim zdaniem najważniejszy jest ten kawałek, kiedy Julia budzi się koło Romea i stwierdza, że jest martwy.

- Nie znacie tego uczucia? - spytałam. - Tego uczucia, kiedy budzicie się koło kochanka i stwierdzacie, że jest martwy? - Popatrzyły na mnie. - Mówię w przenośni.

To następuje zazwyczaj gdzieś w szóstym tygodniu związku. U większości ludzi to jest pewnie w szóstym roku, ale w moim przypadku to sześć tygodni. I dzieje się tak. Jest niedzielny poranek, słońce wlewa się przez wszystkie okna. Leżysz spleciona z nim w pościeli, seksowna i potargana, otoczona miłosną bańką mydlaną. On śpi. Ty się budzisz powoli i twój rozmarzony wzrok pada na jego adidas, stojące niewinnie przy łóżku.

I to wystarczy. Bańka pęka. Puste buty wytrącają mnie z równowagi. Mają w sobie to coś, co budzi dreszcz, jak stopa odbita na piasku, ale są smutniejsze - smutny ślad mijającego życia. Powinam dodać, że nie wszystkie buty tak na mnie działają. Nie czuję tego na przykład na widok butów mojej siostry, leżących na podłodze jej sypialni, ani butów w sklepach. Zdecydowanie jednak odnosi się to do butów mężczyzny, z którym jestem związana, i - co jeszcze dziwniejsze - do moich własnych butów w jego oczach. Gdy ma przyjść mój chłopak, potwornie się boję, że zobaczy jakieś moje buty bez moich stóp w środku. A ponieważ oczywiście nie mogę nosić równocześnie wszystkich, muszę chować nadmiar w szafie.

Więc w każdym razie, jak tak sobie leżę i patrzę na te wielkie adidas, to nagle do mnie dociera, że ten mężczyzna w moim łóżku, ten Adonis, ten wspaniały przykład męskości, to urzeczywistnione marzenie - nie jest nikim takim. Ma stopy. Ma adidas. A kiedy jego adidas są puste, stoją tam nieubłagane, zachowując wspomnienie jego stóp, promieniując naprawdę niepokojącą bezbronnością, I jest w tym wszystkim coś, co sprawia, że z

absolutną pewnością zdaję sobie sprawę, że on jest - o rany - on jest.. jest istotą ludzką.

- Rozumiecie - powiedziałam - Romeo i Julia o tym wszystkim mówią. Czujesz namiętność, wydaje ci się, że jest prawdziwa, a potem miłosa bańka pęka i zostajesz z popiołem. To tak, jakby się obudzić i stwierdzić, że facet umarł. Umarł bezpowrotnie. Cała sprawa była tylko wymyśloną historią, o czym świadczą puste adidas. I nie możesz nawet zrzucić na niego winy za tę klęskę, bo kto to wszystko wymyślił? Ty sama!

- A co z Edem? Ty idiotko! - wrzasnęła Trish, nie posiadając się ze złości.
- Wychodzisz za niego za męż!

Miała rację.

- Przy Edzie też mi pękła miłosa bańka - powiedziałam obronnym tonem.

- No i? - zapytała któraś. Czekają na moją odpowiedź.

- Nie mogłam się go pozbyć - wyjaśniłam. - Ed to Ed - po prostu stale wracał. Jak jakaś wysypka czy co.

Jennie powiedziała, że musi dać mi numer telefonu do swego psychoterapeuty, tyle że zdążyła powiedzieć tylko połowę słowa psychoterapeuta, ponieważ w tym momencie limuzyna gwałtownie szarpnęła, opony zapiszczały, a potem dość mocno w coś uderzyliśmy. Wylądowaliśmy na podłodze, kupa splątanych nóg i ubrań ze sztucznych tworzyw. Miałam szczęście: spadłam na Marthę, która stosowała dietę dżemowo-pączkową Baby Spice*, więc miałam miękkie lądowanie.

* **Baby Spice (Emma Burton) - jedna z pięciu „Spice Girls” tworzących znaną angielską grupę muzyczną.**

Wyplątałam się. Chyba wszyscy byliśmy żywi. Nic nie widziałam przez zaciemnione okna limuzyny, więc wysiadłam. Staliśmy na jednej z tych szerokich ulic w mieszkalnej części zachodniego Londynu. Drzewa kwitły i wydawały się całkiem białe na tle nocnego nieba. Limuzyna, która uderzyła w jedno z tych drzew, została dosłownie obsypana białymi płatkami. Było w tym coś bardzo ślubnego. Ślubnego -dziewiczego.

Nie, nie dziewiczego. Nie, ponieważ z przedniego siedzenia pasażera wydostała się Della, poprawiając ubranie.

- Kurwa mać - powiedziała.

- Zgadzam się z tobą.

- Kurwa mać - powtórzyła.

- To nie pora na żarty.

- Bawiliśmy się tylko - powiedziała zdeglustowana, okręcając swoją spódniczkę ze skosu, tak by jak najlepiej opływała jej biodra. A potem wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła na 999.

Podbiegłam do drzwi od strony kierowcy. Szofer opadł ciężko na kierownicę i wyglądał na martwego.

- Żyje - powiedziała Della, pojawiając się z drugiej strony, z komórką przy uchu. - Sprawdziłam mu puls. Po prostu uderzył głową i stracił przytomność. - Della przeszła pełne szkolenie w zakresie pierwszej pomocy u Marksa i Spencera.

Dziewczyny zdążyły już się wyplątać z limuzyny i krążyły wokół jak gromada jaskółek spłoszona z przewodu telefonicznego, który nazywały domem. Gdy zobaczyły, co się stało z szoferem, zaczęły piszczeć.

- Uspokójcie się - powiedziała Della. - Uderzył głową w kierownicę. Nic mu nie będzie.

- Ale dlaczego nie miał zapiętego pasa? - spytała Trish.

- Po prostu nie miał - ucięła Della.

- Na litość boską - powiedziałam. Chwilę trwało, zanim do dziewczyn dotarło, ale gdy już dotarło, to wykrzyknęły „Ale ty jesteś!” i gapiły się na Delię, bardzo pod wrażeniem.

- Ale Del, ty miałaś zapięty pas - zauważyła Martha.

- A co ty myślisz, mam łamać przepisy? - obruszyła się Della.

Poszłam sobie i usiadłam na schodkach, podczas kiedy one zajmowały się kierowcą, rozpinając mu kołnierzyk, rozluźniały krawat, zapinały rozporek.

Kilka minut po przyjeździe karetki zobaczyłam biegnącego przez ulicę Eda. Jego ciemne włosy trochę sterczały z przodu do góry, jak zawsze. Próbuje je przytrzymać żelem, ale to nic nie daje. Ed ma dużą twarz, wyraziste rysy, szeroki uśmiech. I nosi okulary, przez co wygląda trochę jak uczeń z kreskówki - ale nie jest brzydki, nie, raczej w typie przystojnego Sprawiedliwego Williama. Przypuszczam, że skojarzył mi się z uczniem, bo miał trochę przekrzywione okulary, a jego marynarka nieporządnie za nim powiewała. Biegł szybko.

- Ale tempo - powiedziałam. Sprawdził, czy nic mi się nie stało, opowiadając równocześnie, że chłopaki zabrali go na wieczór kawalerski do Passion Pałace, jednego z tych nowych nocnych klubów w centrum handlowym - i całe szczęście, że jego komórka miała tam zasięg. Passion Pałace, jak się okazało, było prawdziwą nazwą klubu, o którym mówiłyśmy „Dziewczyny-Dziewczyny-Dziewczyny”, na przykład „Wygląda mi na

faceta, który chadza do Dziewczyn-Dziewczyn-Dziewczyn". Znałyśmy to miejsce stąd, że klub reklamował się migającym neonem „Dziewczyny-Dziewczyny-Dziewczyny" na całą szerokość Westway.

- To klub, w którym tańczą rozebrane panienki - powiedział.

- Fajnie - odrzekłam, zanim zdążył odetchnąć. - Madonna chodzi do takich klubów. Są bardzo modne w Los Angeles.

Wyglądał, jakby mu ulżyło, ale zapadła chwila ciszy, którą z jakiegoś powodu uznałam za okropnie irytującą.

- Opowiedz mi wszystko. Od początku do końca.

- Nie teraz. Czy coś cię boli? Jak szyja? Nie szarpnęło cię zbyt mocno w chwili zderzenia?

- Czy gapiłeś się na biust jakiejś kobiety? - spytałam. Nie musiał odpowiadać, mogłam to wyczytać z jego twarzy. - Nie odpowiadaj - powiedziałam. - Czy miała piękne ciało? - Na to też nie musiał odpowiadać. - Nie odpowiadaj. Czy cię podniecała? Nie odpowiadaj. Jak miała na imię? - spytałam i nie muszę mówić, że nie pozwoliłam mu odpowiedzieć. Reasumując, kiedy w końcu pozwoliłam mu się odezwać, okazało się, że miała na imię Cherry i tańczyła dla niego osiem razy. Osiem razy. Osiem razy!

Ed usiadł koło mnie i objął mnie ramieniem. To typowe, myślałam, nie może mnie zostawić w spokoju nawet przez dziesięć sekund. Ale i tak położyłam mu głowę na ramieniu. Uznałam, że skoro już tu jest, to mogę je wykorzystać. Zaczęłam płakać. Na szczęście Ed nie traktował mojego płaczu bardzo poważnie, uważał, że jestem w szoku pourazowym czy coś w tym rodzaju, ale o ile pamiętam, myślałam, że wypadek samochodowy to najmniejsze z moich zmartwień.

Jak już sobie popłakałam, poczułam się lepiej. Szofer wrócił do życia i zaczął się wyklócać z sanitariuszami z karetki, którzy chcieli go zabrać do szpitala. Dziewczyny dzwoniły po taksówki, poza Jennie, która wisiała na plecach chudego Szkota. To też sposób na dostanie się do domu. Powiedziałam Edowi, żeby wracał lepiej na swoje kawalerskie przyjęcie. Powiedział, że jego kumple sobie poszli, a on chce zabrać mnie do domu. To mnie zdenerwowało.

- Dlaczego? - krzyknęłam.

Przypomniał mi cierpliwie, że zadzwoniłam do niego z wiadomością, że miałam wypadek samochodowy.

- No właśnie - powiedziałam, rzucając się na słaby punkt w jego rozumowaniu. - Powiedziałam ci, że miałam wypadek. Nie powiedziałam, że masz wszystko rzucić i tu gnać. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że miałam wypadek. - Powiedziałam „tu gnać” jakby była to najbardziej godna pogardy czynność na ziemi. Powiedziałam „tu gnać”, jakbym mówiła „dłubać w nosie i wycierać smarki o ścianę”, co podobno było głównym zajęciem „Spice Girls”, zanim stały się sławne. Coś mnie zmuszało, żebym była dla niego po prostu - po prostu okropna. I naprawdę nie mam pojęcia dlaczego.

- Ja to pieprzę - powiedział słusznie, wstał i odszedł. Po kilku krokach odwrócił się i zawrócił. Zawsze to robi.

- Czy chodzi ci o tę tancerkę? - spytał.

- Nie bądź idiotą - wyplułam z siebie.

- Dobra - powiedział. I znowu odszedł. Wstałam.

- Nie będzie żadnego ślubu! - krzyknęłam za nim. Kiedy już było jasne, że tym razem nie wróci, przez chwilę pospacerowałam sobie tu i tam wokół limuzyny, kontynuując w głowie kłótnię w taki sposób, żeby być w niej górą. Przyszła Della. Powiedziałam jej, że nie będzie żadnego ślubu. Siadła na schodku i westchnęła. Dalej chodziłam tam i z powrotem.

Po chwili zaczęła mrużyć pod nosem, a potem śpiewać, po cichutku, ale jednak śpiewać, najpierw się bałam - śpiewała. - Byłam przerażona. Ciągle myślałam, że samotność mnie pokona”.

Spojrzała mi prosto w oczy, jednym z tych spojrzeń, które mówią „nie myśl sobie, że cię nie znam”. Bo znamy się jak łyse konie, Del i ja. Znamy się od tego dnia, gdy w wieku lat trzynastu wykonałyśmy „Jednak to przeżyję” Glorii Gaynor, od początku do końca, osiem zwrotek z refrenem, przed publicznością złożoną z kilkuset uczniów Katolickiej Szkoły dla Chłopców Opactwa Świętego Barnaby. Nie, nie sądźcie, że chodziło o jakieś karaoke czy coś takiego. Ona i ja stałyśmy na chodniku, wyrzucając to z siebie, bez zachęty i bez akompaniamentu. Publiczność - sami chłopcy - wisiła w oknach en masse podczas przerwy śniadaniowej. Można by pomyśleć, że byli zachwyceni, ale jak się okazało, nie stać ich było nawet na to, by okazać swoje uznanie. Musiałyśmy umykać przy akompaniamencie gwizdów, z podkulonymi ogonami.

Później historia ta stała się całkiem znana i zapytano nas, dlaczego to zrobiłyśmy. Potrafiłyśmy odpowiedzieć jedynie, że chciałyśmy, żeby wiedzieli. Chciałyśmy, żeby wiedzieli, że jednak to przeżyjemy.

Rozdział czwarty

Powszechnie znaną prawdą jest to, że zamożna kobieta po trzydziestce musi:

a) chcieć mężczyzny,

b) mieć problem ze znalezieniem jakiegoś. Moim zdaniem jednak problem nie polega na znalezieniu mężczyzny.

Problem polega na konieczności kompromisu. Kobiety nie muszą już iść na kompromis, ponieważ nie potrzebują teraz mężów, którzy dostarczali bekon. Mogą po prostu kupić gotowy posiłek z wątróbki i bekonu w stoisku garmazeryjnym u Marksa i Spencera.

Nawiasem mówiąc, możecie myśleć, że tak ciągle wspomynam M&S, bo skaptowała mnie Della, żebym prowadziła coś w rodzaju tajnej akcji reklamowej, w zamian za co do końca życia będę otrzymywać potrójne paczki pończoch. Tak jednak - jeszcze - nie jest. Moją jedyną obroną jest to, że nie da się napisać 10319 słów na temat współczesnej kobiety, nie wspominając o Marksie i Spencerze. Co więcej, Marks & Spencer mają coś na sumieniu, ponieważ kobiet nie wyzwoliła Gernaine Greer - kobiety wyzwoliła hinduska potrawka z kurczaka na wynos.

Dziwne jest zatem, że - biorąc pod uwagę moje zamiłowanie do curry i oszczędnościowych programów zmywania - znalazłam się z kimś, kto jest nie tylko mężczyzną, ale i mężem, a w każdym razie przyszłym mężem. Ja też jestem zaskoczona. Wierzcie mi, że nikt nie jest bardziej zaskoczony ode mnie.

Chodzi o to, że jestem taką osobą, która zasadniczo lubi robić to, co wszyscy inni. Czasem chwilę trwa, zanim się poddam, ale zawsze w końcu ulegam. Więc, jeśli wszyscy noszą kamizelki ze sztucznego futra, wkrótce ja też będę nosić. No i trudno zignorować oczywisty fakt, że pozostawanie w stanie wolnym sugeruje, że nie sprzedawałam się dobrze na małżeńskim rynku. Mam swoją dumę.

Być może zastanawiacie się właśnie, jak to się stało, że w ogóle wplątałam się w to „żyli długo i szczęśliwie”. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Świat jest pełen... i tak dalej. A zatem, wszystko jedno, czy jest to coś warte, czy nie, oto moje perły mądrości na temat Jak Zdobyć Męża, praktycznie podzielone na sześć łatwych do naśladowania etapów do raj.

Etap Pierwszy:

Poszukaj na żółtych stronach książki telefonicznej.

Poszukaj pod: Projektowanie ogrodów, Usługi ogrodnicze (pewna znajoma znalazła swojego pod Usługi hydrauliczne, więc na wszelki wypadek zajrzyj tam także). Wybrawszy jednego, ponieważ znajduje się niedaleko i nie ma automatycznej centrali telefonicznej, zaczynającej się od 0-800, wybierasz numer. Mówią ci, że twoje zgłoszenie zostaje przekierkowane na inny telefon, potem czekasz całe wieki, aż w końcu odzywa się męski głos. To telefon komórkowy i złapałaś faceta w chwili, gdy walczy ze sztormem u wybrzeży Alaski. Nie - błąd: odgłosy w tle zmieniają się. Zapewne wciskając gaz do dechy, ucieka przed policją po autostradzie. Pytasz, czy nie przeszkadzasz mu w ucieczce. Okazuje się, że stoi właśnie w czyimś ogrodzie w Muswell Hill.

Potem zapraszasz go, by przyszedł i przedstawił ci kosztorys urządzenia ogrodu twojego pracodawcy. Upewniasz się, że jest to jeden z tych dni, kiedy twoje włosy wyglądają beznadziejnie. Gdy gość się pojawia, rzucasz na niego okiem i stwierdzasz, że nie jest w twoim typie - choć dlaczego miałby być w twoim typie, skoro przyszedł, by zająć się ogrodem, a nie tobą, pozostanie niewyjaśnione, nawet gdyby od tego miało zależeć twoje życie. Zauważasz jednak jego szeroki uśmiech, sterczące włosy i okulary na nosie. Uśmiech mówi: „ciepły, kochający, lubi zwierzęta”. Okulary głoszą: „nie pali, lubi spacerować na wsi i dobre książki”. Wszystko razem składa się na nie twój typ. Wyliczenia są proste. Jesteś absolutnie racjonalna.

Potem próbujesz go rozdrażnić, specjalnie stwarzając wrażenie, że jesteś utrzymanką, a ogród, o który chodzi - ogród w Chelsea, pragnę dodać - możesz urządzić, jak chcesz, a co więcej, urządzasz go jak chcesz za pieniądze kogoś innego. Swobodnie zamawiasz japoński ogród wodny, nawet nie mrugasz, słysząc, ile to kosztuje, a gdy on mówi o niepotrzebnej ekstrawagancji tarasu z drewna cedrowego, rzucasz „cóż, nie ja za to będę płacić”. W byciu utrzymanką jest coś tak dziko politycznie niepoprawnego, że grając ją, czujesz się równocześnie rozwiązła i śmiała, i jesteś przekonana, że bycie nią -to znaczy utrzymanką - lada moment będzie w modzie. Stoisz na samej krawędzi.

Słuchasz, jak ci mówi, że obecny ogród jest zielony i piękny, i zasadniczo „chelseański” dzięki poplątanym starym różom i glicynii. Skrzeczysz: „To wszystko musi zniknąć!” i rozwodzisz się poetycko nad minimalizmem i płaszczyznami szarych kamyków. Patrzysz, jak on zaprzyjaźnia się z ogrodem: dotyka roślin i opowiada ci o ich słabościach i upodobaniach: „Tej euphorbii najlepiej byłoby pod tamtą ścianą”, a nudne stare krzaki, które jeszcze przed chwilą były nudnymi starymi krzakami, nie tylko wydają się zyskiwać osobowość, ale i własne prawa. Zaczynasz się czuć jak ludobójca, więc proponujesz mu filiżankę herbaty i wycofujesz się do kuchni.

Przyglądasz mu się przez kuchenne okno, zauważasz solidną budowę jego ciała i myślisz sobie, że pewnie ma na wsi żonę wierzącą w porody naturalne i siedmioro dzieci, choć nie jest chyba wiele starszy od ciebie. Czekasz, aż skończy, i podajesz mu herbatę. Masz nadzieję, że wypluje Earl Greya, mówiąc ze wstrętem „a cóż to za świństwo”, ale on mówi „O, jak miło, Earl Grey” i nie prosi cię o cukier.

Przez chwilę oboje pijecie herbatę, a potem on patrzy na ciebie długo i przenikliwie, i mówi:

- Bzdura.

- Co? - mówisz.

- Bzdura! Nie jesteś niczyją żoną.

- Nigdy nie mówiłam, że jestem - mówisz. Ale jesteś oburzona. Podpierasz się pod boki i pytasz, skąd on to wie.

- Nie wyglądasz na czyjąś żonę - mówi.

Źle to przyjmujesz, jesteś przygnębiona. Łapiesz się brzytwy.

- Może jestem czyjąś kochanką - mówisz.

- Nie - stwierdza zdecydowanie. Jest coś w sposobie, w jaki na ciebie - przez ciebie - patrzy, że postanawiasz dać sobie spokój z zadawaniem pytań.

Mówisz mu, że ma rację, że pracujesz dla maniaka milionera filmowca imieniem Mac, że to jego dom i wodny ogród jest jego pomysłem. I że rzadko kiedy bywa on w Londynie, ale gdy jest, to organizujesz mu życie. Pyta cię o filmy Maca i próbuje nawiązać konwersację typu między nami kinomanami - pyta cię, jaki jest twój ulubiony film. Boisz się, że lada chwila wyjedzie z jakimś Antonionim. Żeby się zamknął, mówisz mu, że twoim ulubionym filmem są „Dźwięki muzyki”. I wtedy on natychmiast zaprasza się do pubu.

Cała sprawa „Dźwięków muzyki” okazała się tak zasadnicza dla Długo i Szczęśliwie, że należy ją uznać za Etap Drugi.

Etap Drugi:

Powiedz mu, że twoim ulubionym filmem są „Dźwięki muzyki”.

W pubie mówi ci, że „Dźwięki muzyki” są także i jego ulubionym filmem, i w końcu śpiewacie razem długą wiązaną melodię. Oczywiście lepiej znasz słowa, ale i tak jak na faceta nie jest w tym zły. Śmiejesz się tak mocno, że o mało co nie parszasz na niego piwem.

Stwierdzacie, że jesteście głodni, więc łądujecie w miejscowej tajskiej restauracji. Wszystko idzie tak świetnie, że widzisz, że lada moment on zacznie sobie coś wyobrażać. Ponieważ, oczywiście, on nie jest w twoim typie. Przyglądasz się jednak rym śmiesznym rzeczom, które robi z twarzą, kiedy mówi, a gdy podwija rękawy koszuli, zauważasz jego proste, mocne przedramiona. I co więcej, sprawia ci przyjemność jego uwaga, bo ciągle zadaje ci pytania na temat twojego życia, dzieciństwa i tak dalej. Przez chwilę mu odpowiadasz, ale nie chcesz dojść do miejsca, w którym moi rodzice zginęli w katastrofie samolotowej, bo zazwyczaj gasi to nastrój, szczególnie tej drugiej osoby, więc zmieniasz temat, pytając o niego.

Okazuje się, że jego mama i tato umarli dość szybko jedno po drugim niecałe dwa lata temu, ale on nie wykazuje twojej wrażliwości na uczucia i bezwstydnie mówi o tym, jakie to było trudne, jacy byli sobie bliscy, ponieważ był jedynakiem i urodził się, kiedy jego rodzice byli już nie pierwszej młodości. Potem ci opowiada, jak po ich śmierci rozstał się z dziewczyną, z którą chodził przez pięć lat, bo zdał sobie sprawę, że się w tym związku zupełnie zagubił. Opowiada ci, że odziedziczył po rodzicach domek szeregowy w Queen's Park i teraz powoli sam go wmontuje.

Pod koniec wieczoru wydaje się być całkiem szczęśliwy i próbuje cię namówić, żebyś w sobotę poszła z nim na łódkę. Nigdy w życiu nie byłaś na łódce i nie masz zamiaru teraz zaczynać. Nawet nie wiesz, co to znaczy pójść na łódkę. Okazuje się, że chodzi o powiosłowanie łodzią w górę Tamizy i urządzenie pikniku.

Nie chce przyjąć twojej odmowy, a ty już go zdążyłaś naprawdę polubić, więc postanawiasz powiedzieć mu to wprost. To właśnie robisz - a ponieważ

okazało się to istotnym elementem mojego sukcesu, posłuchajcie teraz, łowczy-nie mężów, Etapu Trzeciego.

Etap Trzeci:

Powiedz mu, że jeśli pójdziesz z nim na łódkę, to się w końcu zaangażujesz, a z tego, chociaż go bardzo lubisz, Nic Nie Wyjdzie, więc najlepiej będzie, jeśli całą sprawę zdusicie w zarodku.

Wtedy on udaje, że nie wie, o co ci chodzi. Bardzo dobrze mu wychodzi to udawanie: naprawdę wygląda na szczerze zdumionego.

Wyjaśniasz powoli i wyraźnie, że czynisz mu zaszczyt, nie owijając sprawy w bawełnę, że jest dla ciebie zupełnie oczywiste, że ten wieczór przekształcił się w coś w rodzaju randki, i że jeśli spędzicie razem na łódce długą, leniwą sobotę, pływając i grzejąc się na słońcu, to skończycie... No, skończycie - by nie podkreślać tego zanadto (ściszasz głos) - to skończycie w łóżku. I choć jesteś pewna, że byłoby bardzo miło się pobzykać, prognoza dla was dwojga nie jest dobra. Mówisz mu, żeby się nie czuł urażony, to po prostu kwestia niedopasowania. Wygląda na zaszokowanego, szczęka mu opada i absolutnie nie ścisza głosu, mówiąc -w gruncie rzeczy odpowiedniejszym wyrazem byłoby: krzycząc - „Nie chcę iść z tobą do łóżka!”. Jak widzicie, zaczęliśmy niezwykle pomyślnie. Absolutnie nie wierzyłam, że nie ma ochoty na pójście ze mną do łóżka. Powiedziałam mu to, ale szczerze mówiąc, trudno było nie zaczerwienić się choćby odrobinę. Mieliśmy krótką kłótnię, czy jesteśmy na randce, czy nie. Powiedziałam: „Jeśli mężczyzna zaprasza kobietę na drinka, to co to jest jeśli nie randka?” - i uważam, że miałam rację. On ciągle plótł coś o zaprzyjaźnianiu się, ale - no wiecie - nie mnie wciskać taki kit!

Mam oczywiście przyjaciół, którzy są mężczyznami - naprawdę - ale to albo geje, albo z nimi spałam, albo jeśli nie z nimi, to z ich najlepszymi przyjaciółmi, albo oni śpią z moją najlepszą przyjaciółką... albo coś w tym rodzaju.

Co nie znaczy, że myślałam o tym wszystkim, kiedy po panińskim wieczorze bladym świtem wlokłam się samotnie przez Londyn. Nie

myślałam nawet wtedy, gdy wsunęłam klucz do drzwi w domu Maca i weszłam do środka. Po prostu cieszyłam się, że jestem w Chelsea. Chelsea bardzo mnie uspokaja. Przywodzi mi to na myśl dom towarowy Petera Jonesa, który jest w Chelsea, bardzo zdecydowanie moralny - „nigdy świadomie nie zawyżamy cen” - znany z tego, że w oknach wystawowych widnieją równiutkie rzędy sprzedawanych wewnątrz typów nożyczek. Niektórzy mówią, że w wypadku ataku nuklearnego należy natychmiast udać się do Petera Jonesa, ponieważ u Petera Jonesa nie może zdarzyć się nic złego. No właśnie, Chelsea jest trochę takie. Nic złego nie może przydarzyć się w Chelsea.

Mnie chodziło o mocne uderzenie w domu Maca: jacuzzi, DVD z trzydziestosześcioletnim płaskim ekranem i filmy z telewizji kablowej. Maca nie było w mieście, ale Mac nie ma nic przeciwko temu, żebym u niego nocowała. Co więcej, przydzielił mi mój własny pokój i w gruncie rzeczy wolałby, żebym tam zamieszkała. Wtedy, kiedy przyjeżdża do Londynu, mógłby we mnie orać dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu.

Wybrałam w salonie płytę, nacisnęłam odpowiedni guzik, żeby grało w łazience, i nastawiłam głośność na maksimum. Poszłam na górę, zapaliłam świece i z pewnym entuzjazmem rozebrałam się do naga, zsuwając z siebie sukienkę na cudowną podłogę z włoskiego marmuru. Potem zabrałam się za poważny seans aromaterapeutyczny w pianie.

Jeśli wydaje wam się to zbyt niefrasobliwe - biorąc pod uwagę, że właśnie odwołałam ślub - to powinniście wiedzieć, że jestem Skorpionem i w chwilach stresu muszę wejść do wody. Dopóki nie znajdę się w wodzie, nie potrafię sensownie myśleć. To jak chrzest czy coś takiego, jestem odrodzona.

Aż do tej chwili miałam całkowicie pustą głowę. Przemknęła mi co prawda myśl, czy zwrócą nam pieniądze za odwołaną podróż poślubną, ale tylko tyle. Pewnie tłumiałam swoje uczucia, czy co. A może chodzi właśnie o to, co powiedziałam: w Chelsea nie może się przytrafić nic złego.

Zadzwoiłam do Ven - mogłam to zrobić o wpół do trzeciej nad ranem, bo Ven pracuje w Los Angeles jako au pair. Ven i ja mamy teorię, że tak naprawdę miała być dziewczyną z Kalifornii, ale wysłano ją do niewłaściwej rodziny. Ma wszystko to, co powinna mieć dziewczyna z Kalifornii - płytkość, blond włosy i długie nogi, a poza tym szczególnie dobrze wygląda w ciemnych okularach podsuniętych na włosy. Ja jestem prosta i brązowa.

Długie proste włosy - brązowe. Długie proste ciało - brązowe (jeśli w pobliżu był choć promień słońca). Tak czy inaczej, Ven i ja nie chciałyśmy się rozstawać, ale w końcu zdecydowałyśmy, że powinna jednak pojechać do Los Angeles i odnaleźć swoje korzenie.

Kiedy podniosła słuchawkę, nie powiedziałam „halo” ani nic w tym rodzaju, tylko: - Ślub odwołany.

- O. Mój. Boże - powiedziała od razu. - Opowiadaj.

Więc opowiedziałam o limuzynie i dziewczynach, o chudym Szkocie, o wypadku i kłótni z Edem.

- Uznanie - powiedziała, gdy usłyszała o klubie z tańczącymi striptizerkami. - Fajny chłopak, ten Ed. - Ven uważa, że Ed to jakieś bóstwo z Planety Super. Gdy go pierwszy raz zobaczyła, stałyśmy akurat w oknie biura Maca, a Ed na ulicy rozładowywał ciężarówkę. Nagle Ven zaczęła za mną podskakiwać i syczeć: - Kto to jest? Kto to jest? - z bardzo żarłocznym wyrazem twarzy.

- Kto jest kto? - spytałam, myśląc, że chodzi jej o paru gładkich dilerów narkotyków, wysiadających z BMW po drugiej stronie ulicy, wszyscy w typie, który mi się zawsze podobał. Ale zdałam sobie sprawę, że jej chodzi o Eda.

- To Ed. Zajmuje się ogrodem.

- Jest fantastyczny! - powiedziała, przeciągając „fan”. To sprawiło, że spojrzałam na niego uważniej.

- No, chyba... chyba jest wysoki - przyznałam i nie ciągnęłam tematu. Być może jednak miało to na mnie jakiś wpływ później, bo Ven ciągle mówiła coś w rodzaju „pozdrów ode mnie Eda”, unosząc perfekcyjnie wyskubaną brew.

Wracając do przeszłości: akcent Ven ładnie się zmienia, teraz jest już środkowoatlantycki.

- Nie przyjmuję do wiadomości, że nie wychodzisz za najmilszego, najlepszego mężczyznę, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi, a do tego jest wysoki i fantastyczny. Nie przekonasz mnie, że jesteś zazdrosna o striptizerkę - powiedziała.

- A co ty możesz wiedzieć - powiedziałam - o związku dwojga osób?

Głupie pytanie. Wszystko, oczywiście - choć Ven nie ma żadnego życia seksualnego. Mówi, że Czeka na Prawdziwą Miłość, ale moim zdaniem uważa, że mężczyźni w jej wieku po prostu za nią nie nadążają. Tak czy inaczej, chyba jej to nie przeszkadza. Mówi, że według różnych badań seks

jest lepszy w średnim wieku. Powiedziałam jej, że w Czekaniu na Prawdziwą Miłość chodzi o małżeństwo, nie o seks, ale mnie olała.

- Gównu cię obchodzi ta Wielkocycca...

- Cherry - przerwałam. - Ona ma nawet imię, wiesz, i nie ma powodu, żeby jej nie szanować.

- Cherry-bzdery. Wszystko jedno - powiedziała. - Nie wierzę.

- Twoja sprawa - ucięłam.

- Okay. Nie gorączkuj się. Wróćmy trochę.

- Wróćmy? - spytałam.

- Zaczynaj od początku.

Odmalowałam wieczór szerokimi pociągnięciami pędzla. Nie miała się czego uchwycić, więc spytała:

- O czym rozmawiałyście? W limuzynie, o czym rozmawiałyście? - Zapadła cisza. - Oddychaj - powiedziała. Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymałam oddech.

Cisza trwała.

- Hej, halo? - spytała po chwili z nadzieją w głosie.

- Mówiliśmy o tym gościu, którego wtedy spotkałam, no wiesz, tym, który...

- O Alexie - podsumowała. - O Miłości Twojego Życia. - I dodała: - Aha.

- Słuchaj no - powiedziałam, starając się być starszą siostrą - wyleczyłam się z Alexa. To była bajka. Nie jestem tak głupia, żeby myśleć, że to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Nie wierzę ci. - Wszystkie jesteśmy na tyle głupie, że myślimy, że takie rzeczy coś znaczą. Szczególnie takie rzeczy.

- Powiedz no, jesteś ode mnie sześć lat młodsza, dlaczego ci się wydaje, że zjadłaś wszystkie rozumy?

- Inne pokolenie. Więcej mądrości w genach. - Przerwała na chwilę. - I jak się czujesz?

- Grubo.

Kiedy Ven miała trzynaście lat, wygrała w quizie Puchar Policji Metropolitalnej (nie mam bladego pojęcia, co to było), i ktoś z miejscowej gazety przyszedł, żeby zrobić jej zdjęcie z pucharem. Zapytali ją, jak się czuje, a ona odpowiedziała: „Grubo”, bo tak właśnie się czuła. Nie spodziewała się, że wygra, więc miała na sobie dość przechodzoną spódniczkę od szkolnego mundurka, taką, w której czuła się grubo. Wcale nie była gruba, po prostu była zła, że chcą jej zrobić zdjęcie - żadna z nas nie

lubi, jak się ją fotografuje. Należymy do tego plemienia, które uważa, że tak kradnie się duszę.

Zauważyłyśmy także, że kiedy czułyśmy się źle, czułyśmy się grube, nawet gdy wyglądałyśmy jak skóra i kości - czyli tak jak naprawdę. Tak samo może być z pieniędzmi: można się czuć bankrutem lub bogaczem, i ma to bardzo niewiele wspólnego ze stanem konta w banku.

Tak czy inaczej, ci idioci to wydrukowali. Tytuł brzmiał: „Uczennica z Dulwich czuje się grubo”. Dziennikarze pewnie myśleli, że „grubo” było jakimś nowym modnym słowem na szczęśliwa, jak wtedy, gdy „okropnie” znaczyło „świetnie”.

- Grubo to nie uczucie - powiedziała Ven.

- Od kiedy? - spytałam. Ven się zmienia - może to te wszystkie kultury i guru, do których chodzą tam w Kalifornii.

- Jak się czujesz po utracie Eda?

- Wiesz, o czym ciągle myślę?

- O czym?

- O Czerwonym Tedzie.

Czerwony Ted był pluszowym misiem z czerwoną wstążką na szyi. Dostałam Czerwonego Teda, gdy miałam trzy lata. Gdy miałam piętnaście, czerwonej wstążki już dawno nie było, ale zamiast tego nosił mój czerwony niemowlęcy sweterek, więc nadal był Czerwonym Tedem. To prawda, że Czerwony Ted był znany także z ultralewicowych poglądów, ale zasadniczo przezwisko pochodziło od sweterka.

Oczy Czerwonego Teda wypadały, były przyszywane, wypadały znowu i znowu, aż w końcu był bez oczu i wytarty do gołej skóry. Mieszkał w plastikowej torbie na dnie mojej szafy. Znalazłam go tam pewnego dnia, gdy sprzątałam pokój, przemeblowując go w oczekiwaniu na potencjalne odwiedziny mojego nowego chłopaka. W tamtych czasach uważałam się za najbardziej dorosłą ze wszystkich dorosłych osób, jakie kiedykolwiek istniały. Byłam gotowa porzucić dzieciństwo bez chwili namysłu, więc w przyływie kontrsentymalizmu wyrzuciłam Czerwonego Teda.

Ale tej nocy nie mogłam zasnąć, więc w końcu nad ranem wstałam, żeby pójść pogrzebać w śmietniku. Okazało się jednak, że Teresa zdążyła później wyrzucić wszystkie kuchenne śmieci i nie byłam w stanie przekopywać się przez gnijące warzywa i mokre fusy, stojąc jedynie w nocnej koszulce w mroźnym, listopadowym powietrzu - więc zostawiłam Czerwonego Teda.

Następnego ranka zasnęłam jak zwykle, wybiegłam z domu do szkoły spóźniona i zapomniałam o Czerwonym Tedzie. W drodze do szkoły usłyszałam znany hałas i grzechot śmieciarki, jak odległe trzaskanie bram piekła. Mój żołądek zareagował ułamek sekundy wcześniej niż mój mózg. Śmieciarka przejechała koło mnie, jadąc szybko na wysypisko, a z tyłu, schwyty w klapę zagłady i praktycznie pozbawiony głowy, wisiał Czerwony Ted.

Pobiegłam za śmieciarzami, zawodząc i błagając, ale mnie nie słyszeli. Nie mogłam dotrzymać kroku ciężarówce. Poszłam do szkoły. Spóźniłam się, a kiedy nauczycielka zwróciła mi uwagę, wybuchnęłam płaczem. Płakałam i płakałam. Byłam niepokieszona. Nie byli w stanie wyciągnąć ze mnie ani jednego słowa. Myśleli, że ktoś umarł. Nie wiem, kto, skoro większość ważnych osób w moim życiu już nie żyła, a moja siostra Ven szczęśliwie siedziała w klasie drugiej b w szkole podstawowej. Gdy w końcu wyciągnęli ze mnie historię o Czerwonym Tedzie, powiedzieli, że mogę wrócić do domu, a poza tym wysłali mnie do poradni psychologicznej.

Nie poszłam jednak do domu. Wytarłam łzy i udałam się prosto do wspomnianej wyżej Katolickiej Szkoły dla Chłopców Opactwa Świętego Barnaby. Ukryłam się koło szkoły, podczas przerwy przesłałam do środka wiadomość, namówiłam mojego chłopaka, żeby poszedł ze mną do domu i energicznie uwodziłam go przez parę godzin w moim nowym bezzabawkowym pokoju, w końcu uznając sprawę za przegraną akurat w chwili gdy Teresa włożyła klucz do zamka.

Jeśli zaś chodzi o poradnię psychologiczną, poszłam tam raz. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Siedzieliśmy w milczeniu przez pięćdziesiąt minut. Przypuszczałam, że psycholog, tak samo jak ja, był albo zbyt znudzony, albo zbyt skrupowany, żeby cokolwiek powiedzieć, choć później dowiedziałam się, że milczenie jest jakimś rodzajem freudowskiej techniki terapeutycznej. Nie poszłam tam więcej.

Błąd? Być może.

- Czerwony Ted - powiedziała Ven - to twoje wewnętrzne dziecko. - Gdy mówiłam, że Ven jest płytka, powinnam była jasno wytłumaczyć, że płytkość jest wyłącznie afektacją: dotyczy sposobu zachowania się i stylu, nie treści. Niestety.

Miałam ochotę odpowiedzieć:

- Bądź płytsza - ale oznajmiłam tylko: - Wewnętrzne dziecko. No tak - i w tym momencie uratował mnie dzwonek do drzwi.

Zgadnijcie kto. Nie ma nagród. Ed. Powiedziałam Ven do widzenia i wpuściłam go do środka, wróciłam i znowu wlałam do wanny, by móc jasno myśleć. Poszedł za mną.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Nic się nie dzieje - odpowiedziałam. Milczenie.

- Wychodzenie za mąż jest bardzo stresujące - powiedziałam.

- Nie wychodzisz za mąż. Odwołałaś wszystko. Już zapomniałaś?

Milczenie.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to po prostu nie mogłam znieść wyrazu twojej twarzy, gdy mi opowiadałeś o tej tancerce.

Ulżyło mu, pojawił się cień uśmiechu, był... nagle zdałam sobie sprawę, że jest z siebie zadowolony.

- Znowu to samo!

- Co? - zapytał.

- Ten wyraz twarzy! — wrzasnęłam. - Fuj! - Zadowolony z siebie!

- Kochanie - powiedział - kocham cię.

Wzięłam głęboki oddech. Czułam, jak ślepa wściekłość promieniuje mi z brzucha na całe ciało.

- Nie rób tego. Po prostu tego nie rób.

A potem poczułam coś jeszcze. Nie wiem, co. Pamiętam, że pomyślałam, że jeśli teraz zacznę płakać, to nigdy już nie przestanę, więc zamiast tego zanurkowałam w wodę. Gdy się wynurzyłam, cała śliska i mokra, Ed był tuż obok, kucnął koło wanny. Spojrzałam na niego i jedyne, co mi przychodziło do głowy, to „idź sobie i zostaw mnie w spokoju”.

- Wiesz, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam - powiedziałam - od razu w pierwszej chwili, jak cię zobaczyłam, pomyślałam, że nie jesteś w moim typie.

Ed ani drgnął. Nawet nie mrugnął.

- Wyjaśnij mi, w jaki sposób z faktu, że poszedłem do klubu ze striptizerkami - raz, w mój kawalerski wieczór - wysnułaś wniosek, że nie jestem w twoim typie na wieki wieków amen. Jedno z drugim nie pasuje - a poza tym jestem w twoim typie. Mam dowody.

- Co ty jesteś? - spytałam. - Rumpole z cholernego Bailey?*

* Rumpole z Bailey - bardzo popularny bohater brytyjskiego serialu telewizyjnego, adwokat (Old Bailey to nazwa sądu przy ulicy Strand), człowiek ekscentryczny, dowcipny, lubiący życie (przyp. tłum.).

- Gdybym nie był w twoim typie, to nic by cię, kurwa, nie obchodziło, co ja robię z pięćdziesięcioma, kurwa, tancerkami - powiedział. Z przyjemnością przeklinał - rzadko to robił - więc myślałam, że będzie więcej, ale dodał tylko: -I to, kurwa, o czymś świadczy.

Uśmiechnął się, a mnie opanowało przemożne pragnienie, żeby mu zetrzeć ten uśmiech z twarzy.

- Ed - powiedziałam spokojnie i cierpliwie. Przerwa dla efektu. - To całkiem proste. Już mi przeszło. Nie podobasz mi się już i nie ma o czym mówić.

Aż się cofnął. Był śmiertelnie zraniony. Przypomniała mi się ta scena z „W poszukiwaniu zaginionej arki”, gdy przed Harrisonem Fordem pojawia się napalony wojownik, wywijając groźnie wyglądającym mieczem. A Harrison spokojnie wyjmuje pistolet i strzela do gościa.

Ed ruszył do drzwi. Cały czas o to mi chodziło. A potem zawrócił. On zawsze wraca.

Przyszło mi nagle do' głowy, że chciałabym siedzieć spokojnie w jakiejś superrestauracji z jakimś odwalonym młodzieńcem, który podnieca się widokiem samego siebie w lustrze, ogólnie dając mi spokój.

- Próbujesz się mnie pozbyć - powiedział.

- Och, jak rany - jęknęłam, starając się równocześnie wychodzić z wanny i owijać się ręcznikiem. Uznałam, że obrót wydarzeń wymaga jakiegoś okrycia.

- No dobra. Co takiego jest właściwie w małżeństwie, co cię tak przeraża?

- Zawsze lubił te przenikliwe pytania na temat walki płci. - Boisz się, że mnie zawiedziesz?

- Ja? - spytałam. - Zawiodę cię? To mężczyźni zawodzą. Mężczyźni odchodzą - powiedziałam. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Naprawdę nie wiem. Ale zabrzmiało to niezwykle przekonująco - choć, nawiasem mówiąc, statystyki mówią co innego: kobiety częściej odchodzą od mężów niż mężowie od żon.

- No dobra - oznajmił. - Ja też muszę iść. I poszedł.

Rozdział piąty

Prom: alexlyell@hotmail.com

To: hone3rpot@w8bweweave.eo.uk

Subject: Cześć

Date: 12 kwietnia - 11.40 PST

Honey,

Najpierw zacząłem ci opowiadać różne rzeczy w samochodzie. Myślałem sobie, a gdybyś tak była koło mnie? Tak mi przyszło do głowy. Przyszło mi do głowy, że może chciałabyś wiedzieć.

Czasami, kiedy coś robię, albo kiedy myślę o czymś konkretnym, nagle w głowie pojawia mi się obraz rogu ulicy. Bez powodu. Ale kiedy to robię, zawsze widzę ten konkretny róg ulicy. W moim mózgu musi być jakaś neuronowa ścieżka, łącząca czynność z obrazem - na pozór dowolnie, ale uparcie. I ta ścieżka Jest coraz bardziej wydeptana, a impulsy elektryczne w mózgu po prostu tam wpadają.

Znasz te ścieżki, które ludzie wydeptują w parkach, między jedną ścieżką a drugą, bo tamtędy właśnie chcą chodzić. Nazywa się je ścieżkami pragnienia. A geografia mojego mózgu po prostu prowadzi mnie na powrót do ciebie.

A więc, Honey - moja stara przyjaciółko - jak ci płynie życie? Jak płynie ZYCIE?

Jeśli chodzi o mnie, to życie po tej stronie wody jest całkiem okej, dzięki. O.K.E.J - co tutaj znaczy Okropne,

Kurewskie, Emocjonalne i Jarmarczne, ale możesz sobie podstawić własne przymiotniki. Może Egoistyczne? Więc tak, u mnie wszystko w porządku. Znajduję się w trójwymiarowym świecie dużych, metalowych obiektów, jadących bardzo powoli, i choć mówią mi, że jestem taki sam jak wszyscy inni, wiem, że tak naprawdę jest inaczej. Wewnątrz mnie dzieją się rzeczy, o których nie mogę mówić. Ale mam dobrze skrojony garnitur i bardzo ważny cel, i mój własny duży metalowy obiekt, którym jeżdżę, dążąc do tego celu.

O tak, życie jest w porządku, dzięki.

Życie - w tym akurat momencie - to apartament w Chateau Marmont z widokiem na wzgórze nad Sunset. A zatem życie to pokój hotelowy, pseudoantyczny stolik do kawy i widok na zakurzoną skarpe, która ma bardzo niestały wygląd, Jak teren budowy.

Piszę na laptopie. Tom, mój reżyser, popisuje się. Właśnie przed chwilą upokorzył mnie przed jedną z modelek. Ponieważ ona upokorzyła jego. Dziewczyna ma na sobie trochę ubrania - niewiele, ale jednak. I to właśnie stanowi chyba problem. Nie chce go zdjąć. Mówi coś nawet o „zбочonych striptizach” podczas castingów. Tom zwraca się więc do mnie: - Alex, może raczyłbyś powrócić z Planety Alex i opowiedzieć pani... pani... - poddaje się - i opowiedzieć tej młodej damle o produkcji. - Tom należy do tych nielicznych osób, które zauważyły, że jestem z innego świata.

- Ach, tak... - zaczynam. - To reklama kremu do depilacji... hmm... delikatnych miejsc.

- Moje uda są doskonale - mówi modelka natychmiast. Nie jest nieuprzejma, tylko rzeczowa, jakby podawała nam swoje stopnie ze szkoły średniej. Jest niesamowicie podobna do świeżo rozkwitłej tygrysiej lilii - długa łodyga, woskowa, złocista.

Zauważam, że robi mi się trochę gorąco. Czy jej chcę? Nie, właściwie nie, ale w niechcenie je) muszę włożyć nieco wysiłku. Laptop się tu przydaje. Unikać kontaktu wzrokowego. Nie chcę zaczynać tej sprawy z patrzeniem. Tom myśli, że piszę raport produkcyjny dla klienta.

Cherelle - moja dziewczyna - mówi, że niektórzy budują mury z dowcipów, inni budują mury z uroku osobistego. Mówi, że wszyscy mają jakieś mury - a moim murem jest laptop. Cherelle nie jest głupia. Mój laptop to moja pierwsza linia obrony.

Nie masz nic przeciwko temu, że ci to wszystko opowiadam? Tak mi się jakoś wydaje, że ty to zrozumiesz.

Wiesz, nie pierwszy raz piszę do ciebie. Tyle że dotychczas pisywałem w głowie. Pierwszy raz zapisuję to konkretnie.

Ulubionym sposobem Toma na podryw jest pytanie: jakie jest słowo na M? Rumieniec, zająknięcie - wszyscy wiedzą, jakie jest słowo na M. Jasne. Miłość.

Tom mówi modelce, że z takim nastawieniem daleko nie zajdzie, ale wiem, że Tygryś Lilia już ma tę pracę. Ponieważ powiedziała mu „nie”, Tom będzie musiał zobaczyć” te uda. Mówią, że mózg to najbardziej erotyczny organ.

Przychodzi mi do głowy, że ktoś gdzieś na świecie chodzi z tą kobietą do łóżka. Może dziś wieczór. Może ktoś pójdzie z nią dzisiaj wieczorem do łóżka. Nie mogę się odczepić od tej myśli, póki sobie nie uświadamiam, że

też chodziłem do łóżka z podobnymi istotami. Wspomnienia uciekają, nie mogę ich zatrzymać. I pewnie okazje były podobne.

Nie masz nic przeciwko temu, że ci to wszystko opisuję? Choć pewnie i tak tego nie przeczytasz. Szukałem cię w sieci. Najbardziej prawdopodobny adres, jaki znalazłem w Londynie, to „honeypot”. Mało prawdopodobne, żebyś to była ty, ale i tak spróbuję. Wyślę to gdzieś w eter. Wiedziałaś, że myśl to impuls energetyczny, który nigdy nie umiera? Podobno wieki gdzieś tam podróżuje. Szczerze mówiąc, nawet podniosłem słuchawkę i wykręciłem twój numer. Ale odpowiada mi nieznaną głos automatycznej sekretarki - co pewnie znaczy, że się przeprowadziłaś.

Trzymaj się,

Alex

Prom: alexlyeU@hotmail.com

To: [honeypot@webweweave.co.uk](mailto:honey_pot@webweweave.co.uk)

Subject: Cześć

Date: 18 kwietnia - 20.43 PST Honey,

W samochodzie Tom mówi: - Wiesz, widziałem w telewizji Pete'a Samprasa, i on mówił o tych wszystkich rzeczach, których musisz się wyrzec, jeśli chcesz być naprawdę wielki - o wszystkich tych pieprzonych wyrzeczeniach. To było naprawdę smutne, stary.

- Taa? I co? - pytam.

- Przypomina mi to mnie - mówi. Ratuje mnie sygnał komórki - Cherelle.

- Właśnie widziałam Madonnę jak wychodziła od Tommy-'ego Hilfigera. I wiesz co?

- Co? - pytam.

- Jak się schyla, to jej obwisa brzuch!

- Dlaczego się schylała?

- Żeby pogłaskać psa. I po prostu jej opadł.

- Obwisły brzuch! - wrzeszczy nagle Tom. Miałem włączony głośnik. - Alex, czy obwisłe brzuchy nie są fantastyczne? Czy cię nie podniecają? Mech nasi ludzie zadzwonią do ludzi Madonny i zorganizują spotkanie.

Cherelle śmieje się, ale wiem, że tak naprawdę wcale nie uważa tego za śmieszne. Wiem, że jest przekonana, że w dowolnym momencie mogę ją zostawić dla Madonny. Że Madonna byłaby zachwycona, mogąc złapać tak zajebistego faceta Jak ja.

- Spotkacie się z Madonną do reklamówki? - pyta. Cherelle nie jest głupia, po prostu czasem się gubi. Na przykład jest w połowie książki, ale tak

kompletnie absorbuje ją to, co się może dalej wydarzyć i co się już wydarzyło, że zapomina, na której jest stronie.

- Nie będę proponować Madonnie reklamy depilatora włosów łonowych.

- Muszę cię wyłączyć, dziecinko - mówi Tom - mam drugi telefon. - Potem ją wyłącza i mruczy do siebie: - Jeeezu.

To chyba twoja pieprzona matka. - I wrzeszczy: - Zatrzymaj się! Zatrzymaj się!

Przejechaliśmy zaledwie kilkaset metrów wzdłuż Sun-set. - Chodź, kupimy sobie, kurwa, po drinku w Sky - mówi. - Chodzi o to - kontynuuje, mieszając energicznie swoją margaritę, gdy już siedzimy przy barze - że taki gość jak ty żyje sobie całkiem okay - kuli ramiona i naśladuje mnie, żyjącego sobie całkiem okay - a potem nagle bum-bum, nie wiadomo skąd, stary, i już wpadłeś w sidła. Przepadłeś. I wiesz co, kiedy to się zdarza, kiedy to się zdarza, to tylko jedna rzecz jest pewna: ona jest twoją matką.

- Cherelle i moja matka są zupełnie inne - mówię spokojnie. Kiedy Tom zaczyna tak nawijać, to lepiej nie poświęcać temu żadnej energii.

- Przecież Cherelle nie ma dupy stulecia, wiesz, o co mi chodzi - ciągnie dalej niezrażony. - Z całym szacunkiem dla dupy Cherelle, stary, to całkiem zajebista dupeczka, ale wokół nas są miliony zajebistych dupeczek. Dlaczego akurat ta dupa? Ona jest twoją cholerną matką. Napij się, co?

O kurwa, zapomniałem.

W tym momencie smutno utkwiał wzrok w margaricie. Brakuje mu dawnego kumpla od kieliszka. Czuje się samotnie, pijąc bez towarzystwa. Nie jest dupkiem. Wiem, że wydaje się być... och, pieprzyć to. Nie mam zamiaru go bronić, ale wierz mi, naprawdę nie jest dupkiem.

Podnoszę wzrok i widzę przy barze Tygrysią Lilię. Nasze spojrzenia się spotykają. Lokal jest już pełen - myślałem, że wychodzi z mody, ale dziś wieczorem jest pełno gości. Tom dostrzega mój wyraz twarzy, gdy odwracam wzrok. Staram się myśleć o czymś neutralnym - muesli, muesli, muesli, ale już za późno, odczytał moje myśli. Odwraca głowę i namierza Tygrysią Lilię.

Jego hojność przybiera wyższy wymiar. Jest zaproszona, razem z przyjaciółką, Tom organizuje im krzesła i coś do picia - colę light. Mówi Tygrysię Lili, że ma tę pracę.

- Oczywiście, że mam. - I do Toma: - Dlaczego jesteś takim dupkiem? - On to uwielbia.

Mnie się to też podoba, jeśli mam być szczerzy. Podoba mi się, że jest taka cool, opanowana i zimna. I skomplikowana. Wygląda tak, jakby poznawanie jej wymagało długiego, miło spędzonego czasu.

Tom poświęca temu Jakies pół godziny. Rozśmiesza je. Staram się dojść do tego, czy to, że znalazła się w tym samym barze, jest w jakiś sposób znaczące. No, bo mogłem sobie z tym poradzić podczas castingu, ale teraz ona jest, kurczę, tutaj w barze. A ja udaję, Jak mogę, że nie jestem na sznurku, którego drugi koniec trzyma Tygrysia Lilia. Ale nic z tego nie wychodzi. W końcu gdy jej przyjaciółka szepcze coś Tomowi do ucha, zerkam na Tygrysią Lilię i uśmiecham się konspiracyjnie.

Pochyla się do mnie nad stolikiem i mówi:

- Nie jestem wolna. - Pokazuje mi obrączkę, mówi, że nie wkłada jej na castingi. A potem znowu się uśmiecha i pyta, czy chciałbym z nią wyjść.

- Dlaczego ja? - To żalosne, wiem. Ale to właśnie powiedziałem.

- Jesteśmy pokrewne dusze.

- Obiecuj mi, że będziesz o siebie dbała - mówię. To ją zaskakuje. Nawet ją.

- Co?

- Wiem, że Jesteś piękna i tak dalej, ale nie musisz się dla tego zabijać.

- Okay - mówi, śmiejąc się ze mnie.

- Wiem, że to boli.

- Podobasz mi się.

- Ty też mi się podobasz - odpowiadam i wychodzę.

Gdy tylko znalazłem się za drzwiami, wyciągnąłem komórkę i poprosiłem ojca Cherelle o rękę jego córki. Powiedział, że zadzwoni, jak tylko skończy służbowy obiad.

Więc wsiałem do samochodu i pojechałem do Burżuazyjnej Świni. To nie jest przezwisko, które nadałem tacie Cherelle, tylko kawiarnia na Venice. No i jestem tu teraz - wśród tłumu aspirujących, stukających w klawiatury, pochłaniających kawę z mlekiem. Tu przy stolikach są gniazdzka elektryczne. To Los Angeles.

Nadchodzi Prezes.

Pozdrowienia

Alex

From: alexlyell@hotmail.com

To: honey_pot@wehweweave.co.uk

Subject: Cześć

Date: 12 kwietnia - 22.23 PST Honey,

Jestem w domu.

Dom to apartament z basenem w Zachodnim Hollywood.

Prezesem nazywam tatę Cherelle. Rzeczywiście jest jakimś prezesem, choć to niewiele wyjaśnia - Los Angeles jest pełne prezesów. Trudno się poruszać, tak jest zatłoczone prezesami.

Więc powiedział, że mogę się z nią ożenić. Oczywiście to trochę dziwne, pytać najpierw tatę, ale ponieważ dobrze znam tę rodzinę, to wierz mi, muszę go mieć po swojej stronie.

Muszę przyznać, że się nie zawahał. Ale westchnął -w pewnym sensie. Poprosił, żebym ją dobrze traktował. Powiedział, że przyzwoity ze mnie gość i tak dalej. I zaraz szybko przeszedł do: - Hej, Alex, powiedz mi, co teraz jest na topie?

Nie wiem, dlaczego prezes studia pyta mnie - mnie - co jest na topie. Chyba po prostu próbował być miły.

Powiedziałem mu, że Tom i ja chcemy zrobić remake „Chitty Chitty Bang Bang” dla dzisiejszych dzieci. Spytał, a czym moim zdaniem był „Powrót do przyszłości”? Ale udało mi się obudzić w nim jakiś cień zainteresowania - z samochodem jako rakieta kosmiczną. Polecił mi książkę „Jak napisać scenariusz filmowy w 21 dni”. Brrr.

Jest już pora, w której Hollywood chodzi spać. Za chwilę wróci Cherelle.

Nigdy nie sądziłem, że wyląduję z Cherelle. - Ale cały czas tak się zachowywałem, jakbym miał wylądować z Cherelle.

Przestałem prowadzić niebezpieczne życie - pewnie już sama na to wpadłaś. Gdybym dzisiaj siadł w restauracji obok ciebie, pięknej nieznajomej, patrzyłbym w drugą stronę. Ale gdzieś tkwi ciągle we mnie ta myśl, że musi chyba być coś więcej niż to, co jest, coś głośniejszego, coś jaśniejszego, jakaś przelotnie dostrzeżona możliwość - może to ona, ale gdy po chwili patrzysz ponownie, już jej nie ma. A moje nogi cały czas prowadzą mnie ku Cherelle, zawsze wracają do Cherelle. Cherelle jest jak moje domyślne ustawienia.

Przestałem prowadzić niebezpieczne życie, gdy niemal przestałem w ogóle żyć. Trafiłem do okropnego miejsca w głębi mnie samego. Nigdy nie uwierzyłem, że może być coś tak okropnego - nigdy nie uwierzyłem, że może to być wewnątrz mnie. Nigdy tam nie chodź. Obiecay mi.

Ale już jest okay, przeszedłem terapię. Nie ma o czym mówić. Nie jest to tu żadna ważna nowina: Hollywoodzki Nikt wychodzi z uzależnienia od kokainy.

Zwał to na kokainę. W ośrodku odwykowym odkryłem, że to nie koka zaprowadziła mnie do tego okropnego miejsca, było dokładnie na odwrót. Teraz muszę z sobą żyć. Nawiasem mówiąc - w razie gdybyś miała wątpliwości - wtedy w Londynie nie byłem naćpany.

Pewnego dnia w ośrodku odwykowym stałem przy ladzie recepcji, rozmawiając z kimś przez telefon, a z drugiej strony stała taka ładna dziewczyna o brązowych włosach sięgających pośladków, z ogromnymi oczyma Barbie, które wyglądały, jakby narysował je Disney. Przyszła tam ze starszym facetem i była naprawdę superwypracowana, usta, paznokcie, superzegarek i tak dalej. Tylko że słowa jej się zlewały, a od czasu do czasu zapominała trzymać prosto głowę, która opadała jej na piersi, a to nią wstrząsało.

Słyszałem, jak mówiła do tego faceta: - Nie rób mi tego, tato - ale bez przekonania. Gdybyś reżyserowała tę scenę, to powiedziałaabyś: - Jeszcze raz, więcej uczucia.

- To najlepsze, co mogę dla ciebie zrobić, kochanie - powiedział wtedy tata, ale także bez przekonania. Oboje robili wrażenie, że występują w bardzo złej operze mydlanej, po prostu automatycznie odgrywają tę scenę. A potem tata powiedział do widzenia i wyszedł, a ona powiedziała „odpierdol się, tato” do jego pleców, a potem pielęgniarki ją gdzieś zabrały. Boże, ależ to byli niedobrzy aktorzy.

No i w ten właśnie sposób poznałem Cherelle. Następnym razem zobaczyłem Ją, jak męczyła pielęgniarki i mówiła: „Jeśli nie oddacie mi mojego walkmana, to będę chodzić”. Ody cię przyjmują, zabierają ci wszystko, co mogłoby ci sprawiać przyjemność, całe eskapistyczne wyposażenie. Ale Cherelle nie „chodziła”, ona biegała codziennie dziesięć razy wzdłuż ogrodzenia wokół ośrodka bez żadnej stymulacji słuchowej.

Pewnego dnia Cherelle usiadła koło mnie na wykładzie. Tak się zdarzyło, że był to wykład na temat seksu. Mówili o zdrowych związkach. Same takie podstawowe rzeczy, które chyba wszyscy znają. A jednak brzmiało to tak, jakby uczyli nas greki.

Wykład był mniej więcej taki:

Etap Pierwszy - poznawanie się wzajemne - dyskusowanie o filmach, gra w tenisa i tym podobne rzeczy (tenis był bardzo ważny w Etapie Pierwszym,

co stresowało tych z nas, którzy nie mieli wykształcenia na odpowiednim poziomie).

Etap Drugi - randki tylko z tą osobą, trzymanie się za ręce, całowanie się.

Etap Trzeci - seks niegenitalny (nie pytaj, nie mam pojęcia, co to).

Etap Czwarty - seks genitalny (to jasne).

Odniosłem wrażenie, że pomiędzy poszczególnymi etapami miały upływać całe miesiące.

Wykładowczyni mówiła, a powietrze między mną a Cherelle jakby gęstniało. Pamiętam, że wykładowczyni mówiła coś o tym, że normalnie wszyscy mamy ochotę przejść wprost do seksu genitalnego. Pomyślałem, że jeśli jeszcze raz nazwie to „seksem genitalnym”, to już nigdy nie będę miał na niego ochoty.

Potem Cherelle zapytała: „Masz ochotę na filiżankę kawy przed Spotkaniem Wstydu?”. Te rzeczy, które ludzie mówili podczas terapii, to było niesamowite. Kiedy się Już przyzwyczaiłem, to nawet mi się spodobało - na przykład leżymy koło basenu albo gramy w siatkówkę, a tu z megafonu dobiega rzeżący głos: „Dążenie ku Światłu rozpoczyna się w sali numer 88”.

Wypiliśmy razem kawę, Cherelle i ja. Oczywiście bezkofeinową. Okazało się, że trafiła tu przez Zanax. A zatem dostaliśmy się tu przez to, co można kupić nad i pod ladą. Można by rzec, że dobrze się uzupełnialiśmy.

I jakoś tak we mnie wrosła. Częściowo dlatego, że uznałem, że skoro już mam grać w jaki-jest-twój-ulubiony-film-może-trochę-poodbijamy, to lepiej robić to z kimś, kto wie, że mówię o tenisie. A poza tym podobała mi się. Cherelle cechowała pewność. Na przykład była pewna należnego jej miejsca na ziemi. Z Cherelle czułem, że jestem w dobrych rękach. I wiedziała, co jest co. Cherelle wie wszystko, od tego, gdzie najlepiej kupować nieruchomości, aż po to, gdzie najlepiej robią lifting. Co nie znaczy, że sama korzysta z chirurgii plastycznej - ale skoro już się musi, to lepiej, żeby to było najlepsze miejsce.

Jak wiesz, Tom mówi, że Cherelle to moja matka. Osobiście nie widzę podobieństwa między Cherelle a mamą. Przede wszystkim Cherelle wie, jak się ubierać. Poza tym nie pochodzi z marginesu. Cherelle ma dobre powiązania rodzinne.

Zawieszenie.

To można zapisać w scenariuszu, żeby aktor wiedział, gdzie przerwać na chwilę dla lepszego efektu.

Właśnie wróciła. Była na spinningu, a potem na soku z koleżanką. Cherelle mówi, że spinning to rodzaj inspirującego, grupowego jeżdżenia na rowerze. Polega to chyba na tym, że jedziesz i wysłuchujesz tych wszystkich pozytywnych uwag, jaka jesteś wspaniała. Kiedy pierwszy raz mi o tym opowiedziała, sądziłem, że to rower ją chwali - okazuje się jednak, że Jest tam prawdziwy, żywy instruktor.

Więc teraz chyba pójdę i poproszę ją, żeby za mnie wyszła.

Życz mi szczęścia,

Alex

Rozdział szósty

Nawet się nie kładłam. Włożyłam znowu pomiętą sukienkę z wieczoru panińskiego - uznałam, że wyglądam w niej odpowiednio tragicznie - i pojechałam do Teresy. Znalazłam ją w stajni.

- Wcześnie wstałaś - powiedziała.

- Nie wcześniej tylko późno. Nie kładłam się.

- O rany - jęknęła Teresa. - Napijemy się herbaty, co ty na to? - Teresa pochodzi z Irlandii.

Wiedziałam, że Teresa już o świcie będzie na nogach. Jej mąż Roland - o którym w moich czasach słyszałam, ale nigdy go nie widziałam, ponieważ zawsze gdzieś podróżował po świecie, pisując ekscentryczne przewodniki, które sam wydawał - nagle zdumiał wszystkich, sprzedając firmę jakiemuś gigantowi wydawniczemu za parę milionów. Wyprowadził rodzinę do Essex, a Teresa podobno miała już nigdy w życiu nie ruszyć nawet palcem.

Tylko że Teresa to Teresa, więc ani chwili nie była w stanie wysiedzieć spokojnie, a że jej najmłodsza córka Molly miała fioła na punkcie kucyków, Teresa, która niedawno jeszcze nie odróżniała grzywy od ogona, co rano biegła do stajni, by wyczyścić konie przed porannym treningiem.

- To Smoky - powiedziała. - Jest uroczy, tyle że trochę niegrzeczny, jeśli chodzi o bramy. Ucieka, jak widzi bramę.

- To może być trudne na wsi. Jest tu całkiem sporo bram.

- A to Stirrup. To najśłodsza istota, ale nie głaszcz jej, bo gryzie, jeśli się dotknie jej grzywy.

- Rzeczywiście, sama słodycz.

W kuchni postawiła czajnik na ogniu i ogarnęła mnie wzrokiem. Przenikliwym wzrokiem. Oceniała zniszczenia. I to z pewnością precyzyjnie, jak wiedziałam.

- Ładna sukienka.

- Trees - powiedziałam, bo tak właśnie nazywałyśmy ją, kiedy byłyśmy małe, zazwyczaj tym właśnie jęczącym tonem, zapowiadającym prośbę o lody, albo komiks, albo coś innego. A ona odpowiadała „wiecie, że pieniądze nie rosną na drzewach”, ale potem i tak nam to kupowała.

Jęczący ton wziął się stąd, że „ładna sukienka” tylko pozornie było niewinną uwagą. Teresa знаła historię, związaną z tą sukienką. Znała całą historię - historię mojego życia. I żebym o niej nie zapomiała, kierowała moją uwagę na sukienkę. Bo widzicie, ona znała wszystkie rozdziały w

Księżde Eda i nie pozwalała, by to, co zapisano na dzisiejszej stronie, przesłoniło mi całą resztę.

Co prowadzi mnie do historii sukienki. Jest to także właściwy moment, żeby wprowadzić Etap Czwarty w moim bezbłędnym poradniku na temat łapania męża.

Etap Czwarty:

Na drugiej randce pojawia się w miejscu publicznym w za dużej męskiej piżamie i fryzurze typu wronie gniazdo.

Najpierw jednak nie kładź się przez całą noc, rozpaczając po kobiecie, której nigdy nie spotkałaś, a której do twarzy było w różowym. Zmyj sobie twarz łzami za dziewczyną, która poślubiła księcia, ale nie udało jej się żyć długo i szczęśliwie.

W dawnych czasach, jak wiecie, istniał Kopciuszek, który co prawda wyprzedził swoje brzydkie siostry w wyścigu po bukiet panny młodej, ale przedtem cierpiał, zamiatał popiół, trwał w zdecydowanie toksycznej rodzinie i kilkakrotnie wracał do domu o północy na piechotę. W ten sposób wykazując, że dopiero gdy znajdziesz prawdziwą siebie, możesz zasłużyć na wieczny związek ze swoją drugą połową.

Ale Kopciuszek wyszedł z mody - to pewnie kwestia stroju - i zamiast niej dostaliśmy księżniczkę Dianę. Diana zabrała się do tego z zupełnie niewłaściwego końca. Najpierw dostała suknie i księcia, a dopiero później obsypała nas popiołami. W ten sposób wykazując tym, którzy nie zrozumieli Kopciuszka (albo widzieli jedynie disneyowską wersję), że bajeczne śluby i wspaniałe nogi Księżąt z Bajki nie zapewniają ci miłości własnej, a także raz jeszcze udowadniając najgłębszą ze wszystkich duchowych maksym naszych czasów: nigdy nie dostaje się obiadu za darmo.

No więc idziesz do Pałacu Kensington, gdzie składa się kwiaty. Idziesz tam, bo to sprawa historyczna. Historyczna i histeryczna. Idziesz, żeby kiedyś opowiedzieć o tym dzieciom. Tak to sobie tłumaczysz - bo widzisz, tak naprawdę nie chcesz otwarcie ujawniać swojego zafascynowania Dianą. To znaczy, nie jesteś pewna, czy wolno ci fascynować się Dianą i równocześnie być osobą, która czytuje poważne gazety - a w każdym razie

zamierza czytać poważne gazety, choć nieczęsto to robi, ponieważ głównie zajmuje się czytaniem o Dianie w „Halo!”.

Gdy już docierasz do Pałacu Kensington, stwierdzasz, że obcy ludzie ze sobą rozmawiają. To niezwykle. To jak Wielka Brytania podczas wojny. Jak Dom. Zaprzyjaźniasz się z młodą kobietą z Leeds, która robi mandalę (jej słowo) dla Diany z kwiatów i świec. Łzy spływają jej po twarzy. Jest tak smutna, że myślisz sobie, iż może jej matka także zginęła w katastrofie samochodowej, ale gdy pytasz, okazuje się, że jej matka ma się dobrze, jest koszmarna i mieszka w Sheffield - twoja znajoma od mandali przeniosła się do Leeds, by od niej uciec.

To noc długich cieni - oślepiające światła reflektorów telewizyjnych przydają każdej stojącej postaci sześciometrowy, groźny cień - a wozy transmisyjne, stojące wzdłuż ulicy, wycelowały w przestrzeń swe anteny satelitarne jak otwarte usta i mówią nam o tym, że jesteśmy razem na tej niewielkiej planecie, a także, że w tym jednym dniu stało się coś, co nam przypomniało, że nie my reżyserujemy to przedstawienie. Stało się coś, co sprawiło, że razem spojrzeliśmy w górę i pomyśleliśmy: jesteśmy tu, zebraliśmy się razem, i właściwie, o co w tym wszystkim chodzi? I w tej orgii kwiatów, świec i łez zaczynasz wierzyć, że Diana była naprawdę świętą, współczesną świętą. Świętą patronką od spieprzania wszystkiego, przy zachowaniu dobrego wyglądu. A wcale niełatwo być od tego świętą patronką, ponieważ w obecnych czasach toczy się ostra walka o to stanowisko.

A najbardziej niesamowite w tym wszystkim jest to, że nie możesz pozbyć się tego okropnego, męczącego wrażenia, że gdybyś się jakoś bardziej zaangażowała - gdybyś nie poszła do łóżka, albo, co gorsza, nie zasnęła - mogłabyś temu wszystkiemu zapobiec. Nie chodzi o to, że wydaje ci się, że jesteś Bogiem czy coś takiego, tylko że ciągle zapominasz, że Nim nie jesteś. No i wciąż myślisz o dzieciach - o tych biednych dzieciach.

Zostajesz w Pałacu Kensington do piątej rano, a gdy już zaczyna się rozjaśniać, postanawiasz pójść się przespać u Maca, bo to ci da rano godzinę snu ekstra. Wydaje ci się, że spałaś najwyżej dwadzieścia minut, gdy ktoś wsadza ci do lewego ucha wiertarkę na wysokich obrotach. Dzwonek do drzwi.

I znowu, i znowu. Musisz położyć kres tej torturze, więc z zamkniętymi oczami, po omacku, kierujesz się do drzwi wejściowych, potykając się o

własne nogi, spętane pizamą w paski twego pracodawcy. Otwierasz drzwi swemu przyszłemu mężowi, mając na głowie1 wronie gniazdo.

Na jego twarzy zaczyna wykwitać ten uprzejmy uśmiech, którym darzy cię na powitanie od chwili, gdy wykrzyczał „Nie chcę iść z tobą do łóżka!”. Trwa to jednak najwyżej sekundę, a potem po prostu zaczyna się szeroko uśmiechać. Jest to zaraźliwe, więc ty też się uśmiechasz szeroko, a potem chichoczesz, on też, i przez chwilę chichoczenie bezsilnie, a potem zaczynacie się tarzać ze śmiechu, i żeby mieć więcej miejsca na to tarzanie się, wychodzisz przed drzwi, a w końcu mówisz: „To niemożliwe, że Diana umarła” i nagle zdajesz sobie sprawę, jak cienka jest linia między wyciem ze śmiechu a wyciem z bólu. To cię nagle otrzeźwia.

- Chodź - mówi on. - Przyda ci się jakieś śniadanie.

Więc odwracasz się do drzwi, by wejść do środka i doprowadzić się do porządku, i nagle odkrywasz, że drzwi się za tobą zatrzasnęły. I dlatego właśnie lądujesz w miejscowej kawiarni we wspomnianym już stanie rozmemłania, mamrocząc przeprasząco takie rzeczy, jak „to nie chodzi o nią właściwie, wiesz, to symboliczne - ona jest naszą wewnętrzną księżniczką” (to od Ven). A także „chodzi mi o dzieci, tak strasznie mi żal dzieci”.

W tym momencie on wyciąga swoją komórkę i kładzie na stole, wypełniając nią niewielką przestrzeń między jego fasolką a twoimi kiełbaskami.

- Chyba dobrze ci zrobi, jak zadzwonisz do swojej mamy - powiedział.

Spojrzałam na niego.

- Moja mama umarła. Zbladł.

- Nie martw się, to było bardzo dawno temu.

- Och - powiedział.

- Zginęła z tatą w katastrofie lotniczej.

- Och - powiedział znowu. - W katastrofie lotniczej? Ile miałaś wtedy lat?

- Dwanaście. Zapadło milczenie.

W końcu wstałam i poszłam do ubikacji. Płakałam tam i płakałam. Pewnie myślicie, że nie mogłam przecież przeżyć całej nocy po śmierci Diany, nie zdając sobie sprawy, że w podobny sposób straciłam rodziców, ale mogłam, skoro tak było. Nie twierdzę, że nie wiedziałam, gdzieś na granicy świadomości, ale nie wiedziałam; wiedziałam - w głębi serca wiedziałam.

I teraz też nie płakałam z powodu mamy i taty, z żadnych takich oczywistych i sentymentalnych (i sensownych) powodów. Po prostu

płakałam, bo się gównianie czułam. Gównianie, naprawdę gównianie. Ugh. Nienawidzę tego. Nienawidzę. Więc ciągle płakałam. Pomyślałam, że to mi pewnie dobrze zrobi. I co chwila myślałam „no to sobie popłakałam”, myślałam twarz i szłam do drzwi, a wtedy znowu zaczynałam płakać, więc znowu wycierałam twarz i myślałam „no już chyba dosyć”, ale nie - i tak to trwało, i trwało. Siedziałam tam chyba z rok. Kiedy wróciłam do stolika, wydawało mi się, że już jest wszystko w porządku, ale nie, wszystko zaczęło się od nowa. Nie szlochałam ani nic takiego, po prostu rozpływałam się. Łzy spływały na moje kielbaski jak lekki, ale nieubłagany letni deszcz.

- Udawaj, że nic się nie dzieje - powiedziałam do Eda. Ed pochylił się ku mnie i szepnął konspiracyjnie:

- Coś odczuwasz?

Powiedział to tak, jakby mówił: „hemoroidy ci dokuczają, nie?” albo coś równie wstydlivego.

- Tak mi przykro. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Mów ciszej - syknął. - Nigdy nie wiadomo, kto słucha. - Zerknęłam przez ramię. - Wszędzie mają urządzenia podsłuchowe - dodał.

- Kto taki? - spytałam, nic nie rozumiejąc. Popatrzył na mnie surowo.

- Policja uczuciowa. Chodź - powiedział i wziął mnie za rękę.

- Dokąd idziemy? - spytałam.

- Musimy znaleźć ci jakieś ubranie.

- Okay - zgodziłam się, myśląc o starych roboczych ogrodniczkach z ciężarówki.

- Sukienkę - powiedział. - Kupię ci sukienkę.

- Co takiego?!

- No wiesz, sukienkę. Takie coś, co noszą dziewczyny.

- Ja nie noszę. I dodałam: - Dlaczego sukienkę? Nie widzisz, że płaczę? Czy ty jesteś jakiś zboczony?

- Czy nikt ci nigdy dotychczas nie kupił sukienki? -zapytał.

- Nie, nigdy! - odpowiedziałam tonem pełnym oburzenia, takim, jakim się odpowiada na pytanie, czy ukradłaś coś kiedyś ślepcowi.

Byliśmy u Harveya Nicholasa chyba z dziesięć minut, kiedy spytałam Eda, czy jest gejem. Zignorował mnie. Gdy jechaliśmy schodami ruchomymi, spytał:

- Jeśli nie nosisz sukienek, to co nosisz? Garsonki?

- Garsonki? - powtórzyłam. - Tego słowa nie słyszałam już od bardzo dawna. To brzmi jak coś z „Nie jedzcie stokrotek”. - Nie zareagował, więc dodałam: -Zresztą uważam, że kupowanie sukienek jest seksistowskie.

- Seksistowskie? O, tego słowa nie słyszałam już od bardzo dawna.

Wzruszyłam ramionami. Byłam skrepowana. Miał rację.

- No wiesz - wymamrotałam. - Przypisywanie tradycyjnych ról płci...

- Nie wystarczy, że ja jestem mężczyzną, a ty jesteś kobietą?

- No wiesz! - powiedziałam, urażona do żywego, co dodało mi nieco energii.

- Aha - pokiwał głową i spojrzał mi prosto w oczy. - Zmieszalaś się - powiedział. - To nie jest seksistowskie, tylko seksowne.

Moja piżama przyciągała pełne podziwu spojrzenia ze strony ekspedientek, a jedna w dziale ubrań Donny Karan nawet zapytała, gdzie ją kupiłam.

A potem, jak już się wszyscy zorientowali, że mężczyzna kupuje dziewczynie sukienkę, zaczęli się wyrozumiale uśmiechać. Miałam ochotę wrzeszczeć: „To nie jest mój chłopak, a ja nie noszę sukienek!”. Po prostu po to, by mu wyciągnąć dywanik spod nóg. Nie zrobiłam tego jednak, ponieważ w pewnym sensie spodobało mi się to dziwne wrażenie, że jestem osobą noszącą sukienki. Aż do tamtej pory zachowywałam się tak, jakby pewnego dnia Bóg wychylił się z nieba i powiedział: „Honeymoon Holt, postanowiono, że jesteś inna od wszystkich kobiet. Nie wyglądasz dobrze w sukienkach”.

A tu nagle, bez walki, ta pozornie wielka i monolityczna prawda po prostu rozwiała się, trochę tak jak Mur Berliński, który zniknął w ciągu jednej nocy, i wszyscy patrzyli na siebie: no i co, ten komunistyczny jastrząb okazał się raczej zmokłą kurą, nie?

Znalazłam nawet sukienkę, która mi się podobała - jedwabistą, srebrzystą, prostą - wciąż ją noszę, miałam ją na sobie podczas panieńskiego wieczoru. Potem kupiłam jeszcze szczotkę do włosów, bawełnianą bieliznę i klapki. Oczywiście Ed musiał za to wszystko zapłacić, bo nie miałam przy sobie złamanego grosza.

Potem wsiedliśmy do jego ciężarówki i ruszyliśmy na zachód, a Ed powiedział: „Wiesz co? Popływamy łódką po Tamizie”. Ale było miło, muszę przyznać, było miło. Unosiliśmy się na wodzie i moczyliśmy dłonie w rzece, a ja mu opowiadałam to i owo. Teresa zrobiła, co mogła, żebyśmy zachowały żywe wspomnienie po rodzicach, ale nie było żadnego grobu, na

który mogłybyśmy chodzić, i zresztą szczerze mówiąc, nie był to ulubiony temat Ven ani mój. Miałyśmy naście lat, a wtedy mało się ma czasu na takie sprawy. Znaczą na śmierć.

W końcu wszystko, co nam zostało, to stos śmiesznych, staroświeckich fotografii - fotografii, które sprawiały, że tych dwoje niezastąpionych ludzi też wyglądało śmiesznie i staroświecko.

Ale tego dnia, rozmawiając na rzece, Ed i ja zaprzyjaźniliśmy się naprawdę.

No i widzicie? Zawsze wiedziałam, że z takiego zaprzyjaźniania się wynikną same kłopoty.

- Trees - powiedziałam, gdy siedziałyśmy już nad filiżankami herbaty w wesolej, nowoczesnej, kratkowanej kuchni Teresy - czy ty i Roland ciągle z sobą śpicie?

- Dwa razy na tydzień - odpowiedziała bez wahania.

- Naprawdę?

- Tak. Zawsze byliśmy niezli na froncie seksu.

- Na każdym froncie - poprawiłam ją.

- Och, nie - zaprzeczyła. - Doprowadza mnie do szału.

- Naprawdę?

- Tak, teraz, kiedy kręci się tu przez cały czas - powiedziała. - No cóż - stwierdziła - przynajmniej nie planowaliście jednego z tych okropnie wymyślnych ślubów. Musicie tylko odwołać uroczystość w urzędzie stanu cywilnego i rezerwację stolika w restauracji. To zajmie jedną chwilę. A sukienkę możesz zatrzymać i nosić przy innych okazjach. Masz szczęście, naprawdę.

- Jest jeszcze obrączka i podróż poślubna - dodałam, mając jednak wrażenie, że Teresa nieco wybiega przed orkiestrę.

- No tak, ale nie miał to być przecież królewski ślub.

- Myślałam, że lubisz Eda - powiedziałam żałośnie.

- Lubię Eda, ale najwyraźniej nie jest on Tym Jedynym. - Wydawało mi się, że w jej głosie pobrzmiwa nuta sarkazmu. - Roland opowiadał mi taką historyjkę - mówiła dalej. - Usłyszał ją od jednego z tych guru biznesu New Age, którymi się teraz interesuje. Pewien człowiek mieszkał w wiosce, którą raz zalała powódź. Wdrapuje się więc na dach swego domu, ale wie, że wszystko będzie dobrze, bo wierzy w Boga i Bóg go uratuje. Po chwili podpływa łódka. Zmieści się w niej jeszcze jedna osoba, więc wszyscy w łodzi namawiają faceta, żeby wsiadł. Ale on mówi im, żeby płynęli dalej i nie

martwili się o niego, bo Bóg go uratuje. Więc łódź odpływa, woda podnosi się, ale człowiek wcale się nie martwi, bo wie, że Bóg go uratuje. Podpływa kolejna łódź, ludzie w łodzi błagają, żeby wsiadł, ale on mówi im to samo i każe odpłynąć, potem pojawia się trzecia łódź, ale on wciąż odmawia, potem woda podnosi się jeszcze wyżej, aż w końcu facet się topi.

- To bardzo pocieszające - zauważyłam.

- Jeszcze nie skończyłam - mówi Teresa. - Więc ten człowiek idzie do nieba, spotyka Boga i mówi do Niego: „Co się do diabła stało? Myślałem, że mnie uratujesz!”. A Bóg mówi: „A te wszystkie łodzie, to co to było, twoim zdaniem? Ty palancie!”.

Rozważałam przez chwilę to opowiadanie.

- No tak, to była bardzo pouczająca historia, dziękuję. - Nie odpowiedziała.

- Czy Roland stał się religijny? - spytałam.

- Nie - odrzekła. - Wydaje mu się tylko, że jest Richardem Bransonem*, to wszystko.

* Sir Richard Branson - jeden z „guru biznesu” - właściciel licznych przedsiębiorstw z „Virgin” w nazwie (Virgin Records itd.) (przyp. Hum.).

- No to do czego zmierzasz? - spytałam.

- Ty, dziewczyno - powiedziała - pójdziesz do nieba i spytasz: „No i gdzie do diabła była moja łódź?”, a Bóg powie: „A co z Angusem i Steve'em, i Jeffem, i Davidem, i...”.

- Nazywasz ich łodziami? - krzyknęłam, przerywając jej. - To najbardziej dziurawe, chwiejne, śmierdzące łajby, jakie kiedykolwiek widziałam!

- Nie, oni...

- Angus - powiedziała, przerywając jej - żeby mówić na konkretach.

- Coś z nim było nie w porządku? - spytała.

- Miał składany rower.

- Składany rower? - spytała.

- Tak - potwierdziłam. - Nie mam nic więcej do dodania.

Na naszą pierwszą randkę przyjechał jednym z tych rowerów o malutkich kółkach. Nie męskim. Zdecydowanie nie męskim. A potem, żeby jeszcze pogorszyć sprawę, złożył ten rower w coś w rodzaju potwornego pudła i wziął ze sobą do restauracji, gdzie to coś siedziało z nami przy stoliku, emanując złowrogą obecnością.

- Jesteś śmieszna - powiedziała Teresa.

- A Steve nagle zgolił sobie brwi - przypomniałam jej. Chyba powinnam była uznać, że to cool, bo był z niego niezły gość, didżej czy coś w tym rodzaju. Ale czułam się, jakbym była w łóżku z węzem.

- Albo ten z zębem - zaczęłam.

To był mój „starszy facet”, chociaż nie mógł mieć wtedy więcej niż czterdziestkę. Był gitarzystą z długimi, kręconymi, szpakowatymi włosami (w tamtych czasach przechodziłam etap muzyczny). Pewnego dnia zmarł jego kot, a on go pochował w świetle księżyca. Następnego dnia wrócił do domu z diamentem wprawionym w górną jedynekę.

- Albo ten, co miał erekcję dwadzieścia cztery godziny na dobę - powiedziałam.

- Nie mógł być taki zły - odrzekła.

- Albo ten, z którym już raz poszłam do łóżka, ale żadne z nas tego nie pamiętało, aż do chwili...

- Przestań! - krzyknęła nagle Teresa. - Nie mogę tego słuchać. Musiałam cię jakoś zupełnie źle wychować. Dlaczego to wszystko brzmi tak okropnie?

- Nie, to tylko ja to tak opowiadam.

Teresa wstała, wsypała trochę płatków śniadaniowych do miseczki i postawiła ją przede mną.

- Można by pomyśleć, że nigdy nie byłaś zakochana - powiedziała. - A ja pamiętam kilkakrotnie złamane serce.

- Oni się nie liczą. Było ich tylko dwóch.

- Dlaczego się nie liczą? - spytała.

- Bo mnie zostawili.

- Oni też się liczą.

- Nie, nie liczą się. To znaczy według teorii łodzi nie liczą się jako łodzie. Oni tylko mnie namawiali, żebym weszła na pokład, a potem stwierdzili, że jednak nie ma tam dla mnie miejsca. - I dodałam po chwili: - Zresztą, patrząc z obecnej perspektywy, cieszę się, że nie wyszłam za żadnego z nich. Była jednak jeszcze jedna łódź, która przepłynęła koło mnie we mgle... - zamilkłam.

Zaskoczyło mnie, że czułam prawdziwy ból, gdzieś między mostkiem a gardłem. Staralam się nic po sobie nie pokazać, ale musiałam chyba mieć dziwną minę, bo Teresa popatrzyła na mnie zdumiona.

- Kto taki? - spytała. Nie odpowiedziałam.

- Opowiedz - powiedziała.

- Och, wiesz, to jedna z tych historii o pokrewnej duszy. - Byłam skrepowana tym banałem, ale moja podświadomość najwyraźniej nie miała takich snobistycznych obiekcji: gdy wypowiedziałam te słowa, ból się pogorszył. - Wiesz, kiedy wydaje ci się, że coś poszło nie tak - powiedziałam - to zastanawiasz się, czy Bóg się nie pomylił. Być może coś, co się miało zdarzyć, nigdy się nie zdarzyło? I to on był Tym Jedynym, ale już nigdy się nie zdarzy, i umrzesz, a przecież żyje się tylko raz.

- Kim on jest? - spytała.

- To nieważne. - Spojrzała na mnie. - Naprawdę. Nie ma go tu, zniknął dawno temu.

- Czy mówisz poważnie? - spytała niedowierzająco, nawet gniewnie. Przyglądała mi się przez chwilę. - Tak, mówisz serio. Nie? Nie mogę w to uwierzyć. Skąd wzięłaś tę teorię o „Tym Jedynym”? To głupota. A poza tym, fakt, że technicznie rzecz biorąc, David i - jak mu tam - Simon zakończyli sprawę, jeszcze o niczym nie świadczą. Być może ty ich do tego zmusiłaś.

Cisza.

- Oni wszyscy to łodzie - powiedziała.

- Nie krzycz.

- Nie krzyczę. - I rzeczywiście nie krzyczała, ale mnie się wydawało, że tak. I znacznie ciszej spytała: - Czy ty nie kochasz Eda?

Zastanowiłam się.

- Wiesz - powiedziałam - czuję do niego miłość, kiedy sobie wyobrażę, że miał jakiś okropny wypadek albo coś takiego. Jeśli sobie wyobrażę, że leży na drodze i umiera, to myślę, że pobiegłabym do niego, i mówiła mu, że go kocham, i moją miłością przywróciłabym go do życia.

Teresa roześmiała się.

- No widzisz, to wystarczy. Kochasz go.

- Ale... zresztą nie wiem. Nie wiem, czy jest między nami dość namiętności. Rozumiesz, on jest taki miły i dobry, i mądry, i porządny, i ciężko pracuje, i jest hmmm... czysty, i seksualnie mi odpowiada, i nie pali, i mówi o swoich uczuciach, i doprowadza mnie do śmiechu, i mogę znieść jego sposób ubierania się, i umie gotować, i zmienia pościel.

- Mój Boże, musi chyba być z nim coś nie w porządku - powiedziała Teresa kwaśno.

Zamyśliłam się.

- Kibicuje Aston Villi - oznajmiłam w końcu. Uśmiechnęła się do mnie. Rzuciła mi jedno z tych matczyńskich spojrzeń.

- Wiesz co? - Czasami najtrudniej jest wtedy, kiedy dostanie się to, czego się chciało.

Rozdział siódmy

Wróciłam do Londynu. Wprowadzając 2B do garażu, zauważyłam Delię, czekającą na maie na schodkach do domu. Wsiadłam.

- Gdzie jest NOT 2B? - wrzasnęłam.

- Że co? - spytała Della.

- Jaguar - powiedziałam, wskazując puste miejsce koło mojego samochodu, czy też raczej samochodu, który przydzielił mi Mac. Kiedy kupował samochody, rejestracja jaguara miała brzmieć 2B, a mojego małego autka NOT 2B. Jednak ktoś się pomylił i tablice rejestracyjne przydzielił na odwrót.

- To pieprzenie się z 2B i NOT 2B mnie dobija - powiedziała Della.

- Najwyraźniej ktoś go ukradł - stwierdziłam, zła, i wpuściłam nas do domu.

- Hej, jak miło cię widzieć - powiedziała Della. - To super, że wpadłaś sprawdzić, co się ze mną dzieje, tak jak to powinna zrobić najlepsza przyjaciółka.

- O mój Boże. Właśnie zobaczyłam sfatygowaną, starą skórzaną torbę do krykieta, zajmującą pół holu. - Mac wrócił.

Weszłam do kuchni. Poszła za mną.

- Nigdy tego nie robił. Nigdy mnie tak nie zaskakiwał.

- Wciąż masz na sobie sukienkę z wczorajszego wieczoru - zauważyła Della. - Co się działo?

- Ed przyszedł.

- Och, to doooooobrze - powiedziała Della.

- Nie. Przyszedł. I poszedł.

W tej chwili usłyszałyśmy z dworu piśnienie centralnego zamka, trzasnęły drzwi wejściowe i do pokoju wkroczył Mac. Właściwie powiedzenie, że wkroczył do pokoju nie oddaje rzeczywistości - powinno się powiedzieć, że Mac stał się pokojem. Mac jest jak próżnia - wciąga wszystko, co znajduje się wokół niego. I to mimo swego zdecydowanie niewielkiego wzrostu. Jest niewysoki i krępy, ale twardy jak skała, z rzednącymi, krótko obciętymi siwymi włosami i dużym nosem. Kobiety go po prostu oblegają. Jest bardzo zwarty, trochę jak Al Pacino. To niscy podbijają świat.

- Hej, ty flejo - zwrócił się do mnie - musiałem pójść po mleko. - Postawił na stole cztery ogromne torby zakupów z Planet Organie. - Jestem na

zdrowej żywności - wyjaśnił. - Urna wygłosiła mi długi wykład na temat tego gówna, które zjadam. - Włożył do ust trzy papierosy i wszystkie zapalił.

Żartuję, włożył do ust tylko jednego papierosa, ale przy Macu zawsze się czuje, że jeden to za mało. Papieros niknie po prostu między jego grubymi, krótkimi palcami - mały, biały patyczek, odważnie dymiący w huraganie jego obecności. Odważny, dopóki z nim nie skończy, oczywiście - Mac zazwyczaj kończy papierosa w trzy pociągnięcia.

- Masz - powiedział do mnie, wyciągając pudełko z jednej z toreb. - Kupiłem ci urządzenie do kiełkowania kiełków - musisz się wdroyć w to gówno. Wtedy będziemy z nich wyciskać sok i wstrzykiwać go sobie. Cześć - to do Delii.

- Cześć - odpowiedziała Della, patrząc na niego oczami wielkimi jak spodki. Jeszcze nigdy nie zetknęła się z Makiem.

- Mac, nie uprzedziłeś mnie o swoim przyjeździe.

- Sam nie wiedziałem, że przyjeżdżam, dziecinko - w jego głosie burczenie rodem z Glasgow ładnie mieszało się z przeciąganiem rodem z Los Angeles. Zaczął relacjonować przebieg ostatnich dwudziestu czterech godzin życia, w których było miejsce i na Paryż, i na Winonę, i na concorde, niekoniecznie w tej kolejności. Della krzywiła się za każdym razem, gdy padało jakieś nazwisko. Ja przestawiłam się na automatycznego pilota i robiłam kawę. Moje życie legło w gruzach, nie spałam tej nocy ani minuty, a Mac był w mieście. Staralam się skupić, by nie stawiać wszystkiego do góry nogami.

Zaparzyłam kawę i przeszukałam torby. Mleka nie było.

- Zapomniałaś kupić mleko - powiedziałam, przerywając mu w pół słowa.

W drodze do sklepu na rogu wyciągnęłam telefon komórkowy i zaczęłam dzwonić, by wiadomość się rozeszła - była niedziela, więc przemawiałam do wielu automatycznych sekretarek. Chodziło mi o to, by załatwić Macowi szereg spotkań na następny dzień.

Mac chętnie myślał, że z przyjemnością spędza wolny czas w domu na odpoczynku, ale wiedziałam, że po paru minutach będzie łąził po ścianach i unieszczęśliwiał wszystkich dokoła. Przypomniałam sobie także, że wieczorem jest w Londynie premiera i przyjęcie, więc tam również się nagrałam z prośbą o odpowiedź. A potem pomyślałam, a co do cholery, i poszłam aż do Starbucks, żeby kupić naprawdę dobrą kawę.

Gdy wróciłam, Della była w kuchni sama.

- Poszedł pod prysznic - powiedziała. Zniosłam Macowi kawę do sypialni. Della i ja wypiliśmy swoją w kuchni.

- Czy on, no wiesz, rzeczywiście pieprzy te wszystkie gwiazdy filmowe?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałam. Co było prawdą. Nie miałam pojęcia.

- Nie miałam pojęcia - powiedziała Della.

- O czym? - spytałam.

- No, że on... że on jest...

- Trzeba czasu, żeby się do niego przyzwyczaić - powiedziałam nieco defensywnie - ale jest tak entuzjastycznie do wszystkiego nastawiony, i ja go naprawdę lubię, a on lubi mnie. Po tamtym zajściu z próbą gwałtu jakoś żeśmy się zaprzyjaźnili.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Mówiłam ci o tym - powiedziałam. - Nie mówiłam? Musiałam mówić.

- Nie - odpowiedziała.

- Zapomniałaś.

- Nie zapomniałam. Nigdy nie zapomnę opowieści o próbach gwałtu. To moje ulubione.

Zamyśliłam się.

- Już wiem - stwierdziłam - to musiało być w czasie Zimnej Wojny. - Zimna Wojna to było półtora roku, kiedy ze sobą nie rozmawialiśmy. - To się zdarzyło parę tygodni po tym, jak mnie zatrudnił. Właśnie kupił ten dom, byliśmy w sypialni, bo dekoratorka zawiesiła niewłaściwe zasłony, i w jednej chwili staliśmy koło łóżka, a w następnej ja leżałam na łóżku, a on leżał na mnie. Nic nadzwyczajnego.

- Do jasnej cholery - powiedziała. - To się nazywa molestowanie seksualne.

- Och, nie. To nie było aż tak subtelne.

- Więc co zrobiłaś? - spytała.

- Powiedziałam mu, żeby spadał.

- Chytrze. Nigdy bym na to nie wpadła.

- Więc po prostu wstaliśmy z łóżka i dalej rozmawialiśmy o zasłonach.

- Facet jest niski. Nie da się tego ukryć. Z deficytem w pionie. Ale czy nigdy... czy nie... czy ani przez chwilę nie pomyślałaś... No wiesz, on ma bardzo silną osobowość.

- Del - powiedziała - pomijając wszystko inne, gdyby cokolwiek zaszło między mną a Makiem, na pewno nie utrzymałabym tej pracy przez całe trzy lata.

- McPracy.

- Tak - przytaknęłam. - McPracy. - Della tak to nazwała, bo była zazdrosna. I trudno mieć jej to za złe.

W tym momencie pojawił się Mac. Skierowałam się wprost do ekspresu do kawy, wiedząc, że będzie musiał ponownie zatankować. Najwyraźniej już wykonał kilka telefonów, bo powiedział mi, żebym mu załatwiła bilety na premierę, a ja odpowiedziałam, że już załatwiłam. Nawet nie mrugnął. Mówił dalej o limuzynach, stolikach w restauracji i o tym, czy Cate jest w mieście.

- Zawsze chciałam coś takiego zrobić - oznajmiła Della. Oboje spojrzeliśmy na nią, z nieco różnych powodów.

- I? - spytał Mac.

- I chciałabym, żebyś mnie zaprosił.

- Twoje życzenie - powiedział Mac - jest dla mnie rozkazem. - I zapalił następnego papierosa.

Żegnałam Delię na schodkach przed domem, gdy nagle przypomniała sobie, że wciąż mam na sobie sukienkę z poprzedniego wieczoru.

- A co z Edem? - spytała.

- Nie wiem, może to moja wina - powiedziałam. - Postawiłam go na piedestale, a upadek stamtąd jest bolesny...

Przerwała mi.

- Czy chodzi ci o te rozebrane tancerki? - spytała.

- Tak - powiedziałam. - Chyba stracił w moich oczach.

- Zabawne - zauważyła. - Bo w moich zyskał.

- Pa - pożegnałam się.

- Zobaczymy się wieczorem - rzuciła, odchodząc.

Rzeczywiście zobaczyłam Delię kroczącą po czerwonym dywanie. Ubrała się w sposób, który wyraźnie mówił „patrzcie na mnie”: czarna skóra i długie nogi. Dwie laski w wieczorowych sukniach wyglądały przy niej jak sztywniaczki. Miała także na nosie ciemne okulary, żeby fotografowie nie widzieli, że jej nie rozpoznają. Krzyczeli do niej: „Przepraszam, ślicznotko, kim jesteś?”. Della zdjęła okulary, krzyknęła „Nikim!” i zaniósła się śmiechem. I tak zrobili jej zdjęcie.

Przeżyłam kryzys ubraniowy, ponieważ wszystkie moje rzeczy były w mieszkaniu Eda, a sukienka z panińskiego wieczoru wyglądała, jakby już widziała lepsze czasy. Co było prawdą. W końcu poszłam i w sklepie z używaną odzieżą na King's Road kupiłam sobie karminowo-różową sukienkę na ramiączkach za dwadzieścia pięć funtów, a na to założyłam mały kaszmirowy sweterek, który zawsze trzymam u Maca na wypadek, gdyby mi było zimno.

Film był ponurą nudą, ale przyjęcie po filmie wręcz przeciwnie, co się często zdarza. Wszyscy się bardzo dobrze bawili. Wszyscy inni, znaczy się. Snułam się wśród ludzi, czując się porzucona, równocześnie jednak unikając tych, których znałam, żeby nie musieć wdawać się w długie, pokrzykiwane konwersacje o niczym.

Moim zdaniem przyjęcia mają sens tylko wtedy, gdy chodzi o to, żeby się naćpać, załatwić sobie pracę albo znaleźć kogoś do przespania się. Ale teraz akurat nie mam ochoty na odlot, a poza tym mam pracę i ją lubię. Rzeczywiście rozglądałam się nieco wokół, z przyzwyczajenia, ale naprawdę nie był to odpowiedni moment, żeby szukać kogoś na szybki numer.

Delię widziałam przez jakieś pięć sekund na samym początku.

- Zdajesz sobie sprawę - powiedziałam - że jutro znajdziesz się w gazecie pod nagłówkiem „Kim jest ta dziewczyna?“, albo, co gorsza, „Kim jest ta dziewczyna z Makiem?“. - Wydawało mi się, że nie słucha, więc dodałam: - Przecież gdyby ci zależało na kontrakcie z Estée Lauder za milion dolarów, to mogłaś go mieć.

- Rozgoryczona? - spytała. - Masz za złe?

- Nie, nie.

- Już ci mówiłam - oznajmiła - że gdybym miała ochotę na ubieranie się i rozbieranie przez cały dzień, to bym to robiła. - I więcej jej nie widziałam. Della nie jest rzepem.

W końcu wdałam się w rozmowę z tęgim siwowłosym mężczyzną. Wydawał się być mną zainteresowany, co było dosyć miłe. Nie dosłyszałam jego nazwiska, gdy nas sobie przedstawiano. W końcu zasiedliśmy na balkonie, ja na szerokiej, kamiennej balustradzie. Tam było spokojniej. Pytał mnie o moje życie, i w końcu opowiedziałam mu o Edzie. Gadaliśmy chyba ze dwie godziny. Od czasu do czasu przynosił mi szklankę wody mineralnej.

Był ciepły, pachnący wieczór, a widok był jak pocztówka „Światła Londynu“.

Po jakimś czasie dotarło do mnie, że ten gość nie jest po prostu miłym, siwowłosym staruszką, ale istotą ludzką, mającą własne życie. Spytałam go więc, czym się zajmuje. Powiedział, że jest reżyserem. Spytałam uprzejmie, czy nakręcił coś, co mogłam zobaczyć. Spokojnie wymienił swoje filmy - właściwym dla nich miejscem byłaby lista do nagrody za całokształt twórczości. Zresztą pewnie miał kilka takich nagród.

- O mój Boże. Strasznie przepraszam. Nie wiedziałam, że to pan. To znaczy, nie wiedziałam, że pan to pan.

Przyjrzałam mu się. W jego oczach coś zamigotało. Dotarło do mnie, że bardzo delikatnie i bardzo pięknie mnie uwodzi. Przez ułamek sekundy ogarnęła mnie pokusa, ale wtedy powiedział:

- Jeśli kiedykolwiek wyleczysz się ze swego narzeczonego, daj mi znać.

- Już się z niego wyleczyłam. - Nie odpowiedział, tylko potrząsnął głową - w pewnym sensie. Przesunął ją tylko centymetr w prawo, centymetr w lewo. A potem sobie poszedł.

Mniej więcej po godzinie od tej chwili dojrzałam do tego, żeby zadzwonić z komórki do Eda. Przyjechał po mnie furgonetką. Wydawało mi się, że to nie jest całkiem w porządku, ale chciał, więc mu pozwoliłam.

W drodze do domu powiedziałam Edowi, że kiedy tak mi odbija, to dlatego, że nienawidzę siebie samej, i że nie powinien tego brać do siebie. Stwierdził, że o tym wie.

Zezłościłam się, że o tym wie.

- Więc w ogóle się nie martwiłeś? - spytałam.

- Oczywiście, że się martwiłem - oznajmił. - Martwiłem się, że wszystko zmarnujesz. Ale wiedziałem, że nie chodzi o mnie - dodał, gdy weszliśmy do domu i szliśmy po schodach na górę.

Odwróciłam się. Stał niżej niż ja.

- I to właśnie - powiedziałam - mnie cholernie wkurza. I to było takie proste, to właśnie chciałam powiedzieć.

Złapałam go, on złapał mnie. W końcu zrobiliśmy to tam na schodach. Czasami nam się to zdarza - namiętny, szybki numer.

Wiem, że podobno kobiety tego nie lubią, że wymagają całych godzin gry wstępnej. Ja też - ale od czasu do czasu zdarza się, że chcę od razu przejść do sedna. Zanim spotkałam Eda, zawsze sobie marzyłam, że pewnego dnia jakiś gość tak oszaleje na moim punkcie, że ledwo przestąpi próg, a już przyprze mnie do ściany i zacznie namiętnie całować.

Oczywiście nigdy mi się to nie zdarzyło. Anglicy zazwyczaj dużo mruczą i sapiają, i mówią takie rzeczy jak „A co teraz czytasz?”. Albo też, zależnie od rodzaju, są tak całkowicie skupieni na przygotowaniach do przyćpania, że zaczynasz się zastanawiać, czy to nie bujda z tym, że mężczyźni chcą seksu, i może „Playboy” istnieje tylko po to, żeby pisać o podatkach Hugh Hefnera.

Ale kiedy w końcu doszliśmy do porozumienia, Ed okazał się ściennym przypieraczem. Miła niespodzianka. Powiedziałam „kiedy doszliśmy do porozumienia”, ponieważ po kupowaniu sukienki i pływaniu łódką Wcale nie do razu wpadliśmy sobie w ramiona i stali jednością.

Co prowadzi mnie do Etapu Piątego w moim nieocenionym poradniku, jak znaleźć prawdziwą miłość.

Etap Piąty:

odmawiaj przespania się z facetem przez jakieś sześć miesięcy.

Po dziś dzień nie wiem, dlaczego na początku nie mogłam. Chyba dlatego, żeśmy się naprawdę zaprzyjaźnili. Najpierw myślałam, że zaprzyjaźnienie się z nim wszystko zepsuje, a teraz wydawało mi się, że przespanie się z nim wszystko zepsuje - co więcej, byłam o tym głęboko przekonana. A poza tym nie chciałam się z nim przespać, ponieważ, jak wszystkim powtarzałam, „on mnie nie pociąga”.

- Zdefiniuj „pociąga” - zażądała Ven przez satelitę pędzącego w kosmosie gdzieś nad Brazylią.

- Proszę cię - powiedziałam - nie mam ochoty poddawać się amatorskiej psychoanalizie przez telefon, w dodatku komuś, kto po pierwsze, jest tylko moją siostrą, a po drugie, tylko fasolką. - Tak ją nazywałam, gdy była jeszcze w brzuchu mamy i przez jakiś czas potem. - Doskonale wiesz, co znaczy „pociąga”.

- Ale co „pociąga” znaczy dla ciebie? - nalegała.

- Znaczy ścina z nóg, znaczy - no wiesz - to walnięcie w żołądek, takie chodzenie z głową w chmurach, no nie wiem - powiedziałam. - Nie potrafię tego opisać. Wiesz, jak to jest, wszyscy wiedzą.

- Ale co się dzieje w tym ułamku sekundy, zanim opanuje cię takie uczucie? Dzięki czemu uznajesz, że facet cię pociąga?

- Nie podejmuję takich decyzji! - wrzasnęłam. - To się po prostu zdarza samo.

- Błąd - powiedziała.

- Słuchaj no, do czego to wszystko ma prowadzić? Bo jeśli chcesz mnie skłonić, żebym pieprzyła się z ludźmi, którzy mnie nie pociągają, to ja się nie zgadzam. To zboczenie. Przykro mi. Wolę już być samotna przez całe życie.

- No właśnie.

- Powiedziałam - powiedziałam - że nie rozmawiamy na ten temat.

- Ależ rozmawiamy.

- Nie, nie rozmawiamy. I tak to trwało.

Ciągle mi się śniło, że wchodzę po schodach w jakimś domu, w którym pokoje robią się coraz mniejsze i mniejsze, a schody coraz węższe, aż w końcu ledwo się mogę przecisnąć, a potem znajduję się na strychu, tak małym, że jestem ściśnięta jak Alicja w Krainie Czarów, kiedy się robi duża, a dach domu uwiera mnie w głowę.

Czasami w nocy Ed przekręcał się w moją stronę, głaskał mnie po twarzy i wsuwał mi włosy za uszy, ponieważ po pewnym czasie spaliśmy razem - spaliśmy - kiedy nie chcieliśmy, żeby skończył się wieczór i nie mieliśmy ochoty się rozstawać. Nazywaliśmy to „zostawaniem na noc” - jak wtedy, kiedy się chodzi do szkoły, a twoja najlepsza przyjaciółka przychodzi do ciebie po lekcjach i tak dobrze się bawicie, że w końcu rodzice zgadzają się na to magiczne „zostanie na noc”.

W tym okresie Ed i ja od czasu do czasu obejmowaliśmy się i całowali w policzki, ale nic więcej. Nie było żadnego wyczuwalnego napięcia seksualnego, żadnego ściskania w żołądku, uniemożliwiającego jedzenie. Aż w końcu kiedyś Ed miał pojechać w odwiedziny do swojej ciotecznej babki Idy. Była niedziela, nie miałam nic innego do roboty, więc powiedziałam, że z nim pojedę. Ida mieszkała w domu starców koło Bournemouth - pełna życia, koścista istota, dobrze ponad dziewięćdziesiątkę, chora na Parkinsona, z telewizorem szerokoekranowym, w który patrzyła przez cały dzień, i żelazną wolą. Była mną zafascynowana i gdy tylko nie patrzyła na ekran telewizyjny, wbijała we mnie najbardziej paciorkowate oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Ile razy podnosiłam wzrok, ona zawsze się we mnie wpatrywała. Podczas przerwy na reklamy krzyknęła nagle:

- Ja tam bym sobie nie zawracała głowy wychodzeniem za męża. Stare przesady, pieprzyć to!

- Honey i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi - powiedział Ed, podnosząc głos. Gestem wskazał mi, że jest trochę przygłucha.

- Nie musisz krzyczeć, kochany! - wrzasnęła. - Może jestem do niczego, ale nie jestem zdziecinniałą staruszką i nie jestem głucha. - Zwróciła się ku mnie. - Wszyscy uważają, że starzy ludzie są głusi! - zagrziała.

Ed powiedział, że przeprasza.

- Co mówisz? - krzyknęła niezadowolona. Podczas następnej przerwy na reklamy krzyknęła:

- Całe życie byłam lesbijką. Wiedziałeś o tym? - I dodała: - Ja tam bym sobie nie zawracała głowy wychodzeniem za męża. Stare przesady, pieprzyć to!

Ed spojrzał na mnie przepraszająco.

- Nie planujemy małżeństwa, ciociu Ido. Ale gdybyśmy planowali, to na pewno nie zaproszę cię na ślub.

- Zaprosisz mnie na ślub?! - wrzasnęła. - Nie zawracaj sobie głowy. Umrę do tego czasu.

- Jestem pewien, że nie - powiedział Ed, nie znajdując innych słów.

- Mam cholerną nadzieję, że jednak umrę - odpowiedziała.

Jej ciało było kanciaste, pozginane i wyblakłe, jak leżak, który zostawiono w ogrodzie na wiele lat. W końcu wstaliśmy, żeby się pożegnać. Ed i ja znaleźliśmy się po obu stronach Idy, naprzeciwko siebie. Podniosłam wzrok na Eda i poczułam, jak przez moje ciało przebiega dziwne uczucie, podobne do tego, kiedy zbyt długo przyciskasz ramię do ściany, a gdy się odsuwasz, to ręka sama z siebie leci w górę. Patrzyłam na Eda, zupełnie jakby zmienił się w jakiegoś... Pana Wszechświata. Nie miałam pojęcia, że jest taki wysoki, odważny i silny. I ja też byłam Amazonką. I wtedy to się stało - fala pożądania przetoczyła się przeze mnie, przeniknęła mnie. Nie wiem, jak to opisać, to było jak duchowe przeżycie - co nie znaczy, że kiedykolwiek miałam jakieś duchowe przeżycie, ale gdybym miała, to pewnie byłoby czymś właśnie takim.

Ed i ja poszliśmy do samochodu, a ja nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nie mogłam mówić. Ed chyba po prostu zrozumiał. Też nic nie mówił. Pojechaliśmy drogą wzdłuż wybrzeża. Potem zatrzymał samochód i poprowadził mnie w dół po skałach, aż znaleźliśmy trawiastą półkę i nagle rzuciliśmy się na siebie, jakby minionych sześciu miesięcy w ogóle nie było. I tak się zaczęło. Narodziny namiętnego szybkiego.

Szczęśliwe zakończenie. Powinnam jednak dodać, że:

a - uprawialiśmy również długie i powolne kochanie się, oraz

b - na wypadek gdybyście chcieli coś z tego naśladować - kiedy wdrapaliśmy się na powrót na skały, zobaczyliśmy starszą parę z dziwnym wyrazem twarzy, siedzącą przy sztalugach i malującą pejzaże.

Rozdział ósmy

Tak się zdarzyło, że w dzień po przyjęciu premierowym i naszym ponownym zjednoczeniu Ed z samego rana jechał zająć się ogrodem Maca. Postanowiłam się z nim zabrać, wiedząc, że tym sposobem pojawię się w pracy dwie godziny wcześniej niż zazwyczaj. Pomyślałam, że wypiję kawę z Edem w ogrodzie i poprzyglądałam się, jak przycina.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Mac leżał jeszcze w łóżku. W gruncie rzeczy nie spodziewałam się, by był już na nogach - kiedy przyjeżdża do Londynu, często funkcjonuje w czasie nowojorskim.

Postanowiłam zadzwonić do Ven, z nadzieją, że jeszcze nie śpi. Nie spała. Chodzi na kurs feng shui i za dwa dni ma egzamin, więc siedziała i uczyła się.

Powiedziałam, że wróciłam do Eda, a ona wyjąkała, och... to dobrze... taaa... nie... to naprawdę bardzo dobrze.

- Ven! - powiedziałam. - Co się dzieje?

- Nic, to naprawdę znakomite wieści. Ale wiedziałam, że się zejdziecie.

- Od kiedy to używasz takich słów jak „znakomite”? - spytałam.

- Czy możemy zacząć tę rozmowę od początku? - zaproponowała.

- O co ci chodzi?

- No wiesz - wyjaśniła - chodzi o to, że dostałam pierwsze zlecenie jako specjalistka od feng shui i to niemal koliduje z datą twojego ślubu, ale nie całkiem. To znaczy, po prostu nie będę mogła przyjechać do Londynu na tak długo, jak mówiłam.

- A nie możesz zmienić daty swojego zlecenia? - spytałam.

- Nie, nie mogę - powiedziała. - Tu chodzi o ślub. Muszę zrobić feng shui w ślubnym lokalu.

- A kiedy konkretnie - zapytałam - jest ten ślub?

- No, sam ślub nie jest tak bardzo istotny - odpowiedziała. - Ważne są te dni przed.

- Ven - powtórzyłam - kiedy dokładnie jest tamten ślub?

- Tego samego dnia - odrzekła. - Tego samego dnia, co twój. Ale nie martw się, przyjadę na twój ślub, oczywiście, że przyjadę. Tutaj nie muszę być na samym ślubie, ale nie mogę wyjechać podczas przygotowań. Chodzi o to, że to moje pierwsze duże zlecenie - wczoraj na jodze wpadłam na moją nauczycielkę feng shui, a ona właśnie wpadła na tamtą kobietę na masażu tajskim, i tamta kobieta chciała ją zatrudnić, znaczy moją nauczycielkę, ale

ona wtedy wyjeżdża, więc poleciła mnie po zniżkowej cenie. Ale fajnie, nie? Poza tym myślałam, że twojego ślubu nie będzie - dodała.

Długie milczenie.

- I nie sądziłam, że tak się przejmujesz ślubem - stwierdziła.

- No, nagle się przejmuję - oznajmiłam. Znowu milczenie. - Miałaś tu być podczas przygotowań - powiedziałam. - A poza tym to nawet nie chodzi o ślub. Ed i ja wyjeżdżamy zaraz potem. Prawie się nie zobaczymy. - Dalsze milczenie. - Tęsknię za tobą.

- O rany! - wykrzyknęła. - Prawdziwe uczucia. Czuję się okropnie.

Stwierdziła, że musi zjeść porcję lodów Haagen Dazs. Zanim odłożyła słuchawkę, spytała, czy wiem, że Haagen Dazs to nazwa wymyślona przez firmę, i czy mogę sobie wyobrazić, że ktoś mógł wymyślić taką nazwę jak Haagen Dazs i uważać, że jest zajebista jak nie wiem?

Odłożyłam słuchawkę, czując się naprawdę gównianie. Znowu, pomyślałam. Znowu. Wczoraj jedno, dzisiaj drugie. Czy Bóg nie wie, że za całe to gówno, jakie przeżyłam przez weekend, powinnam w nagrodę dostać dwa albo trzy (minimum) beztróskie dni, w których delektowałabym się życiem jak ta pracująca dziewczyna w reklamie szamponu - z fruwającymi włosami. To znaczy, wiem, że wychodzenie za mąż powoduje zamieszanie, i chętnie się do tego dostosuję, ale nie codziennie, do cholery. Tego już za wiele. I żadnego Haagen Dazs, którym mogłabym się pocieszyć.

Zadzwoił telefon. Znowu Ven.

- Oczekuj porzucenia - powiedziała. - Właśnie otworzyłam moją codzienną książeczkę do medytacji i tam to znalazłam. Niesamowite, nie?

- Oczekuj porzucenia? Przez własną siostrę? - zapytałam.

- Tak! - potwierdziła. - Czemu nie? Posłuchaj, przeczytam ci coś: „W ostatecznym rozrachunku jesteśmy całkowicie i absolutnie sami”.

- No - westchnęłam - to mnie rzeczywiście pocieszyło. I naprawdę tak było. Po pierwsze dlatego, że z tego punktu widzenia sprawy mogą się toczyć tylko ku lepszemu, a po drugie, że zadzwoniła do mnie. Po chwili spytałam:

- A poza tym, to jak do cholery robi się feng shui ślubu? Gdy w końcu odłożyłam słuchawkę po drugiej rozmowie z Ven, zadzwoniłam do Delii. Musiała już chyba wyjść do pracy, bo w domu nikt nie odbierał, więc zadzwoniłam na jej komórkę. Potrzebowałam pogodniejszej konwersacji na temat powrotu do Eda.

- Cześć - powiedziała. Głos miała najpierw niewyraźny, a potem nieco zaniepokojony. - Gdzie jesteś? - spytała.

- Wszystko w porządku - zapewniłam ją. - Z Edem, zesłiliśmy się znowu.

- Niedobra! - wykrzyknęła. - Ehm, Honey, muszę się wyłączyć.

- Czy jesteś w autobusie? - spytałam, ale w słuchawce panowała głucha cisza.

Wyjrzałam przez okno na Eda, pracującego w ogrodzie. Przycinał jak szalony, machając ramionami i rąbiąc gałęzie. Lubi przycinać, mówi, że to terapeutyczne i uwalnia tłumiony gniew. Nawet wtedy, gdy niczego nie musiał tłumić, ogród po jego wizycie wyglądał, jakby właśnie wyszedł od fryzjera. Martwiłam się trochę, jak będzie wyglądać dzisiaj, biorąc pod uwagę ciężki weekend Eda - być może otrzymamy zbiór drzewek bonsai? Przynajmniej będzie to coś japońskiego. Choć to chyba prawda, że krzewy różane przycięte w pokręcone karły znacznie lepiej rosną. Jak powiedziała Ven: jeśli cię to nie zabije, to uczyni cię mocniejszym.

Zobaczyłam, jak Ed zwalnia na chwilę i uprzejmie macha ręką do okna na górze. Mac. Słyszałam jego kroki i różne hydrauliczne odgłosy. Włączyłam ekspres do kawy i, wtykając przenośny telefon między ucho a ramię, ponownie wywołałam Delię.

- Więc jak było zeszłego wieczora? - spytałam, kiedy odebrała.

- Słuchaj - odpowiedziała - muszę zadzwonić do pracy i uprzedzić ich, że się spóźnię.

- Powiedz mi tylko, co się działo, kiedy wyszłam - nie poddawałam się. - Przeleciałaś jakiegoś gwiazdora filmowego?

- Nie, właściwie nie - zapewniła. - Pogadamy później, dobrze? - Zrozumiałam z tego, że nie jest to konwersacja odpowiednia dla górnego piętra autobusu linii dwadzieścia dwa.

- Czy Mac cię nie męczył? Nie robi } się perwersyjny? - spytałam, niosąc kawę przedmiotowi naszej rozmowy.

- Nie, właściwie nie. Zapukałam do drzwi sypialni Maca.

- Wejdz - powiedział Mac, jak zwykle na wpół z nadzieją, ale ja tylko otwieram drzwi i stawiam tacę na stoliku przy drzwiach, nie wchodząc do środka.

- Co to znaczy właściwie nie? - spytałam, zamykając drzwi do jego pokoju i równocześnie czując bardzo nieprzyjemne ściskanie w żołądku. - Della - powiedziałam - ty chyba nie... to znaczy... nie, daj spokój... - Sama myśl była tak okropna, że nie mogłam jej ubrać w słowa. - Della - spróbowałam jeszcze

raz - obiecaj mi, że nie będziesz kręcić z Makiem. - Wydała z siebie coś w rodzaju histerycznego chichociku. - Nie, mówię poważnie - powiedziałam - to wcale nie jest śmieszne. Macą nawet ty nie dasz rady strawić.

- Herr Kontroller - zagrzmiała.

- Della - poprosiłam - poważnie, obiecaj, że nie będziesz kręcić z Makiem. To wcale nie jest śmieszne. Obiecuj.

Telefon zazgrzytał nagle wprost w moje ucho. Drzwi do łazienki były uchylone i jakiś hałas - coś - sprawiło, że wyciągnęłam rękę i lekko je pchnęłam.

Tył głowy Delii: leżała w kąpieli, z telefonem przy uchu. Jedną delikatną stopą bawiła się kranem od gorącej wody. Zrobiłam dwa kroki w jej kierunku, boso po marmurze.

- Herr Kontroller - powtórzyła znów do telefonu - nie możesz mnie zmusić.

Stanełam za nią. Mój telefon miał długą, srebrną, wysuwaną antenę. Wyciągnęłam ją jak szpadę. Machnęłam nią nad jej głową i podsunęłam brutalnie pod brodę.

- Mamy swoje sposoby - wypowiedziałam najlepszym gestapowskim akcentem, wprost do jej ucha.

Della wrzasnęła. Był to długi, zadowolający wrzask. Był to wrzask, od którego mógłby się zawalić dom.

Wykręcając jej ręce, zmusiłam ją do pójścia do kuchni w jednym ze szlafroków Maca. Mac wysunął głowę przez drzwi sypialni, ale natychmiast ją cofnął, gdy zobaczył, że jesteśmy razem. Del naląła sobie kawy. Obie byłyśmy na granicy hysterii.

- Jesteś bardzo chorą kobietą - stwierdziłam.

- Podobał mi się ten krzyk - oznajmiła. - Był jak orgazm.

- Mogę przez to stracić pracę - powiedziałam. Jednak ona tylko przewróciła oczami lekceważąco. Patrzyłyśmy na siebie ponad barkiem śniadaniowym.

- No, teraz wiemy, dlaczego nazywają go Big Mac -mruknęła.

- A nazywają go Big Mac? - spytałam.

- Podobno - odpowiedziała. - Tak - potwierdziła rzeczowo - tak go nazywają. - I kilkakrotnie skinęła głową.

Zaczęłam się śmiać'. Śmiałam się tak, że w końcu aż zawisłam na barku śniadaniowym.

- Wczoraj - kontynuowała Della w przerwach, gdy łapałam oddech - jak tylko poszłaś po mleko, powiedział, że idzie wziąć prysznic, a potem wrzasnął z góry, żebym mu przyniosła papiery - tak, wiem, to strasznie śmieszne. Ale pomyślałam, że pójde na górę zobaczyć, co się dzieje, a gdy zajrzałam do łazienki, z prysznicza wystawała jego ręka trzymająca papierosa. - Spojrzała na mnie z rozmarzeniem. Była cała rozpromieniona. Nie widziałam Delii tak podnieconej od czasów, gdy przeleciała Vinniego Jonesa. - Pali pod prysznicem! - zawołała. - Wychyla się - opowiadała, odgrywając dla mnie tę scenę - pociąga i znika z powrotem.

- O Boże! - wykrzyknęłam. - Straciłaś dla niego głowę. Straciłaś dla niego głowę, bo pali pod prysznicem.

- Więc ja... znaczy się... Opuszczę zasłonę na to, co było później, dobrze?

- Och, a czemuż to? - spytałam. - Nigdy dotąd nie przejmowałaś się zasłonami.

- No wiesz - wykręcała się - was łączy układ zawodowy.

- Ty nie... a może jednak... zrobiłaś to? Wczoraj, gdy wyszłam.

- No, zrobiłam... jemu, że tak powiem, ponieważ nie mieliśmy wiele czasu, a potem...

- Potem znowu w nocy? - spytałam niedowierzająco. - I co to ma być? Długotrwały związek?

Wszedł Ed, szukając czegoś do picia. Della powiedziała „Cześć, śliczniutki” i pocałowała go.

- A dlaczego - drażylałam temat - udawałaś, że jesteś w pracy, kiedy zadzwoniłam?

- Wcale nie udawałam - odpowiedziała. - To ty tak założyłaś. Jestem na późniejszej zmianie - spojrzała na zegar - ale muszę lecieć. Powinnam wrócić do domu i przebrać się.

Ed spojrzał na Delię, ogarniając sytuację, potem powiedział: „Trzymaj się” i uśmiechnął się z pewną obawą. Wydaje mi się, że Ed się jej trochę boi.

Gdy Della już sobie poszła, żebra wciąż bolały mnie ze śmiechu, ale szybko trzeźwiałam. Powróciło ściskanie w żołądku, więc znów zadzwoniłam na jej komórkę.

- To nie może się dalej ciągnąć - oznajmiłam. - Stracę pracę.

- Nie, nie stracisz - zapewniła.

- Owszem, stracę. Będzie mu wstyd i będzie skrepowany, jeśli nie teraz, to później. To musi się stać, a potem on nie będzie w stanie znieść mojego widoku, ponieważ będę mu ciebie przypominać, i znajdzie jakąś wymówkę -

nie, co ja mówię, nie będzie się przejmował wymówkami, po prostu mnie zwolni i tyle.

- Uspokój się. Pewnie nigdy więcej go nie zobaczę. Chwila ciszy. Nie mogłam się jednak powstrzymać od pytania:

- Ale - tak szczerze - jak było?

- Jest zabawny - podnieca mnie - tutaj w lewo, proszę - to do taksówkarza.

- Muszę uciekać, Honey.

I już jej nie było.

Mac zszedł na dół pół godziny później. Spodziewałam się może odrobiny zakłopotania - nigdy dotąd nie miałam wglądu w jego bogate (jak zakładałam) życie seksualne - ale powinnam była wiedzieć lepiej, ponieważ nie dostrzegłam w nim nawet cienia zawstydzenia. Mieliśmy natomiast kilka dni szaleńczej pracy, w czasie których sypiałam po cztery godziny na dobę, aż w końcu powiedziałam:

- Mac, wiesz, że za dziesięć dni wychodzę za mąż.

- Jasne, dziecinko, śpij spokojnie, wynoszę się stąd jutro -wydukał swym okropnym szkocko-amerykańskim akcentem.

Okazało się jednak, że nie może czekać nawet do jutra, więc kupiłam mu bilet na popołudniowy lot.

Wiozłam go na lotnisko w NOT 2B, podczas gdy on na tylnym siedzeniu wciąż załatwiał różne rzeczy przez telefon. A potem nagle mnie przestraszył, wrzeszcząc:

- Wychodzisz za mąż! - Jakby to dopiero teraz do niego dotarło. - Nie żałujesz?

Powiedziałam, że mam nadzieję nie żałować. Powiedział, co to znaczy? Albo się żałuje, albo nie. Powiedziałam, że nic nie jest albo czarne, albo białe - i nie było to rozsądne, ponieważ Mac uważa, że wszystko jest czarno-białe.

- Nie pierdol! - wrzasnął.

- Nie jedziemy na ślub, Mac! - odkrzyknęłam - i nie chcę o tym mówić. - A potem spytałam go, czy on sam nigdy nie był bliski małżeństwa.

- No, kilka razy mnie wzięło - stwierdził - ale jak dotąd zawsze się wybraniałem.

- Jak dotąd? - spytałam.

- No wiesz - powiedział - to cholerstwo jest jak rak -możesz z nim walczyć, ale zawsze cię w końcu dopadnie.

Zapadła chwila ciszy, podczas której rozważaliśmy to inspirujące porównanie.

- Podobała mi się ta twoja przyjaciółka, jak ma na imię? - zapytał po chwili.

- Della - odpowiedziałam.

- Nie ma takich wiele - oznajmił i w lusterku wstecznym zobaczyłam, jak się uśmiecha.

- Chodzi z dentystą. Są z sobą od dziesięciu lat. - Absolutne kłamstwo. Jedyni ludzie na świecie, jakich się Mac boi, to dentyści. Znów zerknęłam w lusterko, ale nie wydawał się szczególnie zainteresowany.

- Więc o co chodzi? - spytałam. - No wiesz, mogłeś przecież brać i przebierać.

- Tak - oświadczył - najpiękniejsze kobiety na świecie. -Spojrzał przez okno z tęsknym wyrazem twarzy. Chyba nigdy nie widziałam u niego takiej miny. - Ale wiesz co -zawsze się cholernie boję, że jutro przyniesie coś jeszcze lepszego.

Po chwili spytał, czy wiem, co ma na myśli. Tego też nigdy przedtem nie robił - nie prosił o potwierdzenie. Powiedziałam, że wiem, co ma na myśli.

- Problem z jutrem jest ten - dodał poważnie, gdy już dotarliśmy na lotnisko - że nigdy, cholera, nie przychodzi.

Rozdział dziewiąty

Prom: alexlyell@hotmail.com

To: honeypot@webweweave.co.uk

Subject: Cześć

Date: 14 kwietnia - 15.55 PST Honey,

Żenię się. Tom właśnie wszedł do biura i przekazałem mu nowiny. Sapał i dyszał, machał rękami, chodził po pokoju, wypinając pierś i nie potrafił znaleźć słów wystarczająco obrazowo opisujących, jakim jestem idiotą. A potem opadł na krzesło zupełnie wypompowany i powiedział:

- Ty cholerny kretynie.

Więc odpowiedziałem, żeby sobie poszedł i miło spędził dzień.

- Rezygnuję - oznajmił.

- Składasz rezygnację? - spytałem.

- Rezygnuję - powtórzył - z dalszego przemawiania ci do rozumu. Jak zadałeś to pytanie?

Opowiedziałem mu o tym, że spytałem Cherelle, czy nie chciałaby wyskoczyć na jeden dzień do Vegas.

- No i? - zapytał Tom.

- Cherelle powiedziała: „A po co miałabym jechać do Vegas?”, a ja odpowiedziałem: „Żeby wyjść za mąż”.

- A co ona na to odpowiedziała? - spytał Tom.

- Za kogo?

- Co za kogo?

- Cherelle powiedziała: „Za kogo?”, czyli „Za kogo mam wyjść?” - powiedziałem.

- Niezłe - roześmiał się Tom. - Więc powiedziałeś jak trzeba „czy wyjdiesz za mnie?”, a ona powiedziała „tak”, i padliście sobie w ramiona, zgadza się?

- Coś w tym rodzaju - powiedziałem. - Trochę też popłakała.

- Zapewne z powodu tego uroczego sposobu, w jaki jej się oświadczyłeś, ty dupku - stwierdził Tom. - Co ma do tego pieprzone Vegas?

Powiedziałem mu, że chciałem pojechać do Vegas, podpisać co trzeba i mieć to z głowy. Nie zniosę tortów, bukietów i tego całego gówna. Tom spojrzał na mnie z politowaniem.

- Ale to zrobisz, nie? Jak znam Cherelle, nie wyślizgasz jej z tortów i kwiatów.

Uśmiechnąłem się.

- Będzie je miała. Chcę, żeby była szczęśliwa. - Dodałem jednak, że wypracowaliśmy kompromis. Mamy dwa tygodnie na to, żeby przygotować imprezę. Dwa tygodnie - i z głowy. Dwa tygodnie jakoś przeżyję.

- i Cherelle się na to zgodziła? - spytał Tom.

- Cherelle lubi wyzwania - powiedziałem. Potem dodałem jeszcze, że Cherelle pracowała w takiej firmie, gdzie przerabiali ludziom domy - na przykład z podmiejskiego stylu funkcjonalnego z lat pięćdziesiątych na egzotyczny marokański pałac, i to wszystko w czterdzieści osiem godzin. No właśnie. Więc się zgodziła.

Tom przemyślał sprawę.

- To mądra dziewczyna - odrzekł po chwili. - Wie, że robisz to tylko dla niej.

Myli się - nie robię tego dla niej. Ale Tom tylko tak jest w stanie to zrozumieć.

Gdy jadę na spotkanie z klientem, Cherelle dzwoni do mnie na komórkę i chce wiedzieć, o co mi chodzi. Właśnie widziała się ze swoim psychoterapeutą i doszła do wniosku, że dziś rano dziwnie się zachowywałem, więc teraz mam jej powiedzieć, o czym myślę.

- O fantastycznych laskach z mojej kawalerskiej przeszłości - mówię.

- No widzisz - pyta Cherelle - dlaczego taki jesteś?

- Próbuję cię rozśmieszyć. - Czy to przestępstwo? W każdym razie nie jestem jedyny, który się dziwnie zachowuje. Nie mam wyłącznych praw do dziwnego zachowania. Dlaczego zawsze wyciągasz przedwczesne wnioski na mój temat?

Nie odpowiada, ale ja i tak wiem, dlaczego wyciąga przedwczesne wnioski. Bo nie ma siły na późniejsze.

- Kochanie - mówi po chwili - skoro już mówimy o ślubie, to pragnę cię poinformować, że nie chcę jechać do Europy w podróż poślubną. - Ona się właśnie w taki sposób wyraża.

- Dlaczego nie?

- W Europie pada.

- A co z Michałem Aniołem?

- O czym ty mówisz? - pyta.

- No wiesz, tak, czasami w Europie pada, ale co z Michałem Aniołem?

- Słodczy moja Michał Anioł jest zajebisty, ale my tu rozmawiamy o mojej podróży poślubnej.

- Nie chciałabyś obejrzeć Tony'ego Hopkinsa na scenie w Londynie?
- W Londynie? - mówi chłodnym tonem. Tak, zdecydowanie chłodnym tonem.

Mówię coś w tym rodzaju, że przecież tradycja każe panu młodemu uwieźć pannę młodą w nieznanym kierunku.

- Już zrobiłeś rezerwację do Londynu! - wybucha.

- Nie - stwierdzam. – Wnioski!

- Więc dokąd?! - krzyczy.

- To mała wysepka przy zachodnim wybrzeżu. Żeby się na nią dostać, trzeba skoczyć.

- Modłę się za ciebie - mówi, odkładając słuchawkę. Czy wiesz, że myślenie tworzy w mózgu kwas, który przesącza się w dół (wywołując chaos w ramionach, jeśli jesteś nieostrożna), a w końcu jest wydzielany przez śledzionę?

Trzymaj się,

Alex

From: alexlyell@hotmail.com

To: honeypot@webweweave.co.uk

Subject: Cześć

Date: 14 kwietnia - 83.18 PST

Honey,

Hollywood dawno już poszło spać, ale sprawa podróży poślubnej pozostała nierozstrzygnięta. Cherelle wróciła z zajęć tae bo i powiedziała:

- Moja matka doprowadza mnie do szału z tym ślubem.

Najwyraźniej jej matka, która nie słyszała o starzeniu się z wdziękiem - w gruncie rzeczy wątpię, czy w ogóle słyszała o starzeniu się - pojawiła się na tae bo.

Cherelle mówi:

- Powiedziałam mamie: żadnego białego cukru w jakimkolwiek z dań na przyjęciu, łącznie ze ślubnym tortem. To wcale nie jest wielki problem - u Fanellego mają wielki wybór organicznych, naturalnie słodzonych - a ona zaraz zaczęła, że biały cukier niczym się nie różni od koncentratu soku owocowego, a to jest to, czego ona sobie odmawia, by bez wyrzutów sumienia pić coca-colę. Więc powiedziałam: „Coś ty, fruktoza ma zupełnie Inny wpływ na organizm, nie powoduje karuzeli zawartości cukru we krwi, i wierz mi, bo jestem tego chodzącym przykładem”. A mama odpowiedziała: „Niczym się nie różni od cukru, kochanie”, a poza tym to ona wie lepiej, bo

jest moja mamą, a moje pokolenie tylko tworzy sobie złudzenia. Więc zapytałam: „No i kto Jest szczęśliwszy? Ty czy ja? Kto jest szczuplejszy, kto Jest bogatszy, kto się pieprzy z facetami?”.

- Nie powiedziałaś tego ostatniego kawałka.

- Masz rację, nie powiedziałam tego ostatniego kawałka. - I opadła z westchnieniem na skórzany fotel.

- A co bycie bogatszym ma do fruktozy?

- Nie wiem.

- Jesteś bogatsza tylko dlatego, że twoja matka głupio zgodziła się na kiepskie warunki rozwodu.

- To okropne, kiedy małżeństwo uważa się Jedyne za transakcję handlową.

Nie skomentowałem tej wypowiedzi. Zamiast tego powiedziałem:

- Czy to są trzy cnoty moralne? Bycie szczęśliwszą, szczuplejszą i bogatszą? Czy taka jest właśnie sprawiedliwa nagroda niebios za odstawienie zwyczajnej coli?

- Tak. Właśnie taka. - Wstała. - A poza tym zaharowuję się na śmierć w agencji i jest mi gorąco.

Cherelle jest agentką aktorów w jednej z wielkich agencji, a od czasu odwyku jej kariera wspaniale się rozwinęła. Ma dobre oko do odsiewania ziarna od plew (mimo że tego nie je).

Spojrzała na mnie.

- Trzeba harować - powiedziała. - Co piszesz? - zerknęła na mój otwarty laptop.

- A co powiesz na Madagaskar? - spytałem. - A może Marakesz? Rio de Janeiro?

- Już nie upierasz się przy Europie? - spojrzała podejrzliwie.

- Dla ciebie - powiedziałem. Szczerze.

- Kochanie. Czy nie możemy po prostu pojechać na Hawaje, albo na Barbados, albo do Acapulco?

Usiłowałem przekonać ją do elementu kulturalnego, wysuwając argumenty samodoskonalenia. Dziewięćdziesiąt procent czasu, gdy nie śpi, Cherelle poświęca na samodoskonalenie. Ale tym razem nie dała się podpuścić. Chce leżeć na plaży.

- Nienawidzę leżeć na plaży - powiedziałem.

- Czy to zawsze jest takie trudne? - spytała.

- Co?

- Związki. - Czy zawsze są takie trudne? Powiedziałem, że nie wiem, że pewnie powinniśmy pójść na jakiś kurs, nauczyć się czegoś. Rozwinąć nasze zdolności. Stwierdziła, że to nie jest zły pomysł i poszła spać. Więc teraz siedzę tu sam i piszę do ciebie. Nie ma chyba wielu osób, którym mógłbym to opowiedzieć. Mnie się to nawet podoba, że wysyłam te e-maile, wiedząc, że tak naprawdę wcale ich nie czytasz, ale gdzieś do kogoś trafiają, więc ktoś może Je czyta. Cieszę się, w każdym razie, że nie wracają do mnie z adnotacją „adresat nieznany”.

Po tym pierwszym razie, gdy napisałem do ciebie po powrocie z Londynu, a ty nie odpowiedziałaś, pomyślałem sobie, że może cię wymyśliłem. Miałem głupie wrażenie, że zmienisz moje życie. Gówno. I wtedy pomyślałem, że na pewno cię sobie wyobraziłem.

Siadałem, żeby do ciebie napisać, ale nie mogłem skończyć listu. Albo podnosiłem słuchawkę, ale nie mogłem wykrecić numeru. To było niesamowite. Zupełnie jak wtedy, kiedy postanowiłem przestać palić, ale dwadzieścia minut później stwierdziłem, że siedzę z papierosem w ustach.

Podczas terapii dowiedziałem się, że tkwi we mnie taki mały kurewski dyktator, który mówi mi, co mam robić i ustala reguły, tylko że ja nigdy nie czytam przepisów, więc nie wiem, Jakie są te reguły. No wiesz, chcę zmienić swoje życie. Jasne, że chcę - nie chcę. Wcale nie chcę zmieniać.

Wiem, że myślenie, że jestem gorszy niż inni, jest arogancją. No bo dlaczego mam być taki szczególny, że aż najgorszy? Lubię myśleć, że jestem przybyszem z kosmosu. Najtrudniej jest mi być kimś zwyczajnym.

Teraz się żenię i to już na pewno powinno zrobić ze mnie Ziemianina. Taka jest obecnie moja życiowa misja. Tego się nauczyłem. Być zwyczajnym facetem. Tylko tak da się przeżyć. Wiesz jednak, jak to jest. Czasem zastanawiam się, czy spełniam właściwą misję - no wiesz, może straciłem drogę. Może Cherelle nie jest częścią planu. I jeśli rzeczywiście się na tym mocno skupię i doprowadzę to rozumowanie do granicy, przychodzi mi do głowy, że być może gdzieś w tym tkwisz ty. Może przysłano nas tu dwoje - mężczyznę i kobietę. Ale zgubiliśmy się.

Może to też nie było częścią planu.

Trzymaj się,

Alex

From: alexlyell@hotmail.com

To: hone3npot@webweweave.co.uk

Subject: Cześć

Date: 16 kwietnia - 21.22 PST

Honey,

Leciałem kiedyś do Salt Lake City, aż nagle samolot po prostu zaczął spadać, słowo daję. Miałem wrażenie, że całe powietrze ze mnie uszło, małe żółte maseczki spadły, ludzie zaczęli wrzeszczeć - a potem samolot wyrównał lot i lecieliśmy dalej.

A najdziwniejszą rzeczą było to, że nikt nie powiedział na ten temat ani słowa. Ani załoga - żadnych przepaszających komunikatów, żadnej oferty dodatkowych kilometrów dla frequent flyers, nic. Pasażerowie też nic o tym nie mówili. Zupełnie jakby taka była umowa za to, że przeżyliśmy.

Dziś wieczorem wróciłem do domu i na progu znalazłem czekającą na mnie moją matkę. By udowodnić, że nie jest ani trochę podobna do Cherelle, powiem, że wygląda jak stary, opalony kościotrup, tandetne złote pierścionki pobrząkują jej luźno na palcach, tym razem miała na sobie spłowiały fioletowy komplet, a Lucky Strike Super jak zwykle wisiał jej w kąciku ust. I, jak zwykle, była pijana.

Wpuściłem ją do środka i powiedziałem:

- Cherelle dostanie szału, jeśli będziesz palił w mieszkaniu.

Wyjęła papierosa z ust i delikatnie wygasila na wieczku opakowania, zostawiając połówkę na później. Powiedziała, że Leniwy Harry powiedział jej, że przeczytał zapowiedź ślubu w „The LA Times”. Jej oczy były wodniste. Miała niewielką torbę z etykietką bagażową Continental.

- Mamo, skąd miałaś pieniądze, żeby tu przylecieć? - spytałem.

Wzruszyła ramionami.

- Dobre pytanie. Jestem splukana.

- A co robisz z pieniędzmi, które ci co miesiąc posyłam?

Rozejrzała się po pokoju. Wiedziałem, czego szuka.

- Wiesz, trochę dziwnie widzieć cię bez ścieżki dźwiękowej.

- Co to jest ścieżka dźwiękowa? - zapytała.

- Twoja własna osobista muzyka przewodnia. Dzwonienie kostek lodu w szklance. - I dodałem: - Nie znajdziesz tu żadnego alkoholu.

- Wciąż jesteś na odwyku? - spytała, jakby zdziwiona. Wiedziała, że miałem okres pełnego odlotu i że poszedłem na odwyk. Zaprosili ją, żeby przyjechała i porozmawiała ze mną - nazywają to Rodzinnym Tygodniem. Uprzejmie odmówiła. - Nigdy nie miałeś problemu z piciem - stwierdziła.

- Mamo, musisz iść. Musisz sobie teraz pójść.

- Ale ty się żenisz, a ja jej nie znam.

- To prawda. Cherelle i ja pobieramy się. A układ jest taki, że ty i ja bierzemy rozwód. Pamiętasz?

- Pieniądze to nie wszystko.

- Żadne pieniądze nie zadowolą pijaka.

W tym momencie odezwał się dzwonek. Podniosłem słuchawkę domofonu i usłyszałem angielski głosik, mówiący „cześć”.

I pomyślałem, że to ty.

Nawet mnie to nie zdziwiło - zawsze wiedziałem, że pewnego dnia odezwie się dzwonek i to będziesz ty. I wcale mnie nie zdziwiło, że znalazłaś mnie w taki szczególnie gorący hollywoodzki wieczór w moim banalnym hollywoodzkim mieszkaniu, w chwili gdy mam zamiar się ożenić. Można powiedzieć, że jestem złapany w pułapkę zwykłego, hollywoodzkiego życia. Wcale mnie to nie zdziwiło - co więcej, miało to sens. Wszystko nagle mignęło mi przed oczyma. Przybyłaś, by mnie uratować. Wiedziałem, że tak będzie.

A potem angielski głosik mówi: - Jestem Ven, przyszłam w sprawie feng shui. - Nacisnąłem przycisk domofonu. Pomyślałem, że może uda mi się pozbyć matki, że będzie zjeżdżać jedną windą, podczas gdy angielska dziewczyna będzie wjeżdżać drugą. Poza tym wiedziałem, że skoro przyjechała już osoba od feng shui, to zaraz zjawi się także Cherelle.

Mama, oczywiście, wyczuła, co się święci, i zamknęła się w łazience. Stojąc pod drzwiami, słyszałem złowrogi dzwoniący butelki wódki o szklanekę do zębów.

Angielska dziewczyna zawołała: - Cześć! - Złapałem z lodówki kilka butelek gazowanych napojów i spotkałem ją przy drzwiach.

- Jest piekielnie gorąco. Chodźmy na doi, nad basen. - Po drodze powiedziałem jej, że Cherelle jeszcze nie ma w domu.

Angielska dziewczyna spytała, czy nie mamy klimatyzacji. Powiedziałem, że nie, a potem sam parsknąłem na myśl o Cherelle, która nie ma klimatyzacji - to śmieszne.

- Hmm, mamy, ale źle działa - skłamałem. Gdy dotarliśmy do basenu, powiedziałem:

- Złapiemy Cherelle, gdy będzie wchodzić - i wskazałem na bramę. A potem wskoczyłem do basenu. Uznałem, że to najlepsze dla mnie miejsce.

Planowałem, że gdy przyjdzie Cherelle i zacznie rozmawiać z dziewczyną nad basenem, pójdę na górę i wyciągnę mamę z mieszkania. Ven - dziewczyna - usiadła na brzegu basenu i machała nogami w wodzie.

- Jesteś Al, zgadza się? - spytała.

Cherelle musiała jej to powiedzieć, bo tylko ona nazywa mnie Al.

- Czy chcesz porozmawiać o feng shui?

- Nie, nie chcę rozmawiać o feng shui. A ponieważ wydawała się z tego niezadowolona, powiedziałem: - Porozmawiajmy o Londynie.

Roześmiała się.

- Nie spytasz mnie chyba, czy znam jedyną osobę, którą ty znasz w Londynie? - Najwyraźniej wielu Amerykanów zadaje jej to pytanie. Mówią: „Mieszkasz w Londynie? Znasz może Johna? On też mieszka w Londynie”. Zupełnie jakby to była wioska. Jeden facet ją spytał: „Ile ludności ma Wielka Brytania? Kilkaset tysięcy?”. A ona powiedziała: „Mm, pięćdziesiąt pięć milionów, jeśli chcesz wiedzieć”.

Więc powiedziałem, że nie, nie będę jej zadawać takich głupich pytań. Ven mi się spodobała. Lubię słuchać jej głosu.

Porozmawialiśmy sobie miło. A Cherelle nie było i nie było. W końcu zaczęło się ściemniać i jakoś głupio było tak siedzieć nad basenem, więc weszliśmy do mieszkania, a tam na kanapie siedziała Cherelle z moją mamą. Wyglądało na to, że dobrze im razem.

- Jak się tu dostałaś? - spytałem Cherelle.

- Tak samo jak zawsze - powiedziała, a potem spojrzała na Ven, powiedziała: - Pewnie jesteś Ven - i spojrzała na zegarek.

- Siedzieliśmy nad basenem, nie zauważyliśmy, jak wchodzisz.

- Rozmawialiśmy sobie - dodała Ven, próbując mi pomóc. Cherelle rzuciła jej spojrzenie. Nie powinno się tego mówić Cherelle. Do rozmawiania ma szczególnie podejrzliwy stosunek. „Wiesz, do czego prowadzi gadanie” - zawsze mówi.

- No - oznajmiła Cherelle - myśmy też sobie porozmawiały. -1 spojrzała na mamę, a mama jakoś kiwnęła głową w moją stronę, co odczytałem jako „pieprzę cię”.

- Cherelle, to moja mama, ale jak widzę, już zeście się poznały.

- Przyjdę kiedy indziej, dobrze? - powiedziała Ven.

W tym momencie moja matka kiwnęła się na kanapie, krzycząc w moim kierunku:

- Nie przepracował uczciwie ani jednego dnia w życiu! Spojrzałem na Cherelle.

- Bardzo mi przykro. Zaraz zawiozę ją do jakiegoś motelu.

Cherelle powiedziała spokojnie:

- Nie ma potrzeby. Mama zainstalowała się w pokoju gościnnym.

- Mama? - Mama zainstalowała się... Cherelle przerwała.

- Wiesz, masz strasznie irytujący zwyczaj powtarzania moich słów. Jeśli chcesz coś powiedzieć, to mów.

Moja matka zaczęła klaskać. Stała niepewnie między nami.

- Powiedz, no powiedz! - powiedziała. Właściwie wyśpiewała te słowa z satysfakcją.

- Wychodzę - odburknąłem.

I tak właśnie znalazłem się w Burżuazyjnej Świni, skąd do ciebie piszę. Angielska dziewczyna była tu ze mną przez chwilę, ale już poszła. Opiekuje się dziećmi jakiegoś bankiera na wzgórzach. Szła za mną, gdy wychodziliśmy z mieszkania, i trudno mi było się z nią pożegnać. Połączyło nas takie uczucie, jakie nawiązuje się między ludźmi, którzy ledwo się znają, a potem nagle stają się zakładnikami w jakimś napadzie. Połączył nas stres. Pewnie nie powinienem był jej mówić tego wszystkiego, co jej powiedziałem. To chyba kwestia jej głosu.

Mógłbym z nią rozmawiać godzinami.

Niedługo będę musiał sobie stąd pójść i stawić im czoło.

Myśl o mnie.

Trzymaj się,

Alex

PS Właśnie zamówiłem kolejne cappuccino.

Prom: alexlyell@hotmail.com

To: honey_pot@webweweave.co.uk

Subject: Cześć

Date: 15 kwietnia - 1.03 PST

Honey,

Nie bardzo potrafię stosować się do reguł. Dawniej byłem z tego dumny, ale już nie jestem. Nie myślę już, że reguły są dobre dla wszystkich poza mną. Znam jednak także swoje ograniczenia. Tę całą historię ze ślubem mogę znieść tylko do pewnego stopnia. Mam koszmary senne. Budzę się cały spocony - we śnie bardzo wysoka panna młoda, w bieli i welonie, leci ku mnie środkiem nawy jak złowrogi duch. A gdy pęd powietrza zwiewa jej welon do tyłu, ukazują się jej oczy, wielkie jak u robaka, które patrzą na mnie z taką intensywnością i jasnością, że strach ściska mnie za gardło i jestem pewien, że zaraz umrę. Nie wiem, co by się stało, gdyby do mnie doleciała - zawsze budzę się, zanim to następuje.

Boję się składać obietnice, których być może nie dotrzymam. Ale przede wszystkim nie lubię, jak ludzie się na mnie gapią. Czy to nie powinno się odbywać w prywatności? Myślę, że powinno.

Nie przejmuj się, przerobiłem to wszystko z psychoterapeutą. Wiem, co jest grane.

Moja matka porzuciła mnie, gdy miałem pięć lat. Mówiłem ci o tym, gdy przedstawialiśmy sobie skrócone życiorysy tamtego wieczoru w Londynie? Zostawiła mnie z moim tatą, a sama uciekła z komiwojażerem. Zanim wróciła sześć lat później, tata zdążył przekazać mnie swojej siostrze. Był zbyt zajęty, żeby się zajmować jeszcze mną. Miał z milion kobiet.

Pewnej nocy, zanim tata odszedł, śniło mi się coś okropnego i wstałem z łóżka w środku nocy. Znalazłem tatę na kanapie, jak uprawiał seks z jakąś kobietą. Byłem przerażony. Nie wiem dlaczego. Kiedy wybiegłem, tata poszedł za mną. Był pijany. Złapał mnie, przygniótł do łóżka i powiedział, że to dlatego, że moja matka już go nie chce.

To jest grane. Wiem, co jest grane. Ale i tak chciałbym po prostu pojechać do Vegas i mieć to z głowy w pół godziny.

Tylko że jestem dorosły. Mogę robić rzeczy, których nie chcę robić.

Gdy wróciłem wieczorem do domu, było ciemno i cicho. Usiadłem na tarasie, żeby posłuchać cykad. Nagle odniosłem wrażenie, że już nigdy nie będę mógł się poruszyć, zupełnie jakbym był wciśnięty gdzieś w skalną szczelinę. Nie powiem, żebym był zdolny rozsądnie myśleć, moje myśli przypominały raczej koło ruletki, kręcące się i kręcące bez końca.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, wstałem i poszedłem do pokoju gościnnego, gdzie spała moja matka. Wyciągnąłem papierosa z paczki, która leżała na jej nocnym stoliku. Przypomniało mi się, jak w dzieciństwie wślizgiwałem się do jej pokoju i kradłem jej pieniądze, podczas gdy ona leżała na łóżku kompletnie zalana.

Moja matka spała z otwartymi ustami. Wyglądała, jakby miała ze sto lat. Trudno sobie wyobrazić, że można do tego stopnia spieprzyć sobie życie, jak to zrobiła moja matka. Usiłowałem wyobrazić sobie to pokręcone ciało w jego początkach, gdy rozpoczynało życie jako właśnie urodzone, różowe niemowlę. Wydawało się to niemożliwe.

Dziwne było jednak to, że we śnie miała jakby wyraźniejszą osobowość. Tkwiłem tam, jakby przykuty do miejsca. Nagle jej powieki uniosły się, otworzyła oczy naprawdę szeroko, jak ludzie tuż przed śmiercią, i spytała,

czy zdaję sobie sprawę, ile to dla niej znaczyło, że gdy wróciła z podróży, ja czekałem na nią i znowu stanowiliśmy rodzinę.

Z kącików oczu wypłynęła jej para łez. Pomyślałem, że może ją pocałuję, ale zanim się pochyliłem, już znowu spała. Jakby się to nigdy nie zdarzyło.

Wyszedłem z papierosem w rękę i znowu usiadłem na tarasie. Właściwie nie miałem ochoty na tego papierosa, ale i tak go wypaliłem. Nie paliłem już od dwóch lat, trzech miesięcy i trzynastu dni. I tak po prostu dalej tam siedziałem. W końcu, gdy pomyślałem, że być może przesiedzę tak całą noc, z sypialni wyszła Cherelle i usiadła cicho na drugim fotelu.

To było niezwykle. To znaczy, niezwykle było to, że zrobiła to cicho. Zazwyczaj jest w pełnym pędzie. I nawet się nie odezwała. Problem w tym, że w nierozmawianiu potrafię ją zawsze pokonać.

Mówi się, że żeby się zmienić, musisz tego chcieć.

Odezwałem się pierwszy. Powiedziałem „przepraszam”. I wtedy ona spytała mnie bardzo cicho i spokojnie, dlaczego właściwie chcę się z nią ożenić?

Cykady wpadły w szaleństwo cykania, co im się czasami zdarza - jak utwór muzyki klasycznej zmierzający ku finale, a ja przypomniałem sobie, jak to się w ogóle zaczęło między mną a Cherelle. Wyrzucono nas z odwyku - mówiłem już o tym? - za „fraternizowanie się”. Ładny eufemizm. Zresztą nie jestem pewien, czy nie ma między nami czegoś w pewnym sensie braterskiego. Tylko że inaczej przeżywamy swoje bóle.

Musisz coś zrozumieć, jeśli chodzi o Cherelle. Cherelle zawsze była prymuską. Nie była co prawda wybraną królową balu maturalnego - w jej szkole zakazano tej tradycji ale była duchową królową balu maturalnego. Cherelle należy do tych dziewczyn, które postanawiają uczyć się sportów walki i od pierwszej próby rozbijają ręką cegłę na dwie części. Gdy Cherelle będzie miała dziecko, będzie to pierwszy bezbolesny poród - nawet bez pomocy Zanaxu, który, trzeba to przyznać, pomagał jej w rozbijaniu cegieł.

Więc gdy Cherelle wyrzucono z ośrodka rehabilitacyjnego, była to jej pierwsza porażka. A w każdym razie pierwsza, której była świadoma.

Jeśli się zastanawiasz, co się stało z randkami z pierwszego etapu - tenis, trzymanie się za ręce i całe to gówno, które nam wciskali - to chcieliśmy to robić, tylko daliśmy się ponieść. W tym ośrodku mieli fioła antyseksualnego. Mężczyznom i kobietom nie wolno było nawet razem palić papierosów, ponieważ palenie w mieszanym gronie prowadziło do scen namiętności.

Pewnego wieczoru Cherelle i ja zaczęliśmy się pieścić na pustyni pod gwiazdami. Ale poszliśmy na całość dopiero wtedy, gdy nas wyrzucono, w motelu, w oczekiwaniu na samolot do domu. Nigdy nie znaleźlibyśmy się razem w tym motelu, gdyby nas nie wyrzucono.

Kiedy Cherelle spytała, dlaczego chcę się z nią ożenić, powiedziałem, że chcę pokazać tym skurwielom, którzy nas wyrzucili z Santa Rosa.

Miałem szczęście - roześmiała się. Powiedziałem, że chyba nie powinna zadawać takich pytań.

- Nie potrafisz powiedzieć, że mnie kochasz? - spytała.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, a potem powiedziałem, że żałuję, że nie potrafię znaleźć w sobie więcej współczucia dla mojej matki. Powiedziała, że wydaje jej się, iż wstydzę się mojej matki, ale że wszystko jest okay, a ona i tak za mnie wyjdzie. Powiedziała, że wyszłaby za mnie niezależnie od tego, jaką miałbym matkę, ponieważ mnie kocha, i kiedy ja to w końcu zrozumie.

Stwierdziliśmy, że przedstawianie sobie rodzin me jest dobrym pomysłem, i że jutro wsadzimy mamę do samolotu. Cherelle chciała wiedzieć, jak ją do tego przekonamy. Powiedziałem, że to żaden problem, zrobię to co zawsze - przekupię ją. Cherelle spytała, czy teraz już jesteśmy gotowi i ja powiedziałem, że jesteśmy - gotowi.

I wtedy zobaczyła peta. Dostała szału. Powiedziała, że nie ma mowy, żeby za mnie wyszła, jeśli palę. I wróciła do łóżka.

Cherelle ma swoje priorytety.

Trzymaj się,

Alex

PS Sekretnym celem podróży poślubnej jest Maroko.

Rozdział dziesiąty

Nie będę was zanudzać szczegółami moich przedślubnych przygotowań. Powiem jedynie, że wolałabym sobie odciąć głowę i usmażyć na patelni niż maszerować kościelną nawą w białej sukni. Nie o to chodzi, żebym miała jakieś polityczne obiekcje czy coś w tym rodzaju, a mówiąc między nami, sądzę, że ładnie wyglądałabym w takiej sukience. Po prostu uważam, że to całe zamieszanie wprowadza dwoje niewinnych kochanków w zbyt wielki stres. Że ten jeden jedyny dzień naprawdę musi być jak z bajki.

Ale w życiu jest inaczej. Znałam ludzi, którzy załamywali się pod napięciem - naprawdę i poważnie tracili kontrolę. Widziałam zbyt wiele przerażonych panien młodych, czekających w przedsionku. I zbyt wielu panów młodych, nie potrafiących spojrzeć w oczy swoim ukochanym. I zbyt wiele tych okropnych, wymuszonych uśmiechów, które są jedynie ćwiczeniem mięśni twarzy i nie mają żadnego związku z radością.

Widziałam, jak panna młoda wrzeszczy „Zamknijcie się!” w środku uroczystości, bo dzieci jej siostry robiły zbyt wiele hałasu. Widziałam, jak pan młody dostaje ataku spazmów, ponieważ w hotelu, gdzie miał spędzić noc poślubną, odmówiono przyjęcia jego karty kredytowej. Widziałam, jak świadek dostaje w głowę butelką szampana i zostaje odwieziony na pogotowie (ponieważ zbyt długo tańczył z panną młodą).

Byłam także na kilku miłych ślubach i zawsze były one bardzo zwyczajne. Więc moim mottem jest: niech będzie zwyczajny. Ed i ja pobieramy się w miejscowym urzędzie stanu cywilnego, w obecności kilku najbliższych przyjaciół. A potem idziemy na obiad.

Poza tym muszę powiedzieć, że nie przepadam za tą całą ślubną szopką. Nie wysłałam tego konkretnego marzenia z mlekiem matki, a Teresa dodatkowo mnie zniechęciła, rozczulając się zawsze nad zmurszałym kawałkiem ślubnego tortu, który trzymała w szufladzie. Nawet płakała, gdy zjadły go myszy.

Jak już mówiłam, wychowano mnie tak, żebym zdała maturę - i niewiele więcej.

We wrażliwym wieku lat nastu przeczytałam w jednej z feministycznych książek mojej mamy: „Gdy kobieta wychodzi za mąż, jej seksualność zostaje usankcjonowana, a potrzeby ekonomiczne zaspokojone. W ten sposób osiąga pierwszy etap kobiecości”. Ale mnie to wtedy wkurwiło.

Chyba właśnie wtedy utraciłam niewinność. Złożyłam przysięgę, że nigdy nie wyjdę za mąż. Napisałam tę przysięgę na kartce papieru, którą wciąż mam - trzymam ją w pudełku po cygarach z czterolistną koniczynką, którą znalazłam, gdy miałam osiem lat. Przysięga brzmiała: „Ja, Honeymoon Holt, przysięgam uroczyście, że NIGDY nie wyjdę za mąż, wszystko jedno, co się stanie - to znaczy nawet wtedy, gdyby oświadczył mi się Hutch” (ten niesławny partner Starsky'ego). A potem to podpisałam i zostawiłam miejsce, by co rok nowym podpisem odnawiać swoją przysięgę. Chyba już wtedy wątpiłam w swoją zdolność do trzymania się prostego kursu.

I jeszcze coś. Nie mam żadnych cudownych skojarzeń ze stanem małżeńskim. Na przykład nie chcę, by mówiono do mnie „pani” - to takie bezpłciowe. Podoba mi się „panna” i jestem z tego dumna.

Szczerze mówiąc, nie zależy mi nawet na byciu „kobietą” w znaczeniu „kobiety” w odróżnieniu od „dziewczyny”.

Z drugiej strony nie mogę znieść pompatycznych facetów w średnim wieku, którzy o dorosłych kobietach mówią „dziewczyny”. Słowo „kobieta”, a szczególnie „kobieta zamężna” kojarzy mi się z garsonkami i perłami oraz - żeby już się nad tym dłużej nie rozwodzić - grubymi pupami.

Czy za bardzo protestuję? Być może, jak na kogoś, kto ma wkrótce wstąpić w związek małżeński. Chyba po prostu nie brałam pod uwagę Eda. Nie chodzi mi o to, że nie brałam pod uwagę, że Ed może być taki cudowny. Po prostu nie brałam pod uwagę, że ktokolwiek inny może mieć coś do powiedzenia w sprawie małżeństwa. Ed zawsze chciał się ożenić.

Początkowo Edowi i mnie dobrze było w rolach chłopaka i dziewczyny. A potem, pewnego dnia, kiedy leżeliśmy w łóżku po zgaszeniu światła, powiedział:

- Teraz, kiedy jesteśmy ze sobą blisko...

- Tak - powiedziałam - teraz się pieprzymy.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że chodzi mi o długoterminowy stały związek, mający na celu założenie rodziny.

Leżeliśmy i wpatrywaliśmy się w sufit. Jeśli dobrze pamiętam, wpatrywałam się z natężeniem w naklejkę bagażową z literami LHR, zwisającą z walizki na szafie i ledwo widoczną w mroku. Swoją drogą wiedziała ona wiele przełomowych momentów w naszym romantycznym życiu.

- Chcę po prostu powiedzieć ci to wprost i uczciwie - powiedział Ed.

- O co ci właściwie chodzi? - spytałam.

- Chodzi mi o to, że jeśli w swoich kartach nie czytasz takiej przyszłości, to powinnaś to już teraz powiedzieć.

- A w twoich kartach to jest?

- Właśnie to powiedziałem.

- Niekoniecznie. Koniec zdania mógł brzmieć: „Chodzi mi o długoterminowy stały związek mający na celu założenie rodziny, a ty oczywiście się do tego nie nadajesz”.

Ale to nic nie dało. Biedny Ed najwyraźniej głęboko uległ iluzji, że ja się nadaję.

- Czy mogę to przemyśleć? - spytałam.

Parę dni później zadzwoniłam do niego z pracy.

- Słuchaj, czy to znaczy, że odejdziesz ode mnie, jeśli w moich kartach tego nie ma?

- Dlaczego nie mówisz cześć? - powiedział. - Wszyscy inni zaczynają od rozmowę od „Cześć, jak się masz” czy coś w tym rodzaju.

- Och, to oznaka uczucia. Na przykład Ven i ja nigdy nie wdajemy się w takie wstępy, od razu przechodzimy do rzeczy.

- A więc to znaczy, że mnie lubisz? - spytał.

- Tak.

- No, to już coś - powiedział. - Ochłap.

- Odpowiedz na pytanie. Czy zostawiłbyś mnie, gdybym powiedziała nie?

- Tak.

- Zostawiłbyś mnie - powtórzyłam niedowierzająco. Chciałam powiedzieć: „Naprawdę mógłbyś nigdy więcej się ze mną nie pieprzyć i wcale się tym nie przejmować?”. Uznałam jednak, że nie przyjąłby tego dobrze. Mam za złe czasopismu „Just 17” i innym kolorowym magazynom, które nauczyły mnie, że jeśli chodzi o seks, mężczyźni to zwierzęta. Niestety, doświadczenie życiowe zmusiło mnie do wniosku, że wcale tak nie jest.

- No - powiedział - jeśli jedziesz do Ameryki, to nie stawiasz żagla na łódce płynącej do Indii, nie?

- Pewnie nie - powiedziałam - choć być może na widok tej łodzi płynącej do Indii myślisz sobie: „To byłaby przygoda, wsiądę na nią i zobaczę, dokąd dopłynę, a kto wie, może znajdę się w Ameryce określną drogą. A może nawet znajdę coś lepszego niż Ameryka”.

W końcu Della miała dość wszystkich moich duchowych rozdrapów i zaprowadziła mnie do wróżki, czytającej z kart tarota. Tak naprawdę wcale

nie wierzę w te rzeczy, ale jestem gotowa zrobić wszystko, żeby ktoś mówił mi o mnie przez godzinę. Po sesji zadzwoniłam znowu do Eda.

- W porządku - powiedziałam - w kartach jest nam to pisane.

Jakieś sześć miesięcy później Ed zaproponował, byśmy wyjechali razem na weekend. Chciał wynająć łódź mieszkalną. Ma słabość do łodzi, co jest nieco niewygodne, bo nie są to moje ulubione miejsca. Budzą we mnie klaustrofobię i dziwne uczucie w żołądku, a poza tym obijam sobie głowę - nie wspominając już o tym, że jak raz się ruszy, dość trudno jest wysiąść.

Szczerze mówiąc, sądzę, że moja niechęć do łodzi sięga głębiej: kiedyś przechodziłam koło suchego doku, w którym był tankowiec, i ta jego część, która zazwyczaj jest w wodzie, unosiła się nade mną. Przejęło mnie to głębokim lękiem - poczułam coś w rodzaju dygotu gdzieś w środku. Nie wiem, dlaczego. Może w minionym życiu płynęłam na Titanicu.

A może chodzi o te wakacje na kanale, na które pojechałyśmy z rodzicami ostatniego lata przed ich śmiercią. Śniły mi się wtedy koszmarne rzeczy. Miałam jakieś złe przeczucia. Ciągłe mi się wydawało, że wylecimy za burtę w śluzie, a nasze głowy zostaną wyciśnięte jak pomidory między łodzią a ścianami śluzy. Te śluzy to ponure miejsca.

Wieczorami tata czytywał nam Wyspę Skarbów, siedząc na dachu sterówki w niesamowitej poświacie wieczoru. To była jego ulubiona książka, nie nasza. Ale zawsze na wakacjach tata nam czytał, a my starałyśmy się, żeby mu sprawić przyjemność. A potem, nocą, w snach przeżywałam tę scenę z książki, w której drzwi na szczycie schodów otwierają się na straszną, smaganą falami przepaść, a ja spadam ze skały. W rzeczywistości spadałam z wąskiej górnej kei, lądując na Ven, która już zdążyła spaść ze swojej kei na dole. Potem przychodzili rodzice i znajdowali nas na podłodze, wciąż mocno śpiące.

W każdym razie opowiedziałam to wszystko Edowi, a on zamienił łódź na hotel w wiejskiej rezydencji gdzieś w Kencie. A potem w pracy wszystko stanęło na głowie i kiedy nadszedł piątek, zawiozłam Maca na lotnisko, a on zmusił mnie, żebym wsiadła z nim do samolotu, żebyśmy mogli dalej pracować na pokładzie. Z lotniska zdążyłam jeszcze nagrać Edowi krótką wiadomość, że muszę przez weekend pracować, a kiedy Mac poszedł na seans shiatsu, zadzwoniłam, żeby z nim normalnie porozmawiać, siedząc w Virgin Upper Class.

- Zgadnij, gdzie jestem? - zapytałam.

- Na pokładzie statku kosmicznego Enterprise?

- Nieźle. Jestem parę kilometrów nad ziemią.
 - Co takiego? - powiedział, wcale nie rozbawiony.
 - Mac zmusił mnie, żebym z nim wsiadła do samolotu - starałam się zachować lekki ton.
 - Cholera jasna - powiedział.
 - Tak mi przykro.
 - Nie mogę tak dalej.
 - Co nie możesz dalej?
 - Tak.
 - Nie rób z tego tragedii. To tylko jeden weekend. Możemy wyjechać na następny.
 - Nie o to chodzi. Chodzi o twoje priorytety. Poczulałam, że robię się zła - a w każdym razie tak mi się wydawało. W rzeczywistości pewnie zaczynałam się bać.
 - To moja praca - powiedziałam spokojnie. - To się czasami zdarza. Musiałam lecieć.
 - Nie musiałaś.
 - Musiałam. Czy nie... Ale Ed przerwał.
 - Daj se spokój - powiedział i odłożył słuchawkę.
- W Nowym Jorku Mac starał się dopiąć wielki nowy interes, więc przez cały weekend jadłam chrupki i spałam może dwie godziny. Byłam chyba otepiała. Jeśli myślałam o Edzie, to buntowniczo - że dobrze, że mam go z głowy -choć równocześnie gdzieś głęboko w sobie wiedziałam, że choć nie ma racji, jeśli chodzi o to, że oddaję się pracy, ma jednak gdzieś głęboko pewną rację co do poziomu mojego zaangażowania w nasz związek. W jednej z nielicznych wolnych chwil zadzwoniłam do Ven.
- Cześć, jesteśmy na tym samym kontynencie - powiedziałam.
 - Super.
 - Ed mnie rzucił - wyjaśniłam jej sytuację, zapominając o tym, że ma jakąś rację, a zamiast tego doprowadzając się do świętego oburzenia.
 - Trudno mu się dziwić. Najwyraźniej ten weekend był dla niego bardzo ważny. Jak myślisz, dlaczego?
 - Nie mam pojęcia. Uwielbia swoje wycieczki. Zupełnie jak jakiś cholerny harcerzyk.
 - Jesteś okropna.
 - Wszyscy to wiemy.

- Prawdopodobnie chciał ci się oświadczyć, ty tępaku! W każdym razie wróciłam w niedzielę wieczorem do

Londynu, czując się dziwnie. Z mieszanymi uczuciami, można by powiedzieć. Czy poniosłam porażkę, stojąc już na progu zwycięstwa? A może szczęśliwie umknęłam z życiem? Do zamętu w mojej głowie przyczyniał się jeszcze fakt, że siedziałam koło niezwykle przystojnego bankiera, który wlewał we mnie drinka za drinkiem. Aha, pomyślałam, mój przyszły mąż. Teraz wszystko się zgadza: los uratował mnie przed oświadczeniami Eda, bym mogła siedzieć w samolocie koło tego gościa, który ma być Tym Jedynym. Kiedy spytałam go, gdzie pracuje, odpowiedział „Goldman Sachs” takim tonem, jakby się spodziewał, że natychmiast zaciągnę go do kibla i będę go dmuchać. Trochę byłam nieprzytomna przez swoje otepienie i jego urodę, więc, mimo licznych dowodów przeciwko tej tezie, piłam z nim i gadałam w nadziei, że nie jest palantem.

W końcu po kolacji, w półmroku, przy akompaniamencie chrapania pasażerów business class, ujął moją dłoń i położył ją na wzdórku pod swoim kocem. Byłam przerażona - pewnie uważacie, że nie miałam prawa być przerażona, ale jest we mnie pewna naiwność i naprawdę nie sądziłam, że do tego dojdzie.

Zabrałam mu rękę.

- Jesteś pierdoloną suką - powiedział, ale tak, jakby myślał, że gram, jakby go to podniecało. Czułam się tak, jak niegdyś na szkolnym boisku, kiedy mama przysłała po mnie, a ja pędziłam ku niej radośnie, aż nagle z nieznanych powodów potknęłam się, upadłam, walnęłam twarzą o ziemię, rozbiłam sobie nos, zdarłam skórę z kolan i ogólnie uświadomiłam sobie, że nie jestem niezniszczalna, że życie jest brutalne i pełne zasadzek.

Więc nie bądź taka pewna siebie, dziewczyno!

Chwilę później - choć wydawało mi się, że musiały minąć godziny - przeniosłam się na inny fotel.

Teraz to ja robiłam tragedię. Czułam się całkiem samotna na świecie. W końcu z całą siłą dotarła do mnie możliwość, że być może straciłam Eda. Eda, który nawet za milion lat nie powiedziałby ani nie zrobił niczego takiego. Miałam takiego kaca i tak okropnie siebie nienawidziłam, że nawet nie mogłam się rozplakać.

Jechałam do domu taksówką, przedzierając się przez poranny szczyt, i czułam się okropnie zmęczona. Mieszkałam w niezbyt interesującym

dwupokojowym mieszkaniu w Kilburn, ponieważ po wybuchu Zimnej Wojny wyprowadziłam się od Delii. Mieszkanie było wynajęte, więc nie starałam się nic z nim zrobić. Salon, służący też za jadalnię, był jeszcze znośny, ale sypialnia mnie zdecydowanie przygnębiała. Pokrywająca jej ściany brązowa tapeta w geometryczny wzór wydawała się mówić: „Pewnie ci się wydaje, że życie ma jakieś znaczenie, ale w rzeczywistości jest marne i bezcelowe, a jeśli potrzeba ci na to dowodu, to spójrz na mnie”.

Życie w tak negatywnych fluidach sprawiło, że poza wszystkim innym robiłam się jeszcze okropnie nieporządna - więc, szczerze mówiąc, mój dom był chlewem.

Ed, który u mnie pomieszkiwał, bo remontował własny dom, mówił ciągle:

- Rusz dupę i pomaluj to.

Ale ile razy o tym myślałam, tapeta patrzyła na mnie wściekle, więc się poddawałam i nigdy nic z tym nie zrobiłam.

Włożyłam klucz do zamka, ale zanim zdążyłam go przekręcić, drzwi się otwarły i stanął w nich Ed. Ed i cudowny zapach świeżej kawy.

- Tak mi przykro.

- Nie tak, jak mnie.

- Wyglądasz okropnie.

- Muszę się wykapać.

- Weź prysznic.

Kiwnęłam głową i potykając się, poszłam do sypialni. I znalazłam się w innym świecie. Najpierw uderzył mnie w nos zapach - najcudowniejszy, specjalny, najdelikatniejszy zapach na świecie, można by powiedzieć, zapach miłości - ale świadomie zarejestrowałam najpierw to, co ukazało się moim oczom. Pokój był biały, czysty i jasny, jak cela mniszki w klasztorze w Hiszpanii. Ed pomalował ściany, meble, założył nowe zasłony w oknach. Potem spojrzałam w dół i zapach oraz miłosne fluidy zlały się w jedno: podłogę, łóżko, każdą powierzchnię pokrywała kilkucentymetrowa warstwa blad różowych i białych płatków róż. Nappełniłam nimi dłonie, przebrnęłam przez nie do łóżka i padłam. Zamknęłam oczy.

Ed powiedział, że wszedł parę minut później, zamierzając rzucić się na mnie wśród płatków róż. Leżałam na łóżku głęboko uśpiona.

Pospałam sobie z godzinkę. Kiedy się obudziłam, porozmawialiśmy i wszystko żeśmy sobie wyjaśnili. Ed, jak się okazało, zadzwonił do Delii, pytając, czy nie zna mojego numeru w Nowym Jorku, a ona go zdrowo

obrugła. „Powinieneś się cieszyć, że ma taką superpracę trzysta sześćdziesiąt dni w roku, i byłbyś ostatnim idiotą, gdybyś nie pogodził się z pozostałymi pięcioma”. Więc wszystkie uczucia włożył w zrywanie i palenie dającej złą karmę tapety, i wstał o świcie, żeby przywieźć płatki z targu kwiatów przy New Covent Garden, a kiedy już zjedliśmy coś i pokochaliśmy się w różanym gniazdku z pięć razy, Ed spytał, czy za niego wyjdę, a ja powiedziałam tak.

Trzy dni później płatki zwiędły i zaczęły gnić, więc musieliśmy się ich pozbyć. Wsypaliśmy je do worków na śmieci, a potem poszłam z Edem do dawnego domu jego rodziców w Queen's Park, by mu pomóc przy malowaniu, które zaniedbał, bo weekend poświęcił na malowanie mojego (mówiłam - nigdy nie dostaje się obiadu za darmo).

- Powiniennem cię przenieść przez próg - powiedział, otwierając drzwi frontowe. Ten dom był jego życiową pasją. A w każdym razie na taki wyglądał. Od kiedy poznałam Eda, zajmował się remontowaniem domu - osobiście. Całkiem sam. Sam instalował centralne ogrzewanie i wszystkie takie rzeczy. Na początku usunął wszystko, co było w środku, zostawiając gołe ściany - i coś, co było skromnym domkiem z czerwonej cegły, zbudowanym dla klasy robotniczej przez jakąś filantropijną instytucję, stało się teraz oświetlonym halogenowymi lampami pałacem o otwartym planie, który mógłby się znaleźć nawet w „Dobrym Wnętrzu”. Trzeba mu to przyznać.

- Byłoby to nieco przedwczesne - stwierdziłam, pośpiesznie przestępując próg na własnych nogach.

- Dlaczego? - spytał. - To dom dla małżeństwa.

- Jeszcze nie jesteśmy małżeństwem - powiedziałam, ale coś mi zaskoczyło w głowie i zrozumiałam, dlaczego przez wiele lat wkładał w ten dom tyle pracy i starań.

- Jak sobie przypomnisz dzieciństwo, kiedy tu mieszkałeś, nie czujesz dreszczu wzdłuż kręgosłupa, że wszystko jest teraz takie inne? - spytałam.

- Ależ ja tego chcę - odpowiedział. - Chcę trochę dziedzictwa, korzeni, no wiesz, o czym mówię.

- Niesamowite. A o co ci właściwie chodzi z tym małżeństwem?

- Nie możesz już zmienić zdania, nosisz pierścioneł - powiedział Ed (słodki niewielki szafir, który należał do jego matki).

- Nie zmieniam zdania - odparłam - ale kiedy postawiłeś ultimatum na temat długiego stałego związku, nic nie mówiłeś o małżeństwie.

- Chcę mieć rodzinę - oświadczył.

- Jasne - powiedziałam i nie kontynuowałam tematu. Ed naprawdę lubił swoich rodziców, rozumiecie. Bardzo mu ich brak.

Rozdział jedenasty

W sobotę nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Tego dnia Mac miał być w mieście, dlatego właśnie Della zorganizowała mój paniński wieczór dwa tygodnie przed ślubem, ale Maca nie było, bo przyjechał wcześniej, a Ed pojechał do Cumberland, żeby obejrzeć ogród, który był otwarty dla zwiedzających tylko raz w roku. Poszłam więc sama do kina na popołudniowy seans, a potem wracałam do domu w zapadającym zmierzchu.

Mijałam wielkie budynki, gdzie w oświetlonych oknach widać było kilkunastoletnie dziewczyny przygotowujące się do wyjścia, przepychające się przed lustrem - włosy upięte, włosy rozpuszczone, mój top, twój top, te buty, tamte buty, mogę pożyczyć twój tusz do rzęs? O Boże, nostalgia, ubrać się elegancko, żeby przyprawić się cydrem na górnym piętrze autobusu. Kogo mam udawać dziś wieczór?

Zboczyłam nieco z drogi, żeby przejść koło domu Delii - byłam zdumiona, że się u niej świeci, a zasłony są zaciągnięte. Zdumiona, bo był to przecież sobotni wieczór.

Moim zdaniem sobotni wieczór jest do niczego i zawsze taki był, od kiedy skończyły się nastoletnie czasy dzikich pieszczot. Od tamtej pory nigdy nie wiedziałam, co robić w sobotni wieczór. W taki wieczór powinno się wyjść na miasto, ale nikt niczego nie organizuje, bojąc się, że może się przytrafić coś lepszego, i nikt nie zaprasza ludzi, boją się, że mają coś lepszego do roboty, bo, ostatecznie, to sobotni wieczór.

Nawet kiedy chodziłam do klubów, wielkie noce zawsze organizowano w czwartek albo w niedzielę, albo w jakiś równie niewygodny dzień. Jeśli o mnie chodzi, sobotni wieczór to jeden z tych miejskich mitów - no tak, zgadza się, na ulicach można spotkać kilka osób spoza miasta, ale moim zdaniem większość londyńczyków siedzi sobie cicho za zaciągniętymi zasłonami, wyobrażając sobie, że wszyscy inni są gdzieś tam i świetnie się bawią, bo to przecież sobotni wieczór.

Ale Della nie wierzy w nic z tego, co wyżej napisałam. Jej zdaniem sobotni wieczór niczym się nie różni od innych wieczorów. Zadzwoiłam. Bez odpowiedzi. Ale światła wyraźnie się świeciły. Zadzwoiłam znowu. Znowu bez odpowiedzi. Byłam uparta. Wyjęłam telefon komórkowy i zadzwoniłam. Odebrała po setnym chyba sygnale.

- Czego? - spytała.

- Stoję pod twymi drzwiami.

- A ja na dachu.

- A co ty tam do diabła robisz?

Della ma kawałek płaskiego dachu, z którego usiłuje zrobić ogród, wstawiając między kominy kilka doniczek z bazylią, takich, jakie kupuje się w supermarketach. Rzadko jednak tam chodzi, a w dodatku dziś był całkiem chłodny wieczór.

- Zastanawiam się, czy nie skoczyć - oznajmiła.

- Nie rób tego - powiedziałam. - Rzuć mi klucz, to wejdę na górę i namówię cię, żebyś zeszła na dół.

Po chwili nad ścianką attyki pojawiła się głowa Delii i zaraz u moich stóp wylądował wielki pęk kluczy, przywiązany do jednego z tych futerałów na prezerwatywy dla wyższych urzędników, które były modne w latach osiemdziesiątych.

Gdy wdrapałam się na dach, zobaczyłam, że Della jest nieco zaczerwieniona.

- Ta maseczka z marchewki dotknęła cię do żywego - zażartowałam.

- Ha-ha - odpowiedziała, ale bez zwykłej werwy, i wskoczyła na murek oddzielający jej dach od następnego. Stała tam nieco niepewnie, ale przynajmniej miała wspaniały widok - słońce właśnie zachodziło.

- O co chodzi? - spytałam.

- Spędzam wieczór w domu - oświadczyła to takim tonem, jakim Linda McCartney* mogłaby powiedzieć: „Stek i frytki, proszę”.

* **Linda McCartney (1941-1998) żona ex-Beatlesa Paula McCartneya, znana z propagowania diety wegetariańskiej i zdrowego stylu życia.**

Pociągnęłam nosem.

- Dlaczego nie robisz tego na kanapie, jak wszyscy? - spytałam.

Usiadłam na kilku luźnych dachówkach. Rozejrzałam się - mnóstwo kominów, bardzo staromiejski Londyn. Całkiem inny świat. Można by się spodziewać, że lada moment wyskoczy Dick van Dyke i robi gwiazdę w powietrzu, taką, jak robią w musicalach, gdy nie podpierają się rękoma.

- Ven przyjedzie jednak na ślub - powiedziałam, żeby coś powiedzieć. Wiedziałam, że nie ma sensu pytać Delii, co się dzieje. Wiedziałam, że mi nie powie. Nie lubi przyznawać, że ma jakiegokolwiek uczucia.

Powiedziałam jej, że Ven zadzwoniła, że zatrudniono ją do feng shui, więc nie będzie jej tu podczas przygotowań.

- Tak? - rzuciła Della. Nie zdradzała zbytniego zainteresowania.

- Ven poprosiła mnie o twój telefon - mówiłam dalej. - Nie wiem, o co jej chodzi - może chce, żebyście we dwie zaplanowały dla mnie niespodziankę albo coś takiego.

Della wzruszyła ramionami.

- Nie pozwól, żeby zrobiła coś szalonego - powiedziałam.

Znowu wzruszyła ramionami.

- To ma być to namawianie mnie, żebym zeszła na dół? -zapytała.

- Natomiast Mac - ciągnęłam - postanowił, że nie przyjedzie, więc z tej strony jesteś bezpieczna. Jedź na jakąś konferencję na Jamajce.

Nie wzruszyła ramionami, nic nie zrobiła. Nawet nie mrugnęła. Więc już wiedziałam.

- Och, nie - wykrztusiłam. - Och, nie! - za drugim razem wręcz jęknęłam. Objęłam głowę dłońmi.

- Powiedział, że zadzwoni - mruknęła.

- Oczywiście, nie zadzwoni - powiedziałam.

- Czemu nie? - spytała.

Machałam rękami. Otwierałam i zamykałam usta jak karp. Nie wiedziałam, od czego zacząć. Powiedziałam jej to.

- Mac jest zbyt zajęty, żeby dzwonić - stwierdziłam w końcu. - Mac nie może nawiązywać bliższych znajomości. Jest zbyt zajęty związkiem z... z własnym ego. Nie ma czasu. Nie ma miejsca. Nie ma luzu. Trudno mi uwierzyć, że mówię to wszystko właśnie tobie. To jakby jajko uczyło kure.

- Nigdy nie rozumiałam tego wyrażenia - oświadczyła.

- On - nie - jest - mężczyzną - od - którego - można - się - spodziewać - telefonu - wyrecytowałam jak robot

- Będzie jak w jednym z tych filmów, gdzie gliniarz twardeł idzie na dach wieżowca, żeby pogadać z facetem, który chwieje się na krawędzi, a w końcu gliniarz mówi: „No już, skacz i się zabij, ty cholerny gówniarzu”, albo coś w tym rodzaju, i z jakiegoś niewyjaśnionego powodu facet postanawia jednak nie skakać.

- Tak - powiedziałam. - To ma być dokładnie tak. Myślałaś o terapii?

Parę lat temu sama poszłam do pewnej miłej psychoterapeutki.

- Dam ci jej numer telefonu. - Wiedziałam, że nie mam wielkich szans, żeby Delię tam wysłać, ale być może propozycja ta stanie się małym promyczkiem nadziei w ciemnym krajobrazie jej mózgu. - Mogłaby ci wytłumaczyć kilka podstawowych życiowych prawd na temat nieosiągalnych mężczyzn - stwierdziłam.

- Zatem ciebie wyleczyła? - powiedziała Della, obawiam się, że z sarkazmem.

Zdałam sobie sprawę, że bawię się breloczkiem do kluczy Delii, otwierając i zamykając futerał na prezerwatywy. Był pusty.

- I może coś na temat wewnętrznego przymusu - dodałam.

- Mac mnie bawi - powiedziała.

- Mac opowiada dowcipy? - spytałam.

- Nie - zaprzeczyła - po prostu mnie bawi, rozumiesz, śmieszy mnie wszystko, co robi.

- Więc się z niego śmiejesz?

- I jest inny. Czy nie masz wrażenia - zapytała - że w miarę jak robisz się coraz starsza, wszystko wydaje się być coraz bardziej takie samo?

- Umówię cię z nią - zapewniłam.

I umówiłam. Nie wiem, jak poszło. Nie wiem nawet, czy Della tam poszła. Wiem tylko, że nie zeskoczyła z dachu. Ciągłe powtarzała, że skoczy, ale kiedy przypominałam jej, że w telewizji dają „Stars in their eyes”, szybko zeszła.

Gdy wróciłam do domu, zadzwoniła Ven i powiedziała, że przyleci do Londynu w sobotę rano, tuż przed ślubem. Powiedziała, że jeśli nie będzie przeciwnych wiatrów, samolot powinien wylądować koło dziesiątej, więc na jedenastą trzydzieści na pewno zdąży do urzędu stanu cywilnego. Bez żadnego problemu.

Wygłosiłam długą mowę, głosem załamującym się we właściwych momentach. Wspomniałam o niepewnym charakterze wiatrów, ale przede wszystkim mówiłam o tym, że jest moją jedyną rodziną i najważniejszą dla mnie osobą na świecie. Nic nie pomogło.

- Jestem twoją siostrą, nie matką - powiedziała. - Może byś znowu poszła do psychoterapeuty? - Ven poszła na psychoterapię po raz pierwszy w wieku lat szesnastu i od tej pory święcie w nią wierzy.

- Nie, nie pójdę. Nie będę biegać do psychoterapeuty. Mam wkrótce zostać szczęśliwą mężatką.

- Módl się o pomyślne wiatry - powiedziała.

Ven jest pewna, że feng shui, które robi na tamten ślub, zapewni jej entrée do właściwego towarzystwa w Los Angeles.

Gdy skończyłyśmy rozmawiać, sama rozważałam, czy nie skoczyć z dachu, ale zamiast tego poszłam spać, a kiedy się rano obudziłam, pochylał się nade mną Ed ze śniadaniem na tacy i bukietem kwiatów.

- Chodźmy na groby - zaproponował.

Rodzice Eda pochowani są koło siebie na cmentarzu w Kensal Green, a on ich odwiedza dwa-trzy razy do roku. Pierwszy raz zabrał mnie tam wkrótce po oświadczeniach. Byłam okropnie zdenerwowana: nigdy przedtem nie byłam na randce, która miała w programie odwiedzin u przyszłej teściowej i przyszłego teścia, leżących dwa metry pod ziemią. Po pierwsze, nie byłam pewna, czy nie powinnam ubrać się na czarno. Przymierzyłam z pięćdziesiąt strojów, a w końcu, gdy szukałam w szafie butów, wyskoczył mi dysk. Wizytę trzeba było odłożyć, bo nie byłam w stanie nawet stanąć na nogach, dopóki nie zajął się mną osteopata.

- To bardzo ciekawe - stwierdził Ed, stojąc nade mną, zwijającą się z bólu na podłodze.

- Po prostu szukałam butów. Nie ma w tym nic interesującego.

- Gdzie są pochowani twoi rodzice? - spytał.

- Są rozsiani po całym Meksyku. Zginęli w katastrofie lotniczej. - Przecież to wie.

- Nie mają żadnego grobu?

- Nie. To wszystko dlatego, że w tym tygodniu nie poszłam na basen. Zawsze wypada mi dysk, gdy przez jakiś czas nie pływam.

- Aha - powiedział. - Naprawdę?

Gdy dwa tygodnie później dotarliśmy razem na groby, było naprawdę miło. Cmentarz, pełen ozdobnych wiktoriańskich mauzoleów, był rzeczywiście piękny.

Ed trochę uporządkował groby rodziców, przyciął miniaturową różę, którą tam posadził, a ja stałam obok z szacunkiem i starałam się nie myśleć o tym, że moi teściowie rozpadają się tam pod ziemią. Potem spacerowaliśmy po cmentarzu, przyglądając się innym grobom, bawiąc się imionami - „Och, spójrz, dwie siostry, Enid i Ethel, umarły w wieku osiemdziesięciu paru lat”, i wyszukując takie, które przyprawiały nas o dreszcz - „O mój Boże, ten chłopiec miał dopiero jedenaście lat”, i tak dalej.

Wtedy właśnie Ed powiedział:

- Uważam, że w podróż poślubną powinniśmy pojechać do Meksyku. - Natychmiast wiedziałam, do czego zmierza. - Myślę, że to byłby ładny gest szacunku wobec twoich rodziców.

- Ed, nie sądzę, że to dobry pomysł, otwierać tę akurat puszkę Pandory podczas podróży poślubnej. Nigdy nie byłam w Meksyku ani nigdzie w pobliżu, jeśli o to chodzi.

- Może to nie jest puszka Pandory - powiedział. - Może to puszka... fasoli.
- Gotowanej fasoli?
- Podsmażanej fasoli.
- Ale nie wesołych fasolek-żelek.
- Możesz sobie wyhodować łodygę fasoli.
- Może skończymy z tymi bzdurami. Nie uważam, żeby Meksyk był dobrym pomysłem.
- Ale to moja działka, nie? To pan młody porywa pannę młodą w nieznanym kierunku.
- Ed to nie żarty.
- Miej do mnie trochę zaufania.

Zaczynała się jesień, liście już żółkły. Cmentarz był ogromny. Im dalej szliśmy, tym wydawał mi się dzikszy. Ed stwierdził, że biorą go chucie i próbował wciągnąć mnie w krzaki. Opierałam się, ale potem pozwoliłam mu się pocałować pod pomnikiem z aniołem, a on przechylił mnie do tyłu, tak że oparłam się o marmurowe anielskie skrzydło, a wtedy pocałował mnie tak śmiało i czule, że powiedziałam:

- No dobrze. Zaufam ci.
- Spójrz w górę - powiedział, a gdy spojrzałam, piękne, chłodne, białe oczy anioła patrzyły na mnie z nieskończoną pogodą. - Widzisz - oznajmił Ed - twój anioł stróż.

Znowu zaczęliśmy się całować, ale kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam grabarza z motyką na ramieniu, więc wyzwoliłam się z miłosnych objęć Eda i uciekłam. Ed mnie gonił. Kluczyłam szaleńczo między grobami, ale i tak w końcu mnie złapał. Zawsze mnie łapie. Miałam tylko nadzieję, że grabarz nie uznał nas za zbyt niefrasobliwych. Potem znaleźliśmy herbaciarnię i zjedliśmy po jagodziance.

Więc teraz, gdy Ed mówi „chodźmy na groby”, myślę o jagodziankach i mówię „dobrze, chodźmy”.

Jak zwykle zrobiliśmy sobie spacer. Opowiedziałam mu o Ven, a on nie starał się mnie przekonywać, że nie ma się czym przejmować.

Powiedział mi, że był w Trailfinders po nasze bilety do Meksyku i kupił całą masę sprzętu. Szczególnie podniecał go rodzaj strzykawki stosowanej do usuwania żądeł owadów. Kiedy zaproponował, żebym wzięła plecak, zaprotestowałam:

- To podróż poślubna, kolego. Jadę na wysokich obcasach i z odpowiednim bagażem. - Ale nie kłóciliśmy się na ten temat.

Po herbaciarni postanowiliśmy wypożyczyć film wideo, pójść do domu i obejrzeć go, leżąc w łóżku. Jadąc do domu, Ed zgubił drogę, ponieważ wjechał w jakąś nową ulicę, by uniknąć korków - ale nie narzekałam, nawet nie namawiałam go, żeby zapytał o drogę (czytałam w jakiejś książce, że pytanie o drogę zagraża poczuciu męskości czy coś takiego). W domu zrobiliśmy sobie coś do jedzenia, posłuchaliśmy muzyki w koleżeńskej ciszy, a gdy już znaleźliśmy się w łóżku, powiedziałam:

- Cieszę się, że za ciebie wychodzę.

W środę zadzwoniła Della. Miała radosny głos i była całkiem inną kobietą. Powiedziała, że zabiera mnie na przedślubne juzzzzsz (brzmiało to jak juge po francusku).

- Najwyraźniej byłaś u terapeutki - powiedziałam.

- O tak - potwierdziła. - Coś w tym rodzaju. Juzzzzsz, jak się okazało, składało się z wielu okropnych zabiegów upiększających i kobiet w białych kitlach, poddających nas torturom i pytających:

- A w tym roku, kochaniutka, dokąd na urlop?

Gdy w końcu dotarliśmy do łaźni parowej, gdzie panował spokój, z obłoków pary wynurzały się kobiety o szczupłych udach, mówiące do siebie rzeczy w rodzaju: „Nie masz pojęcia, co przeszłam - nie masz pojęcia”.

- Życie małżeńskie - szepnęła do mnie Della. - Ven dzwoniła?

- Tak - wyszeptalam podejrzliwie - dzwoniła. Przyjedzie dopiero rano przed ślubem.

- Nic więcej nie mówiła?

- Nie, a co? - spytałam. - Rozmawiałaś z nią? Planujecie jakąś niespodziankę, mam rację? O co chodzi? Bomba z konfetti?

- Hmm, no... - powiedziała Della.

Przerwałyśmy rozmowę, ponieważ musiałyśmy się przenieść do sauny.

- Czy nie myślałaś, żeby opowiedzieć Edowi o Miłości Twojego Życia? - zapytała Della ni stąd, ni zowąd.

- A po co miałabym to robić?

- Bo podczas uroczystości, kiedy pytają, czy ktoś nie zna jakichś przeszkód...

- Aha. Więc co powiem Edowi? Że był taki gość, z którym spędziłam jedną noc, którego tak naprawdę wcale nie znam, nigdy więcej go nie spotkałam, ale nigdy się tak naprawdę z niego nie wyleczyłam i utrzymuję go przy życiu gdzieś w zaułkach mózgu, i że jest to prawdopodobnie

skomplikowany mechanizm obronny przed prawdziwymi związkami z rzeczywistymi ludźmi?

- Tak, czemu nie? - zasugerowała Della.

- A może mam mu powiedzieć, że gdzieś tam żyje taki gość, który, jak wierzę w duszy, jest tym jednym jedynym, dla mnie przeznaczonym? I że tego, co czułam do tego gościa, nie czułam do nikogo innego łącznie z Edem? Że kiedy pierwszy raz na niego spojrzałam, poczułam się tak, jakby mnie ktoś walnął w żołądek? Że gdybym naprawdę przemyślała to, co straciłam - tak naprawdę i dogłębnie - to zaczęłabym płakać i płakać, i nigdy bym już nie przestała?

- Uspokój się - powiedziała.

- Mam mu powiedzieć, że kiedy myślę o skórze tamtego mężczyzny i tym szczególnym błękanie jego oczu, i o tym, jak rękawy jego koszuli były podwinięte do łokcia, i o sposobie, w jaki wymawiał słowa i... Mam mu powiedzieć, że ciągle czuję ból w piersiach, gdy myślę o tym wszystkim, chociaż minęło już siedem lat? Mam mu powiedzieć, tak? Tak to sobie wyobrażasz?

- Naprawdę tak właśnie czujesz? - spytała Del, nagle siadając bardzo prosto, bez zwykłego przygarbienia.

Westchnęłam jak lokomotywa.

- Niezłe westchnienie - zauważyła.

- A może mam mu powiedzieć - ciągnęłam, nieco spokojniej - że jeszcze dwa lata temu obudziłam się w środku nocy i zawodziłam przez godzinę, bo uświadomiłam sobie, że nigdy już tego człowieka nie zobaczę.

Milczenie. Nieco niezręczne, w gruncie rzeczy. Della i ja zawsze żartowałyśmy na temat Alexa, nigdy nie mówiłam o nim tak jak dzisiaj.

- To tak, jak budzisz się w nocy i wiesz z całą pewnością, że umrzesz - stwierdziła Della.

- Miałaś takie uczucie? - spytałam, nieco zdumiona, bo Della zazwyczaj nie dopuszcza do siebie świadomości, że jest śmiertelna.

- Tak, miałam - odparła. - Powiedz Edowi prawdę.

- Nie wiem, jaka jest prawda.

Znów przerwa, podczas gdy przenosiłyśmy się do jacuzzi.

- Jeśli takie są twoje uczucia wobec Alexa, uważam, że powinnaś się postarać go odnaleźć.

- Jak? Nawet nie znam jego nazwiska.

- Powiedzmy, że byłby taki sposób - powiedziała Della. - Załóżmy.

- Nie mogłabym.

- Dlaczego?

- Może być już łysiejącym, grubym facetem, z żoną i ośmiorgiem dzieci. Albo, co gorsza, może wyglądać wspaniale i żyć w szczęśliwym związku z supermodelką.

- A jeśli nie? Zastanowiłam się.

- Nie, jednak nie. Gdyby chciał, mógł przyjechać i mnie odnaleźć.

- Wciąż uważam, że powinnaś Edowi coś powiedzieć - stwierdziła Della.

- Czemu? - spytałam znowu, nie rozumiejąc jej uporu. - Przecież to wszystko nie jest rzeczywiste. Nic z tego nie jest rzeczywiste. Od kiedy stało się rzeczywiste?

Nie miała na to odpowiedzi.

- W każdym razie to nie jest przeszkoda - dodałam po chwili. - Jeśli chcesz znaleźć prawdziwą przeszkodę, powinnaś zajrzeć do mojego pudełka po cygarach.

- A co jest w twoim pudełku po cygarach? - zapytała.

- Moja przysięga - oznajmiłam złowieszczo.

Nie pytała dalej. Siedziałyśmy chwilę w milczeniu, a potem przemówiłam:

- Zresztą wydaje mi się, że w urzędach stanu cywilnego nie ma tego fragmentu o przeszkodach.

- Miejmy nadzieję, że nie.

W drodze do domu Della powiedziała, że teraz musimy pójść do jednego baru, który zna, gdzie można się napić tequili i odbudować trochę stracone toksyny. Po półgodzinie pojawił się gość o klasycznej urodzie, w garniturze, wyglądający na biznesmena - wcale nie w typie zazwyczaj preferowanym przez Delię - i objął ją ramieniem jak posiadacz. Rozjarzyła się od ucha do ucha. Wydawał się być miłym facetem, pracował w komputerach.

Gdy poszedł po drinki do baru, a ja zauważyłam, że nie jest w jej zwykłym typie, Della wyjaśniła mi, że to zbiegły więzień, skazany na dożywocie, ale uciekł już dwa lata temu, ma fałszywe papiery, pracę i tak dalej.

- Za co siedział? - spytałam.

- Za morderstwo. Ale wiesz, to był jeden z tych przypadków, w których to nie on tak naprawdę to zrobił, tylko jego kumpel. Jest słodki. Nie martw się. Jest całkiem normalny.

- Hmm. Gdzie go poznałaś?

- W poczekalni u tej terapeutki, do której mnie wysłałaś - powiedziała i dodała po chwili: - Miałaś rację, że jest bardzo dobra.

Rozdział dwunasty

Wyobraźcie sobie tylko. Wyobraźcie sobie gromadę ludzi na schodach ratusza, oglądanych przez okno taksówki. Niektórzy noszą kapelusze („O Boże, po ci im te kapelusze? Powiedzcie im, żeby się pozbyli kapeluszy, nie wysiadę, jeśli będą w kapeluszach”). Wyobraźcie sobie wasze zaskoczenie, gdy okazuje się, że ci ludzie to wasi przyjaciele. Wyobraźcie sobie, jak dziwnie wyglądają w kapeluszach.

Wyobraźcie sobie, że postanawiacie wyjść za mąż w przebraniu syreny („Czy syreny nie płaczą na skałach po swoich dawno zaginionych kochankach-żeglarzach?” - to Della. „Tak, to prawda, rzeczywiście”). Wyobraźcie sobie, że ciągną was na ołtarz ofiarny, a wy idziecie, nie w pełni świadomi zapachu kurzu, jaskrawo wytapicerowanych krzeseł, czerwonych zasłon oraz wysokiego mężczyzny ze sterczącymi włosami, z którym podobno macie spędzić resztę życia. Wyobraźcie sobie, że rozglądacie się w panice za siostrą, a jej tam nie ma.

Wyobraźcie sobie zawodową życzliwość urzędników. Wyobraźcie ich sobie jako akuszerki, spokojne uśmiechy mówią wam, żebyście się nie martwili, nie jesteście pierwsi ani ostatni. W jakiś sposób życzliwość obcych jest bardziej wzruszająca niż wszystko inne. Macie ochotę chwycić tę pulchną w śliwkowym kostiumie i błagać ją, by was uratowała.

Wyobraźcie sobie, że rozpoczyna się formalna uroczystość, a potem nagle następuje zamieszanie, spowodowane, jak się okazuje, przybyciem Ven, która wdaje się z tyłu w szeptaną konferencję z Delią. Nie możecie się skupić, bo słyszycie głośne szepty. A poza tym chcecie do niej podejść i ją uściskać.

Potem wyobraźcie sobie, jak urzędnik dochodzi do tego kawałka, w którym pyta, czy ktoś zna jakieś przeszkody, ponieważ owszem, w cywilnych ślubach też jest ten kawałek, i wyobraźcie sobie, że słyszycie, jak wasza siostra głośno, wyraźnie i niezwykle spokojnie mówi: „Tak, w gruncie rzeczy tak”.

Wszyscy się oglądamy i patrzymy na Ven, która stoi zarumieniona, a Della ją szturcha. Della patrzy na mnie przez całą salę i mówi bardzo opanowanym tonem: „Możemy porozmawiać?”.

Gdy wychodzimy, za Delią wysuwa się Ven, marszcząc brwi, i razem wpychają mnie do kibla. Przemyka mi przez głowę, że wszystkie

wiekopomne zdarzenia w moim życiu zachodzą w kiblu. Zauważam, że i Della, i Ven mają przerażająco poważny wyraz twarzy.

- Odnalazł się - mówi Della. - Żyje i ma się dobrze. Ven wyciąga z torebki sztywne, białe zaproszenie ślubne i podaje mi.

- Masz mniej więcej osiem godzin - mówi pośpiesznie, jakby jej odporność nagle się skończyła i musiała to z siebie wyrzucić.

Biorę od niej zaproszenie i przyglądam mu się. Odczytuję je chyba z osiem godzin. Dwa nieznanymi nazwiska, adres w Kalifornii. Ponownie czytam nazwiska: „córki Cherelle z Alexandrem Lyellem”.

- Co to jest? - pytam, czując się bardzo dziwnie. Boję się.

- To ślub, przed którym robiłam feng shui - mówi Ven. Patrę na zaproszenie.

- Alex.

- To naprawdę on - mówi Ven. - Poznałam go w Los Angeles.

- Dzisiaj się żeni? - pytam.

Energicznie kiwają głowami.

- Ale jeszcze się nie ożenił? Kolejne kiwanie głowami.

- Ja też nie - mówię.

Głowy kiwają się jak poprzednio.

- Ty się z nim... spotykałaś? - pytam Ven.

- Nooo... tak.

- Rozmawiałaś z nim?

- Nooo... tak.

- O mój Boże - szepczę słabo, starając się ogarnąć to wszystko myślami.

Musiałam chyba zblednąć jak prześcieradło, bo Ven nagle zwraca się do Delii.

- Mówiłam ci, że nie powinniśmy jej mówić! - rzuca wściekle.

- Ten człowiek jest Miłością Jej Życia! - rzuca natychmiast Della, kładąc nacisk na ostatnie trzy słowa. - Poza tym - dodaje - mówiłam ci o Pakcie z Wardour.

Pakt z Wardour oznaczał koniec Zimnej Wojny między mną a Delią. Zimna Wojna zaczęła się pewnego wieczora, gdy w Love Ranch spotkałam Delię tańczącą z Davidem. David wystąpił już raz, w przeglądzie dawnych związków - na mojej stronie. Znalazł się pod numerem 6c - Jeden Z Tych, Którzy Się Wywinęli, podkategoria ZS, czyli Złamane Serce. Co więcej, tamtego wieczoru w Love Ranch atrament na tym wpisie jeszcze nie wysechł.

Przestałam się do Delii odzywać, choć w tamtych czasach mieszkaliśmy razem w jednopokojowym mieszkanku. Czułam się tak zdradzona, że nie byłam w stanie powiedzieć do niej nawet słowa. To znaczy, mówiłam na przykład „do ciebie”, kiedy dzwonił telefon, ale to wszystko.

Della też nie mówiła. Po paru tygodniach obie schowałyśmy się w bardzo twardych skorupach. Znalazłam sobie mieszkanie i wyprowadziłam się, ale nawet wtedy żadna z nas nic nie powiedziała. Później nie widziałyśmy się przez jakiś rok. Czułam się, jakbym straciła rękę.

A potem, pewnego dnia, natknęłyśmy się na siebie na Wardour Street. I w tym ułamku sekundy, gdy nasze oczy się spotkały, żadna nie potrafiła ukryć spontanicznej radości. Więc poszłyśmy na kawę.

Wyjaśniłam Delii, że choć bolało mnie, że ją widzę z Davidem, to bardziej bolesna była zdrada: to, że mnie o tym nie uprzedziła. Powiedziała, że chciała mnie chronić. Oznajmiłam jej, że to, co zrobiła, miało przeciwny skutek.

W końcu zgodziła się, że od tej pory nie będzie się starała mnie przed niczym chronić. Zawsze wszystko mi powie. A ja zgodziłam się, że nigdy nie będę po prostu milczeć i obrażać się. Zawsze wyjaśnię, o co mi chodzi. Uścisnęłyśmy sobie ręce. Nazwałyśmy to Paktem z Wardour Street (wkrótce po nim nastąpił Traktat z Shepherd's Bush, kiedy razem wynajęłyśmy mieszkanie).

- Pakt z Wardour Street! - parsknęła Ven szyderczo, przypierając Delię do umywalki.

- Ostrzegałam cię - powiedziała Della do Ven, nie pozwalając się przyprzeć. - Uprzedzałam cię, żebyś uważała na to, co mi mówisz.

- Musiałam powiedzieć Del, co mi wczoraj opowiedział Alex - powiedziała do mnie Ven. - Musiałam komuś powiedzieć. Mało nie pękłam!

Widzę, że cierpiała. Czuję falę miłości.

- A co właściwie - mówię, rozdzielając je - powiedział Alex?

- On... no, on... mówił o... no... Lepiej zacznę od początku.

- Stop - przerywam, unosząc zaproszenie, żeby powstrzymać ją od dalszych słów. - Myślę jednak, że lepiej to zdusić w zarodku, prawda? - przedzieram zaproszenie na pół.

Obie gapią się na mnie, wytrzeszczając oczy.

- Wszystko w porządku. Wszystko w porządku, wy tepe idiotki, co myślałyście, że zrobię? Zrobię Eda w jajo?

- Adres na zaproszeniu to adres Alexa - mówi szybko Della. Della jest bardzo dokładna.

- Naprawdę? - Drę zaproszenie na małe kawałeczki, wchodzę do kabiny i wrzucam je do toalety. Spuszczam wodę.

Patrzę na mnie z nabożnym lękiem.

- Poważnie, koniec z tą historią o Miłości Mojego Życia. Dobra?

Uznałam, że to właściwa chwila, żeby wyjść.

- Fałszywy alarm - mówię do urzędnika, wsuwając się na miejsce koło Eda. Jestem zupełnie spokojna. A w każdym razie chciałabym, żebyście tak myśleli. Pewnie byłam jednak nieco wzburzona i zamiast sunąć, potykałam się. Ale to przez syrenią suknię.

Sukienka była niebieskawo-srebrno-zielonkawa, jak łuska, i mieniła się, gdy szłam. Miała dopasowaną górę, a spódnicę nieco rozszerzoną, jak klepsydra, potem zwężoną dość mocno wokół kostek i zakończoną małym trenem jak rybi ogon.

Brzmi okropnie? Ale nie była okropna. Była najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałam. Tylko że się w niej trochę potykałam.

Uniosłam wzrok i stwierdziłam, że Ed wcale nie wydaje mi się już obcy. Był dobrze znajomy i uspokajający, po prostu dlatego, że był Edem. Co więcej, nie był zły, uśmiechał się.

- Przepraszam cię za tę scenę - wyszeptałam.

- Na dobre i na złe - powiedział i wziął mnie za rękę. Pomyślałam, że za te słowa będę go kochać do końca życia. Moja skała podczas burzy.

- Eh... - odchrząknął urzędnik i zaczęliśmy znowu. Gdy doszło do przysięgi, pomyślałam, że to idiotyczne

interludium w damskiej toalecie było dokładnie tym, co mi było potrzeba.

Uprzednie zagubienie ustąpiło wyrazistej jasności. Próba zachowania ironicznego dystansu ustąpiła pragnieniu odrzucenia ironii i postępowania z pełną szczerością. Przedtem myślałam, że będę płakać, ale byłby to ten sam rodzaj płaczu, co podczas oglądania „Przy stacji kolejowej”, kiedy Jenny

Agutter woła: „Tatuś!” i biegnie w zwolnionym tempie po peronie, wyciągając ręce - czyli płacz sentymentalny. Teraz oczy wypełniały mi prawdziwe łzy.

Stwierdziłam, że skoro mam to zrobić, to zrobię to tak, jak trzeba. Dla Eda. I dla siebie.

I tak to właśnie zrobiłam.

Potem robiono nam zdjęcia na schodach. Teresa wcisnęła mi do ręki małą białą paczuszkę, przewiazaną wielką, różową wstążką. W środku był medalion z kameą. Zazwyczaj nie noszę takich rzeczy, ale ten mi się spodobał, był taki staroświecki.

- Należał do twojej matki - powiedziała Teresa. - Otwórz go. - W środku medalionu był mały kosmyk włosów. Przez chwilę mnie odrzuciło. Może to zabrzmiało okropnie, ale jakoś nie mogłam znieść myśli, że te włosy należały do mojej matki.

- Czy to...? - zapytałam, nie umiając ukryć tych uczuć. Trzymałam medalion na wyciągniętej dłoni, niezdolna dotknąć włosów.

- Nie, nie. To twoje włosy - wyjaśniła Teresa. - Kosmyk niemowlęcych włosów. Twoja mama je tam włożyła.

- Och - powiedziałam. To było zupełnie coś innego. Wyjęłam kosmyk i przyjrzałam mu się.

- Trzymałam go właśnie na taką okazję - stwierdziła Teresa.

Uściskałam ją mocno. Teresa jest dobra w takich gestach.

Uświadomiłam sobie w pełni, że jestem mężatką, chyba dopiero w ubikacji w „Ivy”, gdy przyglądałam się sobie w lustrze. Naprawdę to zrobiłam!

Zastanawiałam się przez chwilę, czy czuję się jakoś inaczej. Wszyscy mówią, że jak się wyjdzie za mąż, człowiek czuje się inaczej i że tak po prostu jest. Wypiłam trochę wody. Pomyślałam o Edzie. Nie widziałam i nie czułam żadnej różnicy, ale może jeszcze nie wystąpiły skutki uboczne. Miałam jednak wrażenie, że w jakiś sposób jestem teraz związana z Edem, choćby dlatego, że razem przecierpieliśmy tę krępującą uroczystość.

Spojrzałam na medalion, wiszący na mojej szyi, i pomyślałam: teraz jestem prawdziwą kobietą.

Nie przejmujcie się, nie brałam siebie na serio.

A poza tym, to by znaczyło, że przedtem byłam - czym? Udawaną kobietą? Sztuczną kobietą? No może.

Pomyślałam, że poprawię sobie szminkę na ustach, a potem pomyślałam, że nie ma sensu, bo i tak ją zaraz zjem, a potem pomyślałam, że może to pierwsza oznaka zaniedbania. Ostrzegano mnie, że mężatki często zaczynają się zaniedbywać. W panice sięgnęłam po szminkę.

O Alexie pomyślałam raz. Raz. I naprawdę nie myślałam o nim więcej. Poszłam tam, gdzie słońce rozświetlało biały obrus, a wokół jednego stołu siedzieli wszyscy moi ulubieni ludzie na świecie.

Byli tam Teresa i Roland, i Della, i moje przyjaciółki Jennie i Rachel, które specjalnie przyjechały z Japonii, szalony brat mojego ojca Richard, Karim i Philippe, z którymi kiedyś pracowałam, pani Ramsey, która była kiedyś moją sąsiadką, kuzynka Eda Matilda z dorosłym synem, jego ciotka, która nie mieszkała w Australii, a także Morris. Morris właściwie nie podpadał pod kategorię „ulubionych ludzi na świecie”, ponieważ był nowym przyjacielem Delii, tym zbiegłym więźniem, ale przepełniała mnie życzliwość do całego świata i postanowiłam, że jego obecność nie popsuje mi zabawy. A poza tym może naprawdę był niewinny -ostatecznie Czwórka z Guildford była niewinna, i Szóstka z Birmingham była niewinna, więc może Morris też był niewinny.

Kiedy doszliśmy do deserów, było mnóstwo szeptów i lekkie zamieszanie, więc domyśliłam się, że nastąpi jakaś niespodzianka. Ed i ja trzymaliśmy się za ręce i czuliśmy się jak dzieci na przyjęciu urodzinowym. Zamówiłam tarte au citron i teraz byłam ciekawa, czy postawią na nim świece, czy co, więc naprawdę zaskoczyło mnie nagłe pojawienie się Maca, w smokingu, niosącego gigantyczny, kanarkowożółty tort weselny.

Okazało się, że w drodze z lotniska zajeżdżał do Harrodsa, poprosił o biały tort, dowiedział się, że zamawia się je na trzy miesiące z góry, i przekonał ekspedientkę, żeby sprzedała mu jeden z modeli wystawionych na półkach - podobno zdecydowanie wbrew jej chęciom (ale nie wierzę, by ktokolwiek opierał się Macowi przez więcej niż trzydzieści sekund).

Tort był nieco starawy, ale liczą się chęci. Był również tak wielki, że wystarczyłoby dla całego pułku żołnierzy, więc posłaliśmy kawałek wszystkim ludziom w restauracji, a reszta, mam nadzieję, wystarczyła bezdomnym na parę tygodni.

Mac kilkakrotnie klepał mnie po plecach i pytał, czy naprawdę myślałam, że nie przyjedzie na mój ślub, a ja powiedziałam, że naprawdę. Nie zdawałam sobie sprawy, że mnie aż tak lubi, ale tego nie powiedziałam.

A potem kelnerzy, którzy rozpromienili się na sam jego widok, przynieśli mu krzesło i postawili przy stole koło Delii, co mnie lekko zaniepokoiło. Ale Mac natychmiast wdał się w rozmowę z Morrisem, więc nie przejmowałam się za bardzo.

Uścisnęłam dłoń Eda, rozejrzałam się wokół, i przeżyłam jedną z tych chwil, kiedy się myśli, że życie jest wspaniałe, a wychodzenie za mąż nie jest wcale takie okropne.

Co prowadzi mnie prosto do Etapu Szóstego w moim poradniku, jak dojść do Żyli Długo i Szczęśliwie. Powinam was jednak uprzedzić, że Etap Szósty jest szczególnie wymagający.

Na ten krok zdecydują się tylko te dziewczyny, które są zupełnie zdeterminowane. To nie jest etap dla osób lękliwych, bo lękliwe cofną się, lękliwym może się nie powieść. Ten etap, jak to się mówi, pokazuje, kto jest już mężczyzną, a kto jeszcze chłopcem.

Słowo zachęty: można to zrobić.

To możliwe. Wiem, bo sama to zrobiłam. Być może codzienne ćwiczenia jogi aśtanga pomogą zdobyć potrzebne siły i odporność. Wegetarianizm też jest zapewne mądrym pomysłem. Niewątpliwie pomocna okaże się medytacja. Możecie też spróbować codziennie rano jeść namoczone nasiona lnu, ponieważ, jak słyszałam, regulują one pracę żołądka.

Nie muszę chyba mówić, że nie próbowałam żadnej z powyższych rzeczy. Weszłam w Etap Szósty nieprzygotowana - co więcej, z pełnym żołądkiem, po dużym, kalorycznym obiedzie z homarem w „Ivy”.

Etap Szósty:

Udaj się w podróż poślubną (oczywiście), ale dojedź na lotnisko za późno, kiedy twój samolot już odleciał.

Trzeba zrobić tak: wszystko idzie jak z płatka, na końcu podają kawę. Wtedy mówisz żartobliwie: „I co, już żadnych więcej niespodzianek?”. W tym momencie na salę wkracza czterech policjantów, w tym dwóch tajniaków, i aresztują Morrisa, zbiegłego z więzienia przyjaciela twojej najlepszej przyjaciółki. Nieco to tobą wstrząsa, ale zachowujesz zimną krew. Wszyscy żegnają Morrisa ze łzami w oczach, a Mac, który najwyraźniej go polubił, jedzie z Delią na komisariat, żeby zobaczyć, czy może w czymś pomóc.

Ale ty - ty nie zmieniasz swoich planów ani na jotę. Ed jedzie do domu po bagaże, które tam czekały, bo nie chcieliście ich ciągać ze sobą po Londynie przez cały dzień. Ty natomiast idziesz z Teresą do jej eleganckiego hotelu, by wygodnie i wytwornie przebrać się w swój strój podróżny. Ponieważ Ed

będzie po drugiej stronie miasta, postanawiacie jechać na lotnisko oddzielnymi taksówkami.

Gdy już wzięłaś prysznic i przebrałaś się, dzwoni Mac, mówiąc, że teraz on został aresztowany. Nie mówi, za co, ale upiera się, żebyś przyjechała na komisariat z jego brytyjską książeczką czekową, która jest w Chelsea, ponieważ policja - głupio, jego zdaniem - nie przyjmuje kart kredytowych na pokrycie kaucji.

To już porządnie tobą wstrząsa. Ale Mac przekonuje cię, że masz czas na podróż do Chelsea i z powrotem. Apeluje do twych lepszych uczuć, żali się, że przecież nie zostawisz go bez pomocy - mówi, że masz mnóstwo czasu, ale na wszelki wypadek zadzwoni do swego kumpla, dyrektora British Airways, i poprosi go, żeby zatrzymali samolot, dopóki nie dojedziesz. Dobrze?

(W obronie Maca muszę powiedzieć, że akurat omawiał z Morrisem możliwość nakręcenia o nim filmu biograficznego).

Jesteś wstrząśnięta. Poddajesz się. Gdy docierasz do komisariatu, via Chelsea, dowiadujesz się, że Maca oskarżono o... o... palenie.

Palenie?

W poczekalni dla niepalących.

Cóż za bzdura, myślisz sobie. Ale on, oczywiście, posunął się za daleko.

Mac peroruje: „Od kiedy to nie można do cholery palić w cholernym kiciu? Te miejsce zaprojektowano dla palących! Czy nikt nie widział „The Sweeney”? W takich miejscach ludzie palili tyle, co nigdy w życiu. Do czego do cholery dojdzie ten kraj?”.

Dajesz mu książeczkę czekową. Pytasz Delię, jak policja znalazła Morrisa. Odpowiada Mac. Jest przekonany, że szef policji jadł obiad w „Ivy” i rozpoznał Morrisa.

Zanim zostawisz Delię i Maca, patrzysz na Delię znacząco, przypominając jej, co mówiłaś o niej i Macu, i jak to się musi skończyć tym, że stracisz pracę, i jak okropnie się czuła, gdy do niej nie zadzwonił, i że mówiłaś jej, że Mac nie potrafi utrzymać żadnego związku z kimkolwiek poza swoim bankierem (z którym ma bardzo dobry związek) - ale okazuje się, że nie da się tego wszystkiego zawrzeć w jednym spojrzeniu, a poza tym ona i tak cię ignoruje.

W każdym razie nie masz czasu na nic więcej poza spojrzeniem. Dzikim pędem ruszasz do taksówki. Patrzysz na zegarek, serce ci bije, masz wizję estakady Hammersmith w stanie gładkim, zapraszającym i pustym - tak jak

to bywało w niedzielne poranki o piątej rano, gdy wracałaś z imprezy. Uznajesz, że masz mnóstwo czasu.

Dwadzieścia pięć minut zajmuje ci pokonanie Strandu. Potem jest nieco lepiej - docierasz do estakady Hammersmith i wtedy dopiero wpadasz w czarną rozpacz: zaczyna padać deszcz. W całym Londynie ruch posłusznie staje. To prawo natury, takie samo jak to, że po nocy przychodzi dzień.

Gdy taksówka w końcu zjeżdża z estakady, robisz rozpaczliwą próbę: wysiadasz z taksówki i gonisz do metra. Ale chwytasz się brzytwy. Pociąg zatrzymuje się w tunelu, bo w Hainault zepsuła się sygnalizacja. Gdy docierasz na lotnisko, samolot do Meksyku nie tylko skończył odprawę, ale już odleciał. I to chyba razem z Edem.

Rozdział trzynasty

Nowy Jork. Słyszeliście o tych mieszkających w dżungli plemionach, w których dojrzałość osiąga się po skomplikowanym rytuale przejścia? Kiedy miałam szesnaście lat i zachowywałam się okropnie wobec wszystkich, Teresa wysłała mnie na letnie wakacje do Nowego Jorku, wyposażając w jeden z ekscentrycznych przewodników Rolanda.

Czytałam przewodnik w samolocie, ale nie dowiedziałam się z niego, że wyląduję na innej planecie. Gdy znalazłam się w Nowym Jorku, myślałam, że dostałam się do „Blade Runner”. Wszystko wyglądało, jakbym miała odjazd po kwasie - inna rzeczywistość. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nosiłam w sobie mnóstwo możliwości i byłam chora z podniecenia. Straciłam głowę - a później i dziewictwo - gdzieś na Lower East Side.

To nie o to chodzi, że miałam „wakacje swojego życia”, czy coś w tym rodzaju. Gdy wróciłam i próbowałam wmówić Delii, że miałam wakacje swojego życia, zrugła mnie:

- Chcesz mnie wkurwić i przekonać, że ja nie żyłam, czy co?

Myślę, że tak naprawdę tylko z dystansu można powiedzieć, czy się spędziło czas najlepiej w życiu. Przede wszystkim nie można o tym wiedzieć przed śmiercią. Poza tym po prostu nic nie wiadomo, dopóki się przeżywa to, co się dzieje. Dopiero gdy wszystko zostanie skondensowane z dalekiej perspektywy, zaczyna wydawać się wspaniałe. Rzeczywistość była taka, że łąziłam po Nowym Jorku z uczuciem, że TO gdzieś tam się dzieje, a ja nie mogę trafić tam, gdzie TO się dzieje.

Teresa miała tam siostrzenicę w moim wieku, więc zamieszkałam u jej rodziny. Tłoczyli się w ciasnym mieszkaniu. Najlepiej zapamiętałam nieznanne zapachy, duszną atmosferę i przerażającą, pełną karaluchów hydraulikę. Mama Marthy była dość surowa i trzymała nas na krótkiej smyczy. Wciąż migały mi przed oczyma kuszące sceny, zadreślałam się więc fantazjami na temat przygód, które nie są mi dane. Wysokie blondynki przejeżdżające taksówkami w drodze do nocnych klubów, superstudenci szkół teatralnych, robiący piknik w parku... wszystko.

Zaliczyłyśmy normalne miejsca - pojechałyśmy na górę Empire State, przejechałyśmy się promem na Staten Island, zwiedziłyśmy Metropolitan Museum i Museum of Modern Art. Gdy odkryłam MoMA, wracałam tam nieustannie i nie chciałam już chodzić nigdzie indziej. Poczucie możliwości,

które w sobie odkrywałam, znajdowało odzwierciedlenie w tych wielkich, szalonych obrazach, które całkiem dosłownie mnie podniecały.

Zakochałam się w abstrakcji ekspresjonistycznej i przewodniku po MoMA, niejakim Barnabym, chudym i skomplikowanym, w ciężkich okularach w czarnej oprawie, który stawał przed Rothko i mówił: „Na początku było Słowo”.

Chryste. Niemal dostałam orgazmu. Jeśli wydaje się wam to pretensjonalne, pamiętajcie, że mowa jest o dziewczynie, która do tamtej pory odrzucała wszelkie wykształcenie i kulturę na rzecz rozwiązywania quizów w czasopismach, żeby stwierdzić, czy nadaje się do sesji seksu grupowego z członkami zespołu Duran Duran.

Zwiedzanie było za darmo, więc chodziłam szczególnie za Barnabym. Podczas chyba trzeciej mojej wizyty zatrzymał nas przed Rothko i spytał, o czym myślimy, patrząc na ten obraz. Zapadła cisza, a ja po prostu musiałam w tę ciszę powiedzieć: „Na początku było Słowo”.

Barnaby odwrócił się i po raz pierwszy na mnie spojrzał -przedtem był zbyt zajęty własną umęczoną duszą, by mnie zauważyć. Spojrzał na mnie z nieskończoną wdzięcznością. Miałam wrażenie, że przywróciłam mu wiarę w ludzkość -nie tylko w ludzkość, także w życie, świat, wszystko.

Chciałam dodać: „Usłyszałam to od pana”, ale po tym spojrzeniu, jakim mnie obdarzył, nie mogłam go rozczarować. Od tej pory zauważał mnie zawsze, gdy szłam w jego grupie.

Mieszkanie z rodzicami Marthy było dość trudne. Pani Elberman była prawdziwą żydowską matką, która ciągle narzekała na to, jak się ubieramy i co jemy - zamawiałyśmy lody o drugiej nad ranem. Z niektórych rodzinnych obowiązków nie można się było wywinąć, a jednym z nich było pójście na herbatkę do kuzyna z innej gałęzi rodziny, który niedawno przeniósł się do Nowego Jorku. Miał podobno dwadzieścia trzy lata i zaczynał pracę w branży wydawniczej.

Zapanował wyraźny nastrój swatania. Pani Elberman kazała nam nałożyć nasze najlepsze grzeczne sukienki. Miejsce, do którego nas wysłano, znajdowało się w bardzo niezdrowej części miasta, myślałyśmy więc, że taksówkarz zawiózł nas pod zły adres, żeby nas obrabować. Ale „niestety nie”, powiedziałam, gdy odjechał. Zaczynałam już wątpić, czy uda mi się przeżyć w Nowym Jorku coś naprawdę wstrząsającego.

Martha wpadła w histerię, była zdenerwowana, myślała, że lada chwila ktoś nam da w łeb i tak wgapiała się we wszystkich przechodzących

mężczyzn, a także tak wyraźnie wydzielala feromony strachu, że powiedziałam jej, iż równie dobrze mogłaby sobie zawiesić na piersi tabliczkę z napisem: „Daj mi w łeb”.

W końcu weszłam do baru i pokazałam komuś kartkę z adresem, a tam ani mnie nie obrabowali, ani nie pobili, tylko potwierdzili, że jestem we właściwym miejscu, a dom, którego szukam, stoi dokładnie po drugiej stronie ulicy.

Wiec weszłyśmy. Musiała to być chyba jakaś przebudowana fabryka, bo przestrzenie wspólne były szczytem funkcjonalizmu: sam beton i stal. Wszystkie drzwi mały wzmocnienia, takie, jakie zakłada się w Londynie, gdy dom stoi pusty i trzeba go chronić przed dzikimi lokatorami. W końcu dotarłyśmy do czegoś, co przypominało Ford Knox, z numerem 14 ledwo widocznym wśród graffiti.

Zapukałyśmy. Brak odpowiedzi. Martha już niemal robiła pod siebie ze strachu i powtarzała, że Paul nie może mieszkać w takim miejscu. W końcu drzwi otworzyła panna młoda na łyżworolkach. Gdy odrzuciła do tyłu welon z małym karcącym sapnięciem i powiedziała: „Cześć chłopaki, spóźniliście się, angielskie bułeczki już całkiem wystygły” - zobaczyłyśmy, że to on, nie ona.

Martha jęknęła cicho i drżącym głosem spytała: „Paul?”. I to był on.

Nie jestem pewna, czy angielskie bułeczki w ogóle istniały. Paul jeździł po mieszkaniu w szerokiej sukni ślubnej, zrzucając wszystko, co dało się rzucić. Przedstawił nam swego przyjaciela Craiga, który cały wieczór spędził nad deską do prasowania. Opowiadał dowcipy, które rozbawiły nawet Marthę, poił nas manhattanami, częstował papierosami, a w końcu nas przebrał i poszliśmy razem do „Nell's”.

Okazało się bowiem, że „praca w branży wydawniczej” oznacza stanowisko stylisty w „Vogue”. Jeden pokój w mieszkaniu Paula wypełniały rzędy strojów. Czulaam się jak w raju, nawet Martha się zdecydowanie rozluźniła po drinkach, i w końcu wyglądała zdumiewająco dobrze w Vivienne Westwood od stóp do głów. Ja wybrałam skąpą sukienkę z czerwonego aksamitu i obcasy, które Paul nazywał „pieprz mnie”.

Tłum przy drzwiach u „Nell's” rozstał się przed Paulem jak Morze Czerwone. Pamiętam oszołomienie, które mnie ogarnęło wśród tych wszystkich dorosłych, znużonych życiem ludzi, i niemal umarłam na myśl, że też przynależę. Chciałam natychmiast odrzucić swoją młodość. Chciałam być znużona życiem.

Nie zdawałam sobie sprawy, oczywiście, że to działa także w drugą stronę. Że ci wszyscy wspaniali ludzie mogli z zazdrością patrzeć na moją kwitnącą młodość. Na tym polega kłopot z młodością: nie chce się tego, co się ma - zaczyna się chcieć, gdy minie.

Jednym zręcznym ruchem Paul przeprowadził nas pod aksamitnymi barierkami i przez uświęcony próg. I jakby to wszystko razem nie wystarczyło, by przyprawić mnie o zawrót głowy, pierwszą osobą, na którą wpadłam na parkiecie, był Barnaby z MoMA.

Byłam już mocno wstawiona i być może moja pamięć nie mówi prawdy, ale wydaje mi się, że po prostu padliśmy sobie w ramiona. Szkoda, że nie zawsze może tak być. Szkoda, że nie zawsze czuję ten rodzaj pewności. W sprawach sercowych, ten kto się waha... Tor moich myśli biegł jakoś tak: jestem boginią, musi mnie chcieć. Proste.

Więc padliśmy sobie w ramiona, i podczas „Tm Every Woman”, bębniącej z głośników z natężeniem tysiąca decybeli, powiedział:

- Jak to możliwe, że rozumiesz Rothko? Powiedziałam mu, że mam boską moc.

Gdy Paul przyszedł, żeby sprawdzić, kogo złapałam, powiedział: „Wydaje mi się, że to raczej jeden z moich”.

Teraz myślę, że zapewne miał rację. Barnaby rzeczywiście mógł być niezdecydowany seksualnie, ale tamtego wieczora był zdecydowanie mój.

- Ona jest boginią - powiedział Barnaby Paulowi, bardzo poważnie.

Spojrzałam na niego mniej więcej tak, jak on na mnie w MoMA.

- Wiedziałaś? - spytałam.

Po powrocie do mieszkania Paula, Barnaby i ja kochaliśmy się, dość niezdarnie. Było to podniecające, ponieważ chodziło o seks i ponieważ myślałam, że Barnaby jest moim trofeum, ale doznania fizyczne można raczej porównać do wizyty u dentysty.

Rano Barnaby wyszedł wcześniej do pracy, a ja odkryłam krew na prześcieradle. Gdy powiedziałam o tym Paulowi, stwierdził, że powinniśmy wywiesić je przez okno, by z dumą obwieszczało, co się stało - ale widząc wyraz mojej twarzy, pomógł mi je zanieść do pralni i był taki słodki, że wiedziałam, że go będę kochać do końca życia.

Wróciłyśmy do Elbermanów w grzecznych sukienkach i powiedziałyśmy mamie Marthy, że Paul poczęstował nas tylko suchymi angielskimi bułeczkami. Gdy później odwozili mnie na lotnisko, zdałam sobie sprawę, że dorośli nigdy nie będą wiedzieć. Nigdy nie będą wiedzieć, co to znaczy żyć

naprawdę. Pielęgnowałam ten sekret niemal tak samo, jak pielęgnowałam swego kaca, jako dowód na mój rytuał przejścia w Nowym Jorku.

- W Nowym Jorku straciłam dziewictwo - wyznałam Edowi, gdy samolot kołował w deszczu do rękawa na JFK.

Ed był zielony. Nad Atlantykiem szalały burze, więc ostatni odcinek był dość nieprzyjemny - słyszałam nawet, jak stewardessa wymiotuje w kuchence, było aż tak źle.

- Od tamtej pory go szukam - powiedziałam.

- Ale śmieszne - powiedział. - Długo nad tym myślałaś?

Ta uwaga nie była szczególnie przyjazna, ale i tak stanowiła postęp. Przez cały lot nie odezwał się do mnie ani słowem.

- Ale to prawda - w pewnym sensie. Nie sędzę, bym kiedykolwiek była tak podekscytowana i pełna życia, i tak... pełna nadziei, jak podczas mego pierwszego pobytu w Nowym Jorku.

Zwrócił się w moją stronę, mrużąc oczy.

- Dlaczego jesteśmy w Nowym Jorku? - spytał.

- Wiesz dlaczego - odpowiedziałam.

- Daj spokój - przerwał - o co w tym wszystkim chodzi?

W tym momencie puściły mi nerwy. Ed bywa przekonany, że łatwo wytłumaczalne przypadki życiowe są czymś w rodzaju skomplikowanej konspiracji, wymierzonej w niego osobiście - a ja tego bardzo nie lubię.

- No, skoro pytasz - wybuchnęłam - to wszystko jest skomplikowaną konspiracją, wymierzoną przeciwko tobie. Maca nie aresztowano. Ja nie ugrzęzłam w korkach. Co więcej - tak naprawdę wcale nie jesteśmy małżeństwem. Urzędnik wyglądał być może jak urzędnik z Epping, ale tak naprawdę jest tajnym agentem, pracującym dla MI5.

- Ale śmieszne.

- A ta cała scena na lotnisku, kiedy Mac zachował się jak w gruncie rzeczy przyzwoity i szczodry facet, to wszystko była zgrywa.

Gdy dobrnęłam w końcu do Heathrow, nie mogłam znaleźć Eda. Miał wyłączoną komórkę, nie odzywał się także w naszym mieszkaniu. Zadzwoiłam do Delii, ale niewiele potrafiła mi zasugerować, poza tym, żebym spróbowała go wywołać przez głośniki - czego próbowałam bezskutecznie.

Mac zadzwonił do mnie kilka minut później i powiedział, że załatwił nam dwa miejsca na późny lot linii Virgin do Nowego Jorku - w tym momencie nie mógł znaleźć niczego bliżej Meksyku. Powiedział też, że zarezerwował

nam pokój w eleganckim hotelu w mieście. Chyba się czuł winny, bo powiedział:

- Możecie zostać w hotelu, jak długo zechcecie, ja funduję. - Tyle że wiem, że jego firma ma kontrakt z tym akurat hotelem.

Snułam się po lotnisku, rozglądając się wszędzie za Edem, i myśląc sobie, że bez względu na wszystko polecę tym samolotem do Nowego Jorku. Myśl o powrocie do naszego ponurego mieszkanka - albo do Maca - przyprawiała mnie o myśli samobójcze. W końcu zajrzałam do księgarni. Ed siedział tam w fotelu zrobionym z wózka i naszych walizek, czytając *Mężczyźni są z Marsa*, a kobiety z *Wenus*.

Na mój widok powiedział:

- Ta książka mówi, że jesteś gumką. Rozciągasz się i kurczysz z powrotem. Mówi też, że jesteś mężczyzną.

- Rozumiem - potwierdziłam - Tak mi przykro.

- To mężczyźni mają być gumkami - oznajmił.

- Słuchaj, Ed - powiedziałam. - Mac...

- Mężczyźni także wystawiają śmieci - przerywał mi. - Ty tego nie robisz. - Spojrzał na mnie oskarżycielsko. - I idą do swoich jaskiń.

- Racja. Słuchaj, Ed, musimy zdążyć na samolot. - Wstyd mi powiedzieć, ale spojrzałam na zegarek. Być może nawet spojrzałam na zegarek niecierpliwie.

- Jesteś, kurwa, niesamowita! - wykrzyknął na tyle głośno, że ekspedientka podniosła głowę.

Wyjaśniłam mu, dlaczego lecimy do Nowego Jorku.

- Proszę cię - powiedziałam, naprawdę zdesperowana - ta sytuacja może zmienić się ze złej na gorszą albo ze złej na lepszą. - I szepnęłam niezręcznie: - Przecież jesteśmy małżeństwem. - Kątem oka dostrzegłam, że głowa ekspedientki podskoczyła znad spisu inwentarza czy też co tam ona robiła.

Ed rozważał coś przez chwilę, potem wstał, ustawił nasze bagaże równo na wózku, uklonił mi się, jakby mówił „pani prośba jest dla mnie rozkazem” i odłożył *Wenus* i *Marsa* z powrotem na półkę.

- Ed, jest mi naprawdę bardzo, bardzo, bardzo przykro - powiedziałam z wdzięcznością.

Odwrócił wzrok i nie odpowiedział. Spojrzałam na ekspedientkę. Też odwróciła wzrok.

W samolocie, gdy już przypominałam Edowi, że ten lot zawdzięczamy ratowniczej działalności Maca, rzucił tylko: - Mac to wielki bydlak.

- Nieprawda - powiedziałam, zdenerwowana.

Ed po prostu odwrócił głowę w przypiływie zimnej złości. Jak się siedzi w klasie economy w 747 to jest to wszystko, co można zrobić, żeby zwiększyć dystans między sobą a osobą obok.

Gdybym miała dość miejsca, kopnęłabym samą siebie. Powinnam przecież zachowywać się najlepiej jak potrafię.

W tej chwili przy naszych fotelach zatrzymała się stewardessa.

- Czy to państwo jesteście nowożeńcami? - spytała.

- Czy tego nie widać? - wypalił Ed.

- Proszę bardzo - powiedziała i podała nam butelkę prawdziwego szampana z pierwszej klasy. - Z najlepszymi życzeniami.

- Dzięki - ucieszyłam się. - To bardzo miłe. - I siedzieliśmy tak w ciszy, a ja trzymałam między udami butelkę zimnego szampana.

Gdy ogłoszono, że „tym razem” nastąpi opóźnienie w dotarciu do bramki i nasza męka potrwa dłużej, zwróciłam się w końcu do Eda:

- Słyszysz głosy? - Zignorował mnie. - Bo ja słyszę głosy.

Zwrócił głowę o milimetr w moją stronę i coś mruknął.

- Nie słyszysz głosów? - powtórzyłam.

- O czym ty mówisz? - spytał Ed.

- Słyszę głosy - powiedziałam zaniepokojona.

- Jakie głosy? - warknął Ed.

- Głosy. Ciche głosiki.

- I co mówią? - znowu warknął.

- Mówią takie rzeczy jak „Jaki jesteś wysoki i przystojny!”, „Świetne nogi”, „Takie miłe, życzliwe oczy” i takie tam inne. Chyba mówią do ciebie.

- Uch - wysyczał, mając dość. - Zamknij się, co?

- To nie moja wina, to głosy.

Nie zaszczycił mnie odpowiedzią. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż znowu odezwałam się, podniecona:

- Och, wiem, co to mówi! To bąbelki w butelce! - I podniosłam szampana do góry.

Ed spojrział na mnie, jakby się zastanawiał, czy nie trzeba mnie odizolować. Ale przynajmniej patrzył na mnie, więc spuwentowałam: - Z najlepszymi życzeniami!

Trudno jest grać tragicznego bohatera w obliczu idiotyzmu.

Ed co prawda nie roześmiał się z mojego głupiego żartu, ale też nie zachował kamiennej twarzy. Potrząsnął głową i parsknął, a lód się lekko skruszył. Nie powiem, że sprawy między nami uległy wielkiej poprawie, gdy przechodziliśmy przez terminal do nocnego ciepła i chaosu JFK, ale przynajmniej teraz ze mną rozmawiał.

- Naprawdę zabawne jest to, że myślisz, że jesteś zabawna.

Wcale tak nie jest, ale nie miałam zamiaru się sprzeczać.

Czasami myślę, że najlepszą rzeczą w Nowym Jorku jest hałas. Ciągłe klaksony samochodów, syreny, żółte taksówki podzwaniające na metalowych płytach na jezdni, i śmieciarki, które w nocy tak hałasują, jakby z Chrysler Building spadła iglica.

Wysiedliśmy z taksówki przed hotelem, który wznosił się nad nami błyszczący i rozświetlony na niebiesko. Przypominał mieszkalną bożonarodzeniową choinkę. Nie wystarczy powiedzieć, że wyglądał zachęcająco i zapraszająco. Ani nawet kusząco i ekskluzywnie. Wydawał się mówić: „Porzućcie rzeczywistość, wy, których stać na to, by tu wejść”.

I tak, dzięki Macowi, my także wpłynęliśmy przez obrotowe drzwi do środka. Portierzy w designerskich ubraniach to najwyraźniej modele, zarabiający dodatkową kasę. Być może, jeśli jesteś bogatą, samotną damą, możesz wynająć jednego z nich na wieczór.

Gdy znaleźliśmy się na górze, Ed rzucił okiem na pokój -na szerokie, wysokie, emanujące luksusem, rozkosznie posłane łóżko z wieloma poduszkami, a za oknem na zniewalającą, fantastyczną, seksowną miejską sylwetkę Nowego Jorku by night. Takie połączenie musi wywołać erekcję nawet u najbardziej odtrąconego kochanka - więc pociągnął mnie na łóżko.

Udało mu się ściągnąć ze mnie niemal wszystko w ciągu trzydziestu sekund, cały czas mnie całując. Nie wiem, jak on to robi. Zapewne udoskonalał tę technikę całymi latami. Właśnie przesuwając językiem wzdłuż mojego mostka, gdy przerwał i wyszeptał: - Nie mamy prezerwatywy.

Tak - używamy prezerwatywy. Lubię prezerwatywy. Prezerwatywy są antykoncepcją stosowaną wtedy, gdy jest taka potrzeba. Są jak liczniki elektryczne na żetony: nie dostaje się rachunków pocztą.

- Dlaczego nie mamy prezerwatywy? - spytałam.

- Kupiłem trzy duże paczki na Heathrow - powiedział. - To razem trzydzieści sześć - dodał.

- Wow - wysapałam, zbita z nóg jego entuzjazmem i ponownie pełna żalu, że tak okropnie namieszałam.

- Facet za mną kupował jedno małe potrójne opakowanie i patrzył na mój stos, więc powiedziałem: „No wie pan, to będzie długi weekend”.

- Więc gdzie one są?

- Och, gdy w końcu przestałem się oszukiwać i uznałem, że spóźniłaś się na samolot, rozdałem je nastoletnim panienkom, wyjeżdżającym na wycieczkę na Ibizę. To było działanie terapeutyczne.

- Poproszę obsługę hotelową, żeby kilka przyniosła - sięgnęłam po telefon.

- Nie możemy tego zrobić! - wrzasnął.

- Oczywiście, że możemy.

- Coś ty! I jakiś goniec nam je przyniesie, i będę musiał dać mu napiwek, i... Nie, nie zrobię tego.

- Nie bądź taki angielski. - Przez chwilę myślałam, że Ed okaże się jednym z tych ludzi, którzy w nowym miejscu stają się bardzo mieszczańscy i okopują się na swoich pozycjach. Wyobraziłam sobie, jak kurczy się przede mną, staje się coraz mniejszy i mniejszy. A potem sobie przypomniałam, że mam się zachowywać bardzo grzecznie.

- Zejdę na dół i kupię - zaproponowałam.

- Gdzie?

- W foyer jest kiosk, będą jakieś mieli. Nie martw się, nikt nie będzie wiedział.

Rzeczywiście, mieli w kiosku prezerwatywy. Wielkie, otwarte foyer hotelowe zmieniło się w bar w stylu „magazyn foteli”. Tu i tam rozstawiono małe akwaria ze złotymi rybkami. Spojrzałam z tęsknotą na tych wszystkich ludzi - wyglądali na eleganckich i zrelaksowanych.

- Do końca wieczoru będą martwe.

Zaskoczona, podniosłam głowę. Wydawało mi się, że tę uwagę skierowano do mnie. Ale nikogo koło mnie nie było. Przede mną, nieco na prawo, stała elegancka para, ale widziałam ich jedynie od tyłu.

- Po prostu spadają powoli na dno akwarium - rozległ się męski głos. Mówił do swojej towarzyszki. Wyglądali na dobrze ustawionych w życiu.

Przez mózg przemknęła mi myśl, chciałabym być nią. Chciałabym być z nim. Myślę, że chodziło mi o to, żebym nie musiała cały czas tak męcząco tkwić wewnątrz siebie. Chciałabym, żeby moje życie od wewnątrz było takie, jak ich na zewnątrz. Jednym słowem, przeżyłam jedną z tych chwil, w których czujesz, że wszyscy bawią się lepiej od ciebie.

I to wszystko po prostu od patrzenia na ich plecy... Musisz chyba być bardzo zmęczona, dziewczyno, pomyślałam. Chciałam, żeby się odwrócił -

chyba włączył się mój genetyczny system przywoławczy. Teraz jestem mężatką, muszę pamiętać, żeby go wyłączyć.

Byłam w windzie sama, ale ktoś nacisnął przycisk, zanim drzwi zamknęły się do końca, a ja pomyślałam, że przy moim pechu, będzie to na pewno ta elegancka para, co mnie dobije. Była to jednak para geriatrycznych kochanków, którzy powiedzieli mi w drodze na górę - w ciągu dziesięciu sekund od ujrzenia mnie, tak jak to bywa z Amerykanami - że wygrali wycieczkę do Nowego Jorku w konkursie płatków śniadaniowych w Seattle.

Stałam w naszej łazience, patrząc na swoje odbicie w lustrze - znowu. Jak na łazienkę hotelową, była całkiem ładna. Rapsodia w bieli. Ręczniki były luksusowe, a ciśnienie wody w prysznicu tak mocne, że niemal splukało mnie w odpływ.

Patrzyłam się na siebie w lustrze. Nie jestem szczególnie próżna - ani zakochana we własnym wyglądzie - tylko od czasu do czasu muszę... no... sprawdzić, że wciąż istnieję.

Mój wygląd, całej w bieli - biały ręcznik, turban z białego ręczniczka na mokrych włosach - uświadomił mi, że to wciąż jest moja noc poślubna. Lecąc do Nowego Jorku, dodałam do mojej nocy poślubnej sześć godzin.

Zastanawiałam się leniwie, czy seks małżeński będzie się czymś różnił od seksu niemającego. Zastanawiałam się, czy będziemy się kochać, bo czujemy, że powinniśmy, ponieważ to nasza noc poślubna. Zastanawiałam się, czy nie będzie nam się wydawało, że dziwnie jest się kochać, będąc małżeństwem. Zastanawiałam się, czy dzisiejsze kochanie się nada ton całemu małżeństwu. Chyba musimy się kochać. Chyba złą wróżbą byłoby tego nie zrobić.

Więc gdy te wszystkie idiotyczne myśli kłębiły mi się w głowie, wyszłam w białych ręcznikach z łazienki, z milionem oczekiwań i lekkim drżeniem serca.

Światła były zgaszone. Ed leżał na łóżku, pogrążony w głębokim śnie.

Zatrzymałam się. Zawsze czuję się bardzo niepewnie w obecności kogoś śpiącego. Mój wzrok powędrował ku widokowi za oknem i wspaniałość miasta znów zaparła mi dech w piersiach, w jakiś sposób ustawiając moje zmartwienia we właściwej perspektywie. Wszystko będzie dobrze, pomyślałam, podeszłam do szklanych drzwi balkonowych, otwierałam je i wyszłam na balkon, by wdychać w siebie to wszystko.

Podeszłam do balustrady, wychyliłam się i myślałam, na jakiej fantastycznej planecie żyjemy, i jak małe i nic nie znaczące jest nasze życie.

Czasem, gdy roztacza się przede mną taki widok, czuję, że może Bóg istnieje, a w każdym razie przeżywam taki na wpół religijny moment, gdy dostrzegam, jak bezsilna jestem ja, a jak wielkie jest TO wszystko i ile tu możliwości, i jak przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu nie dostrzegam całości obrazu, bo skupiam się na moich własnych, nic nie znaczących, bezsensownych szczegółach.

- Człowiek się czuje jak złota rybka w akwarium. Odwróciłam się. Mężczyzna, którego widziałam na dole, stał na sąsiednim balkonie. Nie patrzył na mnie, patrzył przed siebie. Coś mnie ścisnęło w środku. Poszukałam wzrokiem kobiety, z którą był, ale wyglądało na to, że nie mówi do niej. Mówi do mnie.

Na sekundę, zanim odwrócił głowę, wiedziałam na pewno. To był Alex.

Otaczały mnie cztery ściany, byłam bardzo bezpieczna. A jednak wydawało mi się, że mogę spaść z krawędzi. Spaść z krawędzi świata. Wkroczyłam w inny wymiar - a raczej miałam wrażenie, że świat stał się dwuwymiarowy. A co, jeśli rzeczy, które wydawały się być tak daleko, w rzeczywistości są tuż po drugiej stronie? A co, jeśli żyjemy na świecie płaskim, a nie na okrągłym, tak że po drugiej stronie rozpaczy jest radość, po drugiej stronie braku jest obfitość, a po drugiej stronie samotności jest miłość? A co, jeśli rzeczy, których tak strasznie pragniemy, przez cały czas są tuż przed nami? A co, jeśli wystarczy jedynie wyciągnąć rękę przez niewidzialną barierę? Wydawało mi się to doskonale logiczne. Doskonale słuszne.

- Złotym rybkom - powiedziałam - nie przeszkadza, że są w akwarium, bo mają bardzo małe mózdzki. Za każdym razem, gdy przepływają obok wodorostu, mówią: „Och, spójrz, jaki interesujący wodorost”, i znowu trzy sekundy później: „Och, spójrz, jaki interesujący wodorost”. Prowadzą życie duchowe.

- Nowy Jork jest czymś w rodzaju interesującego wodorostu.

Widzicie, o czym mówiłam? Od razu to złapał. Od razu zrozumiał. Odwróciłam się, żeby dobrze mu się przyjrzeć i przez długi czas patrzyliśmy na siebie. Myślałam, jak przez te wszystkie lata oszukiwałam się na jego temat, mówiłam sobie, że to było tylko głupie wyobrażenie, i że nadawałam mu mnóstwo cech, których nie ma. A teraz stał tu przede mną, i wszystkie wyobrażenia zniknęły, i zdałam sobie sprawę, że miałam co do niego absolutną rację. Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. I nie chodziło o jego wygląd, chodziło o bycie w jego obecności i

o mnie, będącą w jego obecności, i o magię wypełniającą powietrze w jego obecności. Jak wtedy, kiedy jesteś dzieckiem, a twój tata bierze drewnianą łyżkę i mówi ci, że to czarodziejska różdżka, i w tej chwili absolutnie mu wierzysz - wiesz, że drewniana łyżka jest magiczna, świat jest tajemniczy i piękny, wszystko jest możliwe, całe życie jest tajemnicze i piękne.

- Pewnie mnie nie pamiętasz - powiedział.

- Pewnie nie - zgodziłam się. - Spotkaliście się już?

- Tak mi się wydaje.

- Gdzie się spotkaliście? - spytałam.

- W Londynie. W restauracji. Chyba włoskiej.

- Włoskiej?

- Jadłem risotto.

- Risotto?

- Ty też jadłaś risotto.

- To prawda. A co było potem?

- My... hmm... jechaliśmy jedną taksówką.

- Naprawdę? A co było potem?

- Graliśmy w grę.

- W grę?

- Tak - w grę.

- A co było potem?

- Nic nie było.

- A potem? - Po tym, jak nic nie było? Alex uśmiechnął się do mnie.

- Napisałeś do mnie setki listów.

- Napisałem jeden list - powiedział. - Nie odpisałaś. Uważałaś, że tak będzie lepiej. Uszanowałem to.

- Jeden list - powtórzyłam, przyciskając go do piersi - u przerośni.

Wiedziałam, że powinnam wrócić do pokoju i nigdy więcej z niego nie wychodzić. Ale tak naprawdę nie mogłam tego zrobić. Musiałam wiedzieć - musiałam wiedzieć, co się stało. Problem był w tym, że jeśli to były dobre nowiny, to były one złymi nowinami, że tak powiem.

- Co było w liście?

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Nie chcesz wiedzieć - powiedział w końcu.

- No i proszę - powiedziałam, wyciągając przed siebie ramiona, jakbym doszła do szczęśliwego zakończenia. - Dzisiaj wyszłam za mąż.

- Naprawdę? - zapytał i myślał o tym przez chwilę. - Ja też.

- To miło - powiedziałam uprzejmie.

Uprzejmie! O Boże. Spadałam w jakąś dziurę gdzieś w środku mnie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie mogłam oddychać. Czułam, że powinnam się czegoś uchwycić, ale wtedy on by zobaczył, że spadam.

Spytał mnie o coś, ale nie usłyszałam. Zbyt byłam zajęta spadaniem.

- Słucham? - spytałam uprzejmie, gdy wylądowałam już bezpiecznie w piekle.

- Spytałem, o czym myślisz?

- Nienawidzę cię - odpowiedziałam. Tylko to było dość zbliżone.

Roześmiał się.

- Chodź tutaj - powiedział i podszedł do balustrady. Odczytałam z języka jego ciała, że nie chce, by nas słyszano.

- Wiesz co, muszę zrobić próbę rzeczywistości. Wrócę do pokoju, a potem znowu wyjdę, i zobaczę... zobaczę...

Weszłam do środka. Ed chrapał na łóżku. To mi nie pomogło. Odetchnęłam głęboko. Też mi nie pomogło. Wyszłam na balkon.

- Ciągłe tu jesteś - stwierdziłam.

- Chodź tutaj - powiedział. Poszłam. Wyszeptał wprost do mego ucha:

- To nie tak... to nie tak miało być.

Teraz, kiedy był tak blisko, czułam, jak coś w nim w środku drży. Miałam ochotę objąć go ramionami i powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze.

- Myślałem o tobie.

- Ja też o tobie myślałam. - Miałam ochotę zemdleć - dawniej kobiety często mdlały na skutek zahamowań seksualnych - no, wiem, jak się czuły. Miałam ochotę zemdleć.

To lepsze niż seks, pomyślałam, a to coś znaczy, bo zazwyczaj myślę, że lepszy od seksu jest tylko seks. A potem przyszło mi do głowy: o czym ja mówię? To był seks - seks w moją noc poślubną. Ta myśl tak mną wstrząsnęła, że dałam krok do tyłu.

Być może jego myśli biegły tym samym torem, bo też się cofnął - właściwie odskoczyliśmy od siebie, jakby nagle włączono odpychające nas pole magnetyczne.

- Przeniesiemy się do innego hotelu.

- Nie, my to zrobimy. - To znaczy... i tak rano wyjeżdżamy.

- Och, okay. No to by było na tyle - powiedziałam, machając rękami. - Uważam, że nie powinniśmy... no wiesz...

- Nie chcesz, żebyśmy zostali przyjaciółmi? - zapytał. Ale z uśmiechem, więc wiedziałam, że żartuje.

Tylko że nie potrafiłam się roześmiać. Mogłam się tylko wycofać.

Rozdział czternasty

- Dlaczego się tak dziwnie zachowujesz? - spytał Ed.

- Wcale nie - powiedziałam, ustawiając się za filarem i naciskając guzik windy z piętnaście razy. - Po prostu uważam, że jest późno, jesteśmy zmęczeni, a obiad podany w pokoju hotelowym to miła rzecz.

Musiałam chyba oderwać się z balkonu z ogłuszającym hałasem, takim jak na przykład przy otwieraniu szczególnie mocnego zapięcia na rzepy, bo Ed nagle otworzył oczy i powiedział:

- Chce mi się jeść. Chodźmy na kolację.

- Jest północ.

- To co. Jesteśmy w mieście, które nigdy nie zasypia. Na półpiętrze powiedziałam:

- Nie chciałeś przyjeżdżać do Nowego Jorku, pamiętasz?

- Ale teraz już tu jestem. Czy ty się chowasz za tym filarem?

- Nie.

- Czy coś jest nie tak? - spytał.

- Nie. - W głowie pisałam scenariusz: pojawiają się Alex i jego żona, a ja zostaję przyłapana z Edem. W tej chwili wydawało mi się, że najgorszą rzeczą na świecie byłoby dać się przyłapać z Edem. Co w żaden sposób nie świadczy o Edzie: z Edem jest wszystko w porządku, a ze mną jest wszystko nie w porządku.

Miałam to w głowie. Będziemy w windzie, drzwi się właśnie będą zamykać. To się nazywa prawo Murphy'ego i jest jedynym naprawdę niezawodnym prawem natury.

- Co cię tak dręczy? - spytał Ed, patrząc mi w twarz, gdy czekaliśmy na windę.

- Czy nie uważasz, że to okropne - kiedy jesteś w windzie, i właśnie w chwili gdy drzwi się mają zamknąć, jakiś bałwan wsuwa się przed czujniki i wszyscy muszą czekać, aż drzwi się na nowo otworzą? Nie uważasz, że to koszmar?

Weszliśmy do windy i patrzyliśmy na zamykające się drzwi. Byłam tak spięta, że praktycznie wrzasnęłam, gdy elegancko wymanikiowana dłoń w ostatniej chwili wsunęła się w szczelinę. Nie wrzasnęłam na głos, ale wrzasnęłam w głowie. To zupełnie jak ta ręka, która na końcu „Blade Runner” przenika przez ścianę. Albo jak wtedy gdy ona nagle siada w wannie pod koniec „Fatalnego zauroczenia”. Albo jak... Tak naprawdę to

przesadzam. Technicznie rzecz biorąc, moje życie nie było zagrożone. Drzwi po prostu ponownie się otworzyły i przystojny młody człowiek i jego nowa, młoda żona grzecznie stanęli koło nas.

Jak mówiłam, to się nazywa prawo Murphy'ego i jest jedynym naprawdę niezawodnym prawem natury.

Przestałam oddychać, a moje oczy zaszklily się - jakaś część mnie sądzi, że kiedy to robię, staję się niewidzialna, a to, co się dzieje, nie dzieje się naprawdę. Szklana warstewka nie uchroniła mnie jednak przed wdychaniem przerażającego, choć zniekształconego wrażenia dobrego wychowania i żoninej życzliwości. Uważam, że pierwsze wrażenia są zawodne. Gdy spotykasz kogoś po raz pierwszy, widzisz w nim same dobre rzeczy.

- Cześć - zaświergotała ta dobrze wychowana, przeciągając to słowo przez kilka sylab.

- Witam - burknął Ed.

- Och, mój Boże, jesteście Brytyjczykami? - spytała ona.

- Tak - powiedział Ed.

- Pierwszy raz na Manhattanie? - spytała ona.

- Tak - powiedział Ed.

- Jak cooll

- To nasz miesiąc miodowy.

- Naprawdę?! Nasz też.

W tym momencie zrobiłam chyba zeza, a kolana pode mną się ugięły. Nie mogłam spojrzeć na Alexa, ale najwyraźniej nie robił nic, żeby uratować sytuację. Chociaż, gdy już z ulgą wysypaliśmy się do foyer, a Ed spytał: - Znacie tu gdzieś niedaleko jakieś miejsce, gdzie można by coś zjeść?, a ona powiedziała: - My idziemy na... - Alex nagle się ożywił.

- Pizza - powiedział. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Wiesz, że nie jadam pizzy, kochanie - powiedziała.

- Oni będą jedli pizzę - oznajmił Alex. - Są w Nowym Jorku, powinni jeść pizzę - dodał bez przekonania.

- My idziemy na sushi - oświadczyła ona. - Wy pewnie nie macie jeszcze tego w Londynie.

- Żartujesz? - powiedziałam. - W Londynie sushi wychodzi nam już uszami. - Wszyscy wyglądali na lekko porażonych tym obrazkiem. - Wypływa - dokończyłam.

- Sushi to... - powiedział Ed.

- ...to nie to, na co mamy dziś ochotę! - wrzasnęłam, łapiąc Eda za rękę i mocno ciągnąc.

Na ulicy Ed powiedział:

- Nie to, na co mamy dziś ochotę? Nie pamiętam niczego w przysiędze małżeńskiej na temat jednostronnych decyzji przypisywanych do „my”. - Czasami mówi takim językiem - jego ojciec był prawnikiem.

- Mam ochotę na sushi - powiedział Ed.

I coś w jego tonie przypomniało mi o trudnościach minionego dnia, więc postanowiłam nie dyskutować.

I w ten sposób wylądowaliśmy zaledwie dwa stoliki od Alexa i dobrze wychowanej w miejscowym barze sushi.

Zapewne, z technicznego punktu widzenia, mogłam skrócić nogę w kostce albo powiedzieć, że zaraz poronię, albo w jakiś inny sposób spowodować panikę, zapobiegając temu okropnemu obrotowi spraw. Ale po pierwsze - nie bardzo dobrze idzie mi udawanie, najczęściej po prostu zamieram, jak wtedy w windzie, a po drugie - jakaś część mnie chciała - może nie tyle ukarać Alexa, ile drapać to, co się zagoiło. Ostatecznie siedem lat temu popełnił grzech główny: nie zadzwonił.

A po trzecie, choć wówczas absolutnie nie mogłam się sama przed sobą do tego przyznać, ponieważ implikacje były nieogarnione, po prostu chciałam być z nim. W każdych warunkach. Nawet takich.

Myślałam, że jakoś mi się uda, ale wtedy ludzie, którzy siedzieli przy dzielącym nas stoliku wyszli, a Ed usłyszał, jak dobrze wychowana rozmawia o feng shui z jednym z szefów kuchni, więc powiedział: „Feng shui! Siostra Honey robi feng shui na śluby”, w swój nieporównany, entuzjastyczny i pozbawiony zahamowań sposób. Więc, oczywiście, nawiązaliśmy porozumienie.

Alex rzucił mi jedno ze swych najlepszych przenikliwych spojrzeń - jakbym to ja wysłała Ven w charakterze tajnego agenta. Ed zwracał się ku mnie i powtarzał: „Czy to nie jest niesamowite?”. Cherelle - bo tak, jak się okazało, miała na imię - nie mogła przejść do porządku dziennego nad faktem, że siedzimy tu razem i jemy japońskie jedzenie w naszą wspólną noc poślubną, a Ven stanowi jedyne dwustopniowe oddzielenie. Ja i Alex, i lata, myślałam. Ue to stopni oddzielenia?

- Chyba powinniśmy być w hotelu i bzykać się - powiedział Ed.

- Bzykać się! - zapiała Cherelle, zachwycona tym słowem.

- Seks - powiedział sucho Alex. Niewiele mówił. Chyba musiał coś powiedzieć

- A zamiast tego siedzimy tu i jemy sushi - dodał Ed.

- Jedzenie jest nowym seksem - stwierdził Alex.

- Muszę cię rozczarować - sprostował Ed. - Nowym seksem jest dekoracja wnętrza.

- Nie - wtrącałam się - tylko nowy rock and roli.

- Wszystko jedno - dokończył Alex i nasze oczy się spotkały.

- Seks w noc poślubną - powiedział Ed, z entuzjazmem włączając się do rozmowy - nie jest już istotną kwestią, prawda? To już nie jest chwila prawdy.

- Och mój Boże, robić to po raz pierwszy po takim dniu jak dzisiaj - jęknęła Cherelle. - To musiało powodować ostry wzrost ciśnienia.

- To jak zdrapywanie sreberka z biletu loteryjnego - powiedziałam z rosnącą histerią i dodałam po chwili: - W wygrywającym napisane jest łechtaczka.

Wgapiałam się w swoje kalifornijskie krokiety, myśląc, że chyba muszę być pijana. Potem próbowałam uratować sytuację, mówiąc:

- A dokąd jedziecie w podróż poślubną? - ale nikt mnie nie słyszał.

No i ekstra, myślałam wesoło. Cała czwórka razem. Jemy sushi i rozważamy brzemiennie pytanie seksu w noc poślubną.

- Wyobraź sobie - powiedziała nagle do mnie Cherelle - wyobraź sobie, że miałabyś teraz wrócić do hotelu i po całej ciężkiej pracy związanej ze ślubem po raz pierwszy w życiu iść z kimś do łóżka. No wiesz, wyobraź sobie na przykład, że musiałabyś teraz wrócić do hotelu i robić to z Alexem!

Po prostu nie odrywałam wzroku od tych kalifornijskich krokietów. Nie wiem, co robił Alex.

- Chyba nie znamy się na tyle dobrze, żeby wyobrażać sobie takie rzeczy - powiedział Ed.

Następnego ranka Ed obudził mnie, siadając na łóżku i oznajmiając ponuro:

- Noc Poślubna Bez Seksu! - powiedział tak, jakby słowa zaczynały się wielkimi literami. - Małżeństwo jest skazane na zagładę - oznajmił.

Zmusiłam się do otwarcia jednego oka, potem drugiego - miałam wrażenie, że obieram jajka na twardo. Czerwone cyferki na budziku przy łóżku mówiły: 5.47.

- Jest środek nocy - powiedziałam. - Wracaj do łóżka.

Naciągnęłam poduszkę na głowę. Przez jakieś trzy sekundy trwałam w błogostanie, na granicy świadomości, a mój mózg ślizgał się tu i tam jak igła na starej płycie. Potem przez sekundę czy dwie coś wiedziałam i nie wiedziałam czegoś, o czym właściwie wiem. Aż w końcu igła wpadła w rowek i płyta zaczęła grać. Sen był już niemożliwy.

Alex.

Niechętnie ściągnęłam poduszkę z głowy.

- Skazane na zagładę - powtórzył Ed i nago wyskoczył na balkon, by podziwiać widok miasta o świcie.

Leżałam sobie i ćwiczyłam myślenie pozytywne: nie mogę tak dalej, nie wiem, co robić, nie dam sobie z tym rady, poddaję się - i tak dalej. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby mi pomóc, poza być może porwaniem przez Richarda Gere'a. Pomyślałam, że może Richard Gere mógłby mnie przez resztę życia nosić na umówione spotkania. Myślałam o tym, jak bardzo tego nienawidzę, że kiedy jest się dorosłym, trzeba wszędzie i cały czas nosić ze sobą swoje życie. Bez chwili oddechu, do cholery. Czułam się jak koń pociągowy, który właśnie uświadomił sobie, że musi przenieść Tadž Mahal na drugą stronę Himalajów.

Ed wrócił, mrużąc pod nosem melodię „The Bronx is up and the Battery down - the people ride in a hole in the ground”.

- Czyżbym widziała lepszy humor? - zapytałam.

- Nie, lepszego humoru nie widać na horyzoncie.

- Ed - proszę cię - jest mi naprawdę i dogłębnie przykro, że spóźniłam się na samolot.

Popatrzył tylko na mnie. Widziałam, że nie popuści. Miałam ochotę wrzeszczeć. Zamiast tego wbiłam zęby w poduszkę i rzucałam się z nią po łóżku, wydając z siebie coś w rodzaju „arrrrgh!”.

- O co chodzi? - spytał.

- Nie chciałam spóźnić się na samolot.

- Ale to zrobiłaś i nie możesz się spodziewać, że jedno „przepraszam” załatwi sprawę. Ponieważ ty mówisz przepraszam, a potem znowu to robisz.

Tkwiała w tym odrobina prawdy.

- Czy naprawdę jesteśmy skazani na klęskę? - spytałam.

- Nie. Zrób znowu to „arrrrgh” z poduszką. To było podniecające.

- Ed! - wykrzyknęłam.

Wskoczył na łóżko i wkręcił się pod mój bok.

- Kochasz mnie? - spytał.

- Tak - wyszeptałam, głosem pełnym ostrożności, którego używam czasami, gdy ktoś dzwoni i mówi, że to w sprawie karty kredytowej i czy może rozmawiać z panną Honey Holt.

- Co oznaczają ten ton? - spytał Ed.

- Oznacza „do czego zmierzasz?”.

- Do miłości - powiedział.

- Kocham cię. Tylko czasami chciałabym cię nie kochać. Wszystko byłoby łatwiejsze.

- Naprawdę?

- Tak. Nie byłoby takie męczące.

- Męczące?

- I nie takie małżeńskie.

- Aha. Jak ty to czujesz? To małżeństwo? Zastanowiłam się. Staralam się wymyślić dowcipną odpowiedź. Zrezygnowałam.

- Przeróżające - powiedziałam.

- Aha - westchnął. Uznałam, że westchnienie mówi, że on też się boi. Potem ujął moją rękę i powiedział: - Na dobre i na złe. - A potem spojrział mi w oczy i nie wiem, co tam dostrzegł, ale zapytał: - O czym myślisz?

- Myślę, że powinniśmy złapać najbliższy samolot do Meksyku. - Usiadłam i złapałam za telefon.

Hotelowa agencja podróży była zamknięta. Nowy Jork nie jest tak całodobowy, za jaki chciałby uchodzić.

Ed i ja cierpieliśmy dotkliwy głód, związany ze zmianą stref czasowych, który aż wiercił dziurę w jelitach. Ed stwierdził, że powinniśmy zjeść śniadanie w jadalni. Widziałam, że zaczyna wciągać się w Nowy Jork.

Znaleźliśmy prześliczną jadalnię ze stołami z formiki i laminowanym menu, tak wielkim, że mogło służyć za tratwę ratunkową. Ed zjadł gofry z czarnymi jagodami i syropem klonowym, i zdecydowanie podobało mu się, że wciąż i bez pytania napełniano mu filiżankę kawą. Powtarzałam, że powinniśmy zadzwonić do linii lotniczych i dowiedzieć się o samolot do Meksyku, ale powiedział tylko: „Spoko, mamy czas, dziecińko” udawanym nowojorskim akcentem, co zabrzmiało całkiem zabawnie.

Zaprowadziłam Eda na Piątą Aleję i do Central Parku i odbyliśmy typową wycieczkę krajoznawczą. Ed fruwał jak latawiec. Mówiłam mu, że to sławne nowojorskie jony ujemne, ale do lunchu zdążył się zakochać w mieście bez reszty.

Wstaliśmy tak nienormalnie wcześnie, że w połowie dnia byliśmy już zmęczeni wielogodzinnym chodzeniem. Ed kupił „Time Out” i powiedział, że chce poczytać, leżąc na łóżku. Kłębiły się w nim plany wypadów do restauracji, kin i klubów jazzowych. Uznałam, że pewnie możemy już bezpiecznie wrócić do hotelu, więc się zgodziłam.

- I zarezerwuję bilety do Meksyku - powiedziałam zdecydowanie.

W hotelu próbowałam zaciągnąć Eda do agencji podróży, ale pomachał tylko do mnie „Time Out” i poszedł do naszego pokoju.

Było kilka możliwych połączeń, jeśli chodzi o loty, więc zarezerwowałam miejsca i zapisałam dwa niezrozumiałe numery.

Wracałam do pokoju - rozważając wieczne tajemnice życiowe, jak na przykład dlaczego F jak Fokstrot i V jak Victor i kto to w ogóle był Victor? A może „victor” w sensie zwycięzca? - gdy dobiegły mnie niewątpliwe odgłosy kłótni, toczonej przyciszonymi głosami w miejscu publicznym.

- Mam fobię na punkcie węży - syczał damski głos. - W Marakeszu są węże.

- Węże są w koszykach - powiedział znany mi głos męski, wymawiając słowo „koszyk” ze znaczną dawką jadu.

Nie mogłam ich widzieć, bo byli za rogiem.

- Mówiłam ci, że nigdy nie poszłam na „Poszukiwaczy zaginionej arki” z powodu węży! - to ona.

- Cholera - to on. - Nowy Jork miał być jedynie krótkim przystankiem. Dziś wieczór wyjeżdżamy z Nowego Jorku!

- Nigdy przedtem tak mną nie rządziłeś - to ona, zawodząc.

- Nigdy przedtem nie namawiałem cię na wyjazd z kraju - to on.

Chwila ciszy.

- Przedtem? Przed czym? - on. Stłumiony szloch - to ona.

- Przed małżeństwem, tak? - on. Oddalające się kroki. - Dokąd idziesz? - on.

Cisza. Odczekałam, aż uznałam, że korytarz jest pusty, okrążyłam narożnik i wpadłam wprost na Alexa. Chwytał mnie i wciągnął w jedną z tych nisz z ekspresem do kawy. Za ekspresem znajdowała się przytulna komórka, w której pokojówki trzymały szczotki - tam nas wcisnął.

- Zaraz wróci - powiedział.

Jego bliskość generowała takie ciepło, że znowu musiałam zwalczyć ochotę na zemdlenie.

Alex wyciągnął głowę i nasłuchiwał jak piesek preriowy. Nic.

- Nigdy nie dostałam tego listu - powiedziałam. Spojrzał na mnie. - Był strajk poczty - dodałam.

- Nie zadzwoniłaś do mnie? - zapytał.

- Zadzwoniłam. Odpowiedziała jakaś kobieta. Ty nie zadzwoniłeś.

- Nie odpowiedziałas na mój list.

- Nie dostałam twojego listu.

Kroki na zewnątrz. Potem głos Chelle:

- Alex!

Podsłuchałam. Miałam wrażenie, że stoi w moim lewym uchu. Zamarliśmy.

Gdy poszła, ponownie spytałam go, co było w liście.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała. Uwierz mi.

Zimny wiatr moich najgorszych lęków przeleciał między nami.

- Wypuść mnie stąd - poprosiłam.

Wypuścił. Wyszliśmy na korytarz. Staliśmy tam. Obolali.

- Nie zobaczymy się więcej - powiedziałam.

- Nie martw się. Dziś wyjeżdżam z miasta. Wyjeżdżam z kraju. Co więcej, wyjeżdżam z tego kontynentu. - Jego walizka stała ciągle pośrodku korytarza.

- Świetnie. Ja też - powiedziałam i rzuciłam mu się prosto w otwarte ramiona.

Żartuję. Nie rzuciłam się w jego ramiona. Nie było otwartych ramion, w które mogłabym się rzucić. Odwróciłam się i odeszłam.

- W liście - odezwał się do moich oddalających się pleców - było, że być może to miłość.

Nie zatrzymałam się. Uprzedzał mnie, że lepiej żebyś nie wiedziała.

Gdy wróciłam do pokoju, Ed spał z otwartym magazynem na piersi. Położyłam się ostrożnie obok niego. Czułam, jak ciężki jest mój mózg, tak jak się go czuje w głowie, kiedy się ma naprawdę ciężką migrenę. Położyłam go na poduszce. Ciężko pracował, by ogarnąć sytuację. Zbyt ciężko pracował. Zmierzał ku prędkości granicznej, mniej więcej taką drogą: No dobra, musisz to zatrzymać. Musisz to zatrzymać TERAZ. Podejmij natychmiastowe działania, by stać się lepszą osobą. Pisz codziennie dziennik i dowiedz się wreszcie, co jest z tobą nie w porządku. Zidentyfikuj dysfunkcje i zatrzymaj je. Zaczynaj chodzić raz na tydzień do psychoterapeuty. Nie, dwa razy na tydzień. Znajdź pracę po godzinach, by za to zapłacić. Ucz się, edukuj, czytaj więcej książek, zapisz się do szkoły

wieczorowej. NAUCZ SIĘ JAKIEGOŚ JĘZYKA! To naprawdę żałosne, że nigdy nie nauczyłaś się żadnego języka. Chodź na spacer. Chodź do galerii sztuki. Bądź uprzejma, rozsądna i kochaj wszystkich ludzi przez cały czas. Więcej ćwicz. Spróbuj jogi. Jedz zdrowe rzeczy i GRYŻ JE TAK, JAK TRZEBA. Bierz witaminy. Codziennie. Bądź porządna. Wstawaj wcześniej. Kładź się wcześniej. Medytacja to dobry pomysł. Mniej wydawaj. Nigdy już w ogóle nie myśl o Alexie. Amen. Jeśli myśl o Alexie zrodzi się w twojej głowie, policz do trzech i powiedz: „Życie to miska czereśni”. Tego wyrażenia zawsze używała Teresa, gdy czasy były ciężkie. Nigdy właściwie nie wiedziałam, co to dokładnie znaczy, więc przeprowadziłam badania, pytając różnych ludzi, co ich zdaniem oznacza zwrot „życie to miska czereśni”.

Della uważała, że to znaczy, że w życiu dostajesz miskę czereśni i tyle - więc zjadasz je jedna po drugiej, a potem umierasz.

A Ven uważała, że to znaczy, że życie jest czymś w rodzaju wesołej, przelotnej, nic nie znaczącej rzeczy.

Ja sama natomiast uważałam, że zazwyczaj na samym początku miski znajdujesz naprawdę wspaniałą, pyszną czereśnię, która po prostu wybucha ci w ustach. Ale ten wspaniały smak akurat właściwej twardości i akurat właściwej cierpkości, i akurat właściwej słodczy rzadko się powtarza - więc jesz dalej te czereśnie, starając się znaleźć kolejną, która będzie tak samo dobra jak ta fantastyczna pierwsza. I od czasu do czasu, w miarę jak wyjadasz czereśnie z miski, rzeczywiście znajdujesz równie dobre, ale ponieważ to tylko czereśnie, więc to superuczucie trwa tylko parę sekund i zaraz musisz szukać następnej. A szukając, oczywiście zjadasz także wszystkie wodniste, bez smaku, kwaśne i gnijące, i nawet się nie zorientujesz, a już zjadłaś całą miskę. I boli cię brzuch.

Pomyślałam więc, że „życie to miska czereśni” nie jest wcale odpowiednim mottem do mojego trzy sekundowego niemyślenia o Alexie, ponieważ mogłabym pomyśleć, że Ed jest gnijącą czereśnią - a nie jest - więc może moim mottem powinno być coś równie upiornego jak „życie to nie próba kostiumowa”, ale kiedy to przemyślałam, uznałam, że to wcale nie jest dobry pomysł, ponieważ to w gruncie rzeczy oznacza „chwytaj dzień”, a gdybym miała chwytać dzisiejszy dzień, to po prostu wyszłabym i - ojej - raz, dwa, trzy...o Boże. Czy to jest w ogóle wykonalne?

W panice potrząsnęłam Edem, żeby go obudzić.

- Musimy jechać do Meksyku - powiedziałam. Jęknął, stęknął i otworzył oczy.

- Mnie się tu podoba. Zostańmy na tydzień. - Zamknął oczy i natychmiast zasnął ponownie.

Opadłam na poduszki i zamknęłam oczy. Przemknęło mi przez głowę, że powinnam od razu zadzwonić do recepcji i potwierdzić nasze rezerwacje do Meksyku, i to jest ostatnia rzecz, jaką pamiętam. Zapadłam w głęboki, bezdenny, wynikający z przestawienia czasu sen, a gdy się obudziłam, na dworze zapadał zmierzch. Leżałam przez chwilę, marząc o filiżance Earl Greya. Próbowałam się obrócić i zadzwonić do obsługi hotelowej, ale skomplikowane ruchy ciała nie wchodziły w grę. Spanie było bardzo złym pomysłem. Czułam się tak, jak czasami we śnie, gdy chce się od czegoś uciec, ale nogi grzęzną w krówce-ciągutce, która cią-cią-ciągnie z powrotem. Więc po prostu leżałam i myślałam o wszystkim, co się wydarzyło, i dlaczego to do cholery musiało się wydarzyć. Zapomniałam o trzysekundowej regule i myślałam, że Alexa już nie ma, i co być może utraciłam, a Ed spał koło mnie, a ja czułam po prostu się otumaniona i samotna.

W końcu postanowiłam zadzwonić do Delii, opowiedzieć jej całą historię i zrobić to, co jej zdaniem powinnam zrobić. Jeśli ciągle uważa, że powinnam opowiedzieć Edowi o Alexie, to opowiem. Przynajmniej zrzucę ten ciężar z piersi.

Udało mi się skoordynować ruchy i skupić na tyle, że wykręciłam jej numer do domu. Odebrała automatyczna sekretarka. Zadzwoniłam na komórkę. Była przełączona na automatyczną sekretarkę. Powiedziałam: „Della, potrzebuję cię” - i wyłączyłam się.

Ktoś zapukał do drzwi. W moim oszołomieniu miałam nadzieję, że to obsługa, która telepatycznie przyjęła zamówienie na filiżankę Earl Greya, więc potykając się, doszłam do drzwi i otworzyłam. To nie była filiżanka Earl Greya, tylko Paul. Miał na sobie najpiękniejszy kostium, jaki w życiu widziałam. A pod pachą trzymał małego pekińczyka.

- Kochanie - powiedział. Gapiłam się na niego.

- Nie przeszkadzam? - spytał, zaglądając wokół mnie do pokoju. - Jak tam? Jak leci miesiąc miodowy?

To niewinne zapytanie o moje samopoczucie sprawiło, że:

a - zdałam sobie sprawę, że wiszę na czubkach palców nad głęboką, głęboką przepaścią;

b - zdałam sobie sprawę, że strasznie się cieszę, że go widzę,

c - rozplakałam się.

- Wiesz co? Uściskaj mnie.

W tym momencie obudził się Ed i przyszedł zobaczyć, co się dzieje, a ja wisiałam na Paulu, trzymając go z całych sił, jak mała dziewczynka, która nie chce iść do szkoły, i starając się schować za jego spódnicą.

Paul mruknął do Eda: „kobiece kłopoty”, kilkakrotnie i z przekonującą powagą, a potem zaciągnął mnie do łazienki i zamknął drzwi. Gdy Ed z oburzeniem w niego wałnął, Paul powiedział mu, że jeśli chce się do czegoś przydać, to niech przyniesie mocnej, gorącej herbaty.

- Earl Greya - udało mi się wydusić między jednym szlochem a drugim.

Gdy już byliśmy pewni, że Ed sobie poszedł, Paul podał mi kawałek papieru toaletowego.

- Weź się w garść, dziewczyno, przecież to twój mąż.

- To wszystko jest okropną pomyłką - powiedziałam.

- Postaraj się unikać banałów, bo obniżają napięcie. - Wrzucił psa bezceremonialnie do wanny. Wyjął papierosa, francuskiego, bez filtra. - Pierwszą noc z Honorią całą przeplakałam. Ciężar odpowiedzialności był okropny. Okropny. Założyłam, że Honorio to pies.

- A teraz powiedz kochanemu Paulowi, co się stało. Bije cię? Lubi małych chłopców? Trzyma kochankę w apartamencie piętro wyżej?

- Nie - nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Nie? - powiedział Paul z pewnym rozczarowaniem. - Czy wolno tu palić?

- Zadarł do góry głowę, pewnie szukając czujników dymnych.

- Pamiętasz Miłość Mojego Życia? - spytałam.

- Wrócił?

- Tak.

- Tu w hotelu?

- Był.

- Już go nie ma?

- Już go nie ma.

- O mój Boże.

- Żonaty.

- O mój Boże.

- Ja też.

- Ty też.

Patrzył na mnie, zapomniawszy o papierosie.

- Co robić? - spytał po chwili i z rosnącym poruszeniem dodał: - Co nosić?
- Paul - powiedziałam, wycierając nos - kocham cię za to, że rozumiesz potworność tej sytuacji. Ale nie mam zamiaru nic robić ani nic nosić.

- Nago? - spytał Paul. - To mi się podoba.

- Nie, poważnie - powiedziałam - musimy pamiętać, że Ed jest moim mężem i że mam wielkie szczęście, że go mam.

- Tak - zapewnił Paul. - Musimy o tym pamiętać. Uczciliśmy Eda minutą milczenia.

- Kochanie, jak wiesz, nie mam nic przeciwko Edowi. Absolutnie nic. Lubię go. Jest słodki. Jest miły. Bla, bla... Wszystko jedno. - Machał niecierpliwie niezapalonym papierosem. - Spójrzmy jednak prawdzie w oczy. Poślubiliśmy go zamiast.

- Co ty mówisz, zamiast czego.

- Zamiast Miłości Twojego Życia.

- Nie bądź śmieszny.

- A jestem? Spojrzałam na niego.

- Miłość - powiedział - jest miłością jest miłością. -Wzruszył ramionami.

- Nie mów tego. - Ale czułam, jak lecę. Jak na to lecę.

- O Boże - dodałam po chwili. - Już nigdy więcej nie zobaczę Alexa.

- Nie widziałas go nigdy więcej przez ostatnich siedem lat - zauważył Paul. - I co się stało? Zobaczyłaś go znowu.

A potem niezapalonym papierosem wykonał drobny, okrągły ruch - drobny ruch, który jednak pięknie rysował wielkie, paradoksalne koło życia, w którym różne rzeczy nieuniknienie się zdarzają i w którym zbieramy to, cośmy zasiali.

I w tym momencie ktoś zastukał do drzwi. Wydawało mi się, że słyhać także stłumione chichoty. Honoria weszła w wannie, a potem wyciągnęła głowę w kierunku drzwi. Zauważyłam, że na absurdalnym kucyku ma czerwoną kokardę.

- Ktoś puka do drzwi! - powiedziałam do Paula.

- Och, tak. To coś, o czym powinienem był wspomnieć wcześniej. Niespodzianka.

Rozdział piętnasty

Gdy Ed wrócił w końcu z herbatą, przez brzeg wanny przewieszały się trzy pary damskich nóg. Cztery, jeśli policzyć Paula. Wszystkie byłyśmy jednak kompletnie ubrane.

- Cieszysz się, że nas widzisz?! - wrzasnęły Della i Ven. Obie były wniebowzięte, ponieważ właśnie przyleciały concorde'em razem z Makiem.

Ed zatrzymał się w drzwiach i potargał swoje i tak już potargane włosy.

- Cześć - powiedział.

Ed kocha Del i Ven, i nigdy nie zachowywał się wobec nich podle. Ale tym razem odwrócił się i odszedł. W języku Eda było to równoznaczne z wyciągnięciem kałasza i wystrzelaniem nas wszystkich. W łazience zapanowała przerażona cisza.

- Idź - powiedział Paul, wygrzebując się z wanny i zdecydowanie wciskając sobie psa pod pachę jak torebkę - tylko że ta torebka szczeknęła. Wypchnął mnie przed sobą z łazienki. Pozostała trójka wymknęła się cicho, zostawiając mnie Edowi na pożarcie.

Ed się pakował.

- Czy jedziemy do Meksyku?

- Całą piątką? - spytał.

- Po prostu wpadli na chwilę - powiedziałam.

- A ja próbuję spędzić miesiąc miodowy.

- Słuchaj, to nie moja wina, że wpadli.

- Nic nigdy nie jest twoją winą. - Ergo, puściły mi nerwy.

- Po prostu wpadli na chwilę! - wrzasnęłam. - Bo mnie kochają! Już sobie poszli!

- Nie mów tak do mnie - powiedział nieznośnie spokojnym tonem.

- Wiesz co? Mam już cholernie dość chodzenia wokół ciebie na palcach jak po skorupkach od jajek!

- Na palcach? Na palcach? Kiedy chodziłaś na palcach? Przerywając ślub? Spóźniając się na samolot?

- Nie masz o niczym pojęcia.

- Skorupkach od jajek? Przecież ty jesteś jak słoń w składzie porcelany.

- Nie masz pojęcia - ja.

Zamknięcie walizki, zamka, sapnięcie - on.

- Dokąd idziesz?

- Daleko od ciebie.

Ale zatrzymał się przy drzwiach. Zawsze to robi.

- To mi powiedz.

- Co ci mam powiedzieć?

- O czym nie mam pojęcia? Milczenie. I w końcu:

- Podczas ślubu powiedziałaś: „na dobre i na złe” - na dobre i na złe. A teraz, tylko dlatego, że Paul i Del, i...

- Nigdy nie słyszałaś o kropli przepelniającej czarę?

- Nie zapraszałam ich. To nie moja wina, że Paul i Del, i...

- Nie chcę słuchać wyjaśnień. Nie chcę słuchać szczegółów. Zawsze są jakieś szczególne okoliczności. A ja widzę szerszy obraz. Widzę szerokie pociągnięcia pędzlem. Widzę problemy.

- Proszę, czy możemy po prostu pojechać do Meksyku?

- Jak brzmi to twoje powiedzonko? Chodzi o podróż, nie o jej cel. - Zdjął obrączkę i rzucił na łóżko. - Coś w tym rodzaju. - Odwrócił się. Poszedł.

Znalazłam Delię w apartamencie Maca. Albo raczej początkowo jej nie znalazłam. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nikogo tam nie ma - całe mieszkanie ma otwarty plan i jest całkiem białe. Tylko obrazy na ścianach są kolorowe. Stoi tam też jedna z tych kilkuczęściowych kanap, które można ustawić w narożnik - w ostrym błękicie.

Trochę snułam się po mieszkaniu, zastanawiając się, gdzie jest Della, aż w końcu wysunęła głowę spod łóżka i powiedziała, że jest właśnie tam.

Łóżko stało na niewielkim podium na końcu pokoju. Leżała pod nim i miała tam. akurat tyle miejsca, żeby pociągać szampana z butelki.

- Mac zaprosił Tsarinę Spooner na herbatę - powiedziała, jakby było to wystarczające wyjaśnienie. A potem zaczęła chichotać, jakby ją łaskotano.

- Co? - powiedziałam. Miałam talent do celnych pytań.

- Albo wchodzisz, albo wychodzisz. Zaraz przyjdą. Albo się tu wczółgaj, albo sobie idź.

Zastanowiłam się. Nie miałam dokąd pójść. Poza tym mój umysł przypominał jeden z tych wygaszaczy ekranu, w którym obraz rozmywa się i topi, i wszystkie małe pikselki spadają na dół. Wczółgałam się pod łóżko.

- Ed sobie poszedł - wyrzuciłam z siebie.

- Tsarina Spooner - powiedziała - ma ciało stulecia.

- Wiem, kto to jest Tsarina Spooner. Po chwili milczenia Della oznajmiła.

- Mac użył słowa na M.

- Naprawdę? - spytałam.

- Przez telefon.

- Gratulacje - powiedziałam, choć to nie było właściwe, bo przecież zgodnie z tradycją to panu młodemu się gratuluje, nie pannie młodej. Pewnie dlatego, że gratulowanie pannie młodej sugerowałoby, że wreszcie udało jej się kogoś złapać.

- Tylko że Mac myśli, że słowo na M to Mydlić oczy.

- Sądzisz, że nie będzie ci wierny? - spytałam, w zamierzeniu sarkastycznie, ale Della potraktowała pytanie poważnie.

- Och, na pewno nie będzie mi wiemy. Właśnie chodzi mi o to, żeby to udowodnić.

- Komu?

- Jemu.

Mac się wciąż nie pojawiał, więc kontynuowałam:

- Ed sobie poszedł. - Milczenie. Pewnie zastanawiała się, co powiedzieć. - Ten miodowy miesiąc to jeden wielki obciach.

- Wróci.

- Cisnął we mnie obrączką. Więc chyba z małżeństwa nici.

- To nie po raz pierwszy.

- To jest po raz pierwszy. - Przedtem nie byliśmy małżeństwem.

- Chodzi mi o to, że odwoływaliście już ślub. O to mi chodziło. - Wydawała się roztargniona.

- Pamiętasz, jak wpadałyśmy w panikę i mówiłyśmy: „Nie Ma Mężczyzn”? - spytałam. - Przed Edem.

- Tak.

- I myślałyśmy, że to pewnie dlatego, że zbliżamy się do trzydziestki, ale w gruncie rzeczy mówiłyśmy tak od kiedy skończyłyśmy dwadzieścia jeden?

- Tak.

- Ale tak naprawdę chodziło nam o to, że „Nie Ma Mężczyzn, Którzy Sie Liczą”. Bo jest ten, ten i ten - ale żaden z nich się nie liczy.

- Tak - powiedziała Della. - Ale miałyśmy źle w głowach. Myślałyśmy, że można znaleźć facetów takich jak z reklam - no wiesz, ekstra gości w garniturach. Ha!

- Ja uważam, że to było uzasadnione. Kiedy kupujesz kanapę u Conrana, spodziewasz się, że będzie wyglądać tak samo jak w katalogu.

- Co? - spytała Della, niegrzecznie, moim zdaniem.

- No, nie śmieją się z ciebie, gdy idziesz kupić kanapę, nie? Nie mówią ci, że masz nie po kolei. Nie kpią z ciebie w żywe oczy i nie mówią: „Skąd ty

się urwałaś, laleczko, takie kanapy nie istnieją!". Rozumiesz, wyobraź sobie, że pokazują ci połamane, brudne kanapy z wyłazającymi sprężynami - przecież nawet byś na nie nie spojrzała, nie? Powiedziałybyś: „To mają być kanapy?". I wtedy możesz powiedzieć: „Nie Ma Kanap". - Przerwałam. - Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Mniej więcej. To opowieść o tapicerowanych meblach.

- No więc przypomniałam sobie, jak tu szłam, że zawsze zapominam, że Adam mi się oświadczył.

Adam był moim chłopakiem na studiach. Patrząc z dystansu, można go było określić słowem „ekstragość", a choć wówczas nie nosił garnituru, to był zdecydowanie odpowiedni.

- Gdybym za niego wyszła, niewątpliwie miałabym już dwoje czy czworo dzieci i nigdy bym nie mówiła: „Nie Ma Mężczyzn".

- No widzisz - powiedziała Della. - Była kanapa.

- No właśnie. Ale on się nie liczył.

- Dlaczego?

- Bo mnie chciał.

- Rozumiem.

- Ale gdybym za niego wyszła, nigdy nie mówiłabym „Nie Ma Mężczyzn" - ani razu. Bo wystarczy jeden.

- To czemu do cholery za niego nie wyszłaś? - zezłościła się Della, najwyraźniej uważając, że wtedy zaoszczędziłabym jej sporej porcji trucia.

- Bo wolałabym umrzeć. O tym właśnie myślałam w drodze tutaj - że wolałabym umrzeć.

Della przyjrzała mi się uważnie, szukając wyjaśnienia.

- Widzę, że twoim zdaniem to ma znaczenie.

- Właśnie zdaję sobie sprawę - powiedziałam, kładąc się znów z kłapnięciem - że to nie przez nich. Nie przez mężczyzn. To przeze mnie.

Znów zamilkłyśmy.

Po chwili powiedziałam bez związku:

- Widziałam Go.

- Kogo go?

- Go-Go. Tego przez duże G.

- Kogo? - spytała zła.

- Miłość Mojego Życia - powiedziałam, wciąż rozkojarzona. Tym razem miałam jednak satysfakcję: moje słowa spowodowały, że Della poderwała gwałtownie głowę i dość rozgłośnie walnęła w deski łóżka.

- Coooooo? - Odziedziczyła po mnie talent do celnych pytań.

- Bo to on. - I pomimo depresji, naprawdę głębokiej, szeroko się uśmiechnęłam. Nie ma drugiej rzeczy tak satysfakcjonującej jak opowiadanie komuś czegoś naprawdę zaskakującego. - Mogę ci to jeszcze raz powiedzieć? A ty jeszcze raz walniesz głową?

- Gdzie-co-kiedy-jak? - powiedziała, obracając się jakoś na bok, żeby lepiej spojrzeć mi w twarz. I w tym momencie usłyszałyśmy, że drzwi się otwierają i wchodzi Mac z dziewczyną.

Mac tokował na temat błyskotliwej przyszłości Tsariny Spooner. Natomiast sama Tsarina, która nie wydawała się szczególnie zainteresowana swoją błyskotliwą przyszłością, skierowała się wprost do zamrażarki, znalazła Haagen Dazs i chodziła po mieszkaniu w butach od Manolo (tylko tyle z niej widziałam), wsuwając lody do ust. Zawsze można odróżnić te najchudsze po sposobie, w jaki jedzą Haagen Dazs.

Więc gdy Tsarina przyszła i siadła na łóżku, wciąż jedząc, Della i ja miałyśmy doskonały widok - przez koronkową falbanę - na jej bardzo słodkie, małe serduszko, wytatuowane tuż nad jej bardzo słodką, lewą kostką.

- Chodź tu, słodziutki - powiedziała do Maca.

Della spojrzała na mnie, mówiąc bez słów: no to zaczynamy. Mac podszedł i dołączył do niej na łóżku. Zapanowała cisza, gdy sądziłyśmy, że się pewnie całują, ale potem łyżeczka zadzwieczyła o zęby i zrozumiłyśmy, że Tsarina karmi go lodami. Potem powiedziała, chyba z łyżeczką w ustach: „Zrobić ci dobrze, słodziutki?”. A wtedy zapadła jeszcze dłuższa cisza, a ja pomyślałam: o rany, rozpina mu spodnie.

Ale Mac powiedział: „Nie, dzięki”, a Della i ja patrzyłyśmy na siebie oczyma wielkimi jak spodki, a niepewność niemal nas zabijała. No bo ostatecznie mógł mówić „nie, dzięki” do ostatniej łyżeczki lodów - mógł.

A potem Mac powiedział powoli i zacinając się - jak ktoś, kto wylądował w nowym wspaniałym świecie i mówi „zaprowadźcie mnie do waszego przywódcy”:

- Mam przyjaciółkę. Tsarina roześmiała się.

- Ja też. Musisz wymyślić coś lepszego, słodziutki. Opowiesz mi o swojej przyjaciółce? Lubisz ją pieprzyć? Chcesz, żebym ci opowiedziała o moim przyjacielu?

Della i ja patrzyłyśmy na siebie, zastanawiając się, co ta kobieta brała? Była profesjonalistką!

Znowu zapadła cisza i znowu myślałyśmy, że spadają spodnie, ale wtedy Mac wyciągnął królika z kapelusza.

- Nie rozumiesz. Jestem zakochany. - Powiedział to tak, jakby miał jakieś czternaście lat, jakby był bezbronny, miał wątpliwości i potrzeby, i tak dalej, i nagle zdałam sobie sprawę, że jest istotą ludzką. Na moment to odkrycie odebrało mi dech.

Ale zanim miałam czas je przemyśleć, zauważyłam, że Della ma jakiś atak czy konwulsje, czy coś takiego, i pomyślałam, że pewnie powinnam ją zawieźć na pogotowie, bo jest w szoku po takim dowodzie wierności Maca.

A teraz Tsarina tupąła swoją małą, ubraną w bucik od Manolo nóżką w podłogę, tuż koło głowy Delii. Tsarinie nie podobało się to, co mówił Mac. Och, nie.

- Nudzisz mnie - powiedziała nadąsana. - Jesteś nudny!

Ale to okazało się zbyt wiele dla Delii, która nagle wyciągnęła rękę spod łóżka i chwyciła tę małą, wytatuowaną kostkę, a choć Tsarina pluła, wierzgała, wrzeszczała i zrywała się do biegu, Della trzymała kostkę, aż została wyciągnięta spod łóżka jak chłopiec na delfinie, a kiedy wstała, powiedziała do Tsariny:

- On cię nudzi? Ty mnie nudzisz! Jesteś najnudniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam!

Mac przeprosił za Delię, ale wiedziałam, że mu się to podobało. I jak tylko zobaczył Del, wciągnął ją na łóżko i objął - tyle byłam w stanie wydedukować ze zniknięcia nóg.

- Ha! - powiedziała Tsarina.

- Ha! - odpowiedziała Della.

- Zadowolona? - spytała Tsarina.

- Jak świnia w gnojówce - stwierdziła Della.

- Niewątpliwie - odrzekła Tsarina, a potem przełączyła się na inny kanał. - Chcecie zapalić trawki? - zaproponowała i padła z nimi na łóżko. - Podoba mi się twoja sukienka, kto ją robił? Super. - Noc i dzień.

Tymczasem ja wciąż leżałam pod łóżkiem, starając się zaplanować swoje wejście. Miałam z tym kłopoty. Ale niepotrzebnie się martwiłam, bo najpierw na górze było trochę szeptów, a potem twarz Maca, do góry nogami, ukazała się w szczelinie między koronkową falbaną a podłogą.

Patrzył na mnie przez chwilę.

- Wiadomo, że miesiące miodowe to okropnie trudny okres - odezwałam się w końcu. - Wysoki poziom oczekiwań często daje w efekcie pewne... napięcie.

- Gdzie twój kochaś? - spytał Mac, a ja myślałam, że pyta o Alexa. Myślałam, że pyta o Alexa!

Paul i Ven odszukali mnie u Maca i wsadzili do taksówki, by zawieźć na powrót do hotelu. W taksówce opowiedziałam Ven o dezercji Eda. Spodziewałam się jakiegoś „o mój Boże”, ale tylko zmarszczyła brwi.

- Co? - spytałam.

- Czy Ed odszedł z powodu Alexa?

- Nie. On nic nie wie.

- Najwyraźniej wie podświadomie - stwierdziła. Nie miałam na to odpowiedzi.

- No, no, dziewczyny - powiedział Paul pośpiesznie. Paul nienawidzi rzeczy rzeczywistych.

- Ed miał dość, bo spóźniłam się na samolot, i ponieważ wyście się pojawili... no wiecie... i przez Maca, i przez wszystko. Po prostu zostanę w hotelu, a on pewnie kiedyś tam wróci. Nie odjechał daleko. Nie wskoczył do samolotu do Londynu. Nie jest aż tak wyzwolony. Zaczeka na datę na bilecie powrotnym.

- Wykazuje rozsądek w sprawie pieniędzy - zauważyła Ven.

- Niech mnie Bóg zachowa od każdego, kto wykazuje rozsądek w jakiegokolwiek sprawie - powiedziałam.

- Jesteś paskudna - oceniła Ven.

- Nie musisz z nim żyć.

Paul patrzył od jednej do drugiej i powtarzał: - Koszmar, koszmar.

- Więc te wszystkie przysięgi, których wysłuchaliśmy, nic nie znaczyły? - spytała Ven.

- To nie ja się wyniosłam - powiedziałam. - Chciałam jechać do Meksyku. A przysięgi, owszem, znaczyły, ale kiedy przychodzi do konkretów, to to jest świat realny, a tamto, to był kawałek papieru. To właśnie tego nikt nie chce przyznać, prawda? Dlatego właśnie tyle małżeństw się rozpada po krótkim czasie. Bo ludzie mają dobre chęci, ale chęci to tylko jedno, no wiesz, dobrymi chęciami jest coś tam wybrukowane, czy jak to się mówi.

- Piekło - podpowiedział Paul. Spojrzałyśmy na niego.

- Piekło jest wybrukowane - wyjaśnił Paul. - Jak pewnie same stwierdzicie.

- No właśnie - powiedziałam, opadając na oparcie.
- Więc o co chodzi z Alexem? - spytała Ven, nieco wrogim tonem.
- O nic nie chodzi z Alexem. Nic się nie stało. Wyjechał.
- Rozpalił ją - powiedział Paul.
- Hej! - wykrzyknęłam. - Banał.
- Ciotom - zauważył Paul - wolno używać tyle banałów, ile zechcą.
- „Rozpalił” jest dość dokładnym określeniem - powiedziałam niechętnie. -
Słuchaj - to do Ven - odejście Eda nie ma nic wspólnego z Alexem. On nic nie wie o Alexie. Ale to prawda, to było niesamowite, zobaczyć znowu Alexa. -Nagle chciałam, żeby zrozumiała. - Nie czułam się tak... od nie wiem jak dawna. Nawet nie umiem tego opisać. Czułam się, jakbym wszystko nagle zrozumiała. Jakbym wiedziała, o co chodzi. Jakbym zrozumiała, po co to wszystko jest.
- Ach tak, kiedy wyprasuje się te wszystkie egzystencjalne zakładki... - zaczął Paul.

- Nie ma nic lepszego - przytaknęłam.
- No, jest - stwierdził. - Jest jeszcze kwas.

Czy czuliście kiedyś, jak wasz wewnętrzny regulator schodzi z plusa na minus? Czy czuliście kiedyś, jak wasz piękny świat w technikolorze zmienia się na nieubłagane czarno-biały? Gdy już byłam w stanie w pełni pojąć chaos, w jakim się znalazłam, stwierdziłam, że stoję przed pustym apartamentem dla nowożeńców, patrząc na sylwetkę Nowego Jorku. Sama.

Towarzyszący kryzysowi jazgot ustąpił miejsca cichemu szumowi bólu i niezdolności do wykrzesania z siebie choćby iskry zainteresowania dla tego, co dzieje się wokół mnie -niezdolności nawet do mówienia. Całkiem lubiłam swoje życie - aż do wczoraj. Aż do wczoraj wiodło mi się nie najgorzej. Byłam wdzięczna za drobne łaski, jakimi mnie los obdarzał, za moje zdrowie, przyjaciół, telefony, humus niskotłuszczowy, i takie tam.

Ale jeśli mam powiedzieć prawdę - prawdziwą, najprawdziwszą prawdę - to źródłem bólu był Alex, nie Ed.

Jeśli Alex jest narkotykiem, to niechcący dziabnęłam się igłą pełną heroiny, a teraz błędę po bezdrożach głodu. Cierpiałam na poważny przypadek myślenia życzeniowego, które dotyka wszystkich wierzących w miłość od pierwszego wejrzenia: musiał przecież znaleźć się na tym balkonie w jakimś celu. To musi znaczyć, że jest Tym Jedynym. Gdybym poleciała do Meksyku, nie spotkałabym go, więc musi to znaczyć, że jest Tym Jedynym. Wylądowaliśmy w sąsiednich pokojach hotelowych, to musi znaczyć, że jest

Tym Jedynym. Tylko on zgadza się ze mną, że najlepszym Jamesem Bondem był Roger Moore. To musi znaczyć, że jest Tym Jedynym.

A jeśli nie był na tym balkonie w żadnym celu, to znaczy, że wszystko w życiu jest przypadkowe, nic nie ma żadnego znaczenia i w ogóle lepiej się w to wszystko nie zagłębiać.

Ale jeśli był na tym balkonie w jakimś celu, mówił głosik w mojej głowie, to wszystko spieprzyłam. I to jak. Przegapiłam łódkę. Bo już go nie ma. Czułam wzbierającą we mnie tę samą panikę, co wtedy, gdy zobaczyłam Czerwonego Teda w kleszczach śmieciarki i zdałam sobie sprawę - chyba po raz pierwszy w życiu - że są na świecie takie rzeczy, których się nie da odwrócić. Że nie można cofnąć wskazówek zegara, a wszystkie króla konie i żołnierze nie złożą Humpty'ego z powrotem w jedną całość.

Nie wiedziałam, co zrobić z tą myślą. Nie było miejsca, gdzie mogłabym z nią pójść. Myślałam, że chyba potrzebuję pomocy. Myślałam, że jeśli będę wystarczająco długo czekała w hotelu, Ed wróci. I może wtedy po prostu opowiem mu o Alexie, a potem będę mogła pójść do kliniki dla czubków, gdzie mi przewiną zwoje mózgowe, a potem będziemy przez jakieś pięćdziesiąt lat chodzić na terapię małżeńską, żeby w końcu móc zacząć wszystko od nowa.

Rozdział szesnasty

Następnego ranka telefon zadzwonił zdecydowanie za wcześnie. Złapałam słuchawkę.

- Przykro mi, że ja to nie on - to Della.

Przez kilka sekund nie mogłam mówić, taka byłam śpiąca i wkurzona.

- To najbardziej irytujący sposób zaczynania rozmowy - powiedziałam.

- Jak się czujesz?

- Potrzebuję odpoczynku.

- Dlaczego? Czy coś się wczoraj działo?

- Nie. Nic się nie działo. Noc Długich Noży spędziłam na balkonie. - Siedziałam tam chyba do trzeciej rano, co - biorąc pod uwagę zmianę czasu - coś mówi. Długie noże.

Słyszałam, jak szepce coś do Maca.

- Mac chce z tobą rozmawiać - powiedziała i oddała mu słuchawkę.

Mac poinformował, że jedzie do Hamptons na spotkanie z - wstawcie tu nazwisko legendarnego reżysera filmowego - do jego legendarnej rezydencji przy plaży, i że może powinnam z nim pojechać.

Wzięłam głęboki oddech. Nie wiedziałam, od czego zacząć. Przez głowę przelatywały mi takie zwroty, jak „oburzająca propozycja” „jak śmiesz” i „już zniszczyłeś moje małżeństwo”.

- Mac odpieprz się! - Uznałam, że to najlepiej podsumowuje, co myślę.

Słuchawkę przejęła Della.

- Nie denerwuj się tak - powiedziała.

- Później z tobą porozmawiam - zakończyłam i odłożyłam słuchawkę.

Dopiero po porannym seansie medytacji dotarło do mnie, że Mac i Della pewnie chcieli pomóc. Moja poranna medytacja polega na tym, że leżę na łóżku i gapię się w sufit, a wszystko, co mnie w danej chwili zajmuje, wiruje mi w głowie. Nie jest to może zen, ale...

- Ubranie twoich myśli w pralce twojego mózgu - powiedziała kiedyś zazdrośnie Ven, gdy opowiedziałam jej o moich porannych praktykach. Ven medytuje naprawdę. Powiedziałam, że to brzmi jak piosenka. Niestety, w rzeczywistości przypominało to bardziej skarpetki na etapie wirowania.

Tak czy inaczej zrozumiałam, że zdaniem Maca powinnam się czymś zająć i dlatego zaproponował mi ciężką, całodniową pracę. Pewnie przedyskutował to z Delią i razem uznali, że tak będzie najlepiej. Troszczyli się o mnie. Kochali mnie! Sama myśl wystarczyła, żebym zwinęła się w

embrion i głośno jęczała. Gdy skończyłam, zadzwoniłam do Maca i powiedziałam, że będę gotowa za pół godziny.

Podjęłam właściwą decyzję. Plaża była plażą tego najlepszego rodzaju. Jeżeli przeciętna plaża europejska to miodowego koloru szczeniak labradora, to ta plaża była dzikim białym wilkiem. Długa trawa, smagana wiatrem, leżała na ziemi, a stary drewniany płot wybielał gruntownie. Piasek, strefa przyboju, morze i niebo - w tej kolejności, równoległe linie, biegnące tak daleko, jak sięga wzrok. I gdzieś tam hen horyzont, tak szeroki, że czujesz się malutka. Wystarczy wejść na tę plażę, by mózg zaczął się rozwijać.

Spacerowałam po plaży, gdy inni jedli lunch, myśląc, że jeśli to „ma być” z Edem, to będzie z Edem. I że nasze kłopoty to tylko pryszcz na niezmiernym krajobrazie pokreślonych ludzkich relacji. I że miłość to i tak jest tylko boski sposób na zachęcenie nas do reprodukcji. I takie tam.

O Alexie też trochę myślałam - ale niewiele. Tu miałam ograniczony dostęp, jak wtedy, gdy coś jest tak blisko, że nie możesz się temu dobrze przyjrzeć ani ustawić ostrości, a nie masz gdzie się cofnąć, żeby zyskać perspektywę.

Szłam i szłam, potem zdjęłam buty i brodziłam w wodzie, potem wróciłam po swoich śladach, powysyłałam jeszcze trochę faksów i zrobiłam trochę więcej notatek i złapałam więcej ludzi przez telefon. Legendarny reżyser filmowy był niemal tak inspirujący jak plaża. Przypominał entuzjastycznego sześciolatka o bardzo klarownym sposobie myślenia. Gdyby kiedykolwiek przestał robić filmy, pewnie mógłby zostać guru. Było w nim coś takiego, że chciało się mu służyć.

Mac świetnie się bawił. Nie śmiał palić w legendarnej rezydencji, więc nie palił, a jest do tego zdolny tylko wtedy, gdy zew wielkiej kasy jest naprawdę bardzo silny. Zamiast tego wlewał w siebie colę light i machał puszką dla zaakcentowania swoich słów.

Późnym popołudniem okazało się, że obaj są zaproszeni tego wieczoru na wielkie przyjęcie w mieście. LRF powiedział, że nie chce mu się jechać samochodem. Mac kazał mi zamówić helikopter. W takim właśnie był nastroju.

I w ten to sposób znalazłam się kilka godzin później na dość happeningowym przyjęciu w mieszczących się na szczycie wieżowca biurach jednego z największych amerykańskich czasopism. Widok był niezwykły: słońce właśnie zapadło za rzeką Hudson, a szarzejący krwawo-pomarańczowy poblask odbijał się od srebrzystych wieżowców. Wewnątrz

była niezliczona ilość małych czarnych i wyszywanych cekinami torebek. Ja wciąż miałam na sobie spodnie, w których pojechałam pracować - na szczęście były czarne. Roboty-stoliki z drinkami jeździły po pokoju na własnym napędzie, i mówiły fajnymi cyber-głosikami: „Chcesz drinka? Jeśli cię nie zabije, to cię wzmocni”, albo „zejdź mi z drogi”, jeśli się stanęło przed którymś z nich.

Bycie na przyjęciu, na które się nie jest zaproszonym, jest dziwnym przeżyciem nawet w najlepszych czasach, a bycie na przyjęciu, na które się nie jest zaproszonym, kiedy twoje życie legło w gruzach, jest ciężką pracą. Właśnie się zastanawiałam, czy nie wymknąć się do kina, kiedy złapał mnie gang trojga. Powitali mnie, jakbym była dawno utraconą córką marnotrawną.

- Podobno ma przyjść Leonardo - powiedział Paul.

- O mój Boże - powiedziała Ven.

- Miałam go, to śmieć - powiedziała Della.

Ucieszyłam się na ich widok. Jednak mój wewnętrzny regulator, który na plaży wyciągnął z dna trochę ładnie spłowiałych kolorów, szybko ześlizgiwał się znów w czarno-białą tonację.

Powiedziałam im, że chcę wrócić do hotelu i zobaczyć, czy Ed się nie pojawił. Ven sprawdzała. Nie pojawił. Powiedziałam, że i tak chyba pójdę. Nie protestowali. Okazali szacunek.

Przecisnęłam się przez las bioder, łokci i torebek, wynajdując ścieżkę tam, gdzie jej nie było. Kiedy w końcu dostałam się na dół, znalazłam się w wielkim holu z białego marmuru z fontannami, drzewami, wykidajkami i portierami. Dalej ciągnął się rząd szklanych drzwi, prowadzących na ulicę. Zdałam sobie sprawę, że musiało padać, ponieważ światła samochodów rozmazywały się czerwienią na szklanych drzwiach.

Zobaczyłam mężczyznę stojącego na mokrym chodniku. Światła budynku odbijały się w kropelkach deszczu na jego włosach, a kiedy odwrócił się ku mnie i otworzył drzwi, wcale się nie zdziwiłam, że to Alex.

Podszedł do mnie. Był we fraku - to niesamowite, że zasady ubierania się w Nowym Jorku wymagają takiego strojenia się.

Powiedziałam „Dobry wieczór” formalnie, by dostosować się do formalności tej imprezy. Cherelle pojawiła się tuż za nim.

- Cześć! - powiedziała, jakby była w siódmym niebie, że mnie widzi. Poważnie. - Czy ty nas śledzisz? Skradasz się za nami? Hej! - wykrzyknęła, chwytając mnie za ramię i prowadząc na powrót w głąb budynku. - Właśnie

widziałam na ulicy takiego grubego faceta Ależ był gruby! Rozlewał się wszędzie wokół.

- Myślałam, że jedziecie w podróż poślubną - powiedziałam. Z trudem.
- Miodowe miesiące są po to, żeby się bawić, nie?
- Tak - zgodziłam się.
- A my się dobrze bawimy tu w mieście. Zdążyliśmy już dojść do wind.
- Ja już wychodziłam - powiedziałam.
- Och, nie, nie możesz iść - zaprotestowała. - Jesteś taka zabawna.

I tak wróciłam na przyjęcie. Byłam tam może pół minuty, gdy wróciła mi trzeźwość umysłu: nie powinnam tu być. Wypiłam jeden czy dwa koktajle. Nie powinnam była tego robić: uderza mi to do głowy. Trzeźwość umysłu zniknęła. Tańczyłam. Nie powinnam była tego robić: uderza mi to do głowy.

„Nareszcie znalazłam miłość i dziękuję Bogu, że żyję”. Nie, w porządku - nie mówię, że słowa piosenki są odpowiedzialne za to, co się później wydarzyło. Tego nie mówię. Myślę jednak, że gdybym miała w sądzie przedstawić cały materiał dowodowy, gdybym miała badać wszelkie okoliczności starannie i wnikliwie, to musielibyśmy przyjąć, że one też były jednym z czynników. Niewątpliwie były jednym z czynników.

Na swoją obronę muszę powiedzieć, że nie wiem, jak można żyć na diecie piosenkowego sentymentalizmu i nie znaleźć się ani odrobinę pod jego wpływem, ani ani odrobinę.

„Wyszedłeś z moich snów i muszę wciąż mieć cię obok”. No wiecie, słyszy się to cały czas, ale tej nocy słowa docierały do mnie ze zdwojoną siłą. Nagle wiedziałam, o czym oni wszyscy mówią. Z pewnym zdziwieniem zdałam sobie sprawę, że przez bardzo długi czas byłam zamknięta.

Czułam w piosenkach potęgę pragnienia i tęsknoty, jak gdybym słuchała ich po raz pierwszy.

Tańczyłam sama - trzy łyki z mojego trzeciego koktajlu - i nawet się nie zorientowałam, jak porwał mnie do tańca taki wielki, tęgi, pijany gość, przytłaczając mnie dziwnym zapachem płynu po goleniu i alkoholu, a także zarośniętym karkiem. Miałam wrażenie, że często ćwiczył, albo był w mafii, albo co. A potem się potknął i mój drink wylądował na ziemi. Natychmiast pojawił się Alex, a ja wyrwałam się z objęć grubego i zwróciłam do Alexa. Gość musiał złapać spojrzenie, które wymieniliśmy, bo powiedział coś pogardliwego, czego nie rozumiałam, a Alex odpowiedział. I zaraz gruby popchnął Alexa, który poleciał kilka kroków w tył.

Zobaczyłam, że idzie ku nam Cherelle. Widziałam, że Alex też ją widzi. Wycofał się i wślizgnął w tłum.

Koło mnie zmaterializowała się Ven.

- Lepiej ci bez niego. - Chodziło jej o Alexa.

- Nigdy z nim nie byłam - powiedziałam.

- To nie jest szczęśliwy gość - zauważyła.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytałam, rozpromieniając się.

- Nie idź tam - powiedziała Ven bardzo surowo. Pomyślałam, że pójde za Cherelle, która szła za Alexem, ale go zgubiła. Zostawiłam ją, przedarłam się na drugą stronę przyjęcia i weszłam w korytarz. Stałam przed - jak mi się wydawało - męską toaletą, ale zobaczyłam, że na drzwiach był obrazek mężczyzny i kobiety stojących obok siebie i trzymających się za ręce. Myślałam, że to może znak. To znaczy, wiem, że to był znak na drzwiach, ale myślałam, że może to znak-znak. Wtedy przepchnęła się koło mnie jakaś kobieta i zrozumiałam, że to toaleta uniseks. Słyszałam o nich. Więc weszłam.

W środku było tak super, że mógł to być pokój dla VIP-ów.

Alex stał przy umywalce, przyglądając się sobie w lustrze. Przebywał we własnym świecie. Zatrzymałam się. Nie chciałam tłuc szkła.

I wtedy męski głos za mną powiedział: „Hmm hmm”. Miał ten rodzaj wszechmęskiego akcentu, że - niezależnie od tego, jaki teraz nosił zegarek - nie miałaś wątpliwości, że miał trudne dzieciństwo. Szturchnął Alexa w ramię i zapytał:

- Myślisz, że z tobą skończyłem?

Był to, oczywiście, mój gruby przyjaciel z parkietu.

Wszyscy zamilkli. Wszyscy wiedzieli natychmiast, że szykuje się SCENA. Zapanował pełen skrepowania nastrój -taki jak w teatrze, zanim wszyscy przyzwyczajają się do tego, że oglądają dorosłych ludzi, którzy coś udają.

Przede wszystkim Alex się nie odwrócił, co mnie zaskoczyło. Po drugie, naprawdę się bałam - jakbym wiedziała, że Alex gdzieś odpłynął i dla niego nie było to już śmieszne. Co nie znaczy, że to w ogóle było śmieszne, ale - no wiecie, o co mi chodzi.

Tymczasem gruby trochę się zagubił, że jest ignorowany. Skoro Alex nie miał zamiaru tańczyć, to sam musiał wymyślić kroki. Zerknął na obrączkę Alexa.

- Masz problemy seksualne w małżeństwie i dlatego się wtrącasz w to, co cię nie dotyczy?

Najwyraźniej w jego prywatnym neandertalskim świecie był to cios tak dalece poniżej pasa, że musiał wywołać reakcję. Ale Alex po prostu skończył myć ręce, wytarł je, mruknął: - Wiesz co.... - i nie skończył zdania.

Neandertalczykowi praktycznie puszczały szwy w ubraniu.

- Co? - powiedział.

My, publiczność, siedzieliśmy na brzeżkach metaforycznych krzesel.

- Chyba nie mam ochoty tu być - stwierdził Alex. Odwrócił się i strzelił neandertalczyka prosto w twarz. Widownia wciągnęła głośno powietrze. Neandertalczyk klapnął na tyłek i rozciągnął się na plecach na podłodze.

Myślicie pewnie, że my, publiczność, powinniśmy byli się przestraszyć, ale chyba byliśmy tylko bardziej skrepowani. Zdecydowanie nastrój był pełen skrepowania. To było jak uprawiany publicznie seks. Przemoc w filmie jest gładka i pewna, z dobrą choreografią. To tutaj było niepewne i rozdygotane. Krepujące.

Neandertalczyk wyciągnął z kieszeni pistolet. No tak, teraz ogarnął nas strach. Nagle wszyscy zamarli, jakby nie byli w stanie się ruszyć. To znaczy przedtem też żeśmy się nie ruszali, ale teraz trenowaliśmy podstawowe zasady przeżycia - zamarliśmy w miejscu.

Najbardziej przejęty pistoletem wydawał się sam neandertalczyk. Także najbardziej przestraszony. Właściwie go nie wycelował, tylko jakby pokazał Alexowi. Wciąż jednak leżał na podłodze, więc Alex po prostu podszedł i wykopał mu go z ręki. Nikt nie uciekał, nikt się nie ruszył.

Alex poszedł po pistolet, podniósł go i prostując się, zrobił uspokajający gest ręką. Ponieważ jednak gest ten wykonał ręką trzymającą pistolet, publiczność zafalowała. Zaskoczony Alex skrył się w kabinie. Ludzie zaczęli się ruszać. Ktoś wołał „wezwać ochronę!”, ktoś inny „wezwać policję!”, a jeszcze ktoś inny „nie wzywać policji!”.

Neandertalczyk siedział na podłodze. Najwyraźniej stracił całą hucpę, siedział przygarbiony i przepraszający.

- I co można zrobić z takim wariatem? - zapytał. Podeszłam do kabiny Alexa. Uprzejmie zapukałam.

- Odejdź - powiedział.

- To ja - odezwałam się. Brak odpowiedzi.

Wróciłam na parkiet. „Twój dotyk to raj, muszę cię przytulać”.

Pojawił się znikąd. Chwycił mnie za rękę i ściągnął z parkietu. Był silny.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- Jasne. - Kącikiem oka dostrzegłam Delię i Ven, przyglądające mi się nerwowo ze spiralnych schodów w prawym rogu pokoju. Cherelle nie było nigdzie widać. - Nie martw się - powiedziałam nerwowo, zabierając się do wyjaśnień od niewłaściwego końca. - Wyjeżdżam. Jadę do Meksyku. Sama. Wszystko mi jedno. Mam rezerwacje. Piękny hotel. Dlaczego miałabym nie jechać. No wiesz, to tylko uczucie, nie? Uczucia to nie fakty. To tylko coś takiego dziwnego, co sobie nawzajem robimy, nie? A te wszystkie uczucia... - Pomachałam ramionami, żeby zilustrować, o co mi chodzi. Byłam pewna, że rozumie. Mówiłam całkiem głośno. Nie ściszyłam głosu. Nikt wokół nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. - Nie kochasz mnie - brnęłam dalej na oślep. - Ja nie kocham ciebie! Gdybyś mnie kochał, zadzwoniłbyś do mnie. Jasne? To jasne. Przez siedem lat do mnie nie zadzwoniłeś. Siedem lat. Nawet się nie znamy. Spędziliśmy razem jedną noc! Mamy nie po kolei w głowach. Życie nie jest takie. Śledziłeś mnie tutaj? Może to ty za mną chodzisz! Bo tak naprawdę to już nie jest śmieszne. No wiesz, w co ty grasz? Czy to jakaś gra?

- Gra? - powtórzył. Patrzył na mnie. Niebieskie oczy. Mówiłam już?

Kącikiem oka dostrzegłam: a - dwóch ochroniarzy biegnących od strony schodów z rękoma na kaburach pistoletów, tak jak to oni zawsze, - Cherelle.

- Ochrona za tobą - ostrzegłam - a Cherelle na godzinie drugiej.

- W nogi! - powiedział.

Więc uciekliśmy. Szybko, ale nie na tyle szybko, żebym nie zauważyła, że Cherelle trzyma w dłoniach dwie szklanki wody mineralnej i ma otwarte usta.

Alex złapał mnie za rękę, zanim dotarliśmy do wind i wciągnął w jedną z tych szaf, w której trzyma się gaśnice. Było w niej dosyć ciasno.

- Czy nie powiesz „musimy przestać się tak spotykać”? - spytałam.

- Nie - odpowiedział i pocałował mnie. Nie będę się nad tym rozwodzić, bo zatrzymałoby to akcję. Wystarczy powiedzieć, że siedmioletnie śwędzenie doczekało się podrapania.

W drzwiach była szklana szybka i widzieliśmy, że kiedy się całowaliśmy, Della, Ven, Paul i Cherelle przegalopowali obok ku windom jak ogary na tropie.

Gdy zniknęli, Alex wyciągnął mnie z szafy.

- Oni na dół - to my na górę.

Byliśmy tak wysoko, że windy nie jeździły już wyżej. Ruszyliśmy więc na górę schodami ewakuacyjnymi.

- Wszystko w porządku? - spytał po paru zakrętach.

- Twój dotyk to raj - powiedziałam bez tchu.

- Co?

- To taka piosenka.

Na szczycie schodów znowu się pocałowaliśmy. Wydawało się to właściwe.

- Co się tam stało? - spytałam.

- Słyszałaś kiedyś o prędkości ucieczkowej?

Znowu zaczęliśmy się całować - chyba za długo, bo usłyszałam trzask drzwi i cztery pary nóg bębniące po schodach poniżej. Wpadli na to, gdzie jesteśmy.

- Chodź - powiedział i znowu ujął mnie za rękę. Wybiegliśmy na dach. Pierwsze, co zauważyłam, to że

chmury rozwiały się, a niebo miało fantastyczny, granatowy, północny kolor. Drugie, co zauważyłam, to helikopter, którym tu przylecieliśmy.

- Super - stwierdził Alex.

Wtedy, i dopiero wtedy, przysięgam, pojęłam pełen potencjał tego helikoptera, czekającego tam w swej technoważkowej chwale.

- Nie możemy - powiedziałam.

Pilot pomachał do mnie i włączył wirnik.

- Znajomy? - spytał Alex.

- Poniekąd.

Alex zaklinował drzwi prowadzące z klatki schodowej.

- Cóż lepszego? Odchodzimy po pięciu latach. Odchodzimy po dwudziestu latach. Albo odchodzimy teraz. - Potem wziął mnie za rękę i pobiegliśmy pod wirnik - zupełnie tak, jak to robią na filmach, jak zawsze chciałam zrobić.

Gdy wdrapywaliśmy się do helikoptera, krzyknęłam do Jacoba, pilota, że będzie musiał wrócić po Maca. Odkrzyknął, że nie może mnie nigdzie zabrać bez autoryzacji, musi zadzwonić. Naprawdę, życie jest czasem tak prozaiczne.

- O cholera - powiedziałam.

Alex i ja spojrzeliśmy na siebie, a potem na drzwi, które lada moment odskoczą. Wtedy Alex opuścił wzrok i pokazał mi lufę pistoletu, wystającą mu z kieszeni. Nie do końca żartował.

- O cholera - powtórzyłam. - Jacob - proszę, proszę, proszę. - Coś w moim głosie sprawiło, że się odwrócił. - Jacob - oznajmiłam, kładąc rękę na dłoni Alexa, tej z pistoletem - jesteśmy w podróży poślubnej!

Jacob nie mógł mnie słyszeć przez hałas wirnika. Zresztą chyba nie mówiłam zbyt przekonująco. Musiałam to powtórzyć, zastanawiając się, czy za karę będę się przez całą wieczność smażyć w piekle, czy tylko przez resztę życia będę cierpieć na zapalenie pęcherza, i co jest gorsze.

- To nasz miesiąc miodowy! - wrzasnęłam. - Mac ci mówił, pamiętasz?

Jacob rozjaśnił się szerokim uśmiechem.

- Dokąd? - spytał.

- Ona jedzie do Meksyku! - krzyknął Alex.

Jacob roześmiał się i powiedział, że nie może nas zawieźć do Meksyku, ale może na JFK. Gdy wznosiliśmy się, wyjęłam pistolet z kieszeni Alexa i wrzuciłam do kałuży na dachu.

W kilka sekund po naszym starciu na dach wypadli ochroniarze, Paul, Della i cała reszta. Było nam wszystko jedno - rozświetlone drapacze chmur zostawały za nami w czystym, nocnym powietrzu, jak zrobiony przez człowieka las wysadzanych diamentami stalagmitów, największy kanion na świecie.

- Piąta Aleja - powiedział Alex. - Boisz się?

- Boję się czego? - spytałam. - Śmierci?

Nie odpowiedział. Patrzył ponad zatoką Hudson, gdzie Statua Wolności wznosiła pochodnię.

- To byłam ja przez siedem lat. Przez chwilę milczał.

- Przepraszam - powiedział w końcu.

- Wiesz co? - stwierdziłam później. - Mogłabym teraz umrzeć, nie robiłoby mi to różnicy.

Rozdział siedemnasty

Wyobraźcie sobie. Wyobraźcie sobie sypialnię dla nowożeńców. Wyobraźcie sobie wielkie łóżce z czterema słupami w narożnikach, udekorowane koronką. Wyobraźcie sobie pogniecioną białą pościel, lekko szeleszczącą w podmuchach wiatraka, kręcącego się pod sufitem. Wyobraźcie sobie drewniane, ciemne ramiona wiatraka lekko i uspokajająco trzeszczące podczas obracania się. Wyobraźcie sobie wypłowiałe karaibskie słońce na drzwiach werandy, wyobraźcie sobie słodkie, karaibskie powietrze. Wyobraźcie sobie miękką, watowatą ciszę, przerywaną jedynie odległym kłaskaniem marimby i niemal niedosłyszalnym rytmem fal uderzających o piasek.

A teraz wyobraźcie sobie leżącą na łóżku młodą kobietę, opierającą głowę na zgiętym w łokciu ramieniu. Leży nieruchomo, zupełnie nieruchomo, a jej skórę pokrywa cienka warstewka potu. Patrzy, jak wiatrak pod sufitem przeżuwa minuty i wyobraża sobie młodego człowieka, leżącego na łóżku w pokoju stanowiącym lustrzane odbicie pokoju, w którym leży ona.

Młody człowiek nie pasuje tu w miejskim ubraniu - biała koszula z gorsem, czarne spodnie i buty. Nie może znaleźć sobie miejsca, krzyżuje nogi raz tak, raz tak, wsuwa ręce pod głowę. Wygląda na kogoś rozważającego poważne sprawy. Bardzo poważne. Może wstaje i chodzi po pokoju, jak ktoś, kto ma w walizce schowane supertajne papiery. Tylko że ten młody człowiek nie ma walizki. Ma jedynie to ubranie, które ma na sobie.

Gdy młoda kobieta ma dość wyobrażania sobie - gdy ja mam dość wyobrażania sobie, przekręcam się na moim bardzo małżeńskim łóżu, żeby zobaczyć, jak radzą sobie mrówki. Od kiedy patrzyłam na nie po raz ostami, ich liczba się podwoiła. Przybyły posiłki, drugi batalion, armia owadów, przeprowadzających ćwiczenia wojskowe na podłodze w moim pokoju hotelowym. Wszystkie mrówki zmierzają do jednego, bardzo ważnego celu, a ja się zastanawiam, skąd każda poszczególna mrówka wie, jaki jest ten cel. Ciekawa jestem, czy rodzą się z tą wiedzą zakodowaną w ich DNA. Myślę o tym, dlaczego ja nie mogłam się urodzić z zakodowaną w DNA wiedzą, co powinnam robić. Tak jak Paul urodził się z zakodowaną w DNA informacją, co się nosi.

Potem przychodzi mi do głowy, że pewnie się rodzę-rodzę z tą informacją. Prawdopodobnie maszeruję jak mrówka pod kierunkiem nieuniknionego,

genetycznego przeznaczenia, tylko że o tym nie wiem. Takie rzeczy jak wolna wola, przypadek i wybór to zapewne po prostu bardzo przekonująca scenografia, zaaranżowana przez wielkiego kreatora.

Nie mam zamiaru w ten sposób tłumaczyć się z tego, co zrobiłam Edowi, ale muszę to jakoś sobie wyjaśnić. Muszę móc sama z sobą żyć, więc pokrętne, mrówcze działania mego mózgu biegły jakoś tym torem. Jeden: to Ed ode mnie odszedł i to nie po raz pierwszy. Tak, wiem, że tak naprawdę nie o to mu chodzi, ale skoro tak się zachowuje, ryzykuje, że potraktuję jego działania poważnie. I tak właśnie zrobiłam. Dwa: nie prosiłam, żeby znowu wpaść na Alexa. Trzy: kiedy zobaczyłam Eda po raz pierwszy, pomyślałam, że nie jest w moim typie. Przepraszam, że do tego wracam. To było takie jednosekundowe wrażenie na początku wielu wspólnych lat. Ale było i teraz wydaje mi się to znaczące.

Bo teraz jestem na drugim końcu i jasno widzę to, o czym zawsze wiedziałam i o czym zapomniałam - że nigdy nie czułam do Eda namiętności. Nigdy nie uważałam, że jest moim spełnionym marzeniem, nigdy nie wydawało mi się, że tańczę po tęczy, jak mówią w bajkach. I myślałam, że tak jest dobrze. Myślałam, że dorosłe kobiety przestają liczyć na księżęta na białym koniu - Śmiałam się z przyjaciółek, które ze swymi wspaniałymi, trudnymi chłopakami wirowały w diabelskim młynie szczęścia i rozpacz. Ale teraz znów poczułam smak magii i wiedziałam już z całą pewnością, że nie powinnam była zapominać o namiętności. Namiętność rozpała związek, niezależnie od tego, co się z nim dzieje później. I ciągle wracałam do tej pierwszej mojej myśli na temat Eda - że nie jest w moim typie.

Więc teraz po prostu dam się ponieść, jak mrówki.

Jak na razie, wszystko jest dobrze. Podróż z Alexem była jak Wielka Ucieczka. Czy tylko ja uważam, że lotniska to seksowne miejsca? Prawdopodobnie. Kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, chciałam nawet zostać stewardessą. Zaproszono mnie na rozmowę, ale jeszcze nie zdążyłam wyjść z domu, a już poleciało mi oczko w rajstopach, więc Della przekonała mnie o tym, co i tak podejrzewałam: moje wychowanie po prostu nie wystarczy. Usiadłyśmy razem, piłyśmy kawę i zapychały się tostami, i fantazjowałyśmy na temat wszystkich wspaniałych prac, jakie podejmiemy, kiedy będzie nam się chciało iść na rozmowy wstępne.

Myślę, że chodzi o to wrażenie nieskończonych możliwości, jakie się ma na lotniskach - zapowiedzi takie jak: „Pasażerowie odlatujący lotem 212 do Bombaju proszeni są do...” sprawiają, że świat staje przede mną otworem.

Alex i ja sunęliśmy po błyszczących podłogach do recepcji linii lotniczych, mocno trzymając się siebie w tłumie. Wszyscy ci dążący gdzieś, bardzo zwykli ludzie zajmujący się swymi bardzo zwykłymi sprawami, cała ta męcząca biurokracja wydawały się jedynie podkreślać nasz piękny sekret - że jesteśmy wybrańcami losu. Oczywiście, Alex i ja już raz przerabialiśmy lotnisko - patrz śniadanie na Heathrow. Trafiliśmy z domu do domu.

Wszystko ułożyło się doskonale, co wydawało nam się zupełnie naturalne. Za dwie godziny mieliśmy lot do Cancun. Gdy przyszło do płacenia, chciałam dać połowę, ale Alex nie chciał o tym słyszeć, nawet go to nie rozbawiło. Dostrzegłam w jego portfelu plik platynowych kart kredytowych. Trochę mnie to zaszokowało. Poczułam przyływ podziwu, a potem pewną taką nieśmiałość. No, niby wiedziałam, że Alex zrobił wielką kasę, ale nigdy się właściwie nie, zastanawiałam, co to znaczy. Nigdy przedtem nie chodziłam z bogatym chłopakiem.

Mieliśmy czas, żeby kupić szczoteczki i pastę do zębów - nie mogłam też pozbyć się myśli w czym będę chodzić, gdy znajdziemy się w Meksyku. Pomyślałam o platynowych kartach w portfelu Alexa. Przerazona, dałam klapsa swemu mózgowi. O Boże, pomyślałam, już się zaczyna.

Bałam się jednak, że w Cancun nie dostanę nic poza fluorescencyjnymi zielonymi bikini - mimo że wiedziałam z absolutną pewnością, że podobałabym się Alexowi we fluorescencyjnym zielonym bikini. Że kochałby mnie nawet wtedy, gdybym przez resztę życia nosiła tę samą parę dżinsów (bez prania).

- Znajdźmy jakieś miejsce - powiedział Alex. Nie byłam pewna, o co mu chodzi, ale wziął mnie za rękę i przeprowadził przez salę odlotów do bramki i kąta, który był odrobinę zasłonięty, i tam okazało się, że „znajdźmy jakieś miejsce” oznacza „znajdźmy jakieś miejsce, gdzie się będziemy całować”.

Więc, opierając się o szklaną ścianę, to właśnie robiliśmy. Najbardziej pamiętam ciepło, jakie od niego było, i zimne szkło okna za moimi plecami, i hałas odrzutowców sunących po pasach startowych jak fale po piasku.

Świtało, gdy dotarliśmy na lotnisko w Cancun, gdzie kobiety z dziećmi przywieszonymi do ciał jak butelki z wodą próbowały sprzedać nam pokoje hotelowe po pięćdziesiąt dolarów. Miałam wrażenie, że Alex wie, co robi, więc nie wtrącałam się. Spytał mnie o nazwę hotelu, o którym mówiłam, ale

nic więcej. Zauważyłam, że nie lubi ujawniać swoich zamiarów. Złapał taksówkę i ruszyliśmy prosto z hiltonowskiego piekielnego wieżowca wzdłuż wybrzeża do tego hotelu dla nowożeńców.

Gdy miałam już dość patrzenia na mrówki, poczułam się jak mała dziewczynka, która odbyła popołudniową drzemkę i jest gotowa wrócić na przyjęcie. Obracałam w mózgu myśl, żeby włożyć buty i stanąć pośrodku mrówek - nie wiem, dlaczego tak myślałam, przecież nie miałam zamiaru tego robić. Jasne, że nie miałam zamiaru tego robić. Tak długo na nie patrzyłam, że zdeptanie ich teraz byłoby zaplanowanym zatopieniem mrówczego „Titanica”. Co mi przypominało, jak kiedyś Mac w ogrodzie w Chelsea deptał mrówki dla przyjemności. Powiedział, że wyobraża sobie, że to szefostwo sieci telewizyjnej. Sturlałam się z łóżka, owijając się prześcieradłem, i wyszłam na werandę.

Powiedziałam, że wyszłam na werandę - ale powinnam powiedzieć, że wykradłam się na werandę. Czułam tę okropną wstydlivość, towarzyszącą hiperświadomości każdej komórki swego ciała. Chyba się bałam. Gdy odwróciłam głowę, odgrywałam odwracanie głowy. Dzikie.

Rzuciłam więc teatralne, nonszalanckie spojrzenie ku werandzie Alexa, na wypadek gdyby tam był. Nie było go. Dałam ostrożny krok ku chwiejnej drewnianej balustradce, oddzielającej jego werandę od mojej. Wolniutko, wolniutko wysunęłam się ku otwartym drzwiom jego werandy, aż mogłam dostrzec obcas czarnego buta na białym łóżku.

Spadł na mnie bardzo głośny, zanoszący się śmiech. Powiedzenie, że wyskoczyłam ze skóry, byłoby niedopowiedzeniem - ja wręcz rozprysłam się po dachu z kokosowych mat. Zawsze miałam dobrze rozwinięty odruch zaskoczenia. Oskarżam o to Delię i wszystkie te lata nieświadomego wchodzenia w środku nocy do kibla, gdzie na pralce kiwał się dwupleczy potwór (nie pytajcie, co to jest). A raz siedział w kuchni na piecyku.

Tak czy inaczej rechoczący śmiech dobywał się z tego, małego właściciela hotelu z sumiastymi wąsami, który w chwili naszego przybycia przedstawił się jako Jesus i teraz podrygiwał na trawniku jak owłosiony krasnoludek. W ręce trzymał szlauch.

Jesus bowiem uważał fakt, że Alex i ja zajmujemy osobne pokoje, za najśmieszniejszą rzecz, jaką słyszał w życiu. Powiedział, że poinformował o tym całą hacjendę, i najwyraźniej wszyscy się z nim zgadzali, że to najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszeli. Twierdził także, że fakt ten był już

znany w miasteczku, skąd niewątpliwie głośne wybuchy wesołości będą się rozlegać na wiele kilometrów wokół.

W tym momencie na werandzie pojawił się dość pomięty Alex i Jesus ponownie powiedział mu, jakie to wszystko jest śmieszne, machając przy tym rękoma. Kiedy wyczerpał już zasób swojego angielskiego, dodał długie postscriptum po hiszpańsku, które, o ile się mogłam zorientować, dotyczyło młodości, Adama, Ewy i płodności. Gdy przerwał, żeby zaczerpnąć oddechu, Alex powiedział z wielką stanowczością:

- Ja się zalecam.

Nie sądzę, by Jezus zrozumiał to słowo, ale ton Alexa najwyraźniej zadziałał, bo spojrział na niego z większym szacunkiem.

- Zalecam? - powiedział.

- Tak - odparł Alex, spoglądając na zegarek - i jako pierwszy krok mam zamiar zaprosić młodą damę na herbatę. To właśnie robią w Wielkiej Brytanii - kraju, z którego pochodzi. Piją herbatę.

Jesus miał entuzjastyczny stosunek do tego pomysłu, więc Alex przyklęknął na jedno kolano i zaprosił mnie na herbatę. Przyjęłam. Jesus, który traktował to teraz bardzo poważnie, obiecał, że personel kuchenny zaraz nam ją przyniesie.

Zeszłam po schodkach mojej werandy, obeszłam płótek do schodków Alexa, a on podał mi dłoń i z wdziękiem wprowadził na swoją werandę. Wciąż miałam na sobie prześcieradło.

- Dobrze - powiedział Alex. - Zobaczmy. Jak to się robi? Etap pierwszy - przedstawienie się, podstawowe informacje, jakie filmy lubisz, i takie tam. Etap drugi - tenis.

- Tenis? - spytałam.

- Tak, tak mówili na wykładzie. Nie grasz?

- Nie.

- Okay. I już katastrofa. Będziesz się musiała nauczyć grać w tenisa. To nas zahamuje na parę miesięcy.

- Ojej - powiedziałam.

- Musi być coś innego. Jakie masz hobby?

- Hobby? - powtórzyłam. - W Anglii nie mamy hobby. Hobby istnieje jedynie na formularzach podań - no wiesz, jak składasz podanie na uczelnię, a oni chcą wiedzieć, jakie masz hobby, to wpisujesz studia nad filmem, co znaczy, że w piątek wieczór wypożyczasz sobie wideo z Tomem Cruisem.

- Zaczniemy od etapu pierwszego - powiedział, poddając się - a o resztę będziemy martwić się później.

Jesus sam przyniósł tacę. Wielki biały dzbanek herbaty, kilka biszkoptów i misę owoców. Był bardzo podniecony. Podziękowaliśmy mu wylewnie i z trudem żeśmy się go pozbyli.

Gdy sobie poszedł, Alex nalał mi filiżankę herbaty.

- Dobra, zaczynasz. Zadaj mi pytanie.

- Jakie?

- Wszystko jedno. Wybierz temat.

- Na przykład? - spytałam niezbyt pomocnie.

- Hmm... zainteresowania... kraje, które odwiedziłaś... hmm... zwierzęta... polityka... - cokolwiek.

- Czy to nie powinno po prostu płynąć?

- Musimy uwzględnić czynnik czasu. Ja zacznę. Do jakiego kraju najchętniej jeździsz na wakacje?

- Do Włoch.

- Okay. Twoja kolej.

Nadpiłam herbaty i podciągnęłam prześcieradło.

- Hm... Miałaś kiedyś jakieś zwierzątko?

- Tak. Węża, gdy miałem dwanaście lat.

- Och, okay - powiedziałam, kiwając głową.

- No widzisz, to dobre - odpowiedział. - Okay, moja kolej. Czy ty... no dobrze... kto jest twoim ulubionym pisarzem?

- F. Scott Fitzgerald - wydusiłam po półgodzinie stękania i jąkania się, i ponaglania, i moich protestów, co to znaczy „ulubiony”, i czy mam według niego uszeregować Jane Austen i Szekspira według zasług? Ale potem wpadliśmy w rytm i strzelaliśmy w siebie pytaniami, aż wypiliśmy całą herbatę, i pod koniec wiedziałam już o nim mnóstwo użytecznych rzeczy, na przykład, że ma alergię na truskawki, jeździ niemieckim samochodem i nigdy nie był w Australii.

- Etap drugi - powiedział Alex i spojrzał na zegarek. - chodź - Złapał mnie za rękę i wyprowadził do hotelowego ogrodu. Z jakiejś niepojętej przyczyny wśród drzew palmowych znajdowało się tam boisko do krykieta.

- Zamiast tenisa - wyjaśnił. - Wiesz, jak się w to gra?

- Przypadkiem wiem - zapewniłam.

Obwiązałam się więc mocniej prześcieradłem i wyjaśniłam Alexowi zasady gry. Spróbował i machnął rakieta, jakby to był kij golfowy, posyłając piłkę wprost do bramki.

- To takie łatwe - stwierdził, pogardliwie machając rakieta. - I co teraz.

- Teraz zobaczymy, czy umiesz przegrywać - powiedziałam i oczywiście rozniosłam go w drobny pył. Mój szalony stryj był niezwykłym krykiecistą - uczyłam się od mistrza.

Wróciliśmy na werandę i Alex oznajmił, że niewiele pamięta z wykładu o zalotach, ale wie, że była mowa o trzymaniu się za ręce.

- Ja wiem, co dalej. Mówisz, że zadzwonisz, a potem nie odzywasz się przez dziesięć dni, a ja siedzę przy telefonie i wariuję.

- Dobra - rzucił mi banana z misy owoców, która przybyła razem z herbata.

Siadłam po mojej stronie werandy i położyłam przed sobą banana.

- Co w tym czasie robi mężczyzna? Zawsze byłam ciekawa.

- Zajmuje się - powiedział, chodząc tam i z powrotem po swojej stronie werandy - całym mnóstwem bardzo ważnych, zupełnie nieistotnych rzeczy i naprawdę jest mu miło, że tkwisz gdzieś w zakamarkach jego mózgu. Jest jak pilot, który wyrusza w straceńczą misję, a przy życiu utrzymują go myśli o pięknej kobiecie, która czeka na niego w domu. W pewnym sensie im bardziej się od ciebie oddala, tym się czuje tobie bliższy.

Odszedł w najdalszy kąt swojej werandy i przysiadł na balustradzie. Zapadła długa cisza. Wpatrywałam się w banana na stole przede mną, z nadzieją że zadzwoni.

- I? - zapytałam po chwili.

Po prostu mnie zignorował - nie ruszył się. Minęło pięć minut. Ciągnęły się jak wieczność. W końcu sięgnął po banana z misy owoców, podniósł do ucha i powiedział: Dzyń, dzyń!

Złapałam swojego banana.

- Halo? - powiedziałam bez tchu.

- Cześć - odpowiedział bardzo spokojnie. - Pewnie mnie nie pamiętasz...

- Oczywiście, że pamiętam. - Zbyt pośpiesznie. Cholera.

- Jak się masz?

- Świetnie. Jak najlepiej. - Przerwa. - A ty?

- Dobrze. Wszystko dobrze.

- To dobrze.

- Więc - jak leci?

- Hm... cieszę się, że cały czas mamy taką piękną pogodę.
 - Tak?
 - Tak. Przerwa.
 - No, dzwonię, żeby powiedzieć, że miło mi było z tobą grać w krykieta.
 - Tak? To dobrze. Było super.
 - Taa.... więc dzwonię, żeby ci powiedzieć, że było miło.
 - Tak.
 - Spytać, jak ci leci...
 - To miło.
 - Tak, wiesz, powinniśmy jeszcze kiedyś zagrać.
 - Tak, powinniśmy.
 - No to okay, do zobaczenia, dobrze?
 - Do zobaczenia.
 - Cześć.
 - Cześć.
 - Ćwir - powiedziałam, rzucając banana na stół.
 - Co takiego? - spytał Alex.
 - To nie tak, do cholery!
 - Zaprosiłem cię na krykieta, ale mnie spławiłaś.
 - Wcale mnie nie zaprosiłeś na krykieta. Zadzwoiłeś, żeby się dowiedzieć „jak mi leci”. Zadzwoiłeś, żeby powiedzieć „cześć”. - Zgryźliwie.
 - Ale zadzwoniłem! To ci powinno wystarczyć! Nie musisz od razu kastrować gościa bananem.
 - Kastrowałam! - wykrzyknęłam, ze zdumieniem machając bananem.
 - Żadnego ciepła! - powiedział. - Żadnych ustępstw!
 - Przykro mi. Ale powiedzenie „jak leci” po prostu nie wystarcza.
 - Komu nie wystarcza?
 - Bestii Dosyciowej.
 - Okay - zakończył, kiedy już przemyślał moją odpowiedź i najwyraźniej postanowił nie wikłać się w dalszą wymianę zdań. - Spróbujmy jeszcze raz. - Chwycił swego banana. - Dzyń, dzyń.
- Odebrałam telefon.
- Cześć. Tu Alex.
 - Cześć, Alex. Jak leci?
 - Dobrze. A co u ciebie?
 - U mnie to, że mój mózg jest cały w supełki. Myślę, że chyba cię nie lubię, bo nie zadzwoniłeś. Z drugiej strony myślę, że pewnie cię Kocham, bo

nie zadzwoniłeś. Potem czasami myślę, że cię wymyśliłam i tak naprawdę nie istniejesz. Ale najczęściej myślę, że to ja nie istnieję. A w końcu myślę: pieprzę to. Długie milczenie.

- Może zjemy razem obiad?

- Wspaniale. Kiedy?

- Dziś wieczorem?

- Och, bardzo mi przykro. Zasady mówią, że wystawiłabym na szwank nasze szanse na udany związek, gdybym przyjęła zaproszenie na obiad na mniej niż cztery dni naprzód.

- Jakie zasady?

- Zasady Łapania Faceta.

- Pieprzyć zasady.

- Dobrze.

Gdy odwiesiliśmy nasze banany, poderwałam się i skierowałam do pokoju.

- Gdzie idziesz? - spytał.

- Teraz idę do swego pokoju i przymierzam z milion strojów i w rozpaczy rzucam je wszystkie na podłogę.

Na szczęście nie miałam nawet jednego stroju, nie mówiąc już o milionie, więc poszłam do małego sklepiku w holu hotelu. Były w nim te ubrania, które są we wszystkich sklepikach dla turystów na całym świecie. Uniwersalny hippisowski strój wakacyjny - turkusowo-zielone sarongi drukowane w koniki morskie i tym podobne. Te ciuchy wyglądają, jakby wytwarzała je na miejscu jakaś zacna tubylka, ale ponieważ występują od Hiszpanii przez Afrykę po Amerykę Południową, to pewnie produkuje je jakiś światowy koncern.

Kupiłam sarong i mały top we wspaniałym lazurowym kolorze. Znalazłam też parę skórzanych sandałów z naszytymi słodkimi muszelkami. Dorzuciłam do tego kilka artykułów toaletowych i bikini a la skóra geparda (miałam do wyboru takie lub fluorescencyjne zielone). Potem wróciłam do pokoju, wzięłam prysznic, umyłam głowę i uczesałam się - włożyłam kwiaty we włosy. A potem ubrałam się w nowe rzeczy i stwierdziłam, że bardzo podoba mi się podróż bez bagażu, kiedy wszystko „musi wystarczyć”. Chyba na tym polega ograniczenie konsumpcji. Życie staje się znacznie mniej stresujące.

Ścieżka prowadząca do restauracji była oznaczona małymi płomykami na poziomie ziemi. To był naprawdę uroczy hotel. Restauracja znajdowała się

na drewnianym tarasie, wychodzącym na morze" i zadaszonym matami kokosowymi. Na chwiejnych drewnianych stołach stały różowe kwiaty bugenwilli. Ogromne krewetki smażyły się na otwartym grillu, a marimby plimkały delikatnie z baru na plaży.

Alex siedział przy barze w nowym białym podkoszulku, patrząc na zatokę. To śmieszne - w ułamku sekundy, zanim z pełną świadomością zanotowałam jego obecność, serce aż mi do niego wyskoczyło. Zupełnie jakby sama jego sylwetka, zarys postaci, odpowiadał istniejącemu gdzieś we mnie wzorcowi, który rozpoznawał go jako moją własność.

Zamówił mi pina colada, której dla zasady próbowałam odmówić, a która okazała się absolutnie pyszna. Potem poszliśmy do restauracji i zjedli homara z grilla. Kiedy nie wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, przyglądaliśmy się morzu, przechodzącemu w zanikającym świetle przez całe spektrum kolorów, aż po głęboki, ciemny granat. Mimo że zapadała noc, powietrze było nadal ciepłe i pachnące.

Chyba niewiele rozmawialiśmy, a może po prostu nie rozmawialiśmy o niczym ważnym. Nie czuliśmy takiej potrzeby, po przeżyciach całego dnia chcieliśmy po prostu być. Być z sobą. To śmieszne, ale wystarczyło mi po prostu patrzeć na niego. Rozmowa mogłaby w tym przeszkadzać.

Po kolacji powiedział „chodź” i sprowadził mnie z tarasu na dół, na plażę. Zauważyłam, że nie lubi mówić, gdzie idziemy, co będziemy robić. Gdyby Ed próbował tak postępować, wydusiłabym z niego jego plany, a potem miałabym lepszy pomysł.

Szliśmy po plaży, małe kraby uciekały nam spod nóg, a Alex trzymał mnie za rękę.

- Co następuje po trzymaniu się za rękę w planie zalotów? - spytałam.
- Całowanie. - Więc spędziliśmy trochę czasu, oddając się temu zajęciu.
- Wiem, co opuściliśmy - powiedziałam podczas jednej z przerw. - Przepytywanie się z historii ostatnich związków.
- Hmm - chrząknął. Spojrzeliśmy na siebie.
- Może lepiej nie - powiedziałam.
- Może powinniśmy po prostu leżeć na piasku i patrzeć na gwiazdy.
- Może.

Więc przez jakiś czas to właśnie robiliśmy. Po chwili Alex wspomniał, że to nasza trzecia randka.

- Czy to ma znaczenie? - spytałam.

- No, trzecia randka. Wiesz. Na trzeciej randce... no wiesz... - Przetoczył się tak, że patrzył na mnie z góry. Byłam ciekawa, jakich słów użyje. Wybrał „spędzić razem noc” z towarzyszeniem odpowiedniego spojrzenia w oczy.

- Ach, och - westchnęłam. - Ale to nie jest tak naprawdę nasza trzecia randka.

- Owszem, jest. Pierwsza randka to herbata. Druga randka to krykiet. Trzecia randka to kolacja.

Roześmiałam się.

- Nie chcesz? - spytał.

- Wiesz co? Boję się zawsze tego, że jeśli z kimś śpię zbyt wcześnie, to w połowie nagle sobie uświadamiam, że jest coś, czego nie mogę powiedzieć, albo coś dziwnego, a to dlatego, że ta druga osoba jest w gruncie rzeczy obca. I wtedy nagle czuję rozziw między nami i to takie samotne uczucie... - zamilkłam. - Najbardziej samotne uczucie na świecie.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której rozmyślał nad tym, co powiedziałam. To była jedna z rzeczy, które mi się w nim podobały. Fakt, że tak poważnie traktował życie, sprawiał, że wydawało się one bardziej znaczące. Miałam wrażenie, że w jego głowie kłębią się myśli, którymi się ze mną nie dzieli.

- Myślę - powiedział po paru stuleciach - że trzeba mieć odwagę własnych przekonań.

Nie stwierdził, że „jesteśmy pokrewnymi duszami i wszystko będzie dobrze”. Ale tak to rozumiałam.

Gdy wróciliśmy do pokojów, przez chwilę staliśmy u stóp schodów na werandę. Zwróciłam się ku niemu i powiedziałam niewyraźnie, w bok jego szyi:

- No, z jednej strony to nieco ekstrawaganckie zatrzymywać dwa pokoje, nie?

- A z drugiej strony - wyszeptał we włosy za moim uchem - chcę się z tobą kochać.

Czy mogę ci opowiedzieć o tych wszystkich chwilach, gdy wyobrażałam sobie, jak leżysz koło mnie, leżysz u mego boku? Nie mówię o seksie. Mówię o tym, jak leżysz koło mnie - to się wydaje nagrodą. I o tych chwilach, kiedy wyobrażałam sobie, że jest noc, a świat wokół nas przestał istnieć, bo cały świat jest w twoich oczach.

A kiedy łóżko unosi się w powietrze i wyfruwa przez okno, zabierając nas w przestrzeń jak czarodziejski dywan, z pościelą powiewającą po brzegach,

nawet tego nie zauważamy. Patrzymy w gwiazdy, a noc jest zdecydowanie za krótka na wszystko, co chcemy sobie powiedzieć. Patrzymy w dół, na nic nie znaczącą ziemię, i wyobrażamy sobie miliony ludzi śpiących w łóżkach, i zastanawiamy się, jak oni mogą spać, skoro jest tyle rzeczy, dla których warto być przytomnym. Nie chcę już nigdy więcej spać. Nie chcę już nigdy przerywać tego zauroczenia.

Ale nawet wtedy dociera do mnie, że nie wolno mi chcieć cię za bardzo, bo wydaje mi się, że jeśli będę cię chciała za bardzo, to odejdziesz. I nawet w chwili, gdy wynajduję to nieuniknione prawo natury, wyczuwam, że jest taki kawałek ciebie, którego nie widzę i którego nigdy nie poznam schowany za blaskiem, jak ciemna strona księżyca. Czy to wystarczy, ta niewystarczalność tego wszystkiego? Więc trzymam się ciebie nieco zbyt mocno, by nie upaść. Na dół jest tak bardzo daleko.

A gdy w końcu kochaliśmy się („Czemu używasz tego okropnego zwrotu?” - słyszę Delię), no więc, czy to był seks czy kochanie się, nie potrafię nawet powiedzieć, bo chyba nie byłam całkiem przytomna, była w tym jakaś najwyższość, naprawdę wszechogarniająca i nieco przerażająca.

Samo myślenie o tym sprawia, że mój mózg spada z krawędzi. To jak myślenie o przestrzeni: Ziemia jest w układzie słonecznym, a układ słoneczny jest we wszechświecie, ale w czym jest wszechświat? Powiedz. Od samej myśli kręci mi się w głowie, bo nie ma krawędzi. Nie ma granic. Potrzebuję granic. Inaczej chcę tak wiele, że nic nigdy nie będzie dość.

Perłowy, ciepły świt wsączał się przez okiennice, a Alex i ja leżeliśmy jak dwa kawałki układanki, gdy powiedziałam:

- W gruncie rzeczy nie znam cię tak naprawdę. Nie potrafiłabym odróżnić cię wśród innych facetów.

- Ależ znasz - odpowiedział. I po chwili, podejrzliwie: - Ilu innych facetów.

Pamiętam jeszcze, że chichotałam, zapadając w sen.

- Jak tam seks?

- Del - powiedziałam - jestem w pełnej komarów budce telefonicznej w środku największego życiowego kryzysu, z wielkim stosem kart telefonicznych omawiających rozliczne przypadki rozlicznych południowoamerykańskich świętych. Myślisz, że dałabyś radę wyciągnąć swój mózg z rynsztoka choćby na chwilę?

- To ważne pytanie - powiedziała. - To istotne pytanie - powiedziała. - Odpowiedz.

- Gdzie jesteś? - spytałam.
- W aksamitnych dresach.
- Pytam, gdzie jesteś? - powtórzyłam.
- Jestem w dziale aksamitnych dresów. Oddzwonię do ciebie, jeśli chcesz.
- Nie. Nie dam ci mojego numeru. Chciałam cię tylko prosić, żebyś powiedziała Edowi, że nic mi nie jest.

- Jestem w aksamitnych dresach, Marble Arch, Londyn. Ed jest w Nowym Jorku. Sama mu powiedz.

- Ed jest ciągle w Nowym Jorku?

- Tak. - Tylko tyle, po prostu „tak”. Ale w tym „tak” było coś, coś, co mówiło o wielkich, dotychczas niezbadanych aspektach Eda. Coś, co sugerowało, że świat Eda nadal się kręci, ja go nie zatrzymałam, i chociaż najbardziej bałam się tego, że będę musiała nosić jego świat na swoich barkach jak Atlas, to poczułam nagle gwałtowne i całkowicie nieuzasadnione ukłucie zazdrości.

Gdy usiłowałam to wszystko przetrwać, Della znowu wtrąciła: „Jak tam seks?”. Myślałam, że wyrosłyśmy już z etapu opowiadania sobie szczegółów naszego życia seksualnego - przede wszystkim przy życiu seksualnym Delii po prostu nie ma na to czasu. A poza tym, w pewnym wieku - wieku, kiedy mężczyźni już wiedzą, jak to robić - stwierdzamy, że seks to seks to seks. I tyle. Gdy jesteś młoda i miałaś udany seks, wydaje ci się, że osobiście wynalazłaś bombę atomową, póki nie dowiadujesz się, że Rosja i wszyscy inni wynaleźli ją razem z tobą,

- Seks to seks - powiedziałam.

- Znaczy, że dobry?

- Cholernie cudowny.

- Lepiej, żeby taki był. Nie chciałabym być tobą, gdy trzeba będzie za to zapłacić.

- Zapłacić? - spytałam nerwowo.

- Nigdy nie słyszałaś o karmie? - powiedziała. - Złamałaś serce tego biednego chłopca.

- Eda? - spytałam. - Ed mnie zostawił. Ed rzucił mi obrączkę.

- Nie traktował tego poważnie. Jezu! Przecież po to wychodzi się za mąż, nie? Żeby można było robić takie rzeczy i nie traktować ich poważnie.

- Skąd wiesz, że nie traktował tego poważnie?

- Zgaduję. Przy tobie zawsze zachowywał się jak pies. I nie mówię tego w negatywnym sensie.

- Jak możesz mówić pies nie w negatywnym sensie?

- No, był oddany jak pies, i tyle. Powinnaś była uważać się za wybrankę losu.

- Tak.

- No więc, co jest takiego w Alexie? Poza tą bzdurą o Miłości Twojego Życia.

- Od kiedy to jest bzdura?

- No wiesz, nikt nie oczekiwał, że przekujesz słowa na czyny. Paula Yates przez siedem lat miała na lodówce zdjęcie Michaela Hutchence'a i widzisz, co się z nią stało.

Pozwoliłam, żeby ta niesmaczna uwaga padła w ciszę. Po chwili Della powtórzyła:

- No więc co jest takiego w Alexie? Co to jest?

- Ludzie czasem przez całe życie usiłowali ubrać to w słowa. A ty się spodziewasz, że mnie się uda to wytłumaczyć?

- Spróbuj.

- No, czasami chcę go tak bardzo, że jestem chora. Dosłownie, mam nudności.

- Urocze.

- Ummmm - powiedziałam całkiem poważnie, przeżywając równocześnie euforyczne wspomnienia, od których krew zaczęła mi szybciej krążyć w żyłach. - Po prostu tak strasznie go chcę. Czuję, jakby był częścią mnie... To te wszystkie rzeczy... te wszystkie głupie rzeczy, które mówią w piosenkach... „Nie mogę uwierzyć, że naprawdę istniejesz”...

- O Boże - powiedziała. - Muszę ci tu przerwać. Naprawdę nie wolno ci cytować piosenek.

- Dobra. - I dodałam po chwili zastanowienia: - Można to ująć następująco. Przy Alexie nie znam wszystkich odpowiedzi.

- Że co proszę? - spytała Della.

- Przy Edzie nigdy, nigdy nie było tak, żebym nie znała odpowiedzi. Zawsze miałam coś do powiedzenia. To mnie nudziło. Sama siebie nudziłam... tym, że wszystko wiem. Nienawidziłam tego, że wszystko wiem.

Moment ciszy, a potem Della się roześmiała.

- To właśnie w tobie lubię. Czasem mówisz coś zupełnie innego, niżbym się po tobie spodziewała. Możesz dalej być moją przyjaciółką.

- Dziękuję. Więc wciąż jeszcze mnie lubisz?

- Nie lubię cię. Kocham cię.

- Del! - krzyknęłam - co cię napadło?
- Nic. Czy uważasz, że przez te wszystkie lata pożyczałam ci rajstopy i kosmetyki, bo cię nienawidziłam?
- Co się dzieje z Makiem? - spytałam.
- Muszę iść. Kierowniczką zbliża się przez przytulne miśkowe piżamy. Sprawdź swój e-mail. - Klik.

Rozdział osiemnasty

To: Honey@globalnet.oo.uk

From: mmm@wigwam.com

Subject: och

Date: 3 maja - 11.31 EST

Kochana Honey,

Ależ miałam okropne dni. Będziesz mi musiała kupić" ogromne lody, półkilogramowe opakowanie waniliowych mieszanych bez bitej śmietany, jeśli chcesz, żebym w ogóle brała pod uwagę dalsze bycie twoją siostrą, kiedy wrócisz. Poważnie mówiąc, to chyba będziesz musiała kupić całą Coffee Bean & Tea Leaf. I będziesz także musiała pójść na psychoterapię. Ponieważ inaczej będziesz po prostu potykać się o wewnętrzną pustkę, jeśli sobie z tym nie poradzisz - jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Po twoim odlocie wróciłam do twojego pokoju hotelowego. Najpierw co prawda była draka z Cherelle, która zrozumiała wszystko na opak i myślała, że Alex uciekał, bo go ścigał szalony rewolwerowiec, więc w końcu Paul musiał powiedzieć: „Kochana, to Alex był szalonym rewolwerowcem”.

Okazało się, że Cherelle usłyszała o incydencie w toalecie, zobaczyła uciekającego Alexa i uznała, że ratuje swoje życie. Spytałam ją, do czego w takim razie ty mu byłaś potrzebna, a ona powiedziała, że wymyśliła całą historię o zakładnikach i żywych tarczach. To było całkiem niesamowite - ułożyła sobie w głowie tę całą wariacką historię. Zdumiewające, Jak mózg wypełnia sobie wolne miejsca.

W każdym razie wzięłam ją na bok i wyjaśniłam jej, jak jest naprawdę. Przetwarzała to ze sto lat - że ty i Alex spotkaliście się Już kiedyś, a ja nie miałam z tym nic wspólnego. Odniosłam wrażenie, że nigdy nie znalazła się w sytuacji, w której coś było poza jej kontrolą. Była niemalże w szoku.

Kiedy w końcu uporządkowała sobie te szare komórki, co trzeba, powiedziała:

- Czy to znaczy, że zostałam wyroLOWANA? - Zupełnie Jakby teraz nieuniknienie musieli ją opisać w „National Enquirer”. Ale nadal nie kojarzyła, jeśli wiesz, o czym mówię. Powiedziałam jej, że takie rzeczy się zdarzają, a ona powiedziała, że jej nie. I tyle. Potem spytała:

- Chcesz powiedzieć, że wyjechał z tą dziewczyną o przy-lizanych włosach?

Ciągle cię tak nazywała. Nie martw się, powiedziałam jej, że w Londynie przylizane włosy są modne. Chyba nigdy w życiu nie widziałam nikogo tak kompletnie osłupiałego. W związku z tobą i Alexem, oczywiście, nie w związku z londyńską modą. Przekręciłaś świat tej dziewczyny do góry nogami. Potem słyszałam, jak mruczy pod nosem, że Kate Moss ma przylizane włosy. Chyba jej to pomogło.

W każdym razie - żeby się już nie rozwodzić nad szczegółami - powiedziała, że wraca do hotelu 1 dzwoni do tatusia. Też tam poszłam, do twojego pokoju. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu - niewykorzystanie pięciogwiazdkowych luksusów byłoby marnotrawstwem.

No więc leżę, pogrążona w głębokim i pysznym śnie o fantastycznym gościu, który wślizguje się do mojego łóżka, przytula się do mnie, pogryza mnie w ucho i tak dalej. Aż w końcu dociera do mnie - w głębinach snu - że pogryzanie jest prawdziwe. A język jest mokry. A potem jakaś ręka obejmuje moją pierś, a ja budzę się z krzykiem i znajduję się w ramionach Eda. Och. Mój. Boże.

Nie martw się, szybko żeśmy się z siebie wyplątali. Myślał, że ja to ty, oczywiście. Spytałam, czy nie zauważył, że mam jasne włosy? Ale wiesz, jacy są mężczyźni. Zapominalscy. No, pod niektórymi względami. Powiedział, że nie zauważył niczego, póki... - nie skończył zdania, ale chyba chciał powiedzieć, że nawet on nie mógł nie zauważyć, że moje cyce są dużo większe niż twoje.

Na szczęście miałam na sobie piżamę-kombinezon, więc sprawa nie zaszła tak daleko, jak mogła.

Postanowiliśmy zamówić gorącą czekoladę na zwalczenie szoku i zostaliśmy w łóżku, ale z poduszką pośrodku między nami, no i oczywiście dość szybko dotarliśmy do tematu, gdzie jesteś. Zebrałam całą odwagę i mówiłam takie rzeczy, że na pewno byś do niego zadzwoniła, gdybyś wiedziała, gdzie jest, i że w gruncie rzeczy naprawdę go kochasz - bo ja w to wierzę, nawet jeśli nie kochasz go w taki sposób, jak on by chciał, ale wciąż go kochasz - i twoja miłość jest czystą miłością, i tak dalej bla, bla, bla.

To jednak nie działało, bo Ed zaczął marszczyć brwi i w końcu był tak przerażony, do czego prowadzi moja przemowa, że poprosił, żebym położyła kres jego męce, więc nabrałam powietrza i wyrzuciłam z siebie: „Tak naprawdę... tak naprawdę... Powiedziałam, że nie będę niczego owijać w bawełnę, a on w końcu zdenerwowany wrzasnął: „O co chodził?”. Więc znów

nabrałam powietrza i powiedziałam wszystko prosto z mostu. Powiedziałam bez ogródek.

- Pojechała służbowo do Los Angeles z Makiem.

Do jasnej cholery. Ależ się zdenerwowałam - chyba dlatego, że on tak tęsknie dotykał twoich nożyczek do paznokci i innych rzeczy i powtarzał, jak bardzo za tobą tęskni. Ale to i tak żadne wytłumaczenie. Naprawdę, miałam wrażenie, że straciłam kontrolę nad tym, co mówię. Świadomość, że Jestem w stanie zrujnować Edowi życie jedną wiadomością o tobie i Alexie, na chwilę mnie przytłoczyła. O mój Boże - taka byłam skołowana.

W każdym razie przybyła gorąca czekolada, a gdy powróciła wizja i dźwięk, Ed powiedział, że miałaś wszelkie prawo, żeby pojechać do Los Angeles, skoro cisnął w ciebie obrączką

I tak dalej. I że pewnie to zrobiłaś, bo nie miałaś nic innego do roboty i potrzebowałaś czegoś do wypełnienia czasu. Potem oczywiście stwierdził, że musi do ciebie zadzwonić, więc musiałam powiedzieć, że nie wiem, gdzie się zatrzymałaś, ale wiem, że nie u Maca, bo ma dom pełen gości, i na szczęście wiedzieliśmy, że nie masz z sobą komórki, bo leżała przed nami na stoliku. A potem Ed wygłosił długi monolog na temat tego, że miał problem z twoim stosunkiem do Maca - nic seksualnego, ale chodzi o to, że wydawałaś się stawiać Maca na pierwszym miejscu. A ja powiedziałam, że skoro jest pewien, że to nic seksualnego, to pewnie jest coś seksualnego. I nastąpiła okropna chwila, kiedy on myślał, że próbuję mu coś powiedzieć o tobie i Macu, ale powiedziałam, że mówię o podświadomości, i może jest tam jakaś nieświadomiona zazdrość, i przekonanie Eda, że jest bezwartościowy, i że skoro stawiasz Maca na pierwszym miejscu to przez niego, Eda.

Ale siostrzyczko, nie mogę zrozumieć sposobu, w jaki to zrobiłaś. Me podoba mi się, że zrobiłaś to Edowi. Kocham Eda i sama bym za niego wyszła, gdyby nie był dla mnie jak brat. Chciałabym wiedzieć, dlaczego nie:

1. usiedliście z Edem i Cherelle i nie przedyskutowaliście wszystkiego - może ustalając sześciomiesięczny „czas wolny” na analizę?

2. poszliście na terapię małżeńską?

3. wzięłaś roku wolnego, żeby pożyć samotnie i żałować tego, co straciłaś?

4. zażądałaś z miejsca rozwodu za porozumieniem stron, bez przymusu i z pełną samoakceptacją?

5. podjęłaś delikatnych i stopniowych zalotów z Alexem, opartych na prawdziwej intymności i wspólnej rzeczywistości?

6. odrzuciłaś orgii na słonecznej karaibskiej plaży z mężczyzną twoich marzeń???

A poważnie, siostró, to kocham cię bez względu.

Ven xxxxxxxxxxxxxx

PS Mam nadzieję, że to dostaniesz, choć poważnie wątpię, byś przerywała programowanie dla sprawdzania e-maili. To był pomysł Paula. Sam chciał do ciebie napisać, ale mu nie pozwoliłam, bo jest po stronie Młodej Miłości.

PS PS Testy kliniczne wykazały, że zakochanie jest rodzajem szaleństwa. Obniża poziom serotoniny i daje objawy podobne do syndromu obsesyjno-maniakalnego. Możesz doświadczać wysokiego poziomu niepokoju i zachowywać się w sposób niezgodny z twoim systemem wartości, w ten sposób generując uczucia winy, strachu i wstydu.

Baw się dobrze!

To Jesus pokazał mi, gdzie w miasteczku jest kafejka internetowa. Były tam białe plastikowe krzesła, a coca-colę sprzedawano w grubych szklanych butelkach. Wypiłam już dwie kolejki. Nie wiem dlaczego, ale tak wydaje się lepsza.

Popedałowałam z powrotem do hacjendy na jednym z hotelowych rowerów. To brzmi fajnie, ale w rzeczywistości takie nie było. Drogi są pełne kurzu i dziur, a rower był tak wielki, że nie sięgałam nogami do ziemi. Był poza tym męski, z poprzeczką - bałam się, że w dowolnym momencie może mnie czekać nieplanowane damskie obrzezanie.

Gdy wróciłam, Alex siedział na werandzie i czytał poważnie wyglądający przewodnik. Miał na sobie tylko koszulę i bokserki. Z trudem powstrzymałam się, żeby się na niego nie gapić. Ludzie opowiadają o damskich nogach, ale męskie są ładniejsze.

- Gdzie byłaś? - spytał.

- Zwiedzałam.

Zmrużył oczy z rozbawioną niewiarą. O Boże, pomyślałam, oczywiście nie mogę go okłamywać. Oczywiście będzie wiedział.

- Na zakupach - wyjaśniłam, próbując innego podejścia, i pokazałam mu torbę. Znalazłam w miasteczku butik z lnianymi ubraniami, gdzie kupiłam słodkie bluzeczki z krótkimi rękawami, czarną portfelową spódniczkę i szerokie spodnie. Mieli też farbowane topy.

- Cała garderoba. Uśmiechnął się.

- Pokaż.

- To cię interesuje? - spytałam zdumiona.

- Niespecjalnie, chyba że w nich jesteś.

Usiadłam w cieniu naprzeciw niego i uśmiechnęliśmy się do siebie głupawo. Często się nam to zdarzało.

- I co teraz?

- Teraz, kiedy już ze sobą spaliśmy? - powiedziałam, wyjadając winogrona z misy.

- Tak.

- Teraz się nam to znudzi. - Co go serdecznie rozbawiło. Przemyślałam to.

- No - dodałam po chwili - to chyba możemy odbyć pierwszą wielką kłótnię.

Roześmiał się, wyzywając mnie. Wrzasnęłam więc: „Ty bydlaku!” i cisnęłam w niego brzoskwinią z taką siłą, że rozprysła się na ścianie za jego głową.

Skoczył na równe nogi, naprawdę wkurzony.

- Co ja takiego zrobiłem? - zagrział.

- Siedem lat! - ryknęłam.

- Napisałem do ciebie list!

- To nie wystarczy! - krzyknęłam i stwierdziłam, że mówię poważnie. - Dlaczego nie zadzwoniłeś?! - Cisnęłam w niego kilkoma kumkwatami.

- Nie odpowiedziałaś na list! - uchylił się.

- Powinieneś był się bardziej postarać! - wrzasnęłam, rzucając kiwi.

- Nie wiedziałem, co robić - defensywnie.

- Siedem lat! Ty bydlaku!

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam! - krzyknął wcale nieprzepraszająco i ruszył ku mnie jak szarżujący byk. W jego oczach widziałam prawdziwy gniew.

Wycofałam się. Dotarł do amunicji i chwycił dwa jabłka. Uciekłam, gdy wylądowały przy moich piętach. Odwróciłam się na trawniku.

- Zmarnowałeś siedem lat! - wrzasnęłam z całej siły. Zalała mnie fala smutku.

- Ty też - grzmiał.

- Nie kochasz mnie! - zawodziłam. - Nie możesz. Inaczej byś zadzwonił. - Przestałam grać. Przeszyło mnie coś, co nagle wydawało się oślepiająco oczywistą prawdą.

W tym momencie na scenę wbiegł Jesus, wykręcając sobie ręce. Włosy stały mu dęba.

- Nie, nie, nie! - jęczał. - Musicie być szczęśliwi. - Zaczął zbierać jabłka, jakby to mogło poprawić sytuację.

- Wszystko w porządku - powiedział Alex do Jesusa, udając spokój. I do mnie: - Przepraszam. Powiedziałem, że przepraszam.

- Wcale ci nie jest przykro - ciskałam w niego słowami. - To oczywiste. - Zwróciłam się do Jesusa. - On mnie nie kocha - powiedziałam.

- Mężczyźni i kobiety - podsumował Jesus i stuknął jabłkiem o jabłko.

- Jesus - zwrócił się do niego Alex - najwyraźniej masz dobre ucho do języków. Przetłumacz mi coś. „Przepraszam” - lo stento - znaczy „nie kocham cię?” Tak?

- Nie, nie, nie - powiedział do mnie Jesus. - To nie tak. On mówi, że bardzo przykro.

- Dziękuję - mówił dalej Alex. - I powiedz jej, że to wolny kraj i jeśli mam ochotę, żeby coś trwało siedem lat, to tak będzie.

Jesus odwrócił się do mnie.

- On mówi ty piękna kobieta, boi się, że tak bardzo cię kocha.

Te słowa mnie przeszyły. Zaskoczona uniosłam głowę i złapałam laserowe spojrzenie Alexa. Nie odwrócił wzroku.

- Powiedz mu, że nie pozwolę się traktować jak gówno.

- Ona mówi - powiedział Jesus do Alexa - że jesteś w jej życiu wielki, ważny mężczyzna.

- I powiedz jej - odparł Alex - żeby mi nie utrudniała tak cholernie życia.

- On mówi - przetłumaczył Jesus - że myśli tylko o tobie, dzień i noc chce się z tobą kochać.

- No to mu powiedz, że przeciąga strunę.

- Ona mówi - znowu Jesus do Alexa - że chce mieć dokoła twoje ramiona, chce twoje ciało, chce tylko ciebie.

Najwyraźniej Alex nie wytrzymał. Bo zszedł po schodkach werandy i rzeczywiście uniósł mnie w ramionach. Zaniósł mnie do pokoju, podczas gdy Jesus klaskał w dłonie i wznosił radosne okrzyki.

- Dobry z ciebie człowiek - powiedziałam do Jesusa nad ramieniem Alexa.

Jesus niemal płakał ze wzruszenia. Szedł za nami do sypialni, ale w końcu opamiętał się i zadowolili starannym zamknięciem drzwi werandy, żeby zapewnić nam prywatność.

Alex upuścił mnie na łóżko, a ja pociągnęłam go na dół i przeturlałam się tak, że leżałam na nim.

- Wiesz, co następuje po kłótni? - spytałam i zaczęłam mu rozpinąć guziki koszuli.

- My?

- Dobra gra?

- Dobra gra.

To: Honey@globalnet.co.uk

Prom: mmm@wigwam.com

Subject: o mój

Date: 4 maja - 17.40 EST

Kochana Honey,

Sprawy przyjęły gorszy obrót. Jestem u Maca. Czy mówiłam ci, że prosił, bym zrobiła feng shui w jego mieszkaniu? Jego sedes jest w samym środku jego życia uczuciowego. To okropne. Mówię mu, żeby zamykał deskę klozetową, ale jakoś nie może. Mówi, że budzi to w nim kompleks matki.

Wczoraj, kiedy się obudziłam, Eda nie było. Tak, spędziliśmy noc razem, ale nie martw się, mieliśmy pośrodku poduszkę jak Wielki Mur Chiński. Cały dzień pracowałam nad mieszkaniem Maca, a potem wróciłam do hotelu. Okropnie chciało mi się siusiać, więc wpadłam do łazienki i zastałam Eda w kąpeli. Najwyraźniej nie krępują go takie rzeczy, wcale się me spłoszył. Ed w kąpeli przypomniał mi naszego tatę w kąpeli, jak jego interes pływał po powierzchni Jak marchewka w zupie. Dziwne, że nas to nie przyprawiło o traumę na całe życie.

W każdym razie Ed w końcu wyszedł z łazienki i w ręczniku poszedł na balkon. Właśnie miałam wpaść do kibla, kiedy zobaczyłam, że Cherelle też tam Jest - na sąsiednim balkonie. Oczywiście nie mogłam przegapić ani chwili tego konkretnego przedstawienia.

Jak wiesz, studiuję zachowania ludzkie, na czas, kiedy będę dość dorosła, żeby zostać psychoterapeutką. To śmieszne myśleć, że jestem za młoda, żeby zostać psychoterapeutką - mimo że wiem o życiu więcej niż większość pięćdziesięciolatków.

Podkrađłam się do okna i stanęłam za zasłoną, gdzie mnie nie mogli widzieć.

Na widok Eda Cherelle oparła rękę o biodro i powiedziała:

- Ty!

Myślałam, że wszystko się wyda. Myślałam, że Ed odgadnie całą prawdę tam i wtedy przez sam sposób, w Jaki Cherelle dźgała powietrze palcem wskazującym, mówiąc: „Ty!”.

Ale Ed mówi:

- Cześć. Jak tam miesiąc miodowy? - Sam spokój i urok. Ed ma tyle ufności. Przypomina mi psa, którego przez całe życie karmiono codziennie o szóstej wieczorem.

Cherelle mówi:

- Absolutnie cholernie fantastycznie - tym wspaniałym angielskim akcentem (ukryta głębia!).

- To dobrze - mówi Ed, nieco mniej pewnie. Chyba zauważył wyzywający sposób, w jaki trzyma rękę na biodrze, jak Ma Cherelle z Corralu OK. - Niestety, Honey musiała służbowo wyjechać, co jest niestety pechowe, w czasie miodowego miesiąca, ale niestety, nie dało się tego uniknąć.

Serce mi się ścisnęło. Biedny Ed. Zdecydowanie za dużo „niestety”. Wiesz co? Wydaje mi się, że on się boi Cherelle. Patrzyła na niego wieki całe i mogłam niemal widzieć, jak sytuacja układa się jej w głowie, plim-plim-plim, jak liczby wirujące w starej kasie sklepowej. W końcu zadzwoniła:

- Mówisz poważnie?

Ed nic nie rozumiał. Cherelle stała z otwartymi ustami. Koniec, myślałam. Zaraz się zacznie. Zaraz wszystko się wyda.

- Wyjechała służbowo? - powiedziała.

- Tak - powiedział Ed.

Cherelle parsknęła nieopanowanym śmiechem. Potrząsała przy tym znacząco głową, jakby ona i tylko ona знаła najśmieszniejszy dowcip na świecie.

- Może zechciałabyś mi powiedzieć - powiedział Ed - z czego się właściwie śmiejesz, do cholery. - Zawsze zapominam o tym aspekcie Eda. Jest jak mysz, która wrzasnęła.

To zamknęło Cherelle. Ja już tak rozpaczliwie potrzebowałam siusiu, że stałam zgięta Jak żaba w balecie. Nie miałam jednak zamiaru nigdzie iść, bo Cherelle zmieniała się w moich oczach. Zupełnie jak w efektach specjalnych, jej ciało topiło się i zniekształcało, a pod skórą bąbelkowały jakieś rzeczy, więc wydawało się, że w każdej chwili wyskoczy z niej przybysz z obcej planety. Zaczęła machać rękami - tymi, którymi można grabić liście w ogródku - i powiedziała:

- Śmieję się, bo mój mąż też musiał wyjechać służbowo. No i tyle. Musiałam czym prędzej pokuśtykać do łazienki.

Pamiętasz, kiedy zsiusiałam się ze śmiechu na chemii w szkole i musiałam udawać, że mokra plama na podłodze to moje doświadczenie, które wykopiało?

Wróciłam, jak mogłam najszybciej, ale zadzwonił telefon. To był Mac. Myślał, że ja to ty. Właśnie miałam mu wyjaśnić, kiedy się rozłączył.

Wróciłam do okna. Ed oglądał zdjęcia i mówił:

- Daj spokój, naprawdę nie potrzebujesz operacji plastycznej. - Rany, Ed jest tak naiwny, że nie mogę. A potem spytał: - A gdzie twój mąż?

- Och, kazałam go usunąć, teraz można to zrobić - wyjaśniła Cherelle.

Musiałam tam wyjść i popatrzeć. Więc wypadłam na balkon, udając, że właśnie się obudziłam, spojrzałam na te zdjęcia, a tam stała Cherelle w ślubnym stroju - sama. Bez Alexa.

- Kazałaś usunąć Alexa?

- Tak.

- Jak paskudnego kreta?

- Jasne.

- Ponieważ wyjechał służbowo? - wtrącił Ed. Zostawiłam Cherelle, żeby sama odpowiedziała na to pytanie. Ktoś pukał do drzwi pokoju. Pobiełam - Mac.

- To nie jest śmieszne. Zgodnie z moją wersją wydarzeń jesteś w Los Angeles z Honey. Nie, nie ma jej tu - powiedziałam. - To Ja odebrałam telefon. I nie możesz wejść. - I wtedy zauważyłam, że wygląda inaczej. Niepewnie.

- Muszę pogadać.

- Ze mną?

- Możesz być ty.

Na dole, w holu, usiedliśmy w fotelach wielkości niewielkich transatlantyków. Mac zamówił kawę.

- Nigdy tego nie robiłem.

- Czego? - spytałam, starając się zobaczyć coś ponad oparciem mego fotela.

- Tego - powiedział, machając ręką tam i z powrotem, co zapewne miało obrazować porozumienie. - No wiesz, rozmawiania. Nie wiem, Jak zacząć.

- Od początku. - To całkiem łatwe - po prostu wyruszasz.

Nie mógł. Miałam potworne wrażenie, że zaraz się rozplacze. Namawiałam go, żeby zapalił papierosa. Powiedział, że rzucił palenie. Spytałam, czy to było mądre. Może me jest to najlepsza chwila na rzucanie

palenia. Co odbiega od moich poglądów na temat palenia, wiem, ale chociaż nie sądzę, by potrafił płakać naprawdę, bałam się, że może spłynie mu po twarzy kilka łez. Papieros położyłby temu kres.

- Muszę. Muszę - powtórzył. Mówiąc o rzucaniu palenia.

- Palisz z jakiegoś powodu - powiedziałam łagodnie. - Palisz, żeby nie musieć się tak czuć.

- Chodzi o Delię.

Niestety, nie mogę pisać dalej, ponieważ resztę tego, co powiedział, uważam za objęte klauzulą poufności, który musi istnieć między terapeutą a klientem.

Wkrótce napiszę

Ven xxxxxxxxxxxxxxx

PS Czy wściekasz się, że zostawiłam to niedopowiedziane? Mam nadzieję. Uznałam, że nigdy nie dowiesz się prawdy o uciekaniu, o ile nie doświadczysz także i negatywnych konsekwencji.

Rozdział dziewiętnasty

I tak mnie zostawić w napięciu!

Znowu siedziałam w kafejce internetowej. Z ulicy wlewał się zapach upału. Przeczytałam e-mail od Ven i natychmiast do niej zadzwoniłam, ale nie było jej u Maca, a nie odważyłam się dzwonić do hotelu, bo mogłby odebrać Ed. Zamiast tego zadzwoniłam do Delii.

- Cześć - powiedziałam.

- Cześć.

- O co chodzi z Macem?

- Dlaczego sądzisz, że o coś chodzi z Macem?

- Jak grzeczna dziewczynka, sprawdziłam swój e-mail.

- Mac powiedział Ven? - zdumiała się.

- Zmienia się - zauważyłam.

- Tak - potwierdziła ponuro. - Na gorsze.

- Opowiedz.

- Dobrze. Streszczę ci.

- Nie. Pełen tekst. Zaczynaj od początku.

- Dobrze. Kłopoty zaczęły się po powrocie do domu z przyjęcia. Wróciliśmy koło trzeciej rano - w Nowym Jorku pracują na pół etatu, choć oni pewnie tak nie myślą. Pobzykaliśmy się i tak dalej, i wtedy Mac nagle oznajmia, że rzuca palenie. To ja pytam, dlaczego, a on mówi, że to nieprzyjemny i brudny nałóg. Powiedziałam, że mną się nie musi przejmować, ja nawet lubię ten zapach z ust jak ze starej popielniczki. I palenie w mężczyźnie może być całkiem męskie, wiesz, o co mi chodzi - uważam, że wskazuje na zdrowe niedbanie o siebie, a poza tym wtedy ma się zajęcie dla rak.

- Palenie dla Prokreacji - powiedziałam. To ruch, jaki Della pragnie zapoczątkować. Żadna z nas nie pali, ale gdy wyruszamy na podryw, zawsze palimy, jeśli ktoś nas częstuje. Della twierdzi, że akt dawania i brania długiej, cienkiej, zaostrej rzeczy to pierwotny rytuał zalotów. On ci proponuje papierosa. Ty wkładasz go do ust. On ci podaje ogień. Uprawiacie seks.

Della uważa, że rasa ludzka wymarłaby bez palenia.

- Tak czy inaczej - ciągnęła Della - widzę, że w gruncie rzeczy to nie chodzi o palenie. Mac ostatnio ma takie spojrzenie. Głupawe - nie wiem, jak to inaczej określić. Zdecydowanie nieatrakcyjne. Więc mówię: „Słuchaj,

Mac, nie myl seksu z miłością. To prawda, dobrze nam. To prawda, nawet zdumiewająco znakomicie, szczerze mówiąc. Ale seks to seks to seks".

Usłyszałam kliknięcie.

- Co robisz? - spytałam.

- Depiluję. - Della zawsze to robi, gdy jest w stresie. Depiluje sobie brwi tak, że przestają niemal istnieć.

- To niegrzecznie depilować przez telefon. - Ale mnie zignorowała.

- A potem? - powiedziała z oburzeniem. - Nie uwierzysz. Zaczyna robić ze mną wywiad na temat macierzyństwa.

- Nie uwierzę.

- Uwierz. - Nie zapominajmy, że gość dobiega pięćdziesiątki. Spytał mnie, czy lubię dzieci!

- Może planuje zrobić remake „Bugsy Malone” i chce, żebyś była opiekunką.

- Niestety nie. - To jego cholerny zegar biologiczny. - I dodała: - Zrobił się zamyślony - jak gdyby mówiła o bardzo nieprzyjemnym niedostatku w standardach jego higieny.

- To oburzające - zgorszyłam się. I tak było. W leksykonie współczesnych związków dzieci są tak samo tematem tabu jak seks oralny w wytwornym społeczeństwie wiktoriańskim. - Więc uciekłaś.

- Nie. To wcale nie tak. Udałam się na lotnisko statecznym krokiem, ale przedtem jeszcze dałam w łeb tym marzeniom o dzieciach, mówiąc, że nie ma mowy, żebym kiedykolwiek zechciała mieć sutki wielkości talerzy. Więc potem on poszedł do pracy, ja próbuję trochę odespać, ale wtedy on wraca i wkłada mi pierścionek! Wiesz, powinnaś go zobaczyć - jest wielki jak pieprzony Tadz Mahal.

- Diament? - spytałam bez tchu.

- Od Tiffany'ego.

- Kurczę - zaklęłam. Jestem taka wszystkowiedząca, że nieczęsto bywam zaskoczona. Delektowałam się tym rzadkim uczuciem. - I co dalej?

- No więc jedno prowadziło do drugiego, i w pewnym momencie jakoś machnęłam ręką, bo wiesz, na tym poziomie Mac i ja jesteśmy bardzo kompatybilni, i uderzyłam dłonią w rurę i usłyszałam taki lodowaty dźwięk pęknięcia...

- Zaraz, zaraz. Przewiń do tyłu. W jaką rurę?

- Robiliśmy to pod prysznicem.

- Miałaś na ręce pierścionek?

- No, tak - powiedziała, nieco obronnym tonem. - Tak dla jaj.

- Rozumiem.

- W każdym razie Mac nic nie zauważył. Ale kiedy mogłam się już przyjrzeć pierścionkowi, okazało się, że kamień pękł dokładnie na pół. Nie wiedziałam, że można rozbić diament, ale okazuje się, że jeśli uderzy się go dokładnie we właściwe miejsce, to pęka. - Westchnęła. - Pękł dokładnie na pół. Myślę, że to znak.

- A co powiedział Mac?

- Och, powiedział, że nie ma się czym przejmować, kosztował tylko pół miliona dolarów. - Sarkastycznie.

- Nie powiedziałaś mu.

Milczenie.

- Poszłam w twoje ślady. Złapałam następny samolot do domu.

- A gdzie jest pierścionelek?

- Tutaj, ze mną. Muszę go oddać do naprawy.

- No cóż - powiedziałam. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Nie sądzę, żeby diamenty były naprawialne.

- Co twoim zdaniem powinnam zrobić? - zapytała Della. Tych pięć słów nieczęsto wychodzi z jej ust w tej kolejności.

- Nie wiem. Mam wrażenie, że obie przeniosłyśmy się w jakiś równoległy świat. Nie znamy zwyczajów, nie znamy języka. Co robić... - zamilkłam.

- Co nosić... - podjęła Della żałośnie. - A jak ci idzie z Alexem?

- Nowo.

- Nowo?

- Prawie go nie znam.

- Rzuca się na ciebie?

- Och, przestań.

- Podobno jest to pierwsze pytanie, jakie chłopcy sobie zadają: „Czy ona się rzuca na ciebie?”.

- Mówisz, jak ktoś z czasów drugiej wojny światowej. W obecnych czasach wszyscy się na wszystkich rzucają - powiedziałam, zastanawiając się, jak doszłyśmy do tego tematu. Często tak jest w rozmowach z Delią.

- W Utah seks oralny jest nielegalny.

Odłożyłam słuchawkę, kupiłam sobie kolejną colę i zastanawiałam się leniwie, czy kłopoty Delii oznaczają koniec mojej pracy u Maca - tak jak przepowiadałam. A potem nagle przyszło mi do głowy, że może już i tak nie potrzebuję tej pracy. Nagle ujrzałam siebie żyjącą w Los Angeles,

wyjeżdżającą wielkim amerykańskim samochodem z podjazdu w szeroką, pustą ulicę obrzeżoną palmami. Wyobraziłam sobie, jak Mac mówi, że mogę pracować dla niego w Los Angeles. Potem zmieniłam zdanie i sprawiłam, że załatwił mi fantastyczną pracę w przemyśle filmowym. A potem uświadomiłam sobie radośnie, że Ven tam będzie. Poza wszystkim innym, jeszcze rodzina razem! To jednak musiało mi być pisane!

Właśnie dochodziłam do chwili, w której rodziłam nasze pierwsze dziecko w amerykańskim szpitalu - ładniejsze wyposażenie, skuteczniejsze środki przeciwbólowe, George Clooney w zielonym kitlu - gdy zaczęło mi się kręcić w głowie. A potem, zupełnie niespodziewanie - co się unosi, musi spaść - euforia zmieniła się w coś całkiem nieprzyjemnego. Dosięgnął mnie ogrom tego, - co zrobiłam.

Już kilka razy mi to groziło, ale w nocy - i mogłam schronić się przed tymi uczuciami w ramionach Alexa.

Ed! Co się dzieje z Edem? I co ja takiego rozważam? Przeprowadzkę do Los Angeles? Ja? Porzucenie mojego dotychczasowego życia? Naprawdę?

O mój Boże.

A co z moimi przyjaciółmi w Londynie? Czy nie będzie mi ich brakować? Co z Teresą i kucykami? Co z deszczem i BBC, i kolejkami na pocztę, i czarnymi londyńskimi taksówkami, i Harrodsem, i filiżankami herbaty, i bezrobotnymi? W Los Angeles nie będzie tych rzeczy. Co z moimi korzeniami?

Usiłowałam dojść do siebie, gdy przed kafejką zatrzymał się Alex w volkswagenie golfie z otwieranym dachem.

- Skąd go masz?

- Ukradłem. Czegoś się nauczyłem na odwyku.

- Wynająłeś.

- Wsiadaj.

- Gdzie jedziemy?

- Zaraz zobaczysz. - Wsiadaj.

Wsiadłam. Ruszył od krawężnika z piskiem opon.

- Stop! - wrzasnęłam nagle. Zwrócił się ku mnie, zaniepokojony, wciąż przyspieszając, z włosami bijącymi mu po oczach. - Stop! - wrzasnęłam ponownie.

Zatrzymał się.

- Co się dzieje?

- Coś czuję.

- Czujesz?
- Tak. Zdarza mi się to. Spojrzał na mnie z niepokojem.
- Hmm... Czy jest na to lekarstwo?
- Alex, czasami... czasami muszę wiedzieć, dokąd jedziemy. Musiało coś być w moim głosie, bo odpowiedział szybko:
- La Posada. To najlepszy hotel w Meksyku.
- Szkoda, że mi nie powiedziałaś wcześniej.
- Teraz ci mówię.
- Będę tęsknić za Jesusem.
- Przyjedzie w odwiedziny - uśmiechnął się.
- Ale... - zawahałam się.

I w tym momencie wahania zgubiłam go. Odwrócił ode mnie laserowe spojrzenie. Stos kolorowych, plastikowych koszyków zajaśniał pełną chwałą. Byłam zazdrosna o koszyki.

- Naprawdę chodzi o to, że muszę wiedzieć, dokąd zmierza nasz związek.

- W tej chwili - powiedział Alex, naciskając pedał gazu - zmierza na południe.

Przed nami była pusta, zakurzona droga, z której od czasu do czasu otwierał się widok na turkusowe morze. Były przysiółki z białego betonu z czerwonymi metalowymi znakami coca-coli oraz kościółki w hiszpańskim stylu.

I był Alex.

Jak ja - zastanawiałam się, jadąc wzdłuż wybrzeża Meksyku z wiatrem we włosach i z mężczyzną, który nie był moim mężem - jak ja znalazłam się na drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża Meksyku z mężczyzną, który nie był moim mężem? Jak to się stało? Dokładnie? Przypomnijcie mi.

To nie to, żebym uważała, że jestem z niewłaściwym mężczyzną. Gdy patrzyłam na Alexa, na jego krótkie, jasne włosy, fruujące wokół głowy, opalone przedramiona trzymające kierownicę, gęste rzęsy, po prostu chciałam się w nim zagubić, wejść mu pod skórę i zniknąć.

I myśląc to, stawałam się więźniem swojej oddzielności. Padałam łupem wszelkiego rodzaju uczuć - uczuć wywołanych niewątpliwie przez mięsożerne myśli, ssące moją krew jak nowe, ulepszone, ekstrasilne komary, które czekały wczoraj w pokoju hotelowym specjalnie na mnie.

- Uczucia to nie fakt - powiedziałyby Ven.

Nie jestem całkiem pewna, co to znaczy, ale myślę, że chodzi o traktowanie uczuć jako odzwierciedlenia świata zewnętrznego, a nie

wewnętrznego. Problem z uczuciami polega na tym, że są one tak cholernie przekonujące. Nie da się zracjonalizować odruchu ucieczki - trochę jak na pokazie trójwymiarowego filmu, kiedy uchylasz się, gdy leci na ciebie latający talerz, choć wiesz doskonale, że to iluzja.

Gdy Alex zjechał z drogi i oznajmił, że teraz zwiedzimy fantastyczne ruiny zwane Tulum, zdałam sobie sprawę, że nieprzyjemne, pełne napięcia odczucie tuż za moim mostkiem to w gruncie rzeczy strach. Dobry stary strach.

No dobrze, więc teraz miałam Alexa.

No dobrze, więc teraz mogę stracić Alexa.

I mieliśmy zrobić coś tak sensownego i zwyczajnego jak wspólne zwiedzanie, z innymi parami, z innymi turystami. Wydawało się to niewykonalnie normalne.

Tulum, jak się okazało, było świątynią Majów na brzegu Morza Karaibskiego, wzniesioną z delikatnych szaro-białych pięter, przypominających popiół, powstający na papierosie, jeśli się go nie strąca. Ciepłe, grube mury Castillo wybrzuszają się z zadowoleniem na zewnątrz, jakby były nasycone mądrością wieków. Wydają się pełne, zadowolone, spokojne. Gdy już wszystko obeszlśmy, położyłam dłonie na murach i pozwoliłam, by odległa obecność ludzi, którzy żyli tu dziewiętnaście wieków temu, zbliżyła się i dotknęła mnie.

Pamiętam, jak kiedyś w szkole pokazano nam pionową linię, przedstawiającą historię Ziemi od początku czasu. Mały komiksowy telewizorek na kółkach jechał koło tej linii w górę i w dół, i włączał się od czasu do czasu, by pokazać, co się działo w danym momencie. Telewizorek musiał podjechać niemal pod samą górę, by pokazać dinozaury, a cywilizacja współczesna, jak się okazało, była malutką kropeczką na samym samiułtkim szczycie. Miałam wrażenie, że jestem w jednym z tych oszukańczych pomieszczeń, gdzie perspektywa jest całkiem zniekształcona.

Dotykając tych starych, ciepłych ścian, miałam to samo wrażenie. Moja znikomość jest dla mnie niewyobrażalna. Niewyobrażalna.

Wiedziałam, że Alex czuje to samo. Więc nic nie mówiłam. Potem siedzieliśmy koło siebie na trawie, oparci plecami o świątynię, i patrzyliśmy na morze.

- Dobrze się czujesz? - spytałam po chwili.

- Tak.

- Na pewno?

- Tak. A ty, dobrze się czujesz? Zawahałam się.

- Wiesz, kiedy byłem w Los Angeles, pisywałem do ciebie e-maile i wysyłałem je w eter.

- Naprawdę - powiedziała ze zdumieniem. - A o czym one były?

- Och, o tym i owym.

Kiedy Alex mówi, często mam wrażenie, że nadaje z jakiegoś odległego miejsca, a transmisje następują dopiero wtedy, gdy cały zespół redaktorów i konowalów złoży je w jakąś całość. Miałam wrażenie, że mam dostęp jedynie do ułamka jego myśli. Ale to oczywiście stanowiło o jego atrakcyjności. Dziewięć dziesiątych było tajemnicą. Dziewięć dziesiątych do zapelnienia przeze mnie.

- Sprawdziłaś pocztę w tamtej kafejce?

- Tak. To nie tak, jak myślisz.

- A co ja myślę? - spytał. - Ja nic nie myślę. Chwila milczenia.

- Jesteśmy tak starzy, jak te ruiny - powiedział z uśmiechem. - Ty i ja.

- O czym ty mówisz? - powiedziała, zauważając cień Bestii Dosyciowej za palmą na brzegu skał.

- Wiesz, o czym mówię.

- Ale byłoby miło, gdybyś był konkretny. Przebiegło mi przez głowę, że to zupełnie nie w moim stylu. Zazwyczaj naprawdę nie miałam tej... tej... Do głowy wpadło mi słowo „potrzeby”. O mój Boże, pomyślałam z przerażeniem, czyżbym stawała się jedną z tych Kobiet, Które Kochają Za Bardzo?.

- Pamiętasz, jak się spotkaliśmy po raz pierwszy. - Nie patrzył na mnie.

- W restauracji.

- Wiedzieliśmy.

- Wiedziałaś, że wsiadę do taksówki?

- Tak. Ale gdybyś nie wsiadła, wróciłbym i cię zabrał.

- Jak? - Nie mogłam się oprzeć.

- Nie wiem - powiedział, budząc we mnie rozczarowanie. - Jakoś.

- Co we mnie takiego było? - spytałam. O rany, ale drażę.

- Domagasz się komplementów?

- Chciałabym to dokładnie zrozumieć - wymamrotałam.

- Tego się nie rozumie. To po prostu tak jest. Chodź. Wstał, wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą.

Rozdział dwudziesty

La Posada była niezwykle uroczym hotelem. Luksusowym, ale także obłażącym i spłóviałym w bardzo uspokajający, autentyczny sposób. Były tam drewniane domki, kawałki dżungli, piękny, stary, wyłożony mozaikowymi kafelkami basen z delfinami wyrzeźbionymi na obu końcach, a także wielkie, płaskie hamaki, rozwieszane między drzewami w cienistych zakątkach.

Była tam także półkolista plaża z białym piaskiem i obowiązkową samotną palmą, pochylającą się nad morzem.

W ciągu dnia leżałam na plaży i myślałam, że tak naprawdę nigdy nie rozgryzłam tej sprawy z wakacjami. Wakacje dawały mi zbyt wiele czasu na egzystencjalny ból. A przynajmniej myślę, że ten ból był egzystencjalny.

Nie jestem całkiem pewna, co znaczy „egzystencjalny” - to chyba ma coś wspólnego z sensem życia. Wiem jednak, że bardzo trudno jest ogarnąć sens życia, kiedy leży się na leżaku bez jakiegokolwiek widocznego celu.

Zazwyczaj spędzam wakacje, pożerając książki, od pierwszej do ostatniej chwili, po prostu się w nich zatracam. Znalazłam w holu niewielką drewnianą półkę, wypełnioną sfatygowanymi romansami o lekarzach i pielęgniarkach. Uznałam, że ta tematyka może być zbyt drażliwa, więc szukałam, aż natrafiłam na thriller i wzięłam go ze sobą na plażę.

Stało tam kilka wielkich, białych, drewnianych leżaków. Zaciągnęłam jeden z nich pod drzewa i rozsiadłam się. Gdy opuszczałam książkę o centymetr, roztaczał się przede mną niezwykle widok szerokiego, błękitnego morza. Niecały kilometr dalej dziwna, garbata skała wynurzała się z wody jak wielki żółw, który chce sunąć do brzegu.

Stwierdziłam, że nie mogę czytać - ani jednego słowa. Ile razy zaczynałam czytać zdanie z książki, moja głowa kończyła je czymś własnym. Następowaly interferencje na łączach. Staralam się głęboko oddychać i pozwolić myślom przelatywać jak chmury. Żadnej nadziei. Moje myśli były jak chmury londyńskie. Gęste. Od ściany do ściany. I zupełnie nieprzejrzyste.

Myślałam o tym, że powinnam być szczęśliwa. Myślałam, że powinnam być szczęśliwa. To znaczy, mogłam uzasadnić, dlaczego powinnam być szczęśliwa, ale samo uczucie jakoś mi umykało. Byłam podniecona, podekscytowana, pełna nadziei, kobieca, potężna, zalękniona, ożywiona i jeszcze inne rzeczy - ale nie czułam się szczęśliwa.

Alexa ze mną nie było. Alex stwierdził, że coś nawala w samochodzie. Wydawało mi się, że to nic poważnego - coś z transmisją. Tranzycją? Wszystko jedno. Byłam za tym, żeby zadzwonić do firmy wynajmującej samochody, ale Alex stwierdził, że to będzie tylko zawracanie głowy. Najwyraźniej miał ochotę naprawić to osobiście. Poszłam przedtem popatrzeć, jak mu idzie. Z zadowoleniem dłużył w samochodzie, wycierając palce w brudną szmatę. Jak chłopiec, bawiący się lego. Wyczuwałam jego satysfakcję. Patrzenie na niego było całkiem seksowne, ale przeważnie trzymał głowę pod maską, więc wkrótce zrezygnowałam.

Mieszkaliśmy w La Posada już od kilku dni i - gdy się nad tym poważnie zastanowiłam - zdałam sobie sprawę, że przez cały ten czas właściwie niewiele widywałam Alexa. Nie lubił leżeć na plaży, więc zawsze gdzieś biegał, dowiadując się o możliwe wycieczki albo szkółkę nurkowania, planując epickie wyprawy rowerowe albo coś w tym guście.

Właśnie o tym myślałam, kiedy w moje pole widzenia wpłynęli mężczyzna i kobieta na deskach surfingowych. Kobieta była wysoka, przerażająco krzepka, i wyglądała na taką, co spędza całe życie na plaży - Ursula Andress w mokrym kostiumie. Rozpoznałam w niej dziewczynę, która organizowała zajęcia plażowe. Nazywała się Marie Claire, ale lubiła, jak się do niej mówiło skrótowo M.C. Ten typ.

Kilka sekund zajęło mi uświadomienie sobie, że mężczyzna, z którym płynie, to Alex. Uczyła go windsurfingu, a on najwyraźniej miał ku temu wrodzone zdolności. Ten typ.

Patrzyłam na niego z dumą. W każdym razie próbowałam. W rzeczywistości zastanawiałam się przede wszystkim, dlaczego u licha ma chcieć być ze mną, kiedy może być z nią.

Wiedziałam, oczywiście, że to nie jest szczególnie racjonalna myśl. Być może nie odpowiadała mu jej osobowość. Może jej nie odpowiadała jego. Może jego uczucia do mnie były znacznie głębsze niż długość nóg. Ale nie wiedziałam tego na pewno. A ponieważ nie wiedziałam, to mogłam wypełniać sobie długie godziny rozważaniami miliona bolesnych możliwości.

Co doprowadziło mnie do zastanawiania się, czy Alex uciekłby z Marie Claire, gdyby to ona była na sąsiednim balkonie podczas jego nocy poślubnej. Czy fakt, że z nim jestem, wynika wyłącznie ze znalezienia się we właściwym miejscu o właściwym czasie. To nie znaczy, że się uskarżam czy

coś w tym rodzaju, nie, wybór właściwej chwili jest zawsze lepszy niż niewłaściwej.

To nie znaczy, że puściłam wodze wyobraźni na temat podstępnych zamiarów Alexa wobec Marie Claire. Wręcz przeciwnie - wiedziałam, że to wszystko tkwi jedynie w mojej głowie.

A potem uświadomiłam sobie, że przy Edzie nigdy nie zawracałam sobie głowy takimi myślami.

Powinam tu się pochwalić, że moim zdaniem nie jestem typem zazdrońcy. Jakaś część mnie wierzy bowiem mocno, że jestem jedyną kobietą na świecie. I zazwyczaj, ponieważ mnie samej nie pociągają inne kobiety, trudno mi sobie wyobrazić, że pociągałyby one mojego chłopaka. Tak samo jak trudno mi sobie wyobrazić, że można być mężczyzną. Ale przez cały ten czas, kiedy trudno jest mi sobie wyobrazić, że mojego chłopaka mogłyby pociągać inne kobiety, równocześnie myślę, że wszystkie kobiety na świecie są ode mnie bardziej atrakcyjne. A jeśli to brzmi jak sprzeczność sama w sobie, to mogę tylko dodać, że mój mózg jest niezwykle skomplikowany. Mój mózg jest zdolny do niezwykle pokrętnych wyczynów.

Jedną z ulubionych zabaw, na przykład, jest przekonywanie się - na widok atrakcyjnej blondynki idącej po drugiej stronie ulicy - że mój chłopak, niezależnie od tego, kto nim akurat jest, zdecydowanie wolałby spotykać się z-nią niż ze mną. Niemal lituję się nad moim chłopakiem, że się z nią nie spotyka.

A jednak nigdy nie zżera mnie zazdrość o byłe dziewczyny czy coś w tym rodzaju. Chłopcy Delii zazwyczaj dostają piany na ustach na samą wzmiankę o poprzedniku - musi chować stare fotografie. Mnie z kolei żal jest byłych dziewczyn - kojarzą mi się z przybrudzonymi scenariuszami, zawałającymi półki w biurze Maca, tymi wszystkimi filmami, których nigdy nie nakręcono.

A jednak, jak powiedziałam, przy Edzie nigdy nie czułam zazdrości (tancerka imieniem Cherry jest wyjątkiem potwierdzającym regułę). Ed zawsze tak słodko i po wariacku uważał, że miał szczęście, trafiając na mnie - zupełnie jakby nie mógł znaleźć nikogo lepszego. Oczywiście czasami się na mnie wściekał, ale zasadniczo przejawiał... nie śmiem powiedzieć... wdzięczność.

Więc nigdy nie przyszło mi do głowy, że Ed może się za kimś innym oglądać. Czułam się całkiem bezpiecznie.

O rany.

Westchnienie.

Nic dziwnego, że to się nie udało.

Zjedliśmy kolację przy stoliku pod gwiazdami - krewetki z grilla i sevice. W restauracji był mały plumkający wodospad i mały plumkający zespół w rogu. Gitary, co stanowiło pewną odmianę po marimbach. Gdy usiedliśmy, podszedł patron i ofiarował mi piękny tropikalny kwiat.

Alex mówił o Los Angeles, swoim życiu i swoich planach. Starłam się odgadnąć, czy jest w nich dla mnie miejsce, więc w końcu odetchnęłam głęboko i spytałam:

- A co z nami?

- Jedziesz ze mną, oczywiście - powiedział. Zatkano mnie.

- Naprawdę? - Miało to zabrzmieć sarkastycznie, w rodzaju: „Wyobrażasz sobie, że dla ciebie porzucę swoje dotychczasowe życie?”, ale naprawdę wyszło całkiem przyzwalająco - pewnie dlatego, że przecież rozważałam porzucenie swego dotychczasowego życia.

- Jasne - powiedział.

Rozpromieniłam się jak idiotka. Nie mogłam się powstrzymać.

- Ale nie chcę tu dużo dłużej zostawać. Muszę wracać. Znowu mnie zatkało.

- Ale - powiedziałam niepewnie - czy z Cherelle nie planowałeś dwutygodniowej podróży poślubnej?

Przechylił się ku mnie i ujął mnie za rękę.

- Będziemy razem. To najważniejsze.

Później, w łóżku, przygotowałam dla naszych głów zagłębienie w milionie poduszek, owinęłam nogami jego stalowe udo i powiedziałam:

- Uważam, że powinniśmy porozmawiać o Edzie i Cherelle.

- Uważasz?

- Tak. Trzeba oczyścić powietrze.

- A wymaga oczyszczenia?

- Może źle się wyraziłam. Raczej chodziło mi chyba o złapanie byka za rogi czy zajrzenie koniowi do pyska - jakoś tak się to mówi.

- Czy coś jest nie w porządku? - spytał, a ponieważ nie odpowiedziałam, dodał: - Poza rzeczą oczywistą.

- A co jest oczywiste?

- To nie za mnie wyszłaś za mąż. I vice versa - powiedział. - To jest oczywiste.

- Wszystko jest w porządku. Opowiedz mi o Cherelle.

- Co chcesz wiedzieć?

- Dlaczego się w niej zakochałeś?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Spytaj Cherule.

- Nie ma jej tu.

- Nie wiem - powtórzył. - Kiedy jestem z Cherule, myślę, że może Święty Mikołaj istnieje naprawdę. Myślę, że może pierwszy wiceprezes studia jest miłym gościem, który dba o moje interesy. Myślę, że może jestem normalnym facetem, a nie jakimś garniturem, pustym w środku jak wyschnięta dynia.

- Ojej - powiedziałam - musi ci jej brakować.

- Tak. Myślałem, że jest moim ratunkiem. Ale to była iluzja. Święty Mikołaj nie istnieje. A pierwszy wiceprezes studia dba tylko o oglądalność i o nic więcej.

- Jesteś dynią?

- Nie wiem.

- Czy byłeś zakochany w Cherule? - Nagle nabrałam przekonania, że powie mi prawdę.

Myślał całe wieki, jak zwykle, a potem powiedział:

- Właściwie nie.

- Więc co to było?

- Nie wiem - powiedział po kolejnym namyśle. -

Ona jakoś wszystko ciągnęła - przy niej wszystko się układało.

- Ale co... Uważasz, że nie byłbyś z nią szczęśliwy?

- Wręcz przeciwnie. Myślę, że byłbym z nią szczęśliwy. Auuu.

- Ujmijmy to tak - dodał. - Nie sądzę, żeby ona była szczęśliwa ze mną. -
Chwila milczenia. - Nie chcę jej unieszczęśliwić. Nie chcę tak żyć.

- Och. Rozumiem. - I po chwili: - A mnie nie unieszczęśliwisz? - Zupełnie jakbym nie chciała być w tym unieszczęśliwianiu pominięta.

- Może. Ale to będzie co innego.

- Dlaczego?

- Bo... Wiesz, rankiem po naszym ślubie obudziłem się z Cherule w tym pokoju hotelowym i bardzo wyraźnie uświadomiłem sobie: to nie mój sen. To nie jest mój sen.

Chciałam go spytać, czy teraz to był jego sen. Ale coś mnie powstrzymało. Zresztą i tak zmienił temat, pochylając się i całując mnie w brzuch.

Kochaliśmy się, a potem Alex odwrócił się ode mnie, by zasnąć. Chciałam, żeby leżał twarzą do mnie. Chciałam zasnąć w jego ramionach. Chciałam, żebyśmy całą noc leżeli dopasowani do siebie jak łyżeczki.

Nic nie powiedziałam. Ale on i tak usłyszał.

- Zawsze śpię na lewym boku - powiedział. Ale przecież nie o to chodziło.

Zamknęłam oczy. Nie mogłam powstrzymać się od myśli, że nasze ciała, gdy im pozwalaliśmy, rozmawiały ze sobą lepiej niż nasze umysły kiedykolwiek będą mogły. Albo chciały.

Dopiero następnego dnia, gdy znów leżałam samotnie na leżaku, nie czytając książki i przyglądając się tej śmiesznej, żółwiowatej skale, uświadomiłam sobie, że w ogóle nie rozmawialiśmy o Edzie. Widocznie Alex nie chciał wiedzieć.

Leżałam więc i myślałam o tym, że Alex chce skrócić nasz pobyt w La Posada i wrócić ze mną do Los Angeles, by stawić czoło rzeczywistości. Ile razy o tym pomyślałam, tyle razy mnie to bolało. Bolało, że chce skrócić nasz miodowy miesiąc.

Miodowy miesiąc! To słowo aż mną szarpnęło. Przypomniałam sobie, że nie jesteśmy w podróży poślubnej. A potem uświadomiłam sobie, że jakaś część mnie czuje, że jest to... niekonwencjonalny miesiąc miodowy, ale jednak miesiąc miodowy. A potem poczułam, że nie mogę powiedzieć Alexowi, że jego pomysł skrócenia naszego tu pobytu mnie zabolął, bo jeśli nie odgadł, że to mnie zaboli, to nie zrozumie, dlaczego tak jest.

A potem, nie wiem dlaczego, przypominałam sobie pewne zdarzenie. Miałam wtedy dziewięć lat i poszłam z tatą kupić płaszcz. Była to rzadka i dziwna okazja, i po dziś dzień nie wiem, dlaczego to z nim poszłam kupować płaszcz. Udaliśmy się do takiego modnego sklepu na King's Road, w którym mieli niesamowite płaszcze dla dzieci - ze sztucznej skóry. Mierzyłam dwa - jeden był włochaty, w kolorze wielbłądziej wełny, drugi rzucający się w oczy, czarno-biały, udający skórę z kucyka. Wiedziałam, że tata wolał wielbłąda, ale ja chciałam kucyka. Chciałam, chciałam, chciałam.

Im dłużej tato mi tłumaczył, dlaczego wielbłąd jest rozsądniejszym wyborem, tym bardziej chciałam kucyka. A potem nagle tato skapitulował - mogłam mieć czarno-biały płaszcz.

Pierwsze wątpliwości odezwały się już w chwili gdy tato za niego płacił. Już go miałam, był mój - ale czy naprawdę go chciałam? Czy nie będzie się źle nosić? Co powiedzą moje przyjaciółki? Było tak, jakby teraz, kiedy był mój, coś z nim było nie w porządku.

I nigdy nie czułam się dobrze w tym kucykowym płaszczu. Nigdy. W końcu z ulgą powitałam dzień, gdy okazał się na mnie za mały i został oddany do Oxfam (wyobrażałam sobie jakieś biedne afrykańskie dziecko, głodne i przegrzane w moim nieszczęsnym płaszczu).

Nie wiem, dlaczego akurat to zdarzenie zapadło mi w pamięć, ale tak jest. Czasami myślę, że lepiej by mi było w wielbłądzie. Mimo że przez cały czas tęskniłabym za kucykiem. A może właśnie dlatego.

Rozdział dwudziesty pierwszy

To: honey@globalnet.co.uk

From: rmmm@wigwam.com

Subject: o mój Boże

Date: 5 maja - 12.05 EST

Kochana Honey,

Mieszkam w pokoju gościnnym Maca. Mac położył się do łóżka, chory na zakochanie. A w każdym razie tak mówi. Moim zdaniem może to być efekt ciężkiego głodu nikotynowego. Symptom nagłego odstawienia. Mac mówi, że nigdy w życiu nie spędza dnia w łóżku.

W jego biurze wariują. Najwyraźniej wiedzą z wiarygodnych źródeł, że jeśli Mac nie pójdzie na zaplanowane na dziś spotkanie, to świat się skończy. Usiłowali przysłać: a - medyków, b - konsultanta psychiatrę. Wciąż napływają kosze owoców. Ktoś przez pomyłkę przysłał kosz „nowy dzidzius” - jest pełen pastelowych grzechotek, talku i przytulanek.

Jestem bardzo zmęczona. Przez całą noc ratowaliśmy twoje małżeństwo. Del, Paul i ja uważamy, że Jesteśmy Trzema Muszkieterami. Del wróciła - wzięła dwutygodniowy urlop i wróciła, by coś zrobić z tym pierścieniem od Tiffany'ego. Obozuje w pokoju hotelowym Eda. Mówi, że me mogła wytrzymać w Londynie.

Szczerze mówiąc, Paul nie uważa, żebyś sobie życzyła ratowania małżeństwa, ale i tak poszedł z nami. Chyba się bał, że coś go ominie, jeśli nie pójdzie.

Natomiast Della i Ja jesteśmy coraz bardziej przekonane, że poleciałaś na lep doraźnej zachcianki i wkrótce zakrztusisz się kremem orzechowym w postaci Alexa i będziesz chciała szybko wrócić do chrupiącej marchewki, jaką jest Ed. Jeśli wiesz, o czym mówię.

Choć, szczerze mówiąc, to bardziej moje zdanie niż Delii. Del nie była pewna, czy należy załatwić to za ciebie. Uważała, że nawarzyłaś piwa, więc teraz powinnaś sama je wypić - jakoś tak brzmiały te muszkieterskie uczucia. Ja twierdziłam, że przeżyjemy koszmar, jeśli wrócisz z Meksyku, szukając Eda, a jego nie będzie. Powiedziałam jej także, że wtedy będziemy musiały godzinami wysłuchiwać cię przez telefon, i że należy zaszyć dziurkę, póki mała (muszkietierowie wygłaszają wiele takich mądrych maksym).

Wszystko się zaczęło, gdy w barze hotelowym kończyłam sesję terapeutyczną z Makiem. Zauważyłam, że pojawił się Ed w towarzystwie Cherelle.

Nie panikuj. Myślę, że Ed był po prostu uprzejmy wobec Cherelle - jak zawsze wtedy, gdy nie Jest niegrzeczny. Na ich widok złapałam za telefon i zadzwoniłam po wsparcie - Delię i Paula - a potem podeszłam i wprosiłam się na siłę do towarzystwa.

Cherelle piła drugą margarite. Nie chciałam nic mówić, ale wiem, że poznała Alexa w centrum leczenia uzależnień, a to znaczy, że nie powinna pić. Więc tylko uniosłam Jedną brew.

- Widzę tę brew! - powiedziała Cherelle.

- Naprawdę? - spytałam, starając się ją opuścić, ale nie mogłam. Moja brew jest zwolenniczką absolutnej prawdy. Gdybym kiedykolwiek musiała przejść badanie na wykrywaczu kłamstw, powinni podłączyć tę maszynę do mojej brwi.

Cherelle spojrzała na Eda.

- Alkohol nigdy nie był moim problemem. Nigdy nie miałam z tym kłopotów.

- To dobrze - powiedziałam.

- Wiecie co? Mam po dziurki w nosie samodoskonalenia. Samodoskonaliałam się i samodoskonalam. I po co? - Myślałam, że powie „żeby mnie wyrolowano w miodowym miesiącu”, ale przypomniała sobie w porę. - Po nic - powiedziała.

Moja brew ciągle musiała być uniesiona, bo oznajmiła:

- No dobra, staczam się. Podaj mnie do sądu. - I wysączyła szklaneczkę.

- Spokojnie - powiedział Ed.

Zanim pojawił się Paul z tymi śmierzzącymi francuskimi papierosami, Cherelle także zaczęła palić. Paul pokazał nam technikę a la Simone Signoret - chodzi o to, żeby zdejmować okruszki tytoniu z języka, trzymając papieros pod kątem i skubiąc lekko kciukiem i palcem wskazującym.

- Tak - powiedziała Della - inaczej nazywa się to grą wstępną.

Paul chyba zapomniał, że mamy być Muszkieterami - albo działał jako tajny agent Młodej Miłości. Namawiał nas, żebyśmy poszli do klubu, gdzie Jego przyjaciele transwestyci występują w akcie Trzy Stopnie.

Pogadałam sobie ze Stopniem przy barze - był bardzo piękny w długiej czarnej peruce i różowej przylegającej sukni - rurze, z tymi niesamowitymi męskimi kośćmi biodrowymi wystającymi pod elastycznym materiałem -

powiedziałam coś o tym, że jest trans, a to go zdenerwowało, bo podobno jest dragiem. Zdaje się, że różnica polega na tym, że jest gejem ubranym jak kobieta, a nie hetero ubranym jak kobieta. Ten temat to pole minowe poprawności politycznej, wierz mi.

W każdym razie Cherelle wchłonęła w siebie kilka następnych margarit. Powtarzała, żebyśmy jej nie pozwolili jeść orzeszków, a potem jadła orzeszki i mówiła „uuups” z poczuciem winy, jakby to orzeszki jadły ją.

Śpiewali „Kiedy cię znów zobaczę?” i Cherelle zmusiła Eda, żeby z nią zatańczył. To był powolny taniec i przez chwilę wydawało mi się, że się zaczną obściskować. To znaczy, nie sądziłam, że coś się zdarzy tak naprawdę - nie tak naprawdę.

Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, żeby Ed poleciał na Cherelle. Ale ostatecznie z mężczyznami nigdy nic nie wiadomo. Mają tę okropną skłonność dostrzegania w kobietach najlepszego i pomijania najgorszego. A raczej ich fiuty mają taką skłonność.

Powiedziałam Del i Paulowi, że moim zdaniem Cherelle próbuje uwieść Eda, póki jest jeszcze niewinny i nie zna Prawdy. Paul nie był zbyt pomocny, bo jakiś tajemniczy wielbiciel przysyłał mu ciągle szampana. Powiedział, że Cherelle nie jest w stanie nikogo uwieść, ponieważ uwodzenie w wydaniu Cherelle przypominało dekorację na szkolny bal - wielkie kolorowe litery i przesadnie rozpromienione twarze.

Del uważała, że Eda nie da się uwieść, póki wciąż ma Nadzieję na ciebie.

Ja natomiast znam Eda znacznie lepiej niż tamta dwójka i uważam, że uwaga Cherelle zdecydowanie mu pochlebiała. Zdecydowanie. Problem Eda, moim zdaniem, polega na tym, że nie zna własnej atrakcyjności. Jest absolutnie zdumiony, gdy ktoś uważa go za seksownego.

Zmusiłam Paula, żeby wstał i zatańczył ze mną, żebyśmy mogli podsłuchać, o czym mówi tamta dwójka. Tematem ich rozmowy najwyraźniej była obsługa hotelowa. Cherelle mówiła coś w rodzaju: „Nie ma na świecie nic gorszego niż hotel z powolną obsługą”.

Kiedy piosenka się skończyła, wróciliśmy wszyscy do baru, a barman przyniósł Cherelle kieliszek szampana i powiedział, że to od tajemniczego wielbiciela. Mieliśmy nadzieję, że to nie ten sam tajemniczy wielbiciel, który przysyła szampana Paulowi. Ale najwyraźniej bycie tajemniczym wielbicielem jest teraz w modzie.

Cherelle rozejrzała się i powiedziała, że dokładnie wie, kto kupił jej szampana. Powiedziała, że gość po drugiej stronie sali wysyła w jej stronę

fluidy seksualne. Spojrzeliśmy w tamtą stronę, i siedział tam taki ciemny facet w typie latynoskim, o krótkich nogach i długich rękach.

- Jaka jest twoja definicja „fluidów seksualnych”? - spytał Paul.

- Wiesz, jak jakiś gość zbyt długo przytrzymuje twoje spojrzenie - no, wpatruje się w ciebie bez przerwy. Od tego aż dreszcz przechodzi. Spójrzcie na niego - powiedziała Cherelle - to bardziej małpa niż człowiek. - I zaczęła pić szampana.

Muszę przyznać, że zaczynałam już żywić do Cherelle cieplejsze uczucia, ale Ed, który przez cały wieczór był dość milczący, nagle się ocknął i spytał:

- Masz zamiar wypić tego szampana?

- Tak - powiedziała Cherelle.

- A nazwałeś go małpą.

- Tak - odpowiedziała Cherelle i zabalgotała. Ed wyglądał na zde gustowanego.

Cherelle zamachała na niego rękami, ale w zwolnionym tempie, pewnie przez ilość alkoholu w organizmie.

- O czym myślisz, Eddy?

- O niczym.

W tym momencie pojawił się nowy kieliszek szampana od małpiego adoratora po drugiej stronie sali i Cherelle uniosła go ku niemu w toaście. Zauważyła wyraz twarzy Eda.

- Powiedz mi, o czym myślisz. Wiem, że o czymś myślisz.

- Dobra. Jesteś płytka. Myślę, że jesteś płytka - powiedział Ed.

- Świetnie, przestałam się nudzić - wtrąciła Della.

- Dlaczego ze mną flirtujesz? - powiedział Ed do Cherelle. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że Cherelle zemdleje. Niestety. Chlusnęła mu szampanem w twarz.

- Nie masz o niczym pojęcia! - wrzasnęła. - Gównu mnie obchodzi, że jesteś Brytyjczykiem!.

Spojrzeliliśmy po sobie. Brytyjczykiem? Brytyjczykiem? Nie zastanawiałam się nad tym. Miałam okropne przeczucie, co będzie dalej. Złapałam Cherelle za ramię, ale rzuciła mnie na ziemię jednym ruchem wyćwiczonym na kursach sztuki walki.

Zanim zdążyłam się podnieść, Cherelle powiedziała do Eda:

- Flirtuję z tobą, bo twoja żona, żona - to słowo najwyraźniej wywarło na Edzie tak samo zimne i otrzeźwiający wpływ jak kieliszek szampana

chwilę wcześniej - Jak wy to nazywacie? Bzyka - bzyka - mojego męża - męża -w Meksyku.

- Nie, wcale nie - powiedział Ed. Szampan wciąż skapywał mu z twarzy, przez co wyglądał tragiheroicznie.

Ed spojrział na mnie. Odwróciłam wzrok, jak mogłam najszybciej.

Nie dość szybko. A może to moja brew znów mnie zdradziła, bo Ed chwycił mnie i wyprowadza tylnym wyjściem. Minęliśmy wyjście ewakuacyjne i znaleźliśmy się w zaułku za klubem.

- Myślę, że powinieneś to przyjmować bardzo, bardzo wolno - powiedziałam, starając się go uspokoić. - Myślę, że powinieneś to przyjmować po minucie - po sekundzie. - Staralam się go na czymś posadzić. - Oddychaj - powiedziałam i poklepałam go po brzuchu. - Wciągaj powietrze w brzuch, jakbyś nadymał balon.

- Odpiardol się - powiedział. - Okłamywałaś mnie?

To ja w końcu usiadłam. Nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby nie mieć racji. To straszny szok. Usiadłam na stosie skrzynek, w których przywożą chleb.

- Zasługuję na lepsze traktowanie - powiedział Ed. I ma rację. OmójBoże - ma rację.

Więc w końcu opowiedziałam mu całą historię o tobie i Alexie, i zakończyłam, mówiąc, że cała sprawa jest pewnie twoim sposobem na uniknięcie intymności, ponieważ w jakimś sensie Alex stanowił twoje ubezpieczenie przed tym, żeby Ed nie okazał się Tym Jedynym, a wyobrażenie Alexa gdzieś tam w tle pozwalało ci nie dostrzegać rzeczywistości Eda i dzięki temu mogłaś nie wpuszczać go do twego życia jako mężczyzny, którego będziesz kochać i który będzie zawsze z tobą. I że jeżeli Ed może się postarać to jakoś pojąć, to być może jest jeszcze nadzieja.

Ale on powiedział tylko: „Odpiardol się”. Ale nie niegrzecznie. A potem powiedział:

- Ven, po co ty to właściwie robisz?

- Co takiego?

- Uważasz, że sam sobie z tym nie poradzę?

- Nie - powiedziałam słabo.

- Więc co robisz?

Nie miał zamiaru odpuścić.

- Ratuje świat. Nie widzisz?

- Przeganiaasz złe duchy?

- Tak.
- No, ja jestem dorosły.
- Więc się tak zachowuj.
- Dobrze.

Czułam, jakbyśmy zawarli pakt czy coś w tym rodzaju.

Ed poszedł. Nie powiedział do widzenia. Po prostu odszedł. Nie miałam mu za złe. Czułam się mu bliższa niż kiedykolwiek przedtem.

Trochę sobie popłakałam, a potem wróciłam do klubu. W środku zdążył zrobić się okropny tłok. Nigdzie ani śladu Cherelle.

Kiedy w końcu znalazłam Delię i Paula, powiedzieli mi, że przegapiłam najlepszy kawałek. Cherelle tańczyła na stole, a długoręki stał na dole i gapił się na nią z uwielbieniem.

- Dokąd poszła? - spytałam.
- Do domu - powiedział Paul.
- Z nim - dodała Della.

Myślałam, że żartują. - Nie żartowali. I wtedy podszedł do nas wysoki, przystojny Australijczyk i spytał, gdzie jest dziewczyna z wielkimi oczami. Ta, której przysyłał szampana.

No więc z samego rana poszłam do hotelu, żeby się upewnić, czy z Edem jest wszystko okay. To znaczy, nie zapomniałam o naszym pakcie, ale myślałam, że może chce pogadać, a może zadać jakieś pytania na temat ciebie i Ale-xa. To znaczy, myślałam, że jest w szoku i zaniosę mu jakieś lekarstwo na poprawę samopoczucia.

Znalazłam Delię i Paula na korytarzu.

- Co jest grane? - spytałam.
- Jest tam - powiedzieli, wskazując drzwi.
- Oczywiście, że jest tam - potwierdziłam.
- To pokój Cherelle - zasyczała Della.
- OmójBoże - powiedziałam, patrząc na numer pokoju.
- No właśnie, omójBoże - powiedziała Della.
- Co on tam robi? - zapytałam.

- Myślę, że to taki układ miłości-nienawiści - powiedział Paul, karmiąc Honorię kawałkiem francuskiego rogalika z zostawionej na wózku tacy śniadaniowej. - No wiecie, jak Scarlett i Rhett - kiedy ona mu odmawia, a on ją „bierze”, a następnego ranka ona jest nową kobietą, ponieważ potrzebowała jedynie...

- Paul - odezwała się Della - co ty możesz wiedzieć o tym, czego potrzebuje kobieta?

- Kochanie - powiedział Paul i nabrał powietrza, przygotowując się do tyrady.

- Co Ed robi w tym pokoju! - wrzasnęłam, zanim zdążył zacząć.

- Wróciłam tu wczoraj w nocy - opowiadała Della - a Cherelle trzymała małą w jakimś dziwnym chwycie obronnym na odległość ramienia. Prawym palcem wskazującym wciskała mu do gardła jabłko Adama. Ed się przyglądał. A kiedy skończyła z małą, Ed i ona zaczęli rozmawiać. A ja poszłam spać.

- Rozmawiać o czym? - spytałam.

- Zgadnij - powiedział Paul.

- Nie wiem. - Nienawidzę, jak czegoś nie wiem.

- O Honey i Alexie, oczywiście - wyjaśniła Della. Spojrzałam na tace śniadaniowe.

- On jadł francuskie rogaliki, ona herbatniki z pełnego ziarna. On pił herbatę, ona kawę. On zamówił melona, ona banana - powiedział Paul.

- Rozumiem. - Myślisz, że przez całą noc nie spali? - spytałam.

- Może - powątpiewała Della.

- Myślisz, że - no wiesz - robili to? - drażylałam.

- Nie sądzę - powiedział Paul. - Sądząc po bananie.

- Co? - spytałam, podczas gdy świat wirował.

- To żart - odparł Paul.

- Skąd mielibyśmy wiedzieć, czy „to robili”, czy nie? - zastanawiała się Della.

I w chwili gdy całkiem głośno powiedziała „to robili”, drzwi się otworzyły i wyszła Cherelle. Popatrzyła na nas, Jakbyśmy byli paparazzi czyhający na jej progu i nie powiedziała ani słowa.

Myślałam, że przynajmniej Paul się odważy odezwać, ale tak samo go zatkało jak nas. Po chwili odwróciła się poszła korytarzem.

- Idzie do AA - powiedział Paul.

- Skąd wiesz? - spytałam.

- Wiem - stwierdził Paul.

Mac jęczy, co zapewne oznacza, że muszę się nim zająć. Chciałam ściągnąć tu Delię, ale ona nie chce przyjść. Mówi, że przerobi pierścioneł na parę kolczyków, sprzedaje i odda pieniądze Macowi. Myślę, że wie, że nie

chodzi o pieniądze, ale w tej chwili jest na etapie negacji, a tego orzecha naprawdę nie mam teraz czasu rozgryzać.

Kocham cię, siostrzyczko

Ven xxxxxxxxxxxxxxxx

Rozdział dwudziesty drugi

Alex odnalazł mnie na leżaku. Niósł dwa zestawy sprzętu do nurkowania: maski i rurki.

- Chodź - powiedział, wyciągając rękę.

Popłynęliśmy do żółwiowej skały z gromadą innych chętnych, a Marie Claire - M.C. (ta z mocnymi udami) płynęła za nami pontonem.

Tylko raz w życiu pływałam z maską i rurką, jako dziecko, na angielskiej plaży, więc kiedy wypłynęliśmy za skałę i nałożyłam maskę, myślałam - właściwie nie wiem, co myślałam, chyba nic nie myślałam. No wiecie, ryby są dla mnie interesujące mniej więcej tak samo jak... no... ryby.

Wsadziłam twarz do wody, a ławica małych, jasnoniebieskich rybek podpłynęła do mnie i z ciekawością spojrzała mi w oczy. A potem za jednym uderzeniem ogona już ich nie było. Wyjęłam twarz z wody i wybuchnęłam śmiechem. Nieczęsto odnajduje się w życiu coś nowego i cudownego. Tak samo się czułam, kiedy byłam maluchem i odkryłam, że można rzucać jedzenie na podłogę.

Pływałam całe wieki i wciąż nie miałam dość. Widziałam nawet nadąsaną ośmiornicę, chowającą się w pozycji embrionalnej w dziurze pod skałami.

Byłam tak tym pochłonięta, że nie myślałam o Alexie, ale natknęłam się na niego w chwili, gdy zaciekawiłam się, gdzie jest. Płynął maska w maskę z długonogą M.C. Pokazywali sobie nawzajem ryby i zaśmiewali się.

Pływałam dalej, zachowując się spokojnie i dorośle. Alex i MPC (Marie Pieprzona Claire) nurkowali głęboko razem, a raz nawet pociągnął ją za rękę, by jej coś pokazać.

Gdy wynurzyli się dla zaczerpnięcia powietrza, podpłynęłam do Alexa i krzyknęłam mu do ucha:

- Zdajesz sobie sprawę, że to to samo, co bzykanie instruktora narciarskiego?

Nie wiem, czy MPC słyszała, czy nie, ale odnurkowała. Alex uchwycił się łódki i ściągnął maskę.

- A tak konkretnie to o czym mówisz?

- Alex - powiedziałam - przestań.

- Co?

- Udawać, że nie wiesz, o czym mówię.

- Okay - odpowiedział spokojnie.

- Słuchaj - syknęłam, machając w szaleńczym tempie płetwami, żeby utrzymać się na powierzchni - jeśli mnie nie chcesz, w porządku, wystarczy powiedzieć. Jeśli uważasz, że nasza ucieczka była jakąś wielką pomyłką, w porządku - po prostu to powiedz! - Ten ostatni kawałek wykrzyczałam.

- Kochanie - powiedział Alex - M.C. i ja nurkowaliśmy. - Powiedział „nurkowaliśmy”, jakby było to coś absolutnie niewinnego. Powiedział to, jakby nie mógł dostrzec żadnego oczywistego związku między nurkowaniem a katastrofą.

- Nurkowaliście - parsknęłam z potężną pogardą.

- Tak - powtórzył - nurkowaliśmy.

Im częściej powtarzaliśmy to słowo, tym bardziej brzmiało jak jakiś okropny japiszonowy eufemizm na seks oralny.

- W rzeczywistości - powiedziałam - flirtowałeś. Z Marie Pieprzoną Claire.

- Flirtowałem? - zapytał z prawdziwym zaskoczeniem. Co nie znaczy, że tego nie robił. Ale być może znaczy, że nie wiedział, że to robi.

Wzruszył ramionami.

- Masz rację - powiedział. - Jest odpowiednikiem instruktora narciarskiego.

Zapewne powinnam była przez to rozumieć, że jest wobec tego dobrym obiektem flirtu i nie należy dopatrywać się w tym niczego poważnego.

Miałam dość zbierania wszystkiego. Nagle zrobiło mi się żal tych kobiet z epoki kamiennej, które cały czas musiały zbierać. Zawsze wolałabym polować.

- Trzymałeś ją za rękę.

- Ja - co?

- Trzymałeś ją za rękę.

- To absurd.

- Widziałam.

- Słuchaj - nie zaczynaj ty ze mną. - Z wyraźnym akcentem na „ty”.

- Ach, rozumiem. Cherelle musiała to wytrzymać.

- Cherelle to nie twoja sprawa.

Zanurzyłam głowę w wodę. Gdy wypłynęłam, powiedziałam:

- Czy flirtowanie z MPC jest twoim sposobem na odepchnięcie mnie?

- Nie.

- Tak.

Rozmowa prowadziła donikąd, więc popłynęłam na drugą stronę skały. Zastanawiałam się, jak się płacze pod wodą, ale nie mogłam wykrzesać z siebie dość energii. Zastanawiałam się, czy ryby mają uczucia.

Po chwili w moim polu widzenia pojawiła się dzika twarz. To była znajoma twarz, czarne włosy sterczały w górę, ku powierzchni wody.

Wynurzyłam się z krzykiem. To samo zrobiła twarz - chociaż nie krzyczała. Ściągnęłam maskę.

- Cześć - przywitał się, jakby wpadł na mnie w supermarkecie koło mrożonego groszku.

- Ed - powiedziałam. Uśmiechnął się. Lubię ten uśmiech.

- Co? - zapytał.

- Kiedy się uśmiechasz - powiedziałam - to myślę, że wszystko jest w porządku.

- W takim razie odwołuję uśmiech. Pójdziemy gdzieś, gdzie możemy pogadać?

Gdy wróciliśmy na plażę, z wody wyszedł Alex, wyglądający jak James Bond, a ja wykonałam „to Alex - Ed -Ed - Alex”, a oni powiedzieli „tak, już się poznaliśmy”, i kiwnęli sobie głowami jak dżentelmeni, i mój Boże, wszyscy byliśmy tak uprzejmi, jak byśmy byli na przyjęciu w ogrodzie u królowej.

Alex zwrócił się do Eda:

- Słuchaj, nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków. -Mniej więcej wiedziałam, co chce powiedzieć, ale w wysokiej temperaturze tej chwili to nie brzmiało odpowiednio.

- Och, w porządku - powiedział Ed. - Chcesz powiedzieć, że tak naprawdę wcale nie pieprzysz mojej żony?

Ale życie, myślałam. Stoję na karaibskiej plaży z dwoma na wpół nagimi, ociekającymi wodą mężczyznami, którzy się o mnie kłóca. Układałam już sobie w głowie mowę na przyjęcie Oskara - „I szczególnie gorąco pragnę podziękować tym wszystkim, którzy mnie zbijali z nóg i twierdzili, że nigdy nic nie osiągnę. Wszystkim tym chłopcom, którzy w szkole mówili «fajne nogi, marna buzia». Wszystkim tym niechętnym ciotkom, które myślały, że nigdy do niczego nie dojdę w życiu - chciałabym wam wszystkim podziękować. Bo, szczerze mówiąc, chwila ta jest tak satysfakcjonująca również dlatego, że udowadnia, jak bardzo nie mieliście racji”.

- Panowie, panowie - uspokajałam, starając się ukryć uśmiech.

Obaj spojrzeli na mnie pogardliwie. Doskonale wiedzieli, co się dzieje w mojej głowie i nie mieli zamiaru tego zaakceptować. Mój uśmiech spłowił. To nie fair - nie wygrasz nawet wtedy, gdy wygrywasz.

- Nie przyjechałem tu, żeby o ciebie walczyć - powiedział Ed jadowitym tonem.

- Jak nas tu znalazłeś? - spytałam.

- Jesus mi powiedział, gdzie jesteście. OmójBoże. Aż tak źle. Zwrócił się do Boga.

- Powiedział mi, że zmieniliście hotel.

- Ach, ten Jesus - powiedziałam.

- Przyjechałem tu, bo uważam, że powinniśmy podejść do tej sytuacji jak dorośli ludzie.

- Zgadza się - wtrącił się Alex.

- Uważam, że powinniśmy rozważyć wszystko w zimnym świetle dnia - ciągnął Ed.

- To Karaiby. Zobaczysz, że w dzień jest tu bardzo niewiele zimnego światła.

- Och, myślę, że uda nam się coś zorganizować - zapewnił Ed.

- Dzięki, Ed - powiedziałam. - Bardzo ci dziękuję. - Byłam wściekła. Miałam ochotę go zabić. Ed jest jedynym człowiekiem na świecie, którego naprawdę miałam ochotę zabić. Narzuciłam na siebie ręcznik i pobiegłam do pokoju.

Gdy już tam dotarłam, weszłam pod prysznic i wrzasnęłam. Nic nie mogłam na to poradzić - po prostu wydałam z siebie wielki, długi wrzask jak z horroru.

Rozdział dwudziesty trzeci

Zadzwoiłam do Maca, żeby porozmawiać z Ven.

- Czytałaś The Road Less Travelled - spytała.

- Nie - powiedziałam, czując, że zaraz znowu wrzasnę.

- Przyślę ci to kurierem.

- Nie rób tego.

- Skoro nie chcesz, to nie przyślę. Ale właściwie wystarczy przeczytać pierwsze zdanie. „Życie jest trudne”. No i co, nie czujesz się lepiej?

- Nie sądzisz, że być może naprawdę jesteś szalona? W sensie klinicznym? Mama mówiła, że cioteczna babka Nora była wariatką - mieszkała w domu wariatów i tak dalej. Może odziedziczyłaś ten gen.

- Zrozum - powiedziała Ven - jeśli wychodzisz z założenia, że życie jest łatwe lub powinno takie być, to przeżywasz nieustanne rozczarowania - ciągle czujesz się ofiarą. Jeśli wychodzisz z założenia, że życie jest ciężkie, to czujesz miłe zaskoczenie, że masz dość ciepłej wody na kąpiel. Byłam ciekawa, gdzie pojechał Ed.

- Moje życie - powiedziałam - legło w gruzach.

- Jeśli odgrywasz ofiarę - mówiła dalej Ven - wszyscy dookoła stają się albo prześladowcami, albo ratownikami, ponieważ...

- Nie jestem ofiarą - przerwałam. - Wielkie dzięki. Milczenie.

- Siostrzyczko, potrzebuję pomocy. Więcej milczenia.

- Wyobraź sobie, że jesteś w jak najwłaściwszej sytuacji w jak najwłaściwszym okresie twojego życia - powiedziała.

- Ha! - wykrzyknęłam.

- Wyobraź sobie - zaproponowała. Zamknęłam oczy.

- Okay.

- Wyobraź sobie, że jesteś tam po to, żeby nauczyć się czegoś, co pomoże ci iść dalej przez życie.

- Byłoby miło.

- Trzeba popełniać błędy. Wszyscy je popełniamy. To prawda, niektóre błędy są większe od innych. Niektóre błędy są wręcz ogromniaste... - Ugryzła się w język. - Przepraszam, zapomnij, że to powiedziałam. Błędy są w porządku. Naprawdę. To drogowskazy.

- Naprawdę tak myślisz? - spytałam, czując, że zaczyna mnie ogarniać ciepło.

- Wiem - powiedziała nagle, psując wszystko. - Pomyśl o całej historii jak o bardzo skomplikowanym scenariuszu Randki w ciemno.

- Ven!

- Honey. Nie mogę tego za ciebie rozplatać.

- Co takiego? Od kiedy to nie jesteś w stanie czegoś rozplatać?

- Od... od... Chcesz pogadać z Delią?

- Della tam jest? - spytałam. Della przejęła słuchawkę.

- Ty cholerna idiotko.

- Cześć. Hej. Też cię kocham.

- Maca nie ma - powiedziała. - Próbujemy znaleźć rachunek za pierścioneł, żeby go zwrócić.

- Na litość boską, po prostu oddaj mu pierścioneł i powiedz, że za niego nie wyjdiesz.

- Nie mogę.

- Owszem, możesz. Przecież nie może cię zmusić do małżeństwa.

- Nie znasz Maca - powiedziała.

- Znam.

- No właśnie. - Miała rację. - Podobno Ed się pojawił.

- Tak.

Usłyszałam szepty i przepychanki.

- Ktoś dzwoni do drzwi - powiedziała Della. - Ven poszła otworzyć. To nie Mac, on by nie dzwonił. A zatem, kto jest twoim mężczyzną, Alex czy Ed? - I naśladując głos z Randki w ciemno: - Decyzja należy do ciebie. - Potem usłyszałam, że mówi: „Powtórz to”, ale nie do mnie.

Rozległ się trzask. Najwyraźniej upuściła telefon. Powiedziałam kilkakrotnie „halo”, i w końcu słuchawkę podjęła Ven.

- Właśnie przyszła ta kobieta - wyszeptała. - O. Mój. Boże!

- Jaka kobieta? - spytałam.

- Żona Maca.

- To niemożliwe - powiedziałam, ale już mówiąc to wiedziałam, że możliwe. - Co robi Della?

- Całuje ją.

W tym momencie rozmowa zakończyła się dość nagle. A jednak poczułam się naprawdę lepiej, wiedząc, że nie jestem sama w swoim popapraniu, wiedząc, że ludzie na całym świecie byli takimi samymi popaprańcami jak ja... Byłam za to wdzięczna. Nawet poczułam przyływ miłości do Ven i Delii i nagle pomyślałam, że kupię im obu torebki jako świadectwo moich

niewyczerpanych uczuć. Ale już myśląc o tym wiedziałam, że nigdy tego nie zrobię.

Alexa nie było widać. Nałożyłam sarong, teraz już naprawdę znoszony, i poszłam do recepcji, dowiedzieć się, gdzie jest pokój Eda. Nie wiedziałam, co powiem, ale chciałam wykorzystać chwilę, gdy czułam jeszcze trochę otuchy po rozmowie z Ven i Delią.

Wskazano mi drogę do pokoju Eda. Było tam cicho i ciemno. Najwyraźniej spał. To mnie nie zdziwiło. Ed śpi w każdej możliwej chwili. Jest jak Kubuś Puchatek. Ed mógłby spać nawet w oku cyklonu.

Weszłam i siadłam na łóżku. Osoba w łóżku usiadła z krzykiem. Ja też krzyknęłam. To była Cherelle.

Patrzyłyśmy na siebie.

- Jak miło cię widzieć - powiedziałam w końcu. W takim właśnie byłam nastroju.

- Ciebie też - odpowiedziała. Chyba nie była szczerą.

- Po co tu przyjechałaś? - spytałam.

Powiedziała, że przyjechała, żeby usunąć mnie ze swego pola energetycznego.

- Aha - powiedziałam, przemierzając pokój jak Sherlock Holmes. - Możemy to zrobić. Czy ty i Ed...

- Och nie. Ed i ja się nie lubimy. Czy mają tu przyzwoitą obsługę hotelową?

- Chyba nie mają żadnej obsługi hotelowej - stwierdziłam i napiłam się wody z jej butelki Evian. - Dlaczego nie lubisz Eda? - spytałam.

- No, w głębi duszy chyba lubię Eda. Ale moje ego nie lubi Eda, ponieważ Ed nie lubi mnie.

- Rozumiem. Więc przyjechałaś tu, żeby wszystko spieprzyć? To znaczy - nie mówię, że na to nie zasługujemy.

- To bardzo negatywne podejście.

- A ty masz pozytywne podejście?

- Uznałam, że mogę przez resztę życia zastanawiać się, co zrobiłam źle. Albo mogę tu przyjechać i spróbować się tego dowiedzieć. - I wybuchnęła płaczem. Nieopanowanym szlochem w gruncie rzeczy. Nie wiedziałam, na czym zatrzymać wzrok. Może powinnam podejść i ją objąć, ale potem pomyślałam, że nie byłoby to odpowiednie.

- Nie zrobiłaś niczego źle - powiedziałam w końcu.

I naprawdę tak myślałam. Zastanawiałam się, jak to jej wytłumaczyć.

- Alex i ja... my... - Nie przychodziły mi do głowy odpowiednie słowa. - My jesteśmy popieprzeni - powiedziałam. - To nie ma nic wspólnego z tobą. - I dodałam: - Alex cię kocha. Powiedział mi. - Ale to sprawiło, że zaczęła jeszcze bardziej zawodzić.

- Czy jesteście razem szczęśliwi? - wydusiła z siebie między jednym szlochem a drugim.

Stwierdziłam, że robię minę, jak w szkole, gdy słyszysz, że wzywają cię do dyrektorki. Na szczęście Cherelle nie patrzyła na mnie. Uniosłam rękę i wygładziłam mięśnie twarzy.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie - powiedziałam, ale ona leżała i czekała na odpowiedź. W końcu więc dodałam: - To jakby zapytać Einsteina, czy dwa dodać dwa to cztery.

- Słucham?

- To zbyt proste. - Zamilkłam na chwilę. - To przecież o to chodzi, nie? Żeby się nawzajem uszczęśliwić.

- No, w każdym razie nie o to, żeby się unieszczęśliwić - powiedziała, rozjaśniając się nieco na ten dowód mojej głupoty.

Chlapnęłam sobie jeszcze Evian.

- No i co dalej? - spytałam.

- Porozmawiamy. Zrobimy sobie terapię grupową.

- Mówisz poważnie?

- Poważnie jak atak serca.

- Są na zewnątrz - powiedziałam do Alexa. - Pukają do drzwi.

- Oboje? - spytał.

- Tak.

- Powiedz im, żeby sobie poszli.

Otworzyłam okiennice i wysunęłam głowę. Cherelle i Ed stali tam na tle jasnoróżowych bugenwilli jak w ślubnej altanie. Pamiętam, że pomyślałam, że ładna z nich para.

- On nie chce - powiedziałam.

- Powiedz mu, że musimy porozmawiać - nalegała Cherelle.

- Chcą pogadać - powiedziałam do Alexa.

- Spytaj Cherelle, której części „nie” nie rozumie: N, I czy E - powiedział Alex, niemal włączając do szafy w pragnieniu ucieczki.

Spytałam Cherelle. Zrobiła minę.

- To ja tak do niego mówiłam. Słuchajcie, mnie tu jest za gorąco. Muszę wrócić do klimatyzacji. - Odeszła, wyglądając na przygnębioną.

Ed podszedł do mnie.

- Cześć, dziecinko. Wyszłam na werandę.

- Ed. To okropne. Nie rób tego.

Nie mogłam mówić dalej, bo akurat pojawił się kelner z herbatą i postawił ją na stole na werandzie. Widocznie Alex ją zamówił.

Kelner odszedł.

- Napijesz się herbaty?

- Tęsknię za tobą - powiedział Ed.

Arrrrgh! Wrzasnęłam, ale nie na głos. W środku. Ból. OmójBoże - to tak strasznie bolało.

Czy to poczucie winy? Nie wiedziałam. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek przedtem miałam powody do poczucia winy. Nic dziwnego jednak, że w Biblii tyle o tym mówią. Nie miałam pojęcia. Ale być może to, co czułam, to wcale nie poczucie winy. Może to poczucie utraty. Cokolwiek to było, chciałam, żeby sobie poszło. Chciałam, żeby Ed sobie poszedł. Ale nalałam mu filiżankę herbaty i podniosłam, żeby mu podać.

- Ed, proszę, daj spokój.

- Och, nie przejmuj się. Daję spokój. Dzięki Bogu. Powinienem był dać spokój lata temu. Powinienem był dać spokój, gdy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak wielką masz na swoim punkcie obsesję. Gdy zdałem sobie sprawę, że nigdy nie dorośniesz. Jesteś jak nastolatka przed okresem dojrzewania, która uważa, że nikt przed nią nigdy nie czuł bólu. Wiesz co? Nie jesteś ani specjalna, ani inna. Wszystko na swój temat wymyślasz. Wszystko! Wszystko ma udowodnić tobie samej, że z tobą wszystko w porządku. I wiesz co? Z tobą jest wszystko w porządku. Nic nadzwyczajnego. A teraz może wreszcie, kurwa, dorośniesz.

- Jedna kostka cukru czy dwie? - spytałam. Ręka mi się trzęsła. Filiżanka dzwoniła o spodeczek.

Ed odwrócił się na pięcie i poszedł sobie.

- Proszę, jedź do domu - powiedziałam do jego oddalających się pleców.

- Spróbuj mnie zatrzymać! - brzmiała odpowiedź.

W naszym pokoju hotelowym Alex leżał na łóżku i beztrąsko czytał.

- Słyszałeś coś z tego? - spytałam, dając mu herbatę.

- Czego?

- Niczego - powiedziałam. Usiadłam na łóżku.

- Ojej. Czy rodzenie dzieci też tak boli?

- To inny rodzaj bólu.

Widzicie, on wie, o czym ja mówię. Można by sądzić, że ból emocjonalny nie jest fizyczny, ale w tej chwili takim był, z epicentrum nieco w prawo od mego serca.

- Pojedziemy jutro na wycieczkę, a kiedy wrócimy, ich już nie będzie.

Dołączyłam do niego na łóżku.

- Nie sądzisz, że jednak może warto byłoby porozmawiać? We czwórkę?

- Nie ma o czym gadać. Wszyscy wiemy, co się zdarzyło.

Wrócił do książki. Znalazł stary egzemplarz bardzo erudycyjnego Przewodnika po Meksyku i czytał go strona po stronie - małym drukiem opisano szczegółowo wszystkie skorupy we wszystkich muzeach. Alex był już w połowie książki.

- Cherelle uważa, że zrobiła coś nie tak - powiedziałam.

- Napiszę do niej list.

- Chce wiedzieć, czy jesteśmy szczęśliwi.

- Mówią tu, że Coba to najmniej odwiedzany zabytek w Meksyku. Może się nam uda i nikogo innego tam nie będzie.

- Słuchaj - dodałam po chwili. - Chciałam to już wcześniej powiedzieć. Jeśli kiedykolwiek pożałujesz, że jesteś ze mną, choćby przez sekundę, chcę, żebyś mi o tym powiedział.

- Okay. I vice versa.

- Okay. Jeśli kiedykolwiek uznasz, że jestem samolubna...

- Samolubna? - powiedział zaskoczony i zamknął przewodnik. - Czego właściwie ode mnie chcesz?

- Nie wiem. Czegoś.

Przyglądał mi się przez długą chwilę.

- Wiesz co - powiedział łagodnie - nie powinniśmy się śpieszyć.

- Nie bądź głupi. Mówisz o dwójce ludzi, którzy uciekli razem helikopterem po jednym pocałunku.

- Mówię o tym, co jest między tobą a mną. Wiesz, o czym mówię.

- Czy to z powodu historii z Marie Claire? - spytałam. - Bo chyba trochę przesadziłam.

Uśmiechnął się. Wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po głowie.

- Wszystko będzie dobrze.

- Wiem, co powiesz - jęknęłam. - Powiesz, że potrzeba ci luzu.

Nie zaprzeczył. Objął mnie ramionami.

- Miałeś tyle luzu, ile chciałeś - oceniłam, myśląc o kilku ostatnich dniach.

- Miałeś całe cholerne stadiony luzu!

- Wiesz, niektórym potrzeba luzu.

- Wiem - powiedziałam sztucznie ożywionym tonem, jakbym właśnie wpadła na ten pomysł - może ja będę mieszkać w Londynie, a ty będziesz mieszkać w Los Angeles, i wtedy będziesz miał tyle luzu, ile zechcesz! - triumfująco.

Zapadło milczenie. Wciąż mnie przytulał, jakby nie chciał puścić tego, co powiedziałam. Po chwili odezwał się:

- Wiesz, że niezależnie od wszystkiego, zawsze będę cię kochał.

Leżałam, a jego słowa wirowały w moim mózgu. Nie wiem dlaczego brzmiały jak wyrok śmierci.

Rozdział dwudziesty czwarty

Jak się okazało, nie byliśmy w Coba jedynymi turystami, ale to nie miało znaczenia. Ruiny starożytnego miasta składały się z niewielkich kamiennych garbów, zniszczonych i pokonanych w walce o ucieczkę przed duszącą gęstwiną dżungli.

W dżungli zawsze się denerwuję. Co nie znaczy, że często w niej przebywałam. Powinnam powiedzieć, że sama idea dżungli sprawia, że się denerwuję. Wszystkie te niewidzialne, pełzające i skradające się rzeczy. Jest grząsko i robaczy-wie, a ptaki - zazwyczaj lubię ptaki - ptaki można określić tylko jednym słowem: ogłuszające.

A potem nagle otworzyło się przed nami jezioro.

- Coba znaczy „Miasto Wzburzonej Wiatrem Wody” - powiedział Alex.

- To piękne. - Nazwa piękniejsza niż sama woda, która wyglądała jak mlecznoszara kałuża. I nie było wiatru.

Wdrapaliśmy się po ogromnych, kruszących się kamiennych stopniach do kruszącej się świątyni Majów na szczycie. Było mi gorąco i byłam zła, i nagle ogarnęło mnie znużenie zwiedzaniem. Cierpiałam na to od dzieciństwa - winię o to mojego ojca, który obowiązkowo domagał się entuzjazmu. Symptomy znużenia to nuda, ciężkie nogi, senność i wszechogarniające pragnienie, by pójść do domu i oglądać „Simpsonów”.

- Obalony Bóg - powiedział Alex, wskazując rzeźbę przy wejściu do świątyni.

- Obalony Bóg? - zapytałam, ożywiając się nieco.

- Tak. W tych okolicach ma ogromne znaczenie. Jest bardzo szanowany. Poza tym - mówił dalej, wprowadzając mnie do środka świątyni, ze wzrokiem utkwionym w przewodniku - wśród licznych znajdujących się tu stelli, kolumna grobowa numer dwadzieścia jest „wspaniale wyposażona”.

- Wspaniale! - usłyszałam znajomy kalifornijski głos. - Bóg odpowiedział na mój list.

- Niewątpliwie dobrze wisi - powiedział angielski głos, jeszcze lepiej mi znany.

Alex wciągnął mnie gwałtownie za jeden z grobowców. Kucaliśmy tam jak idioci, podczas gdy Ed i Cherelle oglądali różne groby.

- Czuję się, jakbym była w „Dźwiękach muzyki” - szepnęłam do Alexa.

Rzeczywiście, moim życiowym marzeniem było znaleźć się w „Dźwiękach muzyki”, ponieważ, choć Teresa była dobrą zastępczą matką,

nigdy nam nie śpiewała ó paczkach w brązowym papierze, przewiązanych sznurkiem.

- Ciii - powiedział Alex, zły.

- Sznycel z makaronem.

- Co? - powiedział zirytowany, nie słuchając.

- Sznycel - powiedziałam głośniej. Zabrzmiało to jak kichnięcie.

- Masz - syknął, podając mi chusteczkę - i bądź cicho. Nie wiem, czy to znużenie zwiedzaniem, czy chęć podrażnienia Alexa, ale coś mnie pchało dalej.

- Miedziane czajniki - szepnęłam.

- Ciepłe wełniane rękawiczki - dobiegło z drugiej strony kolumny.

Więc - trochę jak Liesl - zatchnęło mnie z lekka. I zaraz pojawił się Ed, który się do mnie uśmiechał, i sprawa się wydała. Alex i ja musieliśmy wyjść, i wszystko było bardzo krępujące, nie mówiąc już o tym, że było nam gorąco i byliśmy spoceni. To miejsce funkcjonowało jak piec. Cherelle wyglądała jak stopiona świeca - nie najlepiej znosi upał.

- To był mój pomysł - powiedział Ed.

- Myślałam, że jedziesz do domu - zwróciłam się do niego.

- Nie mam zamiaru dać ci spokoju.

- To też jakaś piosenka? - spytałam.

- Nie - tylko marny tekst.

- W porządku. - W prawdziwym życiu masz prawo do marnych tekstów. Byle nie w filmach.

- Przepraszam - powiedział Alex i wyszedł. Poszliśmy za nim.

Okazało się, że Ed i Cherelle przyjechali tu taksówką, ale kiedy doszliśmy na parking, taksówki nie było.

- Musiałam ją odesłać myślami - powiedziała Cherelle. - To była piekielna taksówka. Żadnej klimatyzacji. W takim kraju jak ten klimatyzacja to podstawowe prawo człowieka. Poza tym facet puszczał muzykę na cały regulator i - słuchajcie - palił! Niewiarygodnie, co? O mało nie umarłam. To barbarzyńskie. Wiecie co? Za sto lat ludzie nie będą w stanie sobie wyobrazić, jak mogliśmy wkładać sobie do ust te rakotwórcze patyki.

- Co ci nie przeszkodziło w Nowym Jorku właśnie to robić - powiedział Ed. To spowodowało, że Alex ostro popatrzył na Cherelle. Miałam wrażenie, że po raz pierwszy naprawdę spotkali się wzrokiem.

- Ach, wtedy - powiedziała. - Wtedy przebywałam w świecie równoległym. Będziecie nas musieli podrzucić z powrotem do hotelu. Czy wasz samochód ma klimatyzację?

- Swego rodzaju - powiedział Alex, opuszczając dach volkswagena.

- Alex - oświadczyła Cherelle - nie mogę jechać tym czymś z opuszczonym dachem. Umrę z gorąca.

Alex spojrział na nią. Teraz się zacznie, pomyślałam. Domowa kłótnia. Ale ku mojemu zdumieniu po prostu podniósł dach z powrotem.

Wcisnęliśmy się wszyscy do środka.

- Przytulnie - powiedział Ed.

Przytulność, jak się okazało, była najmniejszym z naszych problemów. Silnik nie chciał zapalić. Próbowaliśmy znaleźć kogoś, kto by nas podwiózł, ale nie było tam zbyt wiele samochodów, a do tych, co były, nie dalibyśmy rady się wcisnąć. Autobusy podobno jeżdżą do Coba tylko w te dni tygodnia, które mają w sobie literę T, i nikt nie wiedział, czy chodzi o nazwy angielskie, czy hiszpańskie.

W końcu Alex złapał okazję. Mógł zabrać się na bagażniku motoroweru, żeby pojechać do telefonu i zadzwonić do agencji wynajmu samochodów. Ale żadne z nas nie było w stanie znieść myśli, że zostanie samo w rym upale. Cherelle poszła do „łazienki” (za krzakiem) i niemal usiadła na wężu. Naprawdę, była u kresu wytrzymałości.

Krótko mówiąc, wszyscy zabraliśmy się na bagażnikach motorowerów z kilkoma kanadyjskimi studentami. To w gruncie rzeczy było całkiem fajne. Zostawili nas w niewielkiej wiosce przy drodze, gdzie był telefon.

Okazało się, że agencja wynajmu może nas poratować dopiero następnego dnia, więc udaliśmy się do starego pensjonatu przy plaży.

Cherelle dostała ostatni wolny pokój, w którym stało tylko jedno łóżko, i absolutnie nie chciała słyszeć, żeby ktoś tam z nią jeszcze nocował. Była naprawdę oburzona - powiedziała, że najwyraźniej nie mamy pojęcia, ile ciepła generuje ludzkie ciało. Podobno sporo. Zmusiła kierownika, żeby pożyczył jej swój elektryczny wiatrak i poszła do pokoju, by go wielbić. Alex i ja dostaliśmy materace na tarasie, a Edowi przydzielono hamak.

Alex i ja poszliśmy na kolację do wioski i zjedliśmy podsmażaną fasolę - upierał się, żebyśmy się wymknęli. Przerazała go wizja wspólnego posiłku całej czwórki. Po powrocie zamontowałam moskitierę nad naszymi materacami.

Cherelle wciąż siedziała w swoim pokoju, więc poszłam poszukać Eda. Siedział na plaży w zachodzącym słońcu i rzucał smutno muszelki do wody. Usiadłam obok.

- Myślisz, że kiedyś zdołasz mi wybaczyć? - spytałam w końcu.

- Nie wydaje mi się, żeby wybaczenie było czymś, co można postanowić.

- Zdaje się, że powinnam przestać tak się starać poprawić sytuację.

- Tak. - Chwila ciszy. - Nie mówię, że wybaczenie się nie zdarza. Zdarza się. Po prostu nagle, pewnego dnia -zdarza się.

Czasami myślę, że Ed jest najmilszym człowiekiem na ziemi.

- To znaczy, że jeśli w drodze powrotnej na lotnisku w Mexico City poznasz Millę Jovovich, której nigdy byś nie spotkał, gdybym cię tu nie przyciągnęła, i spędzisz z nią resztę życia w małżeńskim szczęściu, to być może uda ci się mi wybaczyć?

- No właśnie - powiedział Ed. I uśmiechnął się. Byłam szczęśliwa, że się uśmiechnął. - Jakoś przeżyję - dodał. -Przecież wiesz. Jakoś przeżyję.

- Zabawne, że ty to mówisz.

- Teraz chcę tylko pojechać do domu. Chcę stanąć w którymś z moich ogrodów, zobaczyć, jak rosną kamelie i dać się zmoczyć mżawce.

- Tęsknisz za domem.

- Tak - powiedział.

Z jakiegoś powodu zachciało mi się płakać. Staralam się to zwalczyć, ale usta mi się zacisnęły, oczy wezbrały łzami, a Ed przecież zna mnie tak dobrze.

- Hej - powiedział i zrobił ruch, jakby chciał mnie objąć, ale potem przypomniał sobie i opuścił rękę. - Masz, czego pragnęłaś. Twoje marzenie się ziściło. - Powiedział to tak, jakby naprawdę chciał mnie pocieszyć.

- Tak - to było moje marzenie.

- Czy myślałaś o Alexie cały ten czas, kiedy byłaś ze mną? - spytał.

- Oczywiście, że nie! On gdzieś tam tkwił w moim mózgu. Gdzieś z tyłu. Był jak - czy ja wiem - odległa góra w krajobrazie. Nigdy nie sądziłam, że go jeszcze kiedyś spotkam. A poza tym myślałam, że sobie wyobraziłam - to znaczy, nie myślałam...

- Nie myślałaś, że możesz go mieć, więc zadowoliliś się mną.

- To wcale nie było tak - powiedziałam. Ale było, poniekąd. Tylko że sformułowane w ten sposób zabrzmiało okropnie. A wcale nie było okropnie. - To nie było „zadowalanie” się tobą. Było tak miło.

- Ale nie dosyć.

- Było absolutnie, całkiem miło. Tylko nie było... - pożałowałam, że zaczęłam to zdanie. Nie mogłam go skończyć.

- Powiedz - poprosił Ed.

- No wiesz. Nie było tego czegoś - cokolwiek to coś jest.

- Tego.

- Tak - powiedziałam. - Tego. Wrzuciliśmy do morza nowy ładunek kamyków.

- A gdyby - spytał po chwili - gdybyś go nie miała tam z tyłu mózgu, tej „góry”, to jak sądzisz, co by było między nami?

Przetoczyłam się na bok i spojrzałam na niego.

- Do czego zmierzasz?

- Myślisz, że udałoby ci się we mnie zakochać?

- Zakochałam się.

- Ale tak całkiem. Z tym.

- Jesteś zdumiewający.

- Co?

- Zdumiewasz mnie.

- Dlaczego?

- Po prostu tak jest.

Wstałam i rozebrałam się do bikini, które służyło mi także jako bielizna, i weszłam do morza, choć było niemal ciemno. Miałam ochotę się zanurzyć. Potrzebowałam tego rodzaju samotności. Chciałam czuć, że moje ciało jest po prostu moim ciałem. Przeżywać. Byłam zmęczona myśleniem. Nadmiarem myślenia.

Kiedy wynurzyłam się na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza, na niebie świeciły gwiazdy. Gwiazdy zawsze mi pomagają ujrzeć rzeczy we właściwej perspektywie. Może temu właśnie służą. Może dlatego ludzie, mieszkający w miastach, wariują - bo nie mogą dostrzec gwiazd.

Unosiłam się na wodzie, patrzyłam w gwiazdy, a przed oczami przelatowało mi moje życie, życie w Londynie. Tylko że jakoś je skróciłam i zmontowałam, jakby to był zwiastun filmu, i w ten sposób przycięłam je do swoich życzeń lub wyobrażeń o tym, jakie być powinno. Ale zwiastuny już mi nie wystarczają, to zbyt reklamowy gatunek.

Więc teraz pozwoliłam sobie oglądać swoje życie takim, jakim było naprawdę, i wyobraziłam sobie, że zawsze będzie dokładnie takie, jakie było naprawdę. Zabałaganione, niekonsekwentne i - no - czasami okropne, ale czasami przyjaciele sprawiali, że się śmiałam, a czasami nakręcał mnie sam

fakt, że żyję i prowadzę samochód w deszczu. A potem pomyślałam, że może to wystarczy.

Myślałam o tym, że nie pozwalałam sobie mieć tego, co mam. Myślałam, że zaplątałam się w te wszystkie rozważania, jak być powinno, i nie zauważyłam, jak naprawdę jest. Mniej więcej to samo przeżywasz, kiedy się starzejesz i myślisz sobie, jaka szkoda, że gdy byłaś młoda, nie wiedziałaś, jakie to szczęście być młodą. Kiedy miałam dwadzieścia lat, wydawało mi się, że jestem okropnie brzydka. Teraz, kiedy oglądam swoje fotografie z tamtych czasów, trudno mi uwierzyć, jaka byłam ładna. Teraz wydaje mi się, że trzydziestka to koniec świata. Ale kiedy będę miała pięćdziesiąt lat i spojrzę wstecz...

Myślę, że zawsze przeżywałam życie tak, jakby ścieżka miała się urwać na krawędzi skały. Fakt, że tej skały w ogóle nie ma, nie zmienia logiki myśli. Zawsze jest tych parę kroków przede mną.

Kiedy w końcu wyszłam z wody, wiała lekka bryza, a moje palce były pomarszczone jak włoskie orzechy. Ostatni raz mi się to chyba zdarzyło wtedy, gdy miałam osiem lat i mama nie chciała mi pozwolić wyjść z wanny, póki nie umyję szyi. Miałam fobię na punkcie mycia szyi.

Wróciłam na materac na werandzie i spojrzałam ostatni raz na gwiazdy, ale już ich nie było. Zniknęły, jakby ktoś zamknął drzwi. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że zerwał się wiatr i nagonił chmury.

Alex leżał na materacu pod moskitierą i czytał ten przeklęty przewodnik.

- Czy ten przewodnik naprawdę, naprawdę cię interesuje? - spytałam.

- Inaczej bym go nie czytał.

- Nie rozumiem.

- Nie musisz.

- Rozmawiałeś z Cherelle? Czy naprawdę masz zamiar napisać do niej list?

- Rozmawiałem z nią. Pogadaliśmy sobie.

- I?

- Nic jej nie będzie.

- Ciekawa jestem, co jej powiedziałaś? - zapytałam, zdejmując mokry kostium i wsuwając się nago pod moskitierę i między prześcieradła. Nie podobało mi się, że muszę spać nago na otwartym powietrzu, ale nie miałam wielkiego wyboru.

Alex nie odpowiedział na pytanie.

- O czym rozmawialiście?

- Niektóre rzeczy - powiedział Alex lekko - powinny pozostać między mężem a żoną.

Zapadła długa cisza. Widziałam krawędź skały.

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś.

- To był żart.

- Freud uważał, że nie ma czegoś takiego jak żart - stwierdziłam.

- Hej, ja nie pytam, o czym rozmawiałaś z Edem.

- A ja bym chciała, żebyś zapytał. Nie chcesz wiedzieć?

- Niespecjalnie. - Pochylił się i pocałował mnie lekko w czoło. - Ufam ci.

A potem się odwrócił, żeby mieć lepsze światło do czytania.

- Czy wiedziałaś, że Pancho Villa, bohater rewolucji, sprzedał prawa filmowania swoich bitew Hollywoodowi? Prawdziwych bitew. Czekał z rozpoczęciem bitwy, aż światło będzie dobre do kręcenia filmu.

- Hmm.

- To było w 1914 roku - mruknęłam. Spij dobrze.

Obudziło mnie bębnienie deszczu. Brzmiało inaczej niż bębnienie deszczu w Londynie. Każda kropla wydawała się ogromna. Było kompletnie ciemno. A potem uświadomiłam sobie, że Alex z kimś rozmawia - i pomyślałam, że może obudziły mnie głosy, nie deszcz.

- Nie przejmuj się - mówił Alex. - Ona śpi. Trzymałam oczy mocno zamknięte - chyba reakcja z dzieciństwa: gdy nie jesteś pewna, udawaj, że śpisz. Usłyszałam, jak Ed odpowiada:

- Bardzo mi przykro, ale tam jest naprawdę bardzo, bardzo mokro.

- Wszystko w porządku - powiedział Alex śpiącym głosem.

I zaraz poczułam, że Ed kładzie się po mojej drugiej stronie. Starał się mnie nie dotknąć. Alex ułożył się do mnie tyłem.

Powiedzenie, że zdrewniałam, byłoby niedopowiedzeniem. Leżałam między nimi jak mrożony paluszek rybny.

Wstrzymywałam oddech. Otworzyłam oczy - ciemność. Nie odważyłam się ruszyć głową. Nie sądziłam, żeby udało mi się zasnąć. Udawałam, że oddycham. Musiałam. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście wciągam do płuc powietrze. Nie wiedziałam, jak przetrwam.

Postanowiłam się zabawiać, wyobrażając sobie, jak opowiadam tę historię Ven, Delii i Paulowi. Trochę ją urozmaiciłam - przeredagowałam całość. Wyobrażałam sobie OMÓJBOŻE Ven. Wyobraziłam to sobie tak żywo, że niemal się roześmiałam. Wydałam z siebie stłumione parsknięcie.

Przerażona, zdusiłam je. Alex oddychał równo i chyba spał. Ed - nie wiedziałam.

Minęło parę minut, aż nagle pod moją stopą pojawiła się tamta stopa. Stopa Eda, ściśle mówiąc. Była ciepła i gładka, i doskonale pasowała pod moją stopę, i jakoś ją podtrzymywała, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Znowu przestałam oddychać. Ale potem pomyślałam, że nieoddychanie donikąd mnie nie zaprowadzi, więc zaczęłam znowu.

I z każdym oddechem czułam, jak wpływam do świata, w którym można dotykać się stopami z byłym kochankiem, obecnym mężem, równocześnie leżąc w łóżku z Miłością Swego Życia. Komórki w mojej stopie zaczęły przyjmować tlen, rozluźniać się i odprężyć, i gdy to się działo, Ed przesunął swoją łydkę, tak że przylegała z tyłu do mojej łydki, a ciepło i odprężenie przewędrowało aż do mego kolana, i wpłynęłam do świata, w którym można dotykać się łydkami z byłym kochankiem, obecnym mężem, równocześnie leżąc w łóżku z Miłością Swego Życia.

I gdy to się stało, Ed przesunął swoje twarde udo do mojego miękkiego, a teraz czekałam już na więcej, i wydawało mi się, że upłynęły wieki, zanim jego tors przywarł do moich pleców, a jego ramię otoczyło mnie delikatnie w pasie, a wtedy wszystkie komórki mego ciała zaczęły znowu oddychać, i wpasowałam się w niego i leżeliśmy tak, a jego policzek dotykał czule i bezbronne moje karku.

Było mi tak błogo, że w końcu moje myśli wyciszyły się, tak jak chciałam wcześniej, i po prostu odpłynęłam, a kiedy obudziłam się następnego ranka, nie pamiętałam, jak zasnęłam. Eda nie było, ale czułam, że otacza mnie jakby aura, coś w rodzaju poświaty.

Pojawił się Alex, w butach i bardzo zaabsorbowany.

- Jestem na nogach od szóstej. Masz pojęcie, która godzina?

- Nie.

Okazało się, że jest wpół do dwunastej. Czasem mi się to zdarza - po prostu śpię i śpię. Regeneracja.

- Mogłeś mi przynieść filiżankę herbaty.

- Nie pomyślałem. Był gość od samochodu. Jesteśmy wolni.

- Wolni? - powtórzyłam, myśląc, że to dziwny dobór słowa.

- Nie ma ich.

- Co? - spytałam. Ale już wiedziałam.

- Ten gość od samochodu jechał do Cancun. Postanowili się z nim zabrać. Ed powiedział, że pierwotnie planował z tobą wycieczkę - chciał przejechać

przez Meridę, żeby po drodze zobaczyć Chichen Itza. Więc planują tak zrobić. A potem złapać samolot z Meridy.

- Razem? - spytałam.

- Chichen Itza jest fantastyczne - powiedział Alex. - Też powinniśmy tam pojechać. Ale raczej nie dzisiaj. - Uśmiechnął się.

Starłam się przetrwać te wiadomości. Wiedziałam, dlaczego Edowi tak bardzo zależało na tej wycieczce.

- Wiesz, że Ed spał tu z nami tej nocy? - spytał Alex, przerywając moje myśli.

- Padał deszcz.

- Ale mimo wszystko - powiedział Alex z uśmiechem. Miałam ochotę uderzyć go w ten uśmiech. Chciałam

powiedzieć: „Pozwoliłeś Edowi spać w tym łóżku! Pozwoliłeś mu! Zaaranżowałeś to! Ty bydlaku!”.

Ale oczywiście nie zrobiłam tego, bo nie myślałam, że to tak naprawdę prawda. To był tylko dobry tekst. Zresztą nigdy nie pozwalałam sobie na takie dramatyczne gesty. Zbyt wiele ujawniają. Gniew oznacza bezbronność, mówi Mac.

Alex patrzył na mnie z ciekawością. O Boże, potrafi czytać we mnie jak w otwartej książce.

Wynoś się ze mnie, chciałam powiedzieć.

- Dziwny facet z tego Eda - powiedział Alex, kręcąc głową i odchodząc. Jakby wiedział, że mam ochotę się na niego rzucić.

- Czeka. Gdzie idziesz?

- Przynieść ci filiżankę Herbaty.

- Za późno! - krzyknęłam za nim i zaczęłam się miotać, złapana jak komar w pajęczą sieć, oślepiając białą i ślubną w ostrym słońcu.

Rozdział dwudziesty piąty

Po powrocie do La Posada poszłam prosto pod prysznic. Myślałam, że to pomoże. Gdy wyszłam z łazienki, Alex rezerwował przez telefon bilety do Los Angeles.

- Hej - powiedziałam, gdy skończył.

- Muszę się stąd wydostać.

- A co ze mną?

- Jedziesz ze mną.

- Jesteś tego pewien? - spytałam, co zaskoczyło nas oboje.

- Musimy się znaleźć w normalnym świecie, zobaczyć, czy potrafimy razem żyć.

- Zobaczyć, czy potrafimy? A co z Londynem? Jednak już mówiąc te słowa, wiedziałam, że w Londynie nic z tego nie będzie. Nie chciałam go zmuszać do życia pod chmurami. Nie chciałam tak dalece wypróbować siły jego miłości.

- Zapomnij, że to powiedziałam.

- Chciałbym wyjechać jutro.

- „Chciałbyś”? Przecież właśnie zarezerwowałaś bilety, nawet mnie nie pytając!

- Tak czy inaczej, ja jadę - powiedział jak krnąbrny chłopiec.

- Ty jedziesz.

- Jedziesz ze mną? - spytał. - Tak czy nie?

Zadzwoiłam do Ven do mieszkania Maca, ale odebrała Della.

- Będę mieszkać w Los Angeles. Dzwonię, żeby powiedzieć do widzenia.

- Do widzenia - powiedziała Della.

- Nic cię to nie obchodzi? - spytałam.

- To brzmi jak podchwytliwe pytanie.

- Alex i ja rozmawialiśmy i zgodziłam się spróbować w Los Angeles. Nie mamy gdzie mieszkać. Ja nie mam pracy. Ale wiesz, jak to mówią, najważniejsza jest miłość.

- Najważniejsza jest zielona karta, spora kasa, mercedes, automatyczna brama z alarmem, basen, przyjaciele na wysokich stanowiskach oraz służba, na której można polegać.

- Dzięki za ten głos wsparcia. Nie mogłabyś raz być miła dla odmiany, jak przyjaciółki innych ludzi? Nie mogłabyś być ciepła i przytulna, i powiedzieć: „Jestem pewna, że się jakoś ułoży”?

- Mogłabym, ale mam okres.
- Aha - powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało. Myśl o krwawiącej Delii była jakoś zaskakująca.
- Masz dziwny głos. Co się dzieje?
- Nic, wszystko w porządku. Ed wyjechał dziś rano.
- Aha - powiedziała.
- Wszystko będzie dobrze. Tylko że, no wiesz, teraz wszystko jest takie rozchwiane. Nic dziwnego zresztą.
- To brzmi jak te pocieszające słowa, które ja powinnam powiedzieć.
- Tak. Słuchaj i ucz się.
- Masz dziwny głos.
- Przestań to powtarzać.
- Okay.
- I słuchaj, nie mów jeszcze nic Macowi.
- Okay. Muszę iść.
- Co się dzieje? - spytałam.
- Potem ci powiem, teraz muszę iść.
- Gdzie jest Ven? - spytałam, ale Della już odłożyła słuchawkę. - Powiedz jej, że za nią tęsknię - powiedziała do sygnału.
- Po telefonie do Delii czułam się gorzej niż przedtem. Nie mogłam już dłużej zwlekać z telefonem do Teresy. Odkładałam to od chwili Wielkiej Ucieczki - ale nie mogłam czuć się tak paskudnie i nie zadzwonić do Teresy.
- Słuchaj - powiedziała, gdy odebrała - nie martw się, ale nie pojechałam w podróż poślubną z Edem, zamiast tego uciekłam z kimś innym.
- Nie martw się? - powtórzyła.
- Wiem, że to brzmi okropnie, ale nie jest aż takie okropne, jak brzmi.
- Jakim cudem?
- Widzisz, on nie jest byle kim, to Miłość Mojego Życia.
- Mówisz o tym Amerykaninie o niebieskich oczach, który poderwał cię w restauracji, dał się odwieźć na lotnisko i nigdy więcej się do ciebie nie odezwał?
- Musisz to tak ujmować?
- Honey, kochanie, nie śpiesz się. Nie podejmuj żadnych życiowych decyzji. Przyjedź do domu i przemyśl to. Przyjedź do mnie na jakiś czas.
- Nie mogę. Będziemy mieszkać w Los Angeles.
- Czy jesteś w stanie podejmować takie decyzje? - spytała.
- Och, proszę, nie bądź głosem rozsądku.

- Przyjedź do domu i przemyśl to. A jeśli on naprawdę jest miłością twego życia, to poczeka na ciebie parę tygodni. Przyjedź do domu, do Trees.

- Ale to wszystko, czego zawsze chciałam.

- Ależ Honey, nigdy nie wiedziałaś, czego chcesz. Milczenie.

- Przyjedź do domu - powiedziała.

- Okay. - Nie mogłam wymyślić innego sposobu, żeby zakończyć rozmowę, zanim się rozplaczę.

- Będę na ciebie czekać.

- Pa - powiedziałam drżącym głosem.

- Honey, jeśli pojedziesz do Los Angeles, też cię kocham.

Usiadłam na skraju łóżka i rozplakałam się jak dziecko. Sam dźwięk głosu Teresy sprawił, że z całej mojej misternej fantazji wyszło z sykiem powietrze i oklapła jak przetrzymany suflet. Czasami wydaje mi się, że rzeczywistość to najboleśniejza rzecz w życiu. A to okropne, bo rzeczywistość to jedyna rzecz w życiu. Jeśli się głębiej zastanowić.

Pamiętacie książki z czasów waszego dzieciństwa? Są w nich zawsze czarodziejskie drzwi, prowadzące do innego kraju, do zaczarowanej krainy, w której nie obowiązują żadne normalne reguły. Kiedy byłam dzieckiem, znalazłam takie miejsce w swojej głowie. Stwierdziłam, że potrafię wyobrazić sobie całkiem inną rodzinę i całkiem inne życie. I chociaż to, co sobie wyobrażałam, technicznie nie było rzeczywiste, to wyobrażanie sobie budziło prawdziwe reakcje w moim ciele i prawdziwe uczucia w moim sercu, a one z kolei stawały się bardzo wiarygodną ramą, przez którą oglądałam - czy wykrzywiałam - codzienną rzeczywistość mego życia.

W ten sposób wiedziałam, jak to jest być primabaleriną, kłaniającą się na światowej scenie. Wiedziałam, jak to jest śpiewać do kamery w programie Top of the Pops. Wiedziałam, jak to jest wygrać derby na moim wiernym kucyku. I wiedziałam, jak to jest, kiedy całuje mnie James Dean.

Chciałam przeżywać te wszystkie życia. I uważałam, że życie jest mi to winne. I że to wszystko musi się ziścić, żeby życie było okay.

A potem, kiedy zginęli moi rodzice, nie wiedziałam, jak sobie poradzić z ich utratą i nie poddać się. Ale nie chciałam umierać razem z nimi. Chciałam mieć moją szansę na ukłony i nagrody, i pocałunki. Ich śmierć stała się czymś w rodzaju zakazanej strefy. A najłatwiejszym sposobem, żeby do niej nie wchodzić, była ucieczka w świat wyobraźni.

Przez kilka ostatnich dni, które spędziłam z Alexem, byłam nieustannie świadoma bólu rzeczywistości. Alex był w porządku, na tyle, na ile wszyscy

są w porządku. Ale bycie z nim było bolesne, ponieważ robił i mówił rzeczy, które mi udowadniały, że on to on - że istnieje oddzielnie ode mnie, że ma własne życie i nie mogę z nim robić' wszystkiego, co chcę, tak jak mogłam, kiedy istniał tylko w mojej głowie.

Kiedy już osuszyłam oczy, wstałam i poszłam do niego do restauracji. Nie rozmawialiśmy. Byliśmy jak małżeństwo, które jest już ze sobą tak długo, że nie ma sobie nic do powiedzenia. Nie mogłam też jeść. Chyba byłam w szoku. Wszystkie zmysły miałam wyostrzone, jakbym przez całą noc coś brała.

Gdy usiadłam, przechylił się i wziął mnie za rękę. Próbowałam go pocałować, żebym nie musiała patrzeć mu w oczy, ale mnie powstrzymał. Nie pozwolił mi się tak łatwo wywinąć.

Przy sąsiednim stoliku siedziało starsze amerykańskie małżeństwo. Oboje się do nas sympatycznie uśmiechali, a w końcu kobieta wychyliła się w naszą stronę i spytała:

- Nowożeńcy?

Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że nie jesteśmy małżeństwem.

Zacmokali życzliwie, a mężczyzna zawołał jowialnie do Alexa:

- Niech pan się z nią lepiej ożeni!

- Tak naprawdę to ja mam już żonę - powiedział Alex. To ich zamknęło.

Alex powiedział, że chce iść na spacer, więc wróciłam do pokoju i próbowałam czytać thriller. Byłam jednak strasznie nabuzowana. Coś mnie nosiło. Każda minuta wydawała się godziną. W końcu poszłam poszukać Alexa.

Siedział przed domkiem na plaży z Marie Claire. Siedzieli tam po prostu i machali nogami w świetle księżyca. Gdy zobaczył mnie stojącą na linii przyboju, pożegnał się z Marie Claire i podszedł. Nic nie powiedział. Oczywiście.

- Wiesz co? Nigdy nie zadajesz mi żadnych pytań. Zauważyłeś? - Dopiero teraz ten zarzut przybrał konkretną formę, ale w chwili gdy go wypowiedziałam, wydał mi się głęboki.

- Pytań? - spytał, naprawdę zdziwiony. - Graliśmy w pytania.

- Pytań na mój temat. - Nigdy nie zadajesz mi pytań na mój temat. Jak mogę zamieszkać w obcym mieście z kimś, kto mnie nie zna?

- Znam.

- Nie wydaje mi się. - Nie tak naprawdę. Coś jest między nami.

- Niewątpliwie.

- Chodzi mi o coś - cć> jest nie tak, jak być powinno. Coś... - Nie wiedziałam, jak opisać to, co przybrało postać nerwowego napięcia w brzuchu. - To jest bardzo nieprzyjemne - wyjaśniłam w końcu. - No wiesz, swobodniej czułam się nawet z urzędnikiem sprawdzającym moje zeznanie podatkowe.

- Nie jesteś szczególnie miła.

- Ale wiesz, o czym mówię. Prawda? Ty też to czujesz. Prawda? - Odwrócił wzrok, nie mógł mi spojrzeć w oczy. - To takie... - nie potrafiłam skończyć.

- Jakie?

- Puste.

Prawda szarpnęła mną jak porażenie prądem. Nim też, wydaje mi się. Postanowiłam rzucić rękawicę.

- Czy zmienisz swój plan powrotu do Los Angeles? - spytałam. - Czy zostaniesz tu, żebyśmy się mogli poznać?

Nic nie odpowiedział. Nie musiał. Widziałam odmowę w jego oczach. Czułam ją wokół nas, w powietrzu.

- Nie chcę, żeby tak było - powiedziałam. - Ale nie wydaje mi się, żebyś był dla mnie.

- Jestem - powiedział.

- Ale nie naprawdę. Nie naprawdę - powiedziałam głośniej. I nagle stwierdziłam, że cała tęsknota i pragnienie, i strach, i napięcie minionego tygodnia buchają jak para z lokomotywy. Poddałam się temu z ulgą.

- Dojdźmy do sedna. Chodzi o to, że nie jesteś w stanie się naprawdę zaangażować. Przykro mi, że jestem tak przyziemna. Ale to jest przyziemne. Niezwykle przyziemne. Odchodziłeś ode mnie od chwili, gdy mnie zdobyłeś, i oboje o tym wiemy. Po prostu uciekasz. Ta cała sprawa od początku była jedną wielką ucieczką.

Po tych słowach uciekłam. Biegłam wzdłuż plaży. Dogonił mnie, chwycił za ramię i odwrócił ku sobie.

- Wiesz co? Właśnie opisałaś siebie.

W pokoju hotelowym kochaliśmy się, jakbyśmy byli ostatnią kobietą i ostatnim mężczyzną na Ziemi. Nasz seks zawsze taki był. Zawsze „Przeminęło z wiatrem”, nigdy „Kiedy Harry poznał Sally”.

Po przyzwoitej długości przerwie odwrócił się do mnie plecami. Tak zasypiał.

- Wiesz, nazywałam cię Miłością Mojego Życia - powiedziałam. - Tak cię określałam. To był taki żart. Nie był.

- Zawsze wierzyłem w tę drugą połówkę.

- I ja nią jestem?

- Tak - powiedział, nie odwracając się. - A ja nią jestem? - spytał.

- Tak. - I dodałam po chwili: - Chciałabym, żebyś o tym pamiętał.

Wymruczał coś niezrozumiale. Czekałam, aż zaśnie, aż odpłynie ode mnie w to miejsce, gdzie był kompletny i cały taki jaki jest, beze mnie.

Nigdy nie powinno się zasypiać, jeśli ktoś ci powie „chciałbym, żebyś o tym pamiętała”. Co więcej, jeśli ktoś mówi „chciałbym, żebyś o tym pamiętała”, należy zażądać natychmiastowych wyjaśnień, skonfiskować mu paszport i nie spuszczać z oka przez kilka dni.

Spał już dobrych dwadzieścia minut, kiedy wstałam z łóżka i pozbierałam swoje rzeczy. To nie trwało długo. Nie miałam zbyt wielkiego bagażu. Zabrałam kluczyki od samochodu i zostawiłam kartkę do Alexa. Napisałam: „Pożyczam samochód. Muszę to zrobić. Mam nadzieję, że rozumiesz”.

Nie był to sensowny list, ale po prostu nie byłam w stanie niczego wyjaśniać i uznałam, że to lepsze niż nic.

W samochodzie przeżyłam chwilę irracjonalnego strachu, że Alex usłyszy silnik i wybiegnie za mną. Oczywiście nie wybiegł. Może byłam trochę rozczarowana. Odrobinę. Przyjrzałam się mapie. Do Meridy prowadziła szeroka, główna droga, ale musiałabym dotrzeć najpierw do Cancun i pokonywać dwa boki trójkąta zamiast jechać wprost, bocznymi drogami. Postanowiłam jechać bocznymi drogami. Na mapie wyglądało to dość prosto.

Byłam w drodze może od pół godziny, gdy gdzieś w oddali zobaczyłam fajerwerki. Myśl, że są tam gdzieś ludzie, że coś świętują, dodała mi otuchy.

Przejeżdżałam przez opuszczone małe wioski, zapowiadane uderzeniem samochodu w garb ograniczający prędkość. Za każdym razem podskakiwałam na siedzeniu i waliłam głową w dach samochodu. Meksykańscy śpiący policjanci. Zupełnie jakby wzięto krawężnik i położono w poprzek drogi. Tak to się w każdym razie czuło.

Poza jednym miejscem, gdzie źle skręciłam na skrzyżowaniu w kształcie litery T i znalazłam się na bitym trakcie biegnącym przez plantację, droga wydawała się całkiem prosta. Mój samochód był jedynym pojazdem. Nie widziałam żadnego innego.

Przejechałam przez miasteczko z kościołem o niezwykle żółtym kolorze, odbijającym się na tle nocnego nieba. Nagle zaczęły bić dzwony. Tutaj dostrzegałam jakieś oznaki życia - osiołki i starych ludzi, stojących przy drodze. Bez żadnego celu, tak mi się wydawało. Patrzyli na mnie, gdy przejeżdżałam.

Zaczynały mnie boleć oczy od prowadzenia po ciemku, bo widziałam przed sobą najwyżej na parę metrów, gdy nagle wprost nad moją głową wybuchły fajerwerki. Nie wiadomo skąd pojawiły się kolory i muzyka, i ogień, i ludzie, wszędzie ludzie. Zatrzymałam samochód. Dzieci w kolorowych piórach z pomalowanymi twarzami obiegały samochód i pukały do okien.

Najwyraźniej wjechałam wprost w jakieś święto. Płonęły pochodnie, kłębił się tłum ludzi, a straszne, malowane maski robiły do mnie miny.

Było to zbyt niesamowite, żeby mogło być przerażające. Poza tym czułam się dziwnie odległa od wszystkiego. Mała bańka samochodu odgradzała mnie od świata. Wszystko, co było na zewnątrz, mogło być iluzją, wyświetlaną tam dla mojej rozrywki.

Opuściłam wioskę i jechałam dalej. I dalej. Zaczęłam się martwić, że się zgubiłam. Wypatrywałam na poboczu drogowskazu do Chichen Itza, gdy zobaczyłam drogowskaz do Tixcacalcupul. Coś zaiskrzyło w moim mózgu. Impuls elektryczny, który przebiegł między jedną synapsą a drugą i sprawił, że dostałam gęsiej skórki.

Trudno uwierzyć, ale po prostu musiałam pojechać w to miejsce, którego nazwy nie sposób wymówić. Nie pamiętam, żebym podejmowała taką decyzję, moje ręce po prostu skrzyły kierownicę. Pojechałam tak, jak pokazywał. Takie to było proste. Gdy dojechałam do wioski, tam także trwała fiesta.

Tym razem uważałam, żeby nie wjechać w środek tłumu. Zostawiłam samochód na obrzeżu wsi i poszłam bokiem, koło kościoła, by uniknąć śpiewaków. Z tyłu, za kościołem, był mały cmentarzyk, ogrodzony białymi ścianami jak niewielki dom. Brama stała otworem i przebiegło mi przez głowę, że może to dzień zmarłych i wszystkie duchy będą tańczyć. Gdybym została w domu i pomyślała, żeby zrobić to, co właśnie robiłam, nigdy bym tego nie zrobiła - wiecie, o co mi chodzi? Prędzej zwariowałabym z przerażenia. Ale wtedy, w tamtej chwili, nie czułam żadnego strachu. Wszłam na cmentarz.

Jego widok skojarzył mi się z hotelowymi przegródkami na klucze: wszyscy dostali wiele listów. Z niektórych szufladek wystawały kwiaty, na innych paliły się znicze, w jeszcze inne były wetknięte małe, laminowane fotografie, jak pocztówki.

Tabliczka znajdowała się na murze, na samym końcu. Była mała i upamiętniała niewielką katastrofę lotniczą. Zrobiono ją z mosiądzu, a na niej wyryto datę, potem coś po hiszpańsku - a może to była łacina? - i dziewięć nazwisk. Imię i nazwisko mojej mamy. I mojego ojca. W osobnej linii.

Stałam tak i patrzyłam na nie. Czułam oczy w oczodołach i ciało w skórze. Tak czułam. Myślę, że spodziewałam się poczuć coś naprawdę potężnego. Ale wcale tak nie było. Po prostu tam stałam. A potem, bardzo powoli i łagodnie, tak jak nadchodzi wieczór czy coś takiego, spłynęło na mnie zrozumienie, że to jest imię i nazwisko mojej mamy, i imię i nazwisko mojego ojca, i że oni nie żyją. To znaczy, oczywiście wiedziałam, że nie żyją, ale to nie był ten właściwy rodzaj wiedzy. Teraz wiedza przeszła mnie bolesnym, silnym, podstawowym uczuciem, jakie daje prawda.

Nigdy już nie wrócą. Naprawdę nigdy już nie wrócą. Nigdy-nigdy. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że oczekiwałam ich powrotu. Ale tak było. Więc straciłam ich znowu dokładnie w tej samej chwili, w której ich odnalazłam.

Ucieszyłam się, kiedy zaczęłam płakać. Tak bardzo się bałam, że nie będę mogła. Przemknęła mi przez głowę zwariowana myśl, żeby wziąć jedną z czerwonych plastikowych osłonek na świece i zbierać do niej moje łzy. Nie wiem dlaczego, ale chciałam zachować te łzy na zawsze. Ale w końcu, oczywiście, po prostu wykorzystałam jednorazową chusteczkę, którą miałam w kieszeni.

Siedziałam po turecku, płacząc, na małym spłachetku trawy na tym śmiesznym cmentarzyku, w towarzystwie laminowanych zdjęć zmarłych, opierając się o marmur. Nagle poczułam, że podoba mi się tam. I że się czuję jak w domu.

Wielka fajerwerkowa róża wystrzeliła w niebo nade mną, a ja siedziałam z odchyloną do tyłu głową i patrzyłam, jak spływa na dół. Tak się cieszyłam, że żyję, i tak się cieszyłam, że czuję miłość, że wiem, że jest miłość, którą straciłam, i miłość, której nie straciłam.

Bo widzicie, w sprawie miłości nigdy nie byłam dobra. Przypominałam raczej księcia Karola, który powiedział o miłości „cokolwiek to jest”. I

drażniło mnie to całe „wystarczy miłość”. Zgadzałam się raczej z Delią: wystarczy miłość i mercedes, i przyjaciele na wysokich stołkach.

Ale siedząc tam, czułam, że niechętnie zaczynam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Trudno zaprzeczyć, że w piersiach rozkwitało mi dość specyficzne uczucie, a „miłość” było jedynym słowem, które mi przychodziło do głowy. Na przykład gdy myślałam o Ven, to uczucie wzbiegało i znowu płakałam.

A potem, w końcu, pomyślałam o Edzie i o tym, że jakoś go odnajdę. Że nie mogę pozwolić mu odejść, nie mówiąc mu jak trzeba, że go kocham. Tak, żeby wiedział, że mówię szczerze. Tym prawdziwym rodzajem miłości. I że być może Alex jest moją drugą połową, ale nie mogę żyć z Alexem. Nie chcę. To zbyt bolesne, bo jesteśmy za bardzo do siebie podobni.

A potem, myślałam, kiedy już uporządkuję to całe głupie zamieszanie i sprawię, że Ed zrozumie, to wtedy może pójdę do klasztoru. Czyste, proste życie. Miało to pewien urok.

Łzy nadal płynęły, ale łagodnie i mokro. Przestałam je wycierać. Czułam się, jakbym dryfowała. Nie chciałam stąd odchodzić. Spojrzałam w ciemne niebo i wydawało mi się, że widzę, jak Ziemia się obraca i trzyma mnie. Objęłam się ramionami i myślałam, jestem okay. Wszystko jest okay. Jestem tutaj i jestem okay.

Musiałam zasnąć. Kiedy znów odzyskałam świadomość, powietrze było ciepłe. Marmur pod moją głową odbijał najbledsze z najbledszych, różowe i kruche poranne światło. Nie ruszałam się. Leżałam zwinięta na boku i było mi niewiarygodnie wygodnie.

Poczułam, że jest ze mną ktoś jeszcze. Ktoś, kto przykucnął obok. Usiadłam, nie otwierając oczu. Ten ktoś objął mnie ramionami, a ja powiedziałam:

- Och, jak dobrze - jesteś tu.

Siedzieliśmy tak całe wieki. Wieki i wieki. A potem ujęłam go za rękę, otworzyłam jego dłoń i położyłam na niej moją pomietą, zasmarkaną chusteczkę.

- To dla ciebie. Prezent.

- Co to takiego? - spytał Ed. Powiedziałam mu, że to moje łzy.

Gdy szliśmy do samochodu, był świt, kurz i poranek jak po burzy. Całkiem epicko. Czułam się, jakbym grała w ostatnich scenach spaghetti westernu i utykając zmierzała do domu w podartej sukience, poznawszy w

dotkliwy sposób, że kobieta jest kobietą, mężczyzna mężczyzną, a poza tym nie da się stłamsić faceta w typie Charlesa Bronsona.

Właśnie otwierał się mały bar przy drodze.

- Chodźmy na huevos - powiedziałam - i podsmażaną fasolę. - Nagle poczułam straszny głód.

Siedzieliśmy przy chwiejnym stoliku pokrytym ceratą, czekając na nasze jajka i pijąc kawę, tak gęstą i czarną, że trudno było nie połykać fusów. Ed powiedział, że Alex odkrył, że zniknęłam, i zadzwonił do niego do hotelu w Chichen Itza, bo uznał, że pewnie tam pojechałam. Kiedy się nie pojawiłam, Ed rozważył moją możliwą trasę i odgadł, co mogło się zdarzyć, gdy dojechałam do Tixcacalcupul. Więc przyjechał.

- Miałeś zamiar mnie tu przywieźć, prawda? - spytałam. - Kiedy planowałaś podróż poślubną?

Ed uśmiechnął się.

- Wcale nie miałam zamiaru tu przyjeżdżać - powiedziałam. - Szukałam ciebie. Jechałam do ciebie.

Ed nadal się uśmiechał. Jakby było Boże Narodzenie.

- A gdzie jest Cherelle? - spytałam.

- Została w Cancun - powiedział. - Czeki na samolot do domu.

- Czy jest jakaś szansa, że będziesz mógł zrozumieć? To wszystko?

Patrzył na mnie.

- To tak, jakbym jechała drogą - opowiadałam, rysując ją palcem po stole - i musiała zrobić objazd, ale droga wciąż prowadzi mnie do ciebie.

- A co było tym objazdem? - spytał. - Tixcacalcupul?

- Objazdem był Alex - powiedziałam. Rozważał to przez chwilę.

- Czy tutaj właśnie - zapytał w końcu - zaczyna się moja zemsta?

Rozdział dwudziesty szósty

Prosto z JFK przyjechałam do Maca, gdzie, jak się okazało, przygotowano małe przyjęcie powitalne. Mac, Della, Ven, Paul - wszyscy tam byli - przykro mi, że gronostaj okazał się farbowanym lisem - powiedział mi do ucha Paul, gdy mnie ścisnął na powitanie.

- Co? - spytałam.

- Młoda miłość.

- Ach, rozumiem. - Tak.

Przyszła Della z szampanem. Potrząsnęła butelką i rozpryskała go po wszystkich, krzycząc:

- Wróciła!

- Spoko.

Ven siadła koło mnie i objęła ramieniem.

- Musimy pogadać - powiedziała, a jej brwi pracowały w nadgodzinach.

- Musimy - przytaknęłam.

Mac machnął mi na powitanie ręką, w której trzymał papierosa, i przyprowadził wysoką, farbowaną blondynkę.

- To Chiquita - powiedział. - Moja obecna żona. Spojrzałam na Delię. Mrugnęła do mnie. To było coś nowego. Nigdy dotychczas nie mrugała. Może się zmienia. Może to nowojorska moda. A może wszyscy się zmieniamy.

- Cześć ślicznotko - przywitała mnie Chiquita. - Słyszałam o tobie.

- Żona? - powiedziałam do Maca. - Żona?

- To długa historia - stwierdził Mac.

- Występuje w niej Bertolucci, Los Angeles, przegląd filmów włoskich i szalona grupowa wycieczka do Tijuany. Ach, a także nadmiar mezczał*, zakłady po pijanemu i szybkie śluby w Las Vegas - dodała Della.

- I dymanie stulecia - wtrącił Mac.

- Które nie uratowało małżeństwa - kontynuowała Della celnie. - Gdy przedstawiłam Maca jego żonie, miał trudności z przypomnieniem jej sobie. Uważał, że wszystko da się załatwić prawniczymi sztuczkami i papierkową robotą.

- Ale teraz pozwalam go do sądu - powiedziała Chiquita.

- I ma zamiar to naprawdę długo ciągnąć. - Della radośnie wzięła Maca pod rękę.

- Czy wy znowu jesteście razem? - spytałam.

- Ależ oczywiście - powiedziała Della. Spojrzałam na Maca. Pilnie palił. Wyglądał na szczęśliwego. W wolnej chwili odciągnęłam Delię na bok. Poszliśmy do łazienki.

- A co z pierścionkiem? - spytałam.

- Ach, dałam go Chiquicie.

- A co na to Mac?

- A co on tu ma do gadania? Nie może oświadczać się wszystkim dokoła.

- Jesteś jedyną osobą, z którą kiedykolwiek chciał się ożenić.

Della uniknęła mojego wzroku, a Ven wsunęła głowę do środka.

- Podoba ci się kolor? - spytała. Łazienka została ostatnio wyłożona od podłogi do sufitu płytkami w ostrożółtym kolorze.

- Żółty - powiedziałam.

- No, tak naprawdę ma też odcień zielonkawy. Dla harmonii - powiedziała Ven.

- Kojarzy mi się z kolorem uryny - wtrącił Paul, pojawiając się nagle - po witaminach. Ven robi wielką karierę jako spec od feng shui - ciągnął dalej. - Wszystkie gwiazdeczki Maca czekają, by usłyszeć, że muszą postawić łóżko w kuchni i w ogóle rozwalić swoje mieszkania.

W tym momencie zadzwonił dzwonek domofonu. Wszyscy w panice poderwali głowy.

- Ach, to na pewno Miłość Mojego Życia - powiedziałam. Wyszłam z łazienki i nacisnęłam przycisk domofonu, odblokowując drzwi na dole.

Otoczyli mnie.

- Kto? - spytali razem.

- Miłość Mojego Życia - powtórzyłam.

- OmójBoże - wyrecytowała Ven. - O. Mój. Boże.

- Pojechał z lotniska do hotelu - powiedziałam. - Po bagaże. - I otworzyłam drzwi Edowi.

W drodze na lotnisko pokrótce opowiedziałam Ven i Delii, co się zdarzyło w Meksyku, a Ven przysięgła, że pojedzie do Tixcacalcupul - kiedy się nauczy, jak to wymawiać.

Na lotnisku wygłosiła nam krótki wykład na temat mało prawdopodobnego nagłego spadku ciśnienia w kabinie, i że powinniśmy najpierw założyć maskę tlenową sobie, a potem dopiero próbować pomagać innym. Sądziłam, że chodzi jej o nasze bezpieczeństwo podczas lotu, ale okazało się, że to była metafora na temat zachowania zdrowego małżeństwa.

- Cieszę się, że znowu się kochacie - powiedziała. Gdy dotarliśmy do Odlotów, Della oznajmiła:

- No to do widzenia. Żałuję, że nie umiem płakać, ale nie umiem. Zbyt wielka ze mnie suka.

- Nie wracasz do Londynu? - spytał Ed.

- Może. Ale chyba raczej zostanę damą z towarzystwa. - Wyglądała na zrezygnowaną.

Ven zmusiła Eda i mnie do pozowania do zdjęcia.

- Och, nie - powiedziała Della. - Znowu.

- Co takiego? - spytała Ven.

- Ta prawdziwa miłość. Czuję, jak z nich promieniuje. - I wzdrygnęła się, jakby ktoś przejechał paznokciem po szkłe.

Po powrocie do domu Ed i ja pojechaliśmy na kilka dni do Teresy. Powiedziała, że będzie czekać, i czekała.

Był ciepły, letni wieczór, krowy muczały na polach i tak dalej. Zjedliśmy z Teresą podwieczorek, a potem zaprowadziłam Eda na strych, gdzie odszukałam swoje pudełko po cygarach i pokazałam Edowi przysięgę antymażeńską oraz czterolistną koniczynkę. Ciągle o niej myślałam, o tej przysiędze. Głównie z powodu tych wszystkich chwil, w których gorąco żałowałam, że jej nie dotrzymałam.

Na górze było niemal ciemno, więc Ed musiał otworzyć małe mansardowe okienko, by przeczytać święty dokument w ostatnich promieniach słońca. Gdy tylko skończył się śmiać z mojego idiotyzmu, chciał podrzeć kartkę.

- Nie! - krzyknęłam i chwyciłam poźółkły kawałek papieru. Spojrzał na mnie. Miał rację. Jak zwykle. Więc wyciągnęłam rękę z przysięgą przez okno i po prostu puściłam kartkę z wiatrem. Patrzyliśmy, jak frunie w dół dachu, a potem przez ogród. Odtruwała dość kapryśnie. Ale skutecznie (mam nadzieję). Potem dałam Edowi czterolistną koniczynkę. Postanowiłam, że będzie dla niego.

Kiedy obudziłam się następnego dnia rano, miałam wrażenie, że przebyłam długą drogę. Długą, długą drogę. Przede wszystkim przez moment nie wiedziałam, gdzie jestem, w jakim kraju i z kim. Otworzyłam oczy i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była para butów Eda, stojąca przy łóżku - jego wygodne, wychodzone adidas, przechylone trochę w lewo i tak dobrze mi znane jak moje własne kciuki. Wyglądały na tak zadowolone i pewne siebie, jakby znalazły cel w życiu. Patrząc na nie, wiedziałam, że jestem tam, gdzie powinnam, i że wszystko będzie dobrze.

A potem sobie uświadomiłam - puste buty! Nienawidzę pustych butów. Czekałam na oznaki wstrętu. Nie było. Pomyślałam, że może się wyleczyłam, może przygody z paru minionych tygodni zadziałały terapeutycznie, jak wtedy, kiedy ludzie spotykają się twarzą w twarz z tarantulą i zostają wyleczeni z trwającej całe życie arachnofobii. Ale potem pomyślałam o kapciach Maca w domu w Chelsea i stwierdziłam, że chyba jednak nie zostałam wyleczona.

- Jesteś Tym Jedynym - powiedziałam.

Ed poruszył się, nie całkiem obudzony wymamrotał coś, przeturlał się i przytulił. Lubi to.

Westchnęłam głęboko. Robię to czasami. Nie wiem dlaczego.

- Zdecydowanie jesteś Tym Jedynym - powtórzyłam.

- Tak? - powiedział Ed, budząc się trochę bardziej. - Myślałem, że to on jest Tym Jedynym.

- Chodzi o to, że, czego ci nigdy nie mówiłam, jest Ten Jedyny, okay, ale jest i Tamten Jedyny. Wydawało mi się, że on jest Tym Jedynym, ale tak naprawdę ty jesteś Tym Jedynym, a on był Tamtym Jedynym.

- Wymyślasz to. Ja także mogę okazać się Tamtym Jedynym.

- Nie, nie. Jesteś Tym Jedynym.

- Jeśli istnieje Ten Jedyny, to dlaczego nie ma Tego Drugiego? A co, jeśli pojawi się Ten Drugi?

- Nie bądź głupi.

- Głupi? Myślę, że jeśli ktoś tu może kogoś oskarżać o głupotę...

- Nie chcesz być Tym Jedynym?

- No, szczerze mówiąc, tylko z tym kłopot. A może damy sobie spokój z tą całą teorią?

- Rewolucyjny pomysł - powiedziałam.

To: Honey@globalnet.co.uk

From: alexlyell@hotmail.com

Subject: Cześć

Date: 21 sierpnia - 21.42 PST

Kochana Honey,

Jeszcze jedna, ostatnia rzecz. Tyle czasu i wysiłku kosztowało nas zastanawianie się, kogo kochać i czy kochamy ich wystarczająco. Ale najtrudniejszą rzeczą jest bycie kochanym. To najtrudniejsze ze wszystkiego.

Zgadnij, kto siedział koło mnie w samolocie do domu?

Do zobaczenia w przyszłym życiu.

Trzymaj się,
Alex